

**Harlan Coben**

# **Klinika śmierci**

*Miracle Cure*

**Z angielskiego przełożył Robert Sudół**

*Dla Córki  
Najlepszej mamy na świecie*

## WSTĘP

No dobrze, jeśli to moja pierwsza powieść, po którą sięgnęliście, nie czytajcie jej. Zwróćcie ją. Weźcie inną. Nie ma problemu, zaczekam.

Jeżeli jednak dalej czytacie, to musicie wiedzieć, że nie zajrzałem do *Kliniki śmierci* od dwudziestu lat. Nie chciałem poprawiać tej książki, żeby wydać ją jako nową powieść. Nic cierpię, gdy pisarze tak robią. A więc — źle czy dobrze — jest to dokładnie ta książka, którą napisałem, gdy miałem dwadzieścia kilka lat. Gdy byłem naiwnym chłopakiem pracującym w branży turystycznej, który się zastanawiał, czy powinien iść w ślady ojca i brata, a więc (ciarki na plecach) studiować prawo.

Surowo oceniam tę książkę, ale czy nie jest tak, że wszyscy surowo oceniamy swoje wczesne dokonania? Przypominacie sobie tę rozprawkę, którą napisaliście w szkole — tę, za którą dostaliście piątkę z plusem i którą nauczycielka oceniła „celująco”? Pewnego dnia przetrząsacie szufladę i znajdujecie ten tekst, czytacie go, serce wam zamiera i myślicie: „Rany, ale miałem wtedy siano w głowie”. Tak właśnie bywa z wczesnymi powieściami.

Z pewnych fragmentów tej książki przebija kaznodziejski ton i co nieco wydaje się dziś przestarzałe (choć, prawdę mówiąc, chciałbym, żeby poruszane w niej problemy medyczne bezpowrotnie odeszły w przeszłość, ale to inna sprawa). Być może pomyślicie, że część fabuły osnuta jest na kanwie autentycznych wydarzeń. Nie jest. Książka powstała wcześniej. Nie dodam nic więcej, bo zepsułbym wam zabawę.

Na końcu chciałem wyznać, że kocham tę powieść pomimo jej wad. W *Klinice śmierci* jest energia i gotowość do podejmowania ryzyka — cechy, które być może zatraciłem. Nie jestem już tym samym facetem, ale to żaden grzech. Zawsze się zmieniamy w naszych pasjach i pracy. I dobrze.

Miłej lektury.  
Harlan Coben

## PROLOG

Piątek, 30 sierpnia

Doktor Bruce Grey próbował zwolnić kroku. Najchętniej popędziłby ile sił w nogach po brudnej posadzce hali przylotów międzynarodowego lotniska imienia Kennedy'ego i mijając odprawę celną, wybiegł z terminalu w parną noc. Zwalczył jednak tę pokusę. Szedł równym krokiem, spoglądając nerwowo na boki. Przystawał co chwila i kręcąc głową — jakby miał zeszywniałą szyję — zerkał ukradkiem przez ramię, by się upewnić, że nie jest śledzony.

Przestań! — upomniał siebie w duchu. Przestań się zachowywać jak niewydarzony James Bond. W dodatku trzęsiesz się jak galareta. Na miłość boską, zwracasz na siebie uwagę. Masz wszystko wypisane na twarzy.

Przechodząc obok taśmociągu z bagażami, skinął uprzejmie głową w kierunku niewysokiej starszej kobiety, która siedziała wcześniej obok niego w samolocie. Przez całą podróż gadała jak najęta o swojej rodzinie, zamiłowaniu do latania i ostatniej wycieczce za ocean. Była miła, ot, po prostu zwykła staruszka, ale Bruce zamknął oczy, udając, że śpi, bo pragnął spokoju i wypoczynku. Sen jednak nie nadszedł.

A może to nie jest żadna babcia. Brusiu? Może ona cię śledzi...?

Potrząsnął głową, żeby odpędzić tę myśl. Miał już kręcka od tego wszystkiego. Najpierw był przekonany, że śledzi go ten brodacz siedzący w samolocie. Polem stojący w budce telefonicznej dryblas z zaczesanymi do tyłu włosami, w garniturze od Armaniego, No i ta ładna blondynka przy wyjściu z terminalu. Ona też go śledziła.

A teraz stara babcia.

Weź się w garść — powtarzał sobie w duchu. Paranoja nic tu nic pomoże, kolego. Najważniejsze to mieć jasny umysł.

Podszedł do odprawy celnej.

— Kontrola paszportowa.

Wyjął paszport.

— Nie ma pan bagażu?

Pokręcił głową.

— Nie. Tylko podręczny.

Celnik spojrział na zdjęcie w paszporcie.

— Niezbyt pan podobny — stwierdził.

Bruce próbował się uśmiechnąć, ale usta ani drgnęły. Było strasznie parno. Koszula lepiała mu się do pleców, poluźniony krawat prawie się rozwiązał, a na czoło wystąpiły krople potu.

— No bo... No bo... Trochę się zmieniłem.

— Trochę? Na tym zdjęciu jest pan brunetem i ma pan brodę.

— Wiem, ale...

— A przede mną stoi gładko ogolony blondyn.

— No właśnie mówię, że się trochę zmieniłem...

Na szczęście na fotografii nie widać kołom oczu, bo spytałbyś, dlaczego z piwnych zrobiły się niebieskie, pomyślał.

Celnik patrzył na Bruce'a podejrzliwie.

— Podróżował pan służbowo czy w celach turystycznych?

— W celach turystycznych.

— I zawsze wyjeżdża pan bez bagażu?

Bruce przełknął ślinę i wzruszył ramionami.

— Nie znoszę czekać na odbiór walizek — odparł.

Celnik popatrzył znowu na zdjęcie, a potem na Greya.

— Proszę otworzyć bagaż.

Trzęsącymi się rękami Bruce zaczął wprowadzać szyfr w zamku. Udało mu się dopiero za trzecim razem i wreszcie odblokował zaszask.

— Proszę.

Cekiik zmrużył oczy i zaczął szperać w torbie.

— Co to? — spytał.

Bruce wstrzymał oddech.

— Dokumenty — wydukał drżącym głosem.

— Widzę. Jakie dokumenty.

— Jestem lekarzem. W wolnych chwilach przeglądałem dokumentację medyczną kilku pacjentów.

— Zawsze pan tak robi, gdy jedzie pan na urlop?

— Nie zawsze.

Jaką pan ma specjalizację?

— Interna w szpitalu uniwersyteckim, w Columbia Presbyterian — odparł Bruce zatajając, że jest także epidemiologiem.

— Rozumiem. Chciałby, żeby mój lekarz tak się przejmował swoimi pacjentami.

Znów próbował się uśmiechnąć, ale i tym razem mu się nie udało.

— A ta zaklejona koperta?

Stęzał.

— Słucham?

— Pytam o tę dużą szarą kopertę.

Zrobił niewinną minę.

— Ach, to. W środku są informacje medyczne, które muszę przesłać koledze.

Celnik wbił spojrzenie w przekrwione oczy Bruce'a.

— No tak — odparł po chwili i włożył kopertę z powrotem do torby. Poszperał jeszcze chwilę w zawartości, a potem podpisał deklarację celną. — Proszę, oto pański paszport i deklaracja. Trzeba ją oddać urzędnicze przy wyjściu.

Bruce wziął torbę.

— Dziękuję.

— Jeszcze jedno, panie doktorze.

— Tak?

— Może powinien się pan zobaczyć z jakimś kolegą po fachu. Proszę wybaczyć, bo nie jestem lekarzem, ale według mnie wygląda pan okropnie.

— Tak zrobię.

Bruce ruszył przed siebie. Po paru sekundach zerknął do tyłu. Starsza kobieta wciąż czekała na bagaż. Brodac i ładna blondynka zniknęli. Dryblas w garniturze od Armaniego ciągle rozmawiał przez telefon.

Szedł do wyjścia. W prawej ręce trzymał torbę, lewą otarł twarz. Oddał deklarację i wyszedł przez rozsuwające się szklane drzwi. Przed sobą zobaczył skupisko uważnych twarzy. Ludzie stawali na palcach i wyciągali szyje, a gdy w dwuskrzydłowych drzwiach ukazywała się nieznajoma postać, rozczarowani opuszczali głowy.

Wyminał ludzi czekających na przyjaciół i krewnych oraz grupkę znudzonych szoferów trzymających kartki z nazwiskami przylatujących gości. Podszedł do stanowiska Japan Airlines po prawej stronie.

— Czy jest gdzieś tutaj skrzynka na listy? — spytał.

— Tam dalej — odparła kobieta. — Przy Air France. Dziękuję.

Mijając pojemnik na śmieci, swobodnym ruchem wrzucił do niego podartą kartę pokładową. Wydawało mu się, że jest bardzo sprytny, bo zarezerwował lot na fałszywe

nazwisko — zmienił jednak zdanie o sobie, gdy przyjechał na lotnisko i przekonał się, że w paszporcie i na bilecie muszą figurować te same dane osobowe.

Co za skucha!

Na szczęście wciąż były wolne miejsca, więc kupił drugi bilet. Doszedł do wniosku, że rezerwacja na fałszywe nazwisko nie była aż tak głupim posunięciem, jak mogłoby się wydawać. Ponieważ drugi bilet kupił tuż przed odlotem, nikt się nie zorientował, dokąd się wybiera, bo jego nazwisko zostało wciągnięte na listę pasażerów dosłownie w ostatniej chwili.

Owszem, Brusiu. Prawdziwy z ciebie geniusz, podsumował w duchu z przekąsem.

Akurat!

Zobaczył skrzynkę na listy przy stanowisku linii Air France. Kilku pasażerów rozmawiało z kobietą za kontuarem, nikt nie zwracał na niego uwagi. Rozejrzał się szybko dokoła. Starsza kobieta, ładna blondynka i brodacze albo już wyszli, albo właśnie czekali na odbiór bagażu. Jedynym „szpiegiem”, którego zobaczył, był dryblas w garniturze od Armaniego — właśnie wyłonił się zza rozsuwanych drzwi i szybkim krokiem skierował do wyjścia z terminalu.

Bruce odetchnął z ulgą. Zerknął znowu na skrzynkę na listy. Sięgnął do torby, wyjął szarą kopertę i błyskawicznym ruchem wsunął ją w otwór.

Uff, teraz ma polisę ubezpieczeniową.

I co dalej?

Powrót do domu był wykluczony. Jeśli ktoś go szukał najpierw sprawdzi właśnie mieszkanie na Upper West Side. Klinika? Zbyt późna pora. Mogliby go tam dopaść bez świadków.

Rany, nie znam się na tym. Jestem zwykłym lekarzem. Studiowałem medycynę, potem się ożeniłem, wychowałem dziecko, zrobiłem specjalizację, rozwiodłem się, straciłem prawa rodzicielskie, a teraz tyram jak wół. Nie znam się na zabawie w agentów, usprawiedliwiał się w myślach.

Ale jaka była alternatywa? Mógł pójść na policję, lecz czy ktokolwiek mu uwierzy? Na razie nie miał żadnych dowodów. W zasadzie to sam nie wiedział do końca, co tak naprawdę się dzieje.

Spróbuję inaczej. Zaczę krzyknąć: „Ratunku, pomocy! Zamordowano już dwie osoby i być może ginie jeszcze wielu innych ludzi, w tym ja!”, rozmyślał gorączkowo.

Może to prawda. A może nie. Pytanie: co tak naprawdę wie? Odpowiedź: prawie nic. Zdawał sobie sprawę, że gdyby poszedł na policję, pogrzebałby klinikę i cenny dorobek kilku lekarzy. Poświęcił trzy lata na te badania. Nie zamierzał teraz dać tym cholernym bigotom broni do ręki, żeby udupili całe przedsięwzięcie.

Musi to załatwić inaczej.

Ale jak?

Znowu zerknął przez ramię, by się upewnić, że nie jest śledzony. Wszyscy „szpiedzy” zniknęli. Dobrze, co za ulga. Zatrzymał taksówkę i wskoczył na tylne siedzenie.

— Dokąd? — spytał kierowca.

Chwila zastanowienia. Bruce próbował sobie przypomnieć wszystkie przeczytane powieści szpiegowskie. Dokąd pojechałby George Smiley? Albo jeszcze lepiej Travis McGee lub Spenser?

— Do hotelu Plaza poproszę.

Taksówka ruszyła w kierunku Manhattanu. Patrzył przez tylną szybę, żeby się upewnić, czy nie jedzie za nimi jakiś samochód. Chyba nie. Po chwili rozparł się wygodnie. Oddychał głęboko, próbując się rozluźnić, ale wciąż czuł obezwładniający strach.

Myśl, cholera jasna. To nie pora na drzemkę, upomniał się w duchu.

Po pierwsze, potrzebował nowej tożsamości. Spojrzał w prawo, w lewo, wreszcie skupił wzrok na licencji taksówkarza zawieszanej na tablicy rozdzielczej: John Benson. Dobra, do jutra będzie się nazywał John Benson. Sęk w tym, żeby przeżyć do jutra...

Wszyscy w klinice myśleli, że nadal przebywa na wakacjach w meksykańskim Cancún. Nikt nie miał pojęcia, że te wakacje były tylko przykrywką. Odegrał rolę szczęśliwego urlopowicza. Kupił sobie sprzęt plażowy i poleciał w zeszły piątek do Meksyku. Zameldował się w hotelu Oasis i zapłacił za tydzień pobytu, ale powiedział recepcjoniście, że wybiera się w rejs łodzią, więc będzie niedostępny. Potem zgolił brodę, obciął i ufarbował sobie włosy i włożył niebieskie szkła kontaktowe. Sam z trudem rozpoznawał siebie w lustrze. Wrócił na lotnisko i pod nazwiskiem Rex Veneto poleciał we właściwe miejsce, żeby się przekonać, czy w straszliwych podejrzeniach jest choćby ziarno prawdy.

Prawda okazała się bardziej wstrząsająca, niż to sobie wyobrażał.

Taksówka zahamowała przed hotelem Plaza przy Piątej Alei. Po drugiej stronie błyskały światła Central Parku. Bruce zapłacił kierowcy, dając mu odpowiedni napiwek — nie za duży, nie za mały — i wszedł do eleganckiej recepcji. Choć miał na sobie szykowny garnitur, czuł się jak niechluj. Marynarka była pomięta, spodnie wygniecione — wyglądały, jakby wyciągnął je psu z gardła.

Ruszył w kierunku recepcji, gdy nagle stanął jak wryty, bo kątem oka dostrzegł znajomą postać.

Mam urojenia. To nie on. Niemożliwe, powtarzał bezgłośnie.

Poczuł przyspieszone bicie serca. Odwrócił się błyskawicznie, ale dryblas w garniturze od Armaniego zniknął. A może w ogóle go tu nie było?

Na pewno mi się przywidziało, pomyślał Bruce. Jednak lepiej nie ryzykować.

Wyszedł z hotelu tylnym wyjściem i ruszył do metra. Kupił bilet i pojechał na Czternastą Ulicę, tam zaś przesiadł się do pociągu jadącego na Czterdziestą Drugą i dotarł na stację przy Trzeciej Alei. Wskoczył na peron, gdy drzwi już się zamykały. Przez kolejne pół godziny jeździł po mieście, zmieniając pociągi, za każdym razem wysiadając w ostatniej chwili. Wreszcie dotarł na róg Pięćdziesiątej Szóstej Ulicy i Ósmej Alei. Po pokonaniu kilku przecznic „John Benson” wszedł do hotelu Days Inn, gdzie nigdy nie powstała noga doktora Bruce’a Greya.

Zameldował się i wjechał windą na jedenaste piętro. Wszedł do środka, zamknął drzwi na zamek i założył łańcuch.

I co teraz?

Rozmowa telefoniczna mogła się okazać fatalnym błędem, ale postanowił zaryzykować. Pogada szybko z Harveyem. Tylko kilka minut.

Wykręcił numer. Kolega odpowiedział po drugim sygnale.

— Słucham.

— To ja.

— Bruce? Jak tam w Cancún?

— Musimy pomówić.

— Ej, co jest? Dziwnie się zachowujesz. Stało się coś?

Zamknął oczy.

— Musimy pogadać — powtórzył. — Ale nie przez telefon.

— O co chodzi? Jesteś ciągle...

— Nie przez telefon! Porozmawiamy jutro.

— Jutro? Ale co się dzieje?

— Nie pytaj teraz. Spotkamy się jutro o wpół do siódmej rano.

— Gdzie?

— W klinice.

— Chryste, Bruce! Czy coś ci grozi? Czy chodzi o te zabójstwa?

— Nie mogę teraz gad...

Z korytarza dobiegł cichy trzask.

— Ej! — krzyknął Harvey do słuchawki. — Co się dzieje?!

Bruce wpatrywał się w drzwi. Serce biło mu jak oszalałe.

— Jutro — szepnął. — Jutro wszystko ci wyjaśnię.

— Ale...

Odłożył delikatnie słuchawkę, przerywając rozmowę.

Nie nadaję się do tego. Boże, spraw, żeby mi się przesłyszało. Nie nadaję się do tego. Nie nadaję. Jestem lekarzem, panikowałem.

Przez chwilę panowała cisza, więc doszedł do wniosku, że ma stargane nerwy i wyobraźnia płata mu figle. Zapewne nic się nie działo, a jeśli nawet, to co w tym dziwnego? Siedzi przecież w śródmiejskim hotelu, a nie w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu. Może to pokojówka albo boy.

A może to ten dryblas z przylizanymi włosami, w garniturze od Armaniego?

Zaczął się skradać do drzwi, uważnie stawiając stopy. Nigdy nie był nadzwyczaj sprawnym fizycznie i nie miał dobrej koordynacji ruchowej, więc wyglądał jak epileptyk tańczący fokstrotą.

Znowu trzask.

Serce skoczyło mu do gardła i poczuł, że kolana się pod nim uginają. Nie było wątpliwości — po drugiej stronie coś się działo.

Stanął jak sparaliżowany. Usłyszał własny oddech — tak głośny, że słysząc go było chyba we wszystkich pokojach na tym piętrze.

Klik. Klik.

Krótkie, ciche trzaski.

Uciekaj, Bruce. Ukryj się, rozkazał sobie w myślach.

Ale gdzie? Był zamknięty w małym hotelowym pokoju. W dodatku na jedenastym piętrze. Gdzie mógłby się schować, do cholery? Zbliżył się o kolejny krok.

Może otworzyć gwałtownie drzwi, wyskoczyć na korytarz i narobić hałasu? — zastanawiał się gorączkowo. Może...

Pukanie rozległo się tak nagle, że o mało nie krzyknął ze strachu.

— Kto to?!

— Roznoszę ręczniki — dobiegł męski głos.

Ręczniki? Takiego wała!

— Dziękuję bardzo, ale nie potrzebuję — odpowiedział. Chwila ciszy.

— Dobrze, w takim razie życzę panu dobrej nocy.

Usłyszał oddalające się kroki. Przywarłszy plecami do ściany, przysunął się do samych drzwi. Dygotał. Choć w pokoju działała klimatyzacja, koszulę miał mokrą od potu, a włosy przyklejone do wilgotnego czoła.

I co teraz?

Wyjrzyj przez judasza, pieprzony Bondzie. Od czego jest judasz? — ponaglił się w duchu.

Usłyszał głosu wewnętrznego. Powoli przystawił głowę do drzwi. Nic. *Nada*, jak mówią Meksykanie. Żywego ducha. Spróbował zerknąć w prawo, potem w lewo...

W następnej sekundzie drzwi omal nie wyleciały z zawiasów.

Łańcuch pękł jak cienka nić, a metalowa klamka wbiła się Bruce'owi w biodro. W całym ciele poczuł porażający ból. Instynktownie chwycił się za biodro, lecz okazało się, że popełnił błąd, bo zza drzwi wystrzeliła ogromna ręka. Próbował zrobić unik, ale miał spóźniony refleks. Pięść ze straszliwą siłą trafiła go w nos, łamiąc kość i chrząstkę. Z nozdrzy trysnęła krew.

Słodki Boże...



Zachwiał się do tyłu, chwytając za twarz. Do pokoju wszedł dryblas w garniturze od Armaniego. Zamknął za sobą drzwi. Jak na człowieka tak wielkiej postury poruszał się z zadziwiającą zwinnością.

— Błagam... — wybełkotał Bruce, ale w tej samej chwili dłoń wielkości boksinerskiej rękawicy zatkała mu usta, brutalnie miażdżąc strzaskany nos, co spowodowało dodatkową eksplozję nieopisanego bólu.

Mężczyzna uśmiechnął się i skinął uprzejmie głową, jakby właśnie zawarł znajomość na eleganckim przyjęciu. A potem podniósł nogę i z niesamowitą precyzją wymierzył Bruce'owi kopniaka w kolano, gruchocząc rzepkę. Bruce usłyszał trzask pękającej kości. Dłoń przyciśnięta do ust stłumiła rozzwierający krzyk. A potem cofnęła się na moment i zadała cios w żuchwę, łamiąc kolejną kość i wybijając kilka zębów. Mężczyzna chwycił Greya za przetrąconą szczękę, włożył mu palce do ust i szarpnął silnie do dołu. Bruce poczuł nieopisany ból rozrywanych ścięgien.

O Boże, błagam...

Zwalił się na podłogę jak worek ziemniaków. W głowie mu huczało. Patrzył zamglonymi oczami, jak mężczyzna przygląda się plamie krwi na swojej marynarce. Wydawał się poirytowany. Może się martwił, że plama się nie spierze? Pokręcił z niezadowoleniem głową, a potem podszedł do okna i rozsunał zasłony.

— Miło, że wybrałeś wysokie piętro — powiedział swobodnie. — To ułatwia sprawę.

Odwrócił się od okna. Podszedł z powrotem do skulonego na podłodze Bruce'a. Pochylił się, chwycił go mocno za stopę i delikatnie podniósł nogę ze strzaskanym kolaniem. Bruce'em targnął przesywający ból.

Błagam, Boże! Spraw, bym stracił przytomność, modlił się w myślach.

Nagle zrozumiał, co mężczyzna zamierza zrobić. Chciał coś powiedzieć, spytać, czy mogliby się dogadać, chciał mu zaoferować wszystko, co ma, błagać o litość, ale ze zmasakrowanych ust dobiegał tylko charkot. Bezradny i przerażony patrzył błagalnie na oprawcę. Krew spływała mu po twarzy na szyję i pierś.

Półprzytomny z bólu spojrzał mężczyźnie w oczy. Nie zobaczył w nich szaleństwa, nienawiści ani żądzy mordy. Tamten wydawał się całkowicie spokojny, wcale nie przypominał psychotycznego zabójcy. Zachowywał się tak, jakby wykonywał zwykłą pracę. Był zdystansowany, wyzbyty emocji.

To dla niego jak splunięcie. Jak kolejny dzień w biurze, przyszło mu nagle do głowy.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni marynarki. Wyjął długopis i kartkę i rzucił je na podłogę. A potem chwycił znowu Greya za stopę, jedną ręką za piętę, drugą za palce. Lekarz zaczął się miotać w niewyobrażalnej agonii.

— Wykręcę ci nogę do końca — powiedział mężczyzna, napinając mięśnie. — Aż palce będą z tyłu, a złamana kość wyjdzie przez skórę. — Zamilkł i uśmiechnął się refleksyjnie. Zacisnął mocniej dłoń. — A puszczyć dopiero, gdy skończysz pisać list pożegnalny. Bo zamierzasz popełnić samobójstwo, rozumiemy się?

Bruce pośpiesznie chwycił długopis.

# 1

## SOBOTA, 14 WRZEŚNIA

Sara Lowell zerknęła na zegarek. Za dwadzieścia minut miała zadebiutować w ogólnokrajowej telewizji, w programie oglądanym przez trzydzieści milionów ludzi. Za godzinę zadecyduje się jej przyszłość.

Dwadzieścia minut.

Przełknęła ślinę, przystanąła i poprawiła ortezę na nodze. Jej pierś falowała wyraźnie. Musi coś zrobić, bo inaczej zwariuje. Metalowa orteza ocierała skórę. Po tych wszystkich latach Sara wciąż nie mogła przywyknąć do noszenia tego niewygodnego przedmiotu. Owszem, utykała. Utykała, odkąd sięgała pamięcią, a więc wydawało się to prawie naturalne. Jednak nieporęczną ortezę najchętniej wyrzuciłaby do rzeki.

Wzięła głęboki oddech, próbując się rozluźnić. Spojrzała w lustro, żeby sprawdzić makijaż. Była nieco blada, ale to nic nowego. Przyzwyczała się do tego tak samo jak do utykania. Zaczesane do tyłu włosy koloru miodu odsłaniały twarz o pięknych delikatnych rysach i dużych zielonych oczach jak u lalki. Zmysłowe usta były tak wydatne, że wyglądały prawie na spuchnięte. Zdjęła okulary w drucianej oprawce i przetarła szkła. Podszedł jeden z producentów.

— Jesteś gotowa? — spytał.

— W każdej chwili — odparła, uśmiechając się słabo.

— Dobrze. Wchodzisz z Donaldem za kwadrans.

Spojrzała na współgospodarza programu. Donald Parker miał sześćdziesiąt lat, a więc był od niej dwa razy starszy. I tysiąckrotnie bardziej doświadczony. Występował w *NewsFlash* od samego początku, zanim program stał się najbardziej popularnym talk-show na rynku telewizyjnym. Parker był legendą w świecie dziennikarstwa.

Co ja tu robię, do cholery? W ogóle się do tego nie nadaję.

Zerknęła nerwowo na materiały — chyba już po raz milionowy. Słowa na kartce się zamazywały. Znowu zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, że w tak szybkim tempie zabrnęła aż tak daleko. Przypomniała sobie studenckie lata, felietony w „New York Heraldzie”, pracę w telewizji kablowej, debaty w telewizji publicznej. Na każdym kolejnym szczeblu kariery wydawało się jej, że nie potrafi już zrobić następnego kroku. Do pasji doprowadzały ją zawistne szeptki kolegów z pracy: „Też bym chciał mieć sławnego tatę”. Albo: „Ciekawe, z kim się przespała”. „Kuleje, więc wszyscy się nad nią litują”.

A jednak prawda była znacznie prostsza: widzowie ją uwielbiali. Jeśli nawet czasem traktowała swoich gości obcesowo lub ironicznie, publiczność i tak patrzyła na nią jak zauroczona. Owszem, jej ojciec był kiedyś naczelnym lekarzem kraju, a mąż jest gwiazdorem koszykówki. Być może trudne dzieciństwo i uroda również pomogły jej w karierze. Ale Sara pamiętała, co powiedział jej pierwszy szef:

— Nikt nie przetrwa w tej branży tylko dzięki ładnej buzi. Przeciwnie: ładna twarz bywa przeszkodą. Bo ludzie z góry uznają, że ładna blondynka musi być mało bystra. Wiem, że to niesprawiedliwe, ale tak właśnie jest. Staraj się więc być lepsza od innych. W przeciwnym razie przyklepią ci etykietkę kretynki. Jeśli nie będziesz najlepsza, zepchną cię ze sceny.

Sara powtarzała sobie często te słowa w myśli niczym okrzyk wojenny. A jednak w tej chwili czuła wielką treść. Miała dziś zadebiutować w rozmowie na temat szwindli finansowych wielkiego Ernesta Sandersa, kaznodziei telewizyjnego, który założył Świętą Krucjatę. Sanders był oślizgłą fiszą. Zgodził się na wywiad, chcąc odpowiedzieć na stawiane mu zarzuty — pod warunkiem że *NewsFlash* wyświetli u dołu ekranu numer telefonu, pod którym jego organizacja zbierała fundusze. Sara usiłowała zachować jak największy

obiektywizm w całej sprawie. Postanowiła po prostu przekazać fakty, powstrzymując się od komentarzy i interpretacji. W głębi ducha знаła jednak prawdę.

Wielebny Sanders był zwykłym oszustem.

W studiu panowało zamieszanie. Technicy przygotowywali sprzęt i ustawiali światło. Przesuwano kamery i testowano teleprompter, na którym każda linijka tekstu składała się tylko z trzech słów, aby prowadzący nie musieli wyraźnie poruszać oczami podczas czytania. Reżyserzy, producenci i asystenci uwijali się na planie przypominającym duży dzienny pokój — bez sufitu i tylko z jedną ścianą, jakby resztę usunął wielki potwór, który chciał zajrzeć do środka. Do Sary podbiegł nieznajomy mężczyzna.

Proszę — powiedział, podając kilka kartek.

— Co to? — spytała.

— Papiery.

— To widzę, ale po co?

— Do wertowania — odparł, wzruszając ramionami.

— Do wertowania?

— Tak. No wie pani, będzie przerwa na reklamę. Kamera zrobi odjazd, a pani wtedy przewertuje.

— Że co?

— Tak będzie poważniej wyglądało — wyjaśnił i pobiegł dalej.

Sara pokręciła głową.

Wciąż muszę się dużo uczyć.

Po chwili zaczęła nieświadomie śpiewać. Najczęściej śpiewała pod prysznicem albo w samochodzie, najlepiej do akompaniamentu głośno nastawionego radia, ale czasem, zwłaszcza gdy była podenerwowana, śpiewała też w obecności innych ludzi. I to głośno.

Kiedy dotarła do refrenu *Wytatuowanego wampira* („...wampir z obrazka wgrzyza się w skórę...”), zaczęła grać na wymyślonej gitarze, całkowicie tracąc poczucie rzeczywistości.

Chwilę później uświadomiła sobie, że ludzie się jej przyglądają.

Opuściła ręce, a idealnie dostrojona gitara popadła w zapomnienie. Słowa piosenki zamarły na ustach. Sara uśmiechnęła się, wzruszając ramionami.

— Eee... Przepraszam.

Członkowie ekipy natychmiast wrócili do pracy.

Próbowała pomyśleć o czymś, co dodałoby jej otuchy.

Michael! Zastanawiała się, co on teraz robi. Pewnie wraca biegiem do domu po treningu. Wyobraziła sobie jego prawie dwumetrową postać — z białym ręcznikiem zarzuconym na szyję i w przepoconej szarej koszulce otwiera kluczem drzwi. Zawsze nosił zwariowane spodenki — sięgające do kolan szorty hawajskie we wściekle pomarańczowym, żółtym lub łozowym kolorze. Nie zwalniając kroku, przebiega obok fortepianu. W pokoju włącza Bacha, skręca do kuchni i nalewa sobie świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego. Wypija połowę jednym haustem. A potem osuwa się na fotel i w skupieniu słucha muzyki kameralnej.

Michael.

Puknięcie w ramię.

— Telefon do pani — powiedział ten sam mężczyzna, który przed chwilą podał jej kartki.

Wzięła aparat.

— Słucham.

— Zaczęłaś już śpiewać?

Sara rozciągnęła usta w uśmiechu.

— Michael!

— No to co, byli już Blue Oyster Cult?

— Tak.

— Niech zgadnę. *Nie bój się kostuchy!*

— Nie. *Wytatuowany wampir.*

— Boże, to okropne. No więc co się dzieje?

Sara zamknęła oczy. Poczuła, że napięcie mija.

— Nic szczególnego. Wałęsam się obok planu. Czekam.

— Grasz na niewidzialnej gitarze?

— Skąd! Przestań, jestem zawodową dziennikarką.

— Dobra, dobra. Bardzo się denerwujesz?

— Nie. Pełny spokój.

— Kłamczucha — powiedział Michael.

— No dobrze, niech ci będzie. Jestem półprzytomna ze strachu. Zadowolony?

— Jeszcze jak! Nie posiadam się ze szczęścia. Ale pamiętaj o jednym.

— O czym?

— Zawsze masz tremę przed programem. A im większą masz tremę, tym mocniej dajesz im popalić.

— Tak myślisz?

— Nie myślę, tylko wiem. Biedak nie ma pojęcia, co go czeka.

— Naprawdę tak uważasz? — odparła Sara z rozpromienioną twarzą.

— Naprawdę. Chciałbym przy okazji zadać ci szybkie pytanie. Czy musimy dziś iść na tę galę twojego ojca?

— Szybka odpowiedź brzmi: tak.

— I co, mam włożyć czarny krawat?

— Owszem.

— Te pompatyczne imprezy są okropnie nudne.

— Mnie nie musisz tego mówić. Zamilkł na moment.

— A czy przynajmniej będę mógł być tam z tobą przez cały czas? — spytał.

— Kto wie? — odparła Sara. — Może ci się poszczęści. — Przycisnęła telefon policzkiem do ramienia. — Czy Harvey też się wybiera?

— Tak, zgarnę go po drodze.

— To dobrze. Wiem, że nie przepada za moim ojcem...

— To raczej twój ojciec nie przepada za nim — poprawił Michael.

— Wszystko jedno. Porozmawiasz z nim dzisiaj?

— O czym?

— Przestań się zgrywać. Martwię się o twoje zdrowie.

— Harvey ma w tej chwili dość innych kłopotów. Wiesz, śmierć Bruce'a i te problemy w klinice. Nie chcę mu zawracać głowy.

— A rozmawialiście o samobójstwie Bruce'a?

— Nie — odparł Michael. — Szczerze mówiąc, trochę się o niego martwię. Przez cały czas siedzi w laboratorium. Pracuje dniami i nocami.

— Zawsze taki był.

— Niby tak, ale tym razem jest inaczej.

— Daj mu trochę czasu. Minęły dopiero dwa tygodnie od śmierci Bruce'a.

— Nie chodzi tylko o to.

— A o co?

— Nie wiem. To chyba się wiąże z kliniką.

— Proszę cię, skarbie, porozmawiaj z nim o tych bólach brzucha.

— Saro, przecież...

— Proszę cię. Zrób to dla mnie.

— No dobrze — zgodził się Michael niechętnie.

— Obiecujesz?

— Obiecuję. Aha, jeszcze jedno.  
— Tak?  
— Skop tyłek temu kaznodziei z Południa.  
— Kocham cię.  
— Ja ciebie też kocham.  
Poczuła dotknięcie w ramię.  
— Dziesięć minut, proszę pani.  
Michael, muszę biec.  
— To do wieczora — powiedział. — Marzę o chwili, gdy znajdę się sam na sam z pewną gwiazdą telewizyjną w jej dawnej sypialni.  
— Pomarzyć dobra rzecz.

\* \* \*

Odkładając słuchawkę, Michael poczuł nagły ból w żołądku. Skrzywiony zgiął się wpół i chwycił za brzuch. Żołądek dokuczał mu już od kilku tygodni. Najpierw pomyślał, że może to objawy grypy, ale nie był tego pewien. Boleści się nasilały, stawały nie do zniesienia. Zaczynał się wzdragać na myśl o jedzeniu.

*Siódma symfonia* Beethovena wypełniła pokój niczym miły powiew wiatru. Zamknął oczy — muzyka zaczęła na niego oddziaływać jak delikatny masaż na zmęczone mięśnie. Koledzy z drużyny bezlitośnie drwili z jego gustów muzycznych. Napastnik Reece Porter, czarny kapitan New York Knicksów, bez przerwy się z nim droczył.

— Jak ty możesz słuchać tego gówna, Mikey? — pytał. — W tym nie ma rytmu.

— Zdaję sobie sprawę, że jako muzyk Chopin nie dorównuje MC Hammerowi. Ale postaraj się mieć otwarty umysł. Zwyczajnie posłuchaj, Reece. Pozwól, żeby te tony w ciebie weszły.

Kolega słuchał przez chwilę w milczeniu.

— Mam wrażenie, jakby mnie zamknęli u dentysty — skwitował. — Że też ty puszczasz to przed meczem. Przy tym nie można tańczyć ani nic.

— Bo tego się słucha.

— Czego? Przecież nie ma słów.

— A w tym wyciu, które lubisz, są słowa? Rozumiesz cokolwiek w tym hałasie?

Reece parsknął śmiechem.

— Mikey, jesteś typowym białym snobem — odparł.

— Wolę, jak mnie nazywasz nadętym białym dupkiem.

Stary dobry Reece. Michael podniósł do ust szklankę z sokiem, ale na myśl o wypiciu poczuł mdłości. W zeszłym roku kolano, a teraz żołądek. A może wątroba? To bez sensu. Zawsze był najzdrowszym graczem w całej lidze. W pierwszych dziesięciu sezonach NBA nie zaliczył nawet zadrapania. Ale ponad rok temu miał poważną kontuzję kolana. Nie był już młodzieniaszkiem, więc powrót do formy po operacji i rekonstrukcji rzepki okazał się niełatwy. A teraz te tajemnicze bóleści...

Odstawił szklankę i podszedł do magnetowidu. Nastawił nagrywanie. Potem wyłączył odtwarzacz stereofoniczny telewizor. Sara zadebiutuje za dziesięć minut. Wiercił się niespokojnie w fotelu. Obracał obrączkę na palcu i ocierał twarz. Próbował się rozluźnić, ale nie mógł — podobnie jak jego żona. Wszystko, co powiedział jej przez telefon, było prawdą. Jest niesamowitą dziennikarką. Jest najlepsza. Bystra i inteligentna. Zawsze świetnie przygotowana, ale zarazem spontaniczna. Może czasem odrobinę przemądrzała. W napiętych sytuacjach zachowywała poczucie humoru. I niemal zawsze ostro kąsała.

Michael wiedział z doświadczenia, jak trudną rozmówczynią bywa Sara. Poznali się przed sześcioma laty, kiedy chciała przeprowadzić z nim wywiad dla „New York Herald” — dwa

dni przed rozpoczęciem finałów NBA. Miała to być rozmowa o życiu prywatnym, poza parkietem. Michaelowi się to nie spodobało. Nie chciał, żeby ludzie czytali na pierwszych stronach gazet o jego sprawach osobistych, zwłaszcza o przeszłości. Co ich to obchodzi? Powiedział to Sarze przez telefon i odłożył słuchawkę. Ale się nie zniechęciła. Bo Sara Lowell nie umiała rezygnować. Chciała mieć ten wywiad. I go dostała.

Przeszywający ból przepłószył wspomnienia. Michael napiął mięśnie brzucha i zgiął się wpół. Cekał. Ból mijał bardzo powoli.

Co się ze mną dzieje, cholera?! — zastanawiał się zaniepokojony.

Wyprostował się i spojrzął na fotografię stojącą na półce za telewizorem: na zdjęciu obejmował w pasie swoją szczupłą żonę. Wyglądała tak krucho, tak boleśnie pięknie. Często się zastanawiał, dlaczego Sara sprawia wrażenie osoby delikatnej i niewinnej. Z całą pewnością nie chodziło o jej figurę. Pomimo kalectwa trzy razy w tygodniu ćwiczyła na siłowni. Miała jędrne, wysportowane ciało — diabelnie seksowne. Michael znów przyjrzał się uważnie fotografii, próbując obiektywnie popatrzeć na swoją żonę. Niektórzy twierdzili, że to błada porcelanowa cera nadaje jej delikatność, ale chodziło o coś innego. O oczy, pomyślał Michael. O te duże zielone oczy, z których wyziera kruchość i łagodność. Jednocześnie są inteligentne i przenikliwe. Sara miała ufne wejrzenie, a zarazem budziła zaufanie u innych ludzi. Mężczyzna mógł w tych oczach utonąć, przepaść na zawsze, zatracić się bez reszty.

Ponadto oczy Sary były diabelnie seksowne.

Rozmyślania przerwał dźwięk telefonu. Michael sięgnął do tyłu po słuchawkę.

— Słucham.

— Cześć.

— O, Harvey. Jak leci?

— Nieźle. Ja tylko na chwilę. Wiem, że zaraz jest program.

— Jeszcze parę minut. — W tle rozległ się trzask. — Ej, co tam się dzieje? Jesteś ciągle w szpitalu?

— Tak.

— A kiedy ostatni raz porządnie się wyspałeś?

— Przestań mi matkować.

— Tylko pytam — odparł Michael. — Myślałem, że zgarnę cię z domu.

— Nie mogłem się wyrwać. Poprosiłem jedną z pielęgniarek, żeby wypożyczyła dla mnie smoking. Strasznie dużo tu mamy roboty. Ja i Eric jesteśmy nią zavaleni. Bruce'a nie ma.

Zapadła chwila milczenia.

— Ciągle tego nie rozumiem — powiedział Michael, mając nadzieję, że przyjaciel jest już gotowy do rozmowy o samobójstwie Greya.

— Ja też nie — odparł Harvey beznamiętnym tonem. — Posłuchaj, chciałbym cię o coś spytać...

— Wal.

— Czy Sara będzie dzisiaj na tej imprezie?

— Tak, tylko trochę się spóźni.

— Ale będzie, tak?

Michael usłyszał natarczywe tony w głosie przyjaciela. Poznał go przed prawie dwudziestu pięciu laty — wtedy to świeżo upieczony lekarz Harvey Riker zajął się ośmioletnim Michaeliem Silvermanem, który wylądował w szpitalu ze wstrząśnieniem mózgu i złamaną ręką.

— Będzie.

— To dobrze. A więc widzimy się później.

Michael spojrzął zaintrygowany na słuchawkę.

— Harv, wszystko w porządku?

— Tak...

— To dlaczego zachowujesz się tak konspiracyjnie?  
— No bo... Nie, nic. Później ci wyjaśnię. O której po mnie przyjedziesz?  
— Kwadrans po dziewiątej. Eric też się wybiera?  
— Nie. Jeden z nas zostaje w laboratorium. Muszę pędzić. Do zobaczenia piętnaście po dziewiątej.

Michael usłyszał trzask przerwane połączenia.

\* \* \*

Harvey odłożył słuchawkę. Westchnął ciężko i przeciągnął dłonią po długich, niesfornych szpakowatych włosach przypominających połączenie czupryny Alberta Einsteina i Arta Garfunkela. Trudno było zaprzeczyć, że wygląda na swoje pięćdziesiąt lat. Z braku ćwiczeń fizycznych jego mięśnie sflaczały. Twarz miał dość pospolitą, pozbawioną cech charakterystycznych. Nigdy nie był przystojniakiem, ale z wiekiem stracił jeszcze na atrakcyjności jak kiepskie wino. Otworzył szufladę biurka, nalał sobie szklaneczkę whisky i wypił jednym haustem. Ręce mu się trzęsły. Bał się.

Mogę zrobić tylko jedno. Muszę porozmawiać z Sarą. To jedyny sposób. A potem... Lepiej o tym nie myśleć.

Odwrócił się w fotelu i spojrzał na trzy zdjęcia ustawione rzędem na szafce. Wziął do ręki to z prawej strony. Widnieli na nim we dwóch: on oraz jego przyjaciel i wspólnik w jednej osobie. Bruce Grey.

Biedny Bruce.

Dwaj oficerowie policji wysłuchali cierpliwie jego podejrzeń, pokiwali głowami i sporządzili notatki. Kiedy Harvey próbował wyjaśnić, że Bruce nigdy nie popełniłby samobójstwa, wysłuchali go cierpliwie, pokiwali głowami i sporządzili notatki. Gdy powiedział, że Bruce zatelefonował do niego tego samego wieczoru, kiedy wyskoczył z okna hotelu, wysłuchali go cierpliwie, pokiwali głowami i sporządzili notatki. Po czym... Doszli do wniosku, że doktor Grey popełnił samobójstwo.

Przypomnieli Harveyowi, że w pokoju znaleziono list pożegnalny. Grafolog potwierdził, że to Grey go napisał. Sprawę zamknięto.

Zamknięto.

Na drugiej fotografii widniała Jennifer, była żona, z którą przeżył dwadzieścia sześć lat. Pewnego dnia porzuciła go na zawsze. Trzecie zdjęcie przedstawiało jego młodszego brata. Śmierć Sidneya wskutek zarażenia się wirusem HIV na zawsze odmieniła życie Harveya. Na zdjęciu Sidney wyglądał zdrowo — był opalony i grubawy. Kiedy umarł dwa lata później, miał ziemistą skórę upstrzoną fioletowymi odbarwieniami i ważył niespełna czterdzieści kilogramów.

Harvey pokręcił głową. Stracił wszystkich.

Pochylił się i wziął zdjęcie byłej żony. Zdawał sobie sprawę, że we dwoje ponoszą odpowiedzialność za rozpad małżeństwa. Dwadzieścia sześć lat pożycia. Dwadzieścia sześć lat zniweczonych wspólnych marzeń. I dlaczego? Co się stało? Dlaczego prywatne życie Harveya legło w gruzach? Przesunął delikatnie palcami po zdjęciu. Czy może winić Jennifer, że miała dość kliniki, że nie chciała złożyć swojego życia na ołtarzu szlachetnej sprawy?

A jednak w głębi ducha ją winił.

— Harvey, to nienormalne tak pracować bez przerwy.

— Nie rozumiesz, skarbie, co próbuję osiągnąć?

— Rozumiem, ale to już zakrawa na obsesję. Musisz zrobić sobie przerwę.

Nie potrafił przerwać. Wiedział, że za bardzo się zaangażował, a jednak życie osobiste wydawało się błahe w porównaniu z celem, jaki sobie wyznaczył. No więc Jennifer odeszła. Spakowała się i wyjechała do Los Angeles, by zamieszkać u swojej siostry, Susan. Byłej żony

Bruce'a Greya. Tak, Harvey i Bruce byli szwagrami, nie tylko przyjaciółmi i współpracownikami. Omal się nie uśmiechnął na myśl o dwóch siostrach mieszkających razem w Kalifornii. Wyobraził sobie, jak się sprzeczną o to, która miała gorszego męża. Bruce prawdopodobnie wygrałby w tej rywalizacji, ale teraz nie żył, więc być może nagle nabrali cech świętoszka. Harvey nie widział świata poza swoją kliniką. Kliniką badań nad AIDS. Nad dzumą XX wieku. Widząc, jak choroba wyniszcza brata, postanowił poświęcić całe swoje życie na to, by pokonać śmiertelny wirus, by zetrzeć go z powierzchni ziemi. Jak powiedziała Jennifer (gdyby ktokolwiek chciał jej posłuchać): życiowy cel Harveya stał się niepohamowaną obsesją, która niekiedy nawet jego samego wprawiała w przerażenie. Jednak zabrnął już bardzo daleko. Razem z Bruce'em dokonał wreszcie wyraźnych postępów, dokonał przełomu.

Ale...

Rozległo się pukanie do drzwi. Odwrócił się w fotelu.

— Wejdz, Ericu — powiedział.

Doktor Eric Blake zajrzał do środka.

— Skąd wiedziałeś, że to ja?

— Bo tylko ty pukasz. Właż. Właśnie rozmawiałem z twoim kolegą ze studiów.

— Z Michaelem?

Harvey skinął głową. Eric Blake stał się członkiem zespołu naukowego kilka lat wcześniej, kiedy dwaj współnicy uświadomili sobie, że sami nie zdołają zająć się wszystkimi pacjentami. Harvey uważał, że Eric to miły chłopak, chociaż zbyt serio traktował życie. W zasadzie w traktowaniu życia serio nie ma nic złego — zwłaszcza gdy przez cały dzień człowiek przebywa wśród pacjentów chorych na AIDS, ale trzeba się trochę rozluźnić, trzeba mieć lekkiego szmergla, by przetrwać dni wypełnione śmiercią i cierpieniem.

W dodatku Eric — z krótko przyszyżonymi rudymi włosami przypominającymi druciak do mycia garnków — był uosobieniem schludności. Wyglansowane buty i gustownie dobrane ubranie. Wyprasowany, starannie zawiązany krawat. I gładko ogolona twarz — mimo że pracował od czterdziestu ośmiu godzin.

Z kolei Harvey miał krawat tak poluźniony, że sięgał mu prawie do kolan. Golił się dopiero wtedy, gdy zarost zaczynał go swędzieć. A włosy zdołałby uczesać chyba tylko za pomocą grabi.

Eric wychował się w New Jersey, przy tej samej ulicy co Michael. Kiedy Michael znalazł się w szpitalu pod opieką Harveya, Eric odwiedzał kolegę codziennie, zostając aż do późna. W tamtych czasach Harvey był zapracowanym internistą, ale każdą wolną chwilę także spędzał z Michaelem. Nawet Jennifer — pracująca wtedy w szpitalu jako wolontariuszka — czuła pociąg do małego pacjenta. Oboje bardzo szybko nawiązali głęboką więź z uroczym chłopcem, który był ofiarą przemocy domowej.

Z biegiem lat patrzyli, jak Michael wyrasta na młodzieńca i mężczyznę. Bywali na jego meczach koszykówki, recitalach i bankietach, oklaskując jego dokonania niczym dumni rodzice. Pocieszali go, gdy był bity, gdy jego matka popełniła samobójstwo i porzucił go ojczym. Patrząc z perspektywy czasu, Harvey zastanawiał się, czy bliska więź z Michaelem nie pogłębiła ich małżeńskich problemów. Nie mieli przecież dzieci.

Kto wie? Próbowali, ale Jennifer nigdy nie udało się donosić ciąży. Gdyby urodziła, być może sprawy potoczyłyby się inaczej.

Wątpliwe. Bardzo wątpliwe.

Zastanawiał się, czy Jennifer wciąż utrzymuje kontakt z Michaelem. Podejrzewał, że tak.

— Czy powiedziałeś Michaelowi... — zaczął Eric.

Harvey natychmiast pokręcił głową.

— Nie — odparł. — Najpierw chciałem się upewnić, czy Sara będzie na tej gali.

— I?



— Będzie.  
— Co jej powiesz?  
Wzruszył ramionami.  
— Jeszcze nie wiem — odpowiedział.  
— To bez sensu. Akurat teraz, gdy jesteśmy tak blisko...  
— Aż tak blisko nie jesteśmy.  
— Nie? Harvey, rozejrzyj się dokoła. Ludzie żyją tylko dzięki tobie.  
— Dzięki klinice.  
— Wszystko jedno. Gdy opublikujemy wyniki, zapiszemy się na zawsze w historii medycyny.  
— Mnie bardziej interesuje teraźniejszość.  
— Ale potrzebujemy popularności, bo wtedy będziemy mieć dość pieniędzy, żeby kontynuować...  
— Dosyć — przerwał Harvey, zerkając na zegarek. — Przejrzyjmy szybko karty pacjentów i chodźmy do świetlicy. Chciałbym zerknąć, jak Sara rozkłada na łopatki wielbego Sandersa.  
— Ja też. On zdecydowanie nie stoi po naszej stronie.  
— Masz rację.  
Eric wziął zdjęcie z szafki.  
— Biedny Bruce — mruknął. Harvey kiwnął głową w milczeniu.  
— Mam nadzieję, że jego śmierć nie pójdzie na marne — dodał Eric.  
Harvey ruszył do drzwi z pochyloną głową.  
— Ja też — odparł.

\* \* \*

George Camron zdjął szary prążkowany garnitur od Arnianiego, starannie złożył spodnie w kant i powiesił je na drewnianym wieszaku. Dwa tygodnie temu musiał spalić inny elegancki garnitur, co wprawiło go w niemalą irytację. Cóż za marnotrawstwo. Musi bardziej uważać na swoją garderobę. Pokrwawione garnitury z jedwabiu niebotycznie zwiększają koszty pracy.

George lubił wyrafinowane życie. Ubierał się wyłącznie u najlepszych krawców. Zatrzymywał się tylko w luksusowych hotelach. Jadał w najwytworniejszych restauracjach. Jego zaczesane do tyłu włosy układali (nie strzygli!) najdrożsi styliści (nie fryzjerzy!). Do tego miał starannie wypielęgnowane paznokcie u rąk i nóg.

Podszedł do telefonu, wziął słuchawkę i wcisnął klawisz z numerem siedem.

— Obsługa — odezwał się głos. — Czym możemy służyć, panie Thompson?

W Ritzu zawsze zwracano się do gości bezpośrednio po nazwisku. Ot, charakterystyczny styl eleganckiego hotelu. George'owi się to podobało. W tej chwili nazywał się właśnie Thompson.

— Poproszę kawior — powiedział. — Ale irański, nie rosyjski.

— Oczywiście.

— I butelkę bollingera, rocznik tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt dziewięć. Dobrze schłodzoną.

Odłożył słuchawkę i wyciągnął się swobodnie na ogromnym łóżku. Przeszedł długą drogę od swych skromnych początków w Wyoming. Od służby wojskowej w Wietnamie. Daleko od Tajlandii, którą obecnie uważał za swoją ojczyznę. Teraz mógł mieszkać wyłącznie w eleganckich miejscach: apartamencie Somerseta Maughama w hotelu Oriental w Bangkoku. W penthousie nad zatoką w Hongkongu. W narożnym apartamencie w hotelu Crillion w Paryżu. W apartamencie prezydenckim w hotelu Hassler w Rzymie.

Zerknął na zegarek i pilotem włączył telewizor. Wybrał drugi kanał. Za chwilę miała się rozpocząć emisja programu *NewsFlash* z Donaldem Parkerem i Sarą Lowell. Bardzo chciał obejrzeć ten talk-show.

Zadzwonił telefon. George odebrał.

— Słucham.

— Mówi...

— Wiem, kto mówi — przerwał.

— Dostałeś ostatnie honorarium?

— Tak.

— To dobrze.

Głos brzmiał nerwowo, a to się George'owi nie spodobało. Zdenerwowani ludzie mają skłonność do popełniania błędów.

— Coś jeszcze? — spytał.

— W zasadzie...

Kolejna robota. Wspaniale. Nie miał pojęcia, kim jest jego zleceniodawca, ale mało go to obchodziło. Nie wiedział nawet, czy właściciel głosu kieruje tym wszystkim, czy tylko odgrywa rolę pośrednika. Ale to bez znaczenia. W tej robocie nie należy zadawać pytań. George wykonywał zlecenia, odbierał należności i ruszał dalej. Pytania były zbędne.

— Słucham — powiedział.

— Ta ostatnia sprawa... Czy wszystko poszło gładko? Nie było żadnych problemów?

— Chyba czytałeś gazety, co? Więc jak ci się wydaje?

— Tak, czytałem. Ale chcę się upewnić. Masz dokumenty Greya?

— Tak, są tutaj. Kiedy chcesz je odebrać?

— Niedługo. Włożyłeś rękawiczki i maskę, tak jak ci poleciłem?

— Tak.

— I nic się nie wydarzyło?

George zastanowił się przez chwilę, czy powinien powiedzieć zleceniodawcy o przesyłce, którą Bruce Grey nadał na lotnisku. Ale to przecież nie jego sprawa. Wynajęto go, żeby zabił tego człowieka i zaaranżował wszystko tak, aby wyglądało na samobójstwo. Ponadto miał zabrać jego dokumenty i wyrwać stronę z paszportu. Resztę — pieniądze, rzeczy osobiste i inne dokumenty tożsamości — zostawił nietknięte. Koniec, kropka. Nie było mowy o żadnych przesyłkach.

Tyle że to jest jego sprawa. Nie należało pozwolić Greyowi na wysłanie przesyłki. Błąd. George o tym wiedział, ale nie zdołał go powstrzymać. Pokręcił głową. Może trzeba było przeprowadzić porządny wywiad, zanim przyjął tę robotę. Bo może w tym wszystkim coś nie klapuje.

— Nic — odparł.

— Na pewno?

Odchrząknął. Zlikwidowanie Bruce'a Greya okazało się boleśnie łatwe. Doktor zameldował się na jedenastym piętrze hotelu, co było dobrodziejstwem. Dzięki temu George mógł użyć wszelkich metod, by zmusić lekarza do napisania pożegnalnego listu. Obrażenia w wyniku upadku z dużej wysokości zamaskowały wcześniejsze rany.

— Na pewno. A na przyszłość nie chciałbym się powtarzać. To strata czasu.

— Przepraszam.

— Zdaje się, że szykuje się coś nowego?

— Tak — odparł głos. — Chciałbym, żebyś zlikwidował kolejną osobę.

— Słucham.

— Jesteś sam?

— Tak.

— Słyszę głosy.

— To telewizor — wyjaśnił George. — Zaraz zaczyna się *NewsFlash*. Debiutuje Sara Lowell.

— Dlaczego... Dlaczego to powiedziałeś?!

Dziwna reakcja, pomyślał Camron.

— Bo mnie spytałeś, czy jestem sam.

— Aha, no tak. — Głos próbował opanować zaskoczenie. — No więc chcę, byś zlikwidował jeszcze jedną osobę.

— Kiedy?

— Dziś wieczorem.

— To bardzo krótki termin. Będzie cię to dodatkowo kosztować.

— Nie martw się o to.

— Świetnie — odparł George. — Gdzie?

— W domu doktora Johna Lowella. Organizuje dziś wielkie przyjęcie charytatywne.

Omal nie parsknął śmiechem. Spojrzał na telewizor. Doktor Lowell, były naczelny lekarz kraju. Ojciec Sary Lowell. To tłumaczy dziwną reakcję człowieka na drugim końcu linii telefonicznej. Ciekawe, czy Sara będzie na przyjęciu?

— Metoda ma być ta sama co wcześniej? — spytał.

— Tak.

George wyjął z kieszeni nóż sprężynowy i nacisnął przycisk. Przyjrzał się długiemu cienkiemu ostrzu. Będzie sporo krwi, to jasne. Zastanowił się, co powinien włożyć. W końcu jego wybór padł na zielone polo od Ralpa Laurena, które kupił w Chicago. I tak było trochę za ciasne w ramionach.

## 2

Tylko się nie denerwuj. Nie denerwuj. Nie denerwuj, powtarzała w myślach.

— Pięć sekund.

Na ten głos Sara poczuła ucisk w żołądku. Omal nie zaczęła znowu śpiewać. Zaciśnęła jednak usta, poprawiła okulary i czekała.

Poradzę sobie, skopię mu tyłek, dam...

— Cztery, trzy, dwie...

Ręka wskazała parę siedzącą za biurkiem.

— Dobry wieczór, nazywam się Donald Parker.

Tylko nie śpiewaj!

— A ja Sara Lowell. Witamy w programie *NewsFlash*.

\* \* \*

Posiadłość doktora Lowella w Hamptons była imponująca. Na wzniesieniu pośrodku ponadczterohektarowego wypielegnowanego terenu stała rezydencja w stylu Tudorów. Znajdował się tam kort tenisowy, dwa baseny — jeden na dworze, drugi pod dachem — trzy jacuzzi, dwie sauny, przestronna kabina plażowa, lądowisko dla śmigłowców, a w samym domu więcej pokoi, niż gospodarz mógł zliczyć. Lowell odziedziczył tę posiadłość po swoim dziadku, chciwym — zdaniem lewicowców — kapitaliście, który wyeksploatował, a właściwie ograbił okoliczną ziemię i jej mieszkańców. Syn postanowił zerwać z rodzinną tradycją i zostać lekarzem. John poszedł w jego ślady. Żył we względnym luksusie, chociaż praktyka lekarska nie przynosiła tak krociowych zysków jak grabież.

Za kilka godzin wschodnie skrzydło rezydencji mieli wypełnić najbogatsi ludzie świata, którzy za prawo wstępu na galę wspomogli finansowo Centrum Nowotworów imienia Erin Lowell. John będzie się musiał uśmiechać i okazywać wszystkim zainteresowanie. Nie znosił tego. Podczas swojej kontrowersyjnej kadencji na stanowisku naczelnego lekarza kraju na początku lat osiemdziesiątych często okazywał brak zdolności dyplomatycznych i oglądy politycznej. Prowadził nieprzejednaną krucjatę przeciw rakowi, zwalczając wszystko i wszystkich, którzy stali mu na drodze. Ogłosił wojnę przeciw palaczom, stwierdzając dobitnie podczas wywiadu w ogólnokrajowej telewizji: „Papierosy są zabójcze, to proste jak drut. Nie mam litości dla palaczy, którzy sami skazują się na raka płuc. Nie obchodzi ich, że narażają innych, zmuszając ich do biernego palenia, że skazują własne dzieci na tę śmiertelną chorobę. To niepojęte, jak tolerancyjni jesteśmy wobec tych samolubów siejących zniszczenie”.

Słowa te wstrząsnęły całym krajem. Przemysł tytoniowy nawoływał do usunięcia Lowella ze stanowiska. Nie odniosło tu skutku, chociaż próbowano ze wszystkich sił. Tamtego dnia zarysował się podział na dwa wrogie obozy i choć John nie był już naczelnym lekarzem kraju, wciąż uczestniczył w tej konfrontacji.

— Cześć, tato.

Odwrócił się błyskawicznie i zobaczył swoją starszą córkę Cassandrę. Miała na sobie szlafrok i była w sandałach.

— A ty dokąd? — spytał.

— Idę popływać w basenie — odparła.

— Za kilka minut Sara będzie w telewizji. Wszyscy nasi goście chcą to obejrzeć.

Cassandra spochmurniała, ale ojciec tego nie zauważył.

— Zaraz wracam — powiedziała.

— Powinnaś pójść ze wszystkimi.

Znowu nie zwrócił uwagi na jej wyzywające spojrzenie.

— Będiesz to nagrywał, prawda? — spytała.

— Tak.

— No więc potem pooglądam sobie moją siostrzyczkę ze sto razy. Szczęściara ze mnie.

— Cassandro...

Zignorowała ojca i ruszyła przed siebie. Sara. Przez całe życie tylko Sara, Sara, Sara. Cassandra słyszała to imię bez przerwy jak uporczywy świergot ptaków. „Sara jest chora”. „Trzeba zabrać Sarę do szpitala”. „Cassandro, bądź dobra dla Sary”.

Ojciec zawsze uważał, że z jego dwóch córek to Sara jest ładniejsza, miłsza, pracowitsza, bardziej ambitna i inteligentna.

Matka patrzyła na to inaczej. Erin Lowell kochała Cassandrę tak samo jak ładniejszą, miłszą, pracowitszą, bardziej ambitną i inteligentną Sarę. Cassandra wciąż bardzo za nią tęskniła. Od jej śmierci minęło ponad dziesięć lat, ale poczucie straty nie mijało. Było świeże, trwałe, a czasem wszechogarniające.

Tego dnia panował nieznośny upał, więc wielu gości ratowało się przed skwarem kąpielą w basenie. Teraz większość z nich szła już w kierunku domu, żeby obejrzyć debiut cudownej Sary w programie *NewsFlash*. Jednak kilku mężczyzn przystanęło na widok nadchodzącej Cassandry.

Była wysoka, miała duże oczy, czarne faliste włosy i oliwkową skórę. Wyglądem różniła się od Sary tak bardzo, że nikt by się nie domyślił, iż są siostrami. Mówiąc bez ogródek, Cassandra była bardzo zmysłowa. Niebezpiecznie, zabójczo zmysłowa. Oczy Sary można było opisać jako łagodne jeziora, oczy Cassandry zaś płonęły niczym rozżarzone węgle.

Doszła do basenu i zrzuciła sandały. Z lekkim uśmiechem zsunęła szlafrok z ramion. Opadł na kafelki, odsłaniając dopasowany jednoczęściowy kostium, który z trudem opinał pełne ciało. Weszła na trampolinę, czując na sobie spojrzenie kilku par oczu. Stała na samym końcu. Wyciągnęła ręce nad głowę i skoczyła. Chłodna woda pieściła skórę. Cassandra zaczęła płynąć przed siebie, wykonując miarowe wymachy rąk i z wyczuciem ruszając kształtnymi nogami. Szczupłe ciało bez wysiłku cięło wodę, pozostawiając za sobą cienki warkocz piany.

Zbliża się ósma! — zawołał głos od strony domu. — Za chwilę *NewsFlash*!

Kobiety szły w kierunku rezydencji, ale zauroczeni mężczyźni się ociągali, z największym trudem odrywając wzrok od pływaczki. Próbowali się zachowywać swobodnie, jednak wciągali obwisłe brzuchy i wkładali pośpiesznie koszulki. W końcu ruszyli powoli w stronę domu, ukradkiem zerkając ostatni raz na Cassandrę.

Po chwili wyszła z basenu i leniwym krokiem zbliżyła się do leżaka. Nie wytarła się. Sięgnęła do kieszeni szlafroka i wyjęła okulary przeciwsłoneczne. Włożyła je i wyciągnęła się na leżaku, krzyżując nogi. Wydawało się, że odpoczywa, lecz tak naprawdę pod ciemnymi szklami poruszały się czujne oczy.

Natychmiast dostrzegła grubawego Stephena Jenkinsa, sześćdziesięciodwuletniego senatora z Arkansas. Stephen — albo wujek Stevie, jak nazywały go Cassandra i Sara — był od dawna przyjacielem rodziny. Studiował z Johnem Lowellem, ich żony wspólnie urządziły przyjęcia, ich dzieci razem jeździły na obozy letnie. Wszystko ładnie i miło. Sęk w tym, że seks z liderem konserwatywnej mniejszości w Senacie okazał się wyzwaniem dla trzydziestokilkuletniej Cassandry.

Wyzwaniem trudnym, bo pozbawionym erotycznych doznań.

— Cześć, Cassandro! — zawołał Jenkins.

— Cześć, wujaszku.

Zastanawiała się także nad uwiedzeniem przystojnego syna senatora, ale Bradley był nieznośny. A co gorsza, był przyjacielem Sary. Za każdym razem, gdy się spotykali, gadali godzinami, zupełnie nie zwracając uwagi na Cassandrę. Gdyby Sara i Bradley byli kochankami, Cassandra być może wkroczyłaby do akcji. Ale nie byli. Albowiem od

pierwszego dnia swojego małżeństwa zawartego przed dwoma laty Sara pozostawała wierna Michaelowi. Była mu tak wierna i tak oddana, że trąciło to śmiertelną nudą.

Cassandra nałała na stuloną dłoń trochę oliwki i zaczęła ją rozsmarowywać po nogach. Po drugiej stronie basenu patrzył na nią zachłannie senator Jenkins.

— Stephen! — rozległ się głos senatorowej. — Bradley!

Senator niechętnie odwrócił głowę.

— Jedną chwileczkę, kochanie.

— Chodźcie wszyscy! Sara już jest w telewizji!

Tłumek ruszył szybko do domu. Po kilku minutach byli już w środku. Zaczął się program. Cassandra wyciągnęła się wygodnie i zamknęła oczy. Sara w telewizji. Kogo to, kurwa, obchodzi?

\* \* \*

Sara czuła, jakby w żołądku miała supeł. Wiedziała, że wielbny Sanders siedzi w sąsiednim pokoju, czekając na wywiad. Był doświadczonym rozmówcą, śliskim jak piskorz. Jeśli nie spodobało mu się jakieś pytanie, stosował starą, sprawdzoną metodę: ignorował je, robił unik. Potrafił sobie poradzić z najlepszymi dziennikarzami.

Felieton na temat Sandersa i Świętej Krucjaty był nagrany, więc Sara zdjęła okulary i wzięła głęboki oddech, próbując się uspokoić. Czytała raport tyle razy, że każde słowo wryło się jej głęboko w pamięć. Teraz nuciła cicho pod nosem, słuchając fragmentów felietonu.

„Zaczynając dwanaście lat temu przy wsparciu zaledwie kilkudziesięciu osób, wielbny Ernest Sanders, były członek stowarzyszeń głoszących supremację białej rasy, rozwinął świętą Krucjatę w prężny ruch społeczny mający tysiące zwolenników w całym kraju. Łącząc tak zwane głębokie wartości religijne z tak zwanymi tradycyjnymi prawami Amerykanów, Święta Krucjata od samego początku budziła mnóstwo kontrowersji...”

„...urząd skarbowy potwierdził, że ani wielbny Ernest Sanders, ani jego żona Dixie od dwunastu lat nie wykazują żadnych dochodów w zeznaniach podatkowych (...). A jednak wielbny Sanders wydawał aż dziesięć tysięcy dolarów dziennie na siebie i kilka młodych kobiet, z którymi wybrał się w »podróż misyjną« na Karaiby, gdzie nie było ani jednego członka Świętej Krucjaty (...). Przepadły miliony dolarów przekazane jako darowizny na rzecz Świętej Krucjaty (...). FBI prowadzi śledztwo dotyczące podejrzeń o korupcję we władzach tej organizacji...”

Kiedy nagrany felieton dobiegł końca, kamera ukazała dobrze znaną spokojną twarz Donalda Parkera. Sara przestała nucić.

— Gościmy dzisiaj pastora Sandersa w naszym studiu — oznajmił Parker. — Witamy.

Sanders ukazał się na ekranie. Podobnie jak w programie *Nightline* Teda Koppela, zaproszeni goście rzadko siadali w tym samym pomieszczeniu co dziennikarze. Chwilę później pod twarzą pastora pojawił się darmowy numer telefonu.

— Dobry wieczór, Donaldzie — odparł swobodnym tonem. Był rozluźniony.

Sara poczuła, że supeł w jej żołądku się zaciska. Pastor miał na sobie lekki trzyczęściowy garnitur w niebieskim kolorze, na głowie rzucający się w oczy tupecik i złotą obrączkę na palcu. Ani śladu zegarka czy innej męskiej biżuterii. Niczego ostentacyjnego. Do tego łagodne, ufne oblicze — twarz dobrodusznego wujka albo przyjaznego sąsiada. I usta rozciągnięte w dyżurnym uśmiechu, który był jednym z jego największych atutów.

— Dziękujemy za wizytę u nas.

— To ja dziękuję za zaproszenie.

— Widział pastor przed chwilą nasz felieton. Poprosimy więc o komentarz.

Sanders zachowywał tak niezmałony spokój, że Sarze chciało się krzyczeć.

— Jestem sługą Bożym — odparł swobodnie, z południowym akcentem. — Rozumiem ludzkie pragnienia.

— Ludzkie pragnienia? Jak to?

— Dla mnie i wszystkich bogobojnych ludzi w całym kraju jest absolutnie oczywiste, co się tutaj dzieje. Nie sądzę, żebym musiał zniżać się do poziomu pani Lowell i odpowiadać na te zarzuty.

— Nie postawiliśmy żadnych zarzutów — wtrąciła się Sara, wkładając okulary. — Podaliśmy czyste fakty. Czy pastor je kwestionuje?

— Niech pani nie stara się być za sprytna. Wiem, o co pani chodzi.

— O co?

— O rozgłos. O szybką sławę. A czy jest lepszy sposób zdobycia sławy niż zhańbienie dobrego imienia kaznodziei? Człowieka, który głosi chwałę Boga i który pomaga ludziom bardziej doświadczonym przez los...

— Pastorze Sanders — przerwała Sara — pański osobisty dochód za zeszły rok szacuje się na ponad trzysta milionów dolarów, a jednak nie zapłacił pastor ani centa podatku. Jak to możliwe?

W ogóle się nie spieszył.

O ile się orientuję, pani rodzina też nie żyje w skrajnej biedzie. Zdaje się, że pani ojciec ma wspaniałą rezydencję. My sprawdzimy dzisiaj także jego finanse?

— Mój ojciec co roku składa zeznanie podatkowe i płaci podatki. Potrafi się rozliczyć z każdego centa. Czy pastor może powiedzieć o sobie to samo?

— Oczywiście — odparł Sanders dobitnie. — Pani kłamstwa i insynuacje nie zwiódą wiernych wyznawców Boga. Wielu próbowało sprowadzić tych ludzi z właściwej drogi, ale Święta Krucjata twardo dąży do celu. Nie pozwolimy, żeby szatan zatriumfował.

— Czy może pastor wskazać moje kłamstwa? — spytała Sara. — Poproszę o konkrety.

Pokręcił głową.

— Szatan chytrze wykorzystuje słowa, bo chce, żeby cnota i dobro jawiły się jako zło — odparł jak nauczyciel strofujący niegrzeczną uczennicę. — Ale my nie damy się ogłupić. Żyjemy w społeczeństwie pozbawionym moralności, lecz nie damy się złamać. Co się stało z wartościami rodzinnymi i etycznymi w tym kraju? Bogobojni ludzie, tacy jak moja żona Dixie i ja, nie mogą już normalnie wychowywać swoich dzieci. Bo dzieci muszą chodzić do szkół publicznych, z których usunięto Boga i w których z otwartymi ramionami witani są homoseksualiści. A czy Pan nie mówi nam, że...

— Przepraszam, ale zaprosiliśmy pastora tutaj, żeby odpowiedział na kwestie poruszone w felietonie.

— Jakie kwestie? Ten filmik w ogóle nie porusza kwestii kluczowych dla Ameryki. Ja mówię o Armagedonie, proszę pani. Członkowie Świętej Krucjaty rozumieją, co się naprawdę dzieje. Rozumieją, że żyjemy w czasach Sodomy i Gomory. Że heretycy i niewierni zwalczają Boga. Dixie i ja wykonujemy dzieło Boże, a Bóg nam w tym pomaga. Daje nam znaki, których pani woli nie dostrzegać.

— W felietonie była mowa o finansowych...

— Weźmy na przykład to, co nazywa się popularnie wirusem HIV — ciągnął Sanders podniesionym głosem. — Ludzie nazywają ten wirus nową epidemią, a to po prostu ostatni rozdział zagłady Sodomy i Gomory. To oczywiste, że Bóg uderzył w nikczemnych, niemoralnych homoseksualistów i zбочeńców. Zesłał na nich plagę.

— Pastorze Sanders...

— Czy naprawdę tak trudno w to uwierzyć? — spytał łagodnym tonem, uśmiechając się promiennie i patrząc błyszczącymi oczami. — Większość Amerykanów wierzy w to, co zrobił Bóg w Biblii. Dlaczego więc tak trudno uwierzyć, że Bóg działa również w naszych czasach? Bez trudu wierzymy w plagi zesłane na starożytny Egipt. Dlaczego więc tak trudno

uwierzyć w plagę zesłaną na współczesną Amerykę? Biada tym, którzy nie uwierzą! Bo grzesznicy, proszę pani, już nigdzie się nie ukrywają. Jeśli nie widzi pani, że AIDS jest znakiem tego, co nadejdzie, jeśli nie przyjmie pani Boga jako jedynego zbawiciela i nie okaże skruchy, to już nigdy nie ujrzy pani światła. Jest pani przekłeta.

Sara zamknęła oczy, próbując opanować irytację. Zdawała sobie sprawę, że powinna trzymać się obranego kursu, że zmiana tematu będzie błędem. Ale jej temperament wziął górę.

— A co z innymi ofiarami, pastarze? — spytała, opanowując drżenie głosu.

Jakimi innymi ofiarami?

— Z niewinnymi ofiarami. Na przykład z małymi dziećmi, które rodzą się zarażone tym śmiertelnym wirusem. Albo z tymi, którzy zarazili się przypadkiem wskutek transfuzji krwi. Jak pastor wyjaśni, że AIDS jest teraz główną przyczyną śmierci wśród osób chorych na hemofilię?

Na twarzy Sandersa znów pojawił się uśmiezek.

— Ja niczego nie wyjaśniam, droga pani — odparł. — Robi to za mnie Biblia. Proszę przeczytać słowa Boga, a sama pani zrozumie. Biblia mówi nam przecież, że w czasach potopu nie wszyscy ludzie byli okrutnikami i nikczemnikami, a jednak Bóg postanowił uratować tylko te stworzenia, które znajdowały się na arce Noego. Weźmy historię o Mojżeszu. Dlaczego niewinni musieli cierpieć plagi zesłane na Egipt? Biblia udziela bardzo prostej odpowiedzi. Bóg postępuje w sposób niewyjaśniony. Kim jesteśmy, żeby kwestionować Boże zamysły? Wiem, wiem, powie pani, że to wybieg, a jednak to prawda. Poza tym nie może pani zaprzeczyć, że przeważająca większość tych, którzy zostali dotknięci karą Bożą, prowadzi niemoralne życie i jest zboczona. Jednak owszem, niewinni muszą czasem płacić za grzechy swych braci. Dlatego właśnie wzywam was wszystkich w tej chwili, byście powrócili do Boga, byście okazali skruchę, zanim będzie za późno. Bóg dopiero wtedy pozwoli, byśmy znaleźli lek na AIDS, kiedy oczyścimy świat z niemoralnych...

Świetne posunięcie, Saro, pogratulowała sobie w myślach. Dała się sprowokować, dzięki czemu ten głab mógł dalej opowiadać dyrdymały. Nadeszła najwyższa pora, by wysadzić go z siodła.

— Pastarze Sanders, dlaczego od dwunastu lat nie wykazuje pan żadnych dochodów? — spytała. — Dlaczego przez cały ten czas jako małżeństwo nie zapłaciliście ani centa podatku?

Donald Parker siedział rozparty w fotelu i patrzył, nie chcąc przerywać tej wymiany ciosów. Pokręcił głową, gdy reżyser zasugerował przerwę na reklamę.

— Proszę pani, zna pani prawo tak samo jak ja — odparł kaznodzieja. — Nasz wspniany kraj chroni wolność religijną, choć komuniści i ateści starają się, by było inaczej. Być może odnieśliście chwilowe zwycięstwo. Udało się wam usunąć Boga ze szkół, mordujecie nienarodzone dzieci, ale idą zmiany i...

— To świetnie, mieliśmy jednak rozmawiać o podatkach. Proszę odpowiedzieć na pytanie.

— Właśnie to robię. Ja i Dixie szanujemy prawo. Płacimy uczciwie nasze należności.

— To w takim razie jak duży podatek dochodowy zapłacił pastor w zeszłym roku?

— Kościoły nie muszą płacić podatków. Na tym polega rozdział Kościoła od państwa. Może pani o tym przeczytać w konstytucji.

Sara poprawiła okulary.

— Czytałam konstytucję — odpowiedziała. — Z całym szacunkiem jednak stwierdzam, że pastor nie jest Kościołem. Czy mamy rozumieć, że osoby duchowne powinny unikać płacenia podatków, przez co na barki ciężko pracujących Amerykanów spada dodatkowe brzemię?

Uśmiech zamarł na ustach Sandersa. Na ułamek sekundy z jego twarzy opadła maska serdeczności, odsłaniając zimne wyrachowanie.

— Oczywiście, że nie — odparł szybko. — Znowu wszystko pani przekręca, by dopasować to do swoich tez. Wierzący to widzą. Wierzący nie dadzą się zwieść kłamstwami.



Powtarzam to, co już mówiłem. Uczciwie płacę swoje należności. Cała ta sprawa to tylko sprytna gra bezbożników, którzy chcą zhańbić moje dobre imię.

Wreszcie włączył się Donald Parker:

— Dziękujemy, pastarze. Krótka przerwa na reklamy i za chwilę wracamy na wizję. Zostańcie z nami.

\* \* \*

— Doktorze, czy mógłbym zamienić z panem słówko?

John Lowell podniósł głowę.

— Ray, nie możemy z tym poczekać do końca programu? — spytał poirytowany.

— Ale przecież w tej chwili są reklamy — odparł doktor Raymond Markey. Pracował w Departamencie Zdrowia i Opieki Społecznej w Waszyngtonie. Był niskim mężczyzną o zbyt krótkich kończynach. Grube okulary pięciokrotnie powiększały jego czarne źrenice, upodabniając go do klasycznego wizerunku maniaka komputerowego. Tak naprawdę Markey rzadko teraz praktykował jako lekarz. Piastował urząd zastępcy sekretarza, zajmował się więc raczej polityką, choć niechętnie się do tego przyznawał.

Lowell westchnął głęboko, wstał i wyszedł z pokoju.

Ruszyli korytarzem.

— No dobrze, o co chodzi? — spytał, gdy stanęli z dala od gości. Wielkie oczy Raymonda Markeya zlustrowały hol jak dwa reflektory omiatające dziedziniec więzienny.

— On będzie dzisiaj na przyjęciu — powiedział.

Lowell poczerwieniał.

— Co?! Nie życzę sobie tego człowieka w moim domu.

Chyba jasno się wyraziłem.

— Owszem.

— To niebezpieczne — szepnął. — Pora tego przyjęcia i tak dalej.

— To nie ma znaczenia — odparł Markey. — On przyjdzie. Lepiej, żeby pan o tym wiedział.

Lowell zaklął pod nosem, zaciskając pięści.

— Ten skurwiel zniszczy nas wszystkich — wycodził.

\* \* \*

Gdy przyjęcie rozkręciło się na całego, mężczyźni otaczający Cassandrę zaczęli rywalizować o jej względy jak próżni aktorzy o lepsze miejsce na scenie. Przywykła do takich sytuacji, więc nie robiło to na niej większego wrażenia. Uśmiechała się tylko promiennie, uwodzicielsko, kiwając raz po raz głową, nie słuchając jednak nikogo. Wielcy ważniacy, ale co z tego? Randall Crane miał większościowe udziały w kilku korporacjach. Pojawił się na okładce czasopisma „Fortune”, wyglądając bardzo dystyngowanie i poważnie. Ale był nudziarzem. Wszyscy byli śmiertelnymi nudziarzami. Gdyby ci mężczyźni nie mieli zawrotnych fortun, nikt by nawet przez minutę nie słuchał ich przemądrzałej paplaniny.

Tłumek elegancko ubranych filantropów rozmawiał o debiucie Sary w telewizji. Cassandra potoczyła wzrokiem po ogromnej sali balowej, rozpoznając prawie wszystkich z trzystu gości. Hipokryci, pomyślała. Udają, że obchodzi ich walka z rakiem, ale tak naprawdę mają to głęboko w dupie. Przyszli, żeby się pokazać, uścisnąć ręce, zrobić wrażenie. A jeśli ceną za to było wybulenie paru dorców na cele charytatywne, to trudno, trzeba zapłacić jak za bilet wstępu.

— Wiesz, jak się tutaj zjawiłem? — spytał Randall Crane, przerywając Cassandrze rozmyślania.

Ledwo na niego zerknęła.

— Nie, więc może mi powiesz?

— Prywatnym śmigłowcem — oznajmił z dumą w głosie. — Dopiero kupiłem tę maszynkę. Ośmioosobowa. Mam pilota, drugiego pilota i stewardesę. Wszyscy są u mnie na pełnym etacie.

— Stewardesę? W śmigłowcu?

Kiwnął głową.

— W niecałą godzinę przylecieliśmy tutaj z dachu mojego wieżowca przy Czterdziestej Siódmej.

— No, no, jestem pod wrażeniem.

Starszy mężczyzna się rozpromienił.

— Chciałabyś się przelecieć? — spytał. — Nie uwierzysz, jak szybko się lata.

Przed ponad trzema laty poszła z nim do łóżka. Spalił się w przedbiegach jak piętnastolatek na pierwszej randce. Ledwo zdążył ściągnąć spodnie i było po wszystkim.

— Powinieneś trochę zwolnić, Randall — powiedziała Cassandra ze złośliwym uśmiechem. — Pośpiech nie zawsze jest dobry, wiesz?

Zobaczyła, że Crane się czerwieni, i w tym samym momencie dostrzegła Michaela, stojącego w kącie w towarzystwie tego nic niewartego doktora.

W smokingu wyglądał cholernie przystojnie: jedyny mężczyzna na całym przyjęciu, który ośmielił się włożyć muchę w fioletowe kwiaty i dobrany pod kolor — nie zaś czarny — pas. Oto cały Michael. Zawsze płynął trochę pod prąd. Cassandra nie widziała go prawie od pół roku, ale w ogóle się nie zmienił. Wyglądał bosko.

Dziwne. Dawniej kradła Sarze wszystkich jej chłopców, zaczynając od Eddiego Mylesa, tego przystojniaczka z czasów studenckich. Zaaranżowała uwiedzenie w taki sposób, żeby Sara przyłapała ich na gorącym uczynku.

Udało się.

Siostra patrzyła wytrzeszczonymi oczami na swojego chłopaka, który stał w spodniach opuszczonych do samych kostek. Przed nim klęczała Cassandra. Twarz Sary zastygła w wyrazie bólu. Przygoda z Eddiem była zapowiedzią tego, co stało się dla Cassandry interesującą grą. Wyzwaniem. Kiedy tylko Sara zaufała jakiemuś mężczyźnie, Cassandra dopadała wybranka. Z każdym kolejnym uwiedzeniem rany Sary krwawiły od nowa. W jej psychice zagnieździło się poczucie niepewności. Zaczęła coraz częściej rozmyślać o swoim kalectwie. Jej pewność siebie znikła, a tarczą obronną stał się sarkazm. Cassandra patrzyła, jak siostra coraz bardziej oddala się od świata. Poświęciła się studiom — długimi godzinami siedziała sama w pokoju przy dźwiękach przeraźliwego heavy metalu. W końcu nie było już żadnych chłopców, których można by uwieść.

Ale okazało się, że to tylko sprytny wybieg. Jakimś sposobem cwana dziwka złowiła najlepszego faceta.

Michael. Ten skurwiel. Ten cudowny, zachwycający skurwiel.

Cassandra wysunęła się do przodu.

— Przepraszam na moment, panowie — powiedziała.

Mężczyźni się rozstąpili, robiąc przejście. Nie mogła oderwać wzroku od Michaela. Minęło pół roku, odkąd widzieli się po raz ostatni. A przez pół roku dużo mogło się zmienić...

Postanowiła to sprawdzić.

\* \* \*

Sara siedziała w limuzynie należącej do studia telewizyjnego. Wciąż była podenerwowana. Próbowwała ochłonać po programie, jednak nadal czuła przypływ adrenaliny. Bujała się na

tylnym siedzeniu obitym miękką skórą, mając mętlik w głowie. Od Blue Oyster Cult przeszła do bardziej współczesnych melodii Depeche Mode, mimo to nie mogła się uspokoić. W połowie *Bluźnierczych pogłosek* szofer podniósł dźwiękoszczelną szybę oddzielającą go od pasażerów. No i dobrze.

Za chwilę zobaczy Michaela. Może to łzawe, ale w takie dni najbardziej lubiła przypominać sobie chwile przeżyte z mężem. Skrzywiona odpięła ortezę i pomasowała sobie stopę. Z biegiem lat świat poszedł do przodu — metalowe szyny, które ścisnęły nogę jak szczęki imadła, zostały zastąpione przez szyny z włókna szklanego, lżejsze i mniej uciążliwe. A jednak noszenie czegoś takiego nie należało do przyjemności, po dłuższym czasie zaś noga zaczynała boleć. Sara rozmasowała wprawnie stopę i łydkę. Krew znów zaczęła krążyć normalnie. Urodziła się dwa miesiące przed terminem i zawsze była chorowitym dzieckiem. Dopadały ją infekcje, w efekcie czego miała zapalenie płuc; jej dzieciństwo było jedną wielką walką z problemami zdrowotnymi. W wyniku przedwczesnych narodzin został również nieodwracalnie uszkodzony nerw w lewej stopie. Jako dziecko Sara musiała nosić szynę i chodzić o kulach. Teraz obywatela się bez kul, ale nadal korzystała z szyny, a czasem podpierała się laską.

Jej szkolne lata wypełniły pobyty w szpitalach i wizyty u różnych lekarzy i terapeutów. Latem, w upalne dni, musiała tkwić zamknięta w swoim pokoju, zamiast bawić się z innymi dziećmi. W szpitalu i w domu pomagali jej korepetytorzy, ponieważ z powodu choroby opuszczała mnóstwo lekcji w szkole. Nie miała przyjaciółek. Nikt jej wprawdzie nie dokuczał, niemniej jednak wszyscy uważali ją za dziwne dziecko i usunęli poza nawias. Nie wolno jej było ćwiczyć na lekcjach wuefu. Na przerwach musiała siedzieć bezczynnie na schodkach. Inne dzieci zerkwały na nią podejrzliwie, przerażone widokiem tej bladej, słabowitej dziewczynki, jakby symbolizowała śmierć w miejscu, w którym króluje nieśmiertelność.

Bez względu na to, jak się starała, zawsze była inna od reszty dzieci, zawsze ułomna, zawsze z tyłu. Nienawidziła tego. Z upływem lat uświadomiła sobie, że z kalectwem i szyną radzi sobie znacznie lepiej niż z ludzkimi wyobrażeniami. Za każdym razem, gdy przeżywała jakieś niepowodzenie, nauczyciele natychmiast tłumaczyli to jej kłopotami zdrowotnymi. To nie twoja wina, Saro. Gdybyś nie chorowała...

Ilekoć to słyszała, chciało się jej krzyczeć. Nie zamierzała wykorzystywać takich wymówek, by usprawiedliwiać swoje niedociągnięcia — pragnęła je przewycięzać. Wszystkie po kolei.

Szofer skręcił w boczną uliczkę i wjechał na podjazd. Wszędzie dokoła stały samochody — rolls-royce'y, mercedesy, rozmaite limuzyny i auta z rządowymi numerami rejestracyjnymi. Kilku szoferów rozmawiało w grupce, pałac papierosy. Inni czytali gazety w samochodach.

Kiedy limuzyna zatrzymała się przed domem, Sara zapięła z powrotem ortezę, chwyciła laskę i mszyła do środka dostojnym krokiem.

\* \* \*

Michael upił łyk wody Perrier. Czuł rwący ból w żołądku, ale ani słowem nie wspomniał o tym Harveyowi. Chciał mu powiedzieć, jednak przyjaciel był tak rozkojarzony przez cały wieczór, że uznał, iż należy poczekać. Widział, jak Harvey niespokojnie rozgląda się po twarzach w sali balowej. Jego wygląd — zawsze trochę niechlujny — tego wieczoru wołał o pomstę do nieba.

— Dobrze się czujesz? — spytał Michael.

— Tak, tak. Świetnie.

— Coś cię gryzie?

— Nie... O której przyjedzie Sara?  
Harvey zadał to pytanie już po raz trzeci.  
— Może się pojawić w każdej chwili — odparł Michael. — O co chodzi, do cholery?  
— O nic — odparł przyjaciel, uśmiechając się niemrawo. — Mam z twoją żoną burzliwy romans za twoimi plecami.  
— Znowu? Nienawidzę, gdy kradniesz mi kobiety.  
Harvey pogłaskał się po wydatnym brzuchu i próbował przyglądzić niesforne włosy.  
— Co mogę zrobić? — odparł. — Skoro taki ze mnie adonis.  
Michael łyknął wody.  
— Jesteś zajęty w przyszłym tygodniu? — spytał.  
— W przyszłym tygodniu?  
— Wtedy wypadają twoje urodziny, Harv.  
— Ach, o to chodzi...  
— Pięćdziesiątkę kończy się tylko raz w życiu, kolego. — Michael gwizdnął. — Pięćdziesiąt lat.  
— Daj spokój.  
— Pół wieku. Złoty jubileusz. Aż trudno uwierzyć.  
— Dzięki. Prawdziwy z ciebie przyjaciel.  
Michael się uśmiechnął.  
— Przestań, Harv. Wyglądasz świetnie.  
— Jasne, tylko czasem czuję się zmęczony romansowaniem z ostrymi kobietami. — Harvey zerknął ponad ramieniem Michaela i zobaczył zbliżającą się Cassandrę. — À propos ostrych kobiet...  
— Co?  
— Alarm. Nadchodzi szwagierka.  
— Gdzie?  
Cassandra puknęła Michaela w ramię.  
— Cześć — powiedziała.  
— Z tyłu — mruknął Harvey.  
— Dzięki. — Michael z wahaniem odwrócił się do Cassandry. — Witam.  
— Nie widzieliśmy się szmat czasu. Chyba pół roku.  
— Mniej więcej. Pamiętasz mojego przyjaciela Harveya Rikera?  
— Tak. To ten pan doktor.  
Harvey zrobił krok do przodu.  
— Miło cię znowu widzieć, Cassandro — powiedział.  
Skinęła lekko głową, niemal go ignorując. Bez przerwy wpatrywała się w Michaela.  
— Jak według ciebie dziś wyglądam? — spytała.  
— Nieźle.  
— Nieźle?  
Michael wzruszył ramionami. To ma być komplement? Znowu wzruszył ramionami. Na ułamek sekundy spojrzała na Harveya.  
— Doktorze Riker, zgadza się pan z oceną Michaela?  
Odchrząknął.  
— Mnie przychodzą na myśl różne określenia — odparł. — Ale nie ma wśród nich słowa „nieźle”.  
Uśmiechnęła się szybko i znów popatrzyła na Michaela.  
— Możemy porozmawiać przez chwilę? — spytała.  
— Posłuchaj, Cassandro...  
— Wszystko w porządku — zapewnił Harvey. — I tak miałem sobie nalać drinka.

Oboje patrzyli, jak się oddala. W głębi sali wynajęty przez Lowella zespół skończył właśnie grać jeden szlagier i zaczynał drugi. Wokalistka piszczała jak kot, który wpadł do betoniarki.

— Może zatańczymy? — spytała.

— Nie, dziękuję.

— Czemu nie?

— Bo nie jestem w nastroju. O czym chciałaś porozmawiać?

— Nie bądź niemiły, Michael. Zaraz przejdę do sedna. Udawajmy, że to gra wstępna. Chyba słyszałeś o grze wstępnej, co?

— Chyba coś o tym czytałem w „Cosmopolitan”.

— Świetnie. Podoba ci się moja suknia?

— Jest boska. Czego chcesz, Cassandro?

— Michael...

— Mam nadzieję, że nie zaczniesz tych bzdur od początku, co?

— Jakich bzdur?

— Doskonale wiesz jakich.

— Wiem?

— Jestem mężem Sary. Pamiętasz Sarę? Filigranowa, wspaniała blondynka, która ma fatalny gust muzyczny. Twoja siostra.

— I?

Wywrócił oczami.

— Po co mi się naprzykrzasz? Czemu podwalasz się do mnie jak jakaś tania zdzira z telenoweli?

— Nie akceptujesz mnie, co?

— Nie do mnie należy cię akceptować lub nie akceptować.

— Więc co tak naprawdę o mnie myślisz? — spytała, upijając drinka. — Ale tak naprawdę.

— Myślę, że jesteś świetna — odparł Michael. — Piękna, zabawna i bystra, ale kiedy się zachowujesz tak jak teraz... — wzruszył ramionami — ...to rzygać mi się chce.

— Słodziak z ciebie — powiedziała. Wyciągnęła rękę i położyła dłoń na jego piersi. Potem mrugnęła porozumiewawczo, nachyliła się i cmoknęła go w policzek.

— A to po co? — spytał.

— Po to — odparła, znowu mrugając. Wskazała przed siebie.

Michael się odwrócił.

W drzwiach stała Sara, obserwując ich oboje.

\* \* \*

Kilka godzin wcześniej George skradł samochód i przykręcił do niego nowe tablice rejestracyjne. Przez chwilę krążył wokół posiadłości Johna Lowella, wypatrując wszelkich możliwych dróg ucieczki. Potem zaparkował na odludziu, I wrę kilometrów od rezydencji. Posmarował tost pasztetem z gęsiich wątróbek i nalał sobie czerwonego wina. Było bardzo młode. Beaujolais–Villages.

Wyborny piknik.

Skończył posiłek, sprzątnął samochód, sprawdził godzinę i pojechał z powrotem do posiadłości Lowella. Sięgnął do kieszeni spodnek firmy Banana Republic i wyjął nóż. Kciukiem nacisnął przycisk, uwalniając długie cienkie ostrze.

Śliczne.

Złożył nóż i schował go z powrotem do kieszeni. Dosyć zabawy. Dosyć wina i piosenek. Czas wziąć się do pracy.

### 3

Harvey Riker ruszył po kolejne martini. Już trzecie. A może czwarte? Stracił rachubę. Dotąd nie czuł wielkiego pociągu do alkoholu, ale od niedawna zaczął łakomie zerkać na butelki. Tyle się wydarzyło w ostatnich tygodniach. Dlaczego i o raz? Dlaczego to musiało się stać akurat wtedy, gdy znaleźli nie o krok od pokonania AIDS?

Podał kieliszek barmanowi.

— Jeszcze jeden poproszę — powiedział.

Mężczyzna się zawahał.

— Ale ostatni, dobrze? — spytał.

Harvey skinął głową. Barman miał słuszność. Co za dużo, to niezdrowo. Odwrócił się w kierunku tłumu. Michael ciągle rozmawiał z Cassandrą. Rany, ale z niej lala. Można się było spalić od samego patrzenia. Na popiół.

A ile ona ma lat, Harvey? Chyba mogłaby być twoją córką, co? — zganił się w duchu.

Wzruszył ramionami. Nie można pomarzyć?

W jego myślach szybko powróciła tamta sprawa. Właściwie ta sprawa. Potoczył zaczerwienionymi oczami dokoła, ale nigdzie nie zobaczył Sary.

— Witam, doktorze — zabrzmiał znajomy głos.

Harvey się odwrócił.

— Cześć, Bradley, jak zdrowie? — spytał.

Syn senatora się uśmiechnął.

— O wiele lepiej, dziękuję — odparł.

— Jakies problemy?

Pokręcił głową.

— W tej chwili świetnie się czuję — powiedział. — To jak cud... Nie wiem tylko, jak długo tak będzie.

Harvey popatrzył na delikatnego młodzieńca. Poznali się przez Sarę wiele lat temu, na długo zanim Bradley został jego pacjentem. Zanim zaraził się HIV.

— My też nie wiemy — rzekł poważnym tonem. — Najważniejsze jest kontynuowanie leczenia. Przerwanie może być bardziej niebezpieczne niż sama choroba.

— Musiałbym być wariatem, żeby przerwać.

— Kiedy masz następną wizytę?

Bradley nie zdążył odpowiedzieć, bo w tej samej chwili zbliżył się jego ojciec.

— Ani słowa więcej — syknął wściekły senator do Harveya. — Chodź ze mną.

Lekarz posłusznie ruszył za Jenkinsem w głąb długiego korytarza, ociągając się kilka kroków z tyłu. Senator zatrzymał się przed ostatnimi drzwiami. Otworzył je, zerknął przez ramię, żeby się upewnić, że nikogo nie ma, potem wpuścił Harveya do środka i wszedł za nim. Szybko zamknął za siebie drzwi.

Znaleźli się w bibliotece doktora Lowella — ogromnym pomieszczeniu, w którym od podłogi aż po sufit pięły się rzędy oprawionych w skórę tomów. Przy jednej ścianie stała przesuwana drabina służąca do zdejmowania książek z najwyższych półek. Dokoła ciągnęła się galeryjka. Półki, parkiet i meble wykonane były z ciemnego drewna. Senator Jenkins zaczął się przechadzać.

— Naprawdę jesteś tak nierozsądny, że musisz gadać o tym z moim synem publicznie? — spytał.

— Po prostu rozmawialiśmy. To jest przyjęcie. A na przyjęciach ludzie ze sobą rozmawiają.

— Wiesz, co by się stało, gdyby ludzie się dowiedzieli o Bradleyu?

Harvey zrobił zdziwioną minę.

— Nie — odparł. — Zapanowałyby pokój na Bliskim Wschodzie?  
— Nie zgrywaj się, Riker.  
— Wybuchłaby wojna nuklearna? Nastalby koniec świata?  
— Sporo ci zawdzięczam, ale mnie nie prowokuj.  
— Niczego mi pan nie zawdzięcza — rzekł beznamiętnie Harvey.  
— Uratowałeś życie mojemu synowi.  
— Tego nie wiemy. Czas pokaże.  
— Mimo to sytuacja wygląda obiecująco — powiedział senator. — Jestem ci wdzięczny.  
— Wzruszyłem się.  
— Słyszałem o śmierci doktora Greya. Moje kondolencje.  
— W takim razie może zechciałby pan wspomóc finansowo jego dotychczasową działalność?

Jenkins zachichotał lodowato.

— Nie — odparł.  
— To może postarałby się pan, żeby Senat przydzielił więcej funduszy na walkę z AIDS?  
— Wiesz, że nie mogę tego zrobić. Media i moi przeciwnicy rozerwaliby mnie na strzępy.  
— Za to, że pomaga pan w walce ze śmiertelną chorobą?  
— Za to, że wydaję ciężko zarobione pieniądze podatników na pomoc dla zgrai niemoralnych zboczeńców.

— Takich jak pański syn?

Senator opuścił głowę.

— To cios poniżej pasa, Riker — mruknął. — I to mocny. Gdyby się wydało, że Bradley jest... — Urwał.

— Kim? Gejem? — dopowiedział Harvey. — Tego słowa pan szukał? Nie wyda się. Ja na pewno o tym nie powiem.

— Wobec tego będę ze wszystkich sił pomagał klinice, ale dyskretnie. — Jenkins zamyślił się na moment. — Poza tym są inne sposoby gromadzenia pieniędzy — dodał. — Bez mojego udziału.

— Jakie?

— Opublikujcie wyniki badań.

— Za wcześniej.

— Nigdy nie jest za wcześniej. Myślisz, że w Waszyngtonie nie krążą plotki na temat waszych sukcesów? A ja niby jak się o tym dowiedziałem? Musicie tylko pokazać mediom wyniki kilku pacjentów. Pokażcie Krutzera albo Paula Leandera.

Harvey miał ochotę się uśmiechnąć.

— A może Bradleya? — spytał. — Syn senatora z pewnością przyciągnąłby większą uwagę niż jakiś nieznany nikomu gej.

— Nie wolno ci go w to wciągać.

— Nawet jeśli oznaczałoby to uratowanie wielu ludzi?

A może pański syn to jedyny homoseksualista, którego warto ratować?

— Riker, nie wolno ci wykorzystać Bradleya. To moje ostatnie słowo. Rozumiemy się?

— Owszem, senatorze. Rozumiem, że niektóre sprawy są ważniejsze niż ludzkie życie. Na przykład reelekcja.

Jenkins zrobił krok do przodu. Był wysoki i bez trudu górował nad Harveyem.

— Powoli mam dosyć twoich umoralniających gadek — powiedział. — Za wysokie progi dla ciebie. Widziałem lepszych, którzy szli na dno, gdy za bardzo fikali.

— Grozisz mi?

— Nie, tylko ostrzegam. Ktoś może cię rozdeptać, jeśli zaczniesz sprawiać kłopoty.

Harvey śmiało patrzył senatorowi w oczy.

— Chyba nie do końca rozumiesz — odparł spokojnym tonem. — Jeśli moja klinika pójdzie na dno, to razem z nią utonie pewien prawicowy zacofany senator z Arkansas.

Jenkins pokręcił głową.

— Jesteś ślepy, Riker. Nawet nie wiesz, w co się wpakowałeś.

— To mnie oświeć.

— Twoja klinika ma mnóstwo wrogów. Jest wielu ludzi, którzy chętnie zastopowaliby wasze badania. Ludzi wpływowych.

— Takich jak ty?

Senator cofnął się o krok i pokręcił głową.

— Ja tylko próbuję uratować życie swojemu synowi — odparł cicho. — Ale są potężni ludzie, którzy chcą zamknąć klinikę. Na zawsze.

— Wiem o tym. Poradzę sobie.

Jenkins podszedł do drzwi i nacisnął klamkę.

— Wątpię — odpowiedział.

\* \* \*

Sara patrzyła na Michaela i Cassandrę. Ścisnęła laskę tak mocno, że pobieleły jej kłykcie. Najchętniej zdzieliłaby nią siostrę w łeb. Zamknęła oczy na chwilę. Zdawała sobie sprawę, że wyrachowana Cassandra prowadzi grę. Mimo to poczuła złość i zazdrość, aż poczerwieniała na policzkach.

A przecież powinna już dawno przywyknąć do knoń siostry.

Odchrząknęła i ruszyła w ich stronę, lecz nagle ktoś zastąpił jej drogę.

— Dobry wieczór pani.

Podniosła wzrok.

— Dobry wieczór, pastarze — odparła zdumiona.

— Czy może mi pani poświęcić chwilkę? — spytał Sanders, przywołując na twarz swój słynny uśmiech.

Poprowadził ją w boczny korytarz, z daleka od gości.

— Jestem zaskoczona — przyznała Sara. Co ty tu robisz, do ciężkiej cholery?!

— Święta Krucjata wspiera fundację pani ojca — wyjaśnił Sanders. — Zatem pani ojciec nie miał wyboru, musiał zaprosić przedstawiciela naszej organizacji. Postanowiłem przyjść osobiście, bo zawsze chciałem poznać szanownego doktora Lowella.

— Rozumiem.

— Widzi pani, pomimo tego zmasowanego ataku na Świętą Krucjatę i bogobojnych...

— W felietonie nie było żadnego ataku — przerwała pastorowi Sara. — Podaliśmy czyste fakty dotyczące finansów i podatków.

Uśmiechnął się.

— Sądzi pani, że jest taka sprytna? Naprawdę pani myśli, że ten program mógł zaszkodzić mojej pozycji i działalności? Jest pani głupia. Próbując mnie zniszczyć, zadziałała pani na moją korzyść.

Sara oparła się na lasce.

— Nie wiem, o czym pastor mówi — odparła. — A teraz proszę wybaczyć.

Zaczęła kuśtykać w kierunku sali balowej, ale Sanders szybko wyciągnął rękę i chwycił ją za łokieć.

— Program jeszcze się nie skończył, a już pieniądze popłynęły szeroką strugą — powiedział. — Ludzie dzwonią na wyścigi, telefony się urywają. Dzięki waszej darmowej reklamie...

— Zabieraj łapy, bo zacznę śpiewać.

Chwycił ją mocniej.



— Twoje ataki zmobilizowały moich zwolenników — ciągnął. — Wierzący dostrzegają zagrożenie i powstają, żeby...

— Co tu się dzieje?

Sanders cofnął rękę i błyskawicznie się odwrócił. Znow się uśmiechał.

— O, pan Michael Silverman! — krzyknął. — Gwiazdor koszykówki. Jestem pana wielbicielem. Bardzo miło poznać.

Wyciągnął rękę.

Michael patrzył na niego wściekłym wzrokiem, z trudem pohamowując gniew. Sara podeszła do niego i pogłaskała go po ramieniu. Miał napięte, twarde mięśnie. Palił pastora spojrzeniem, nie zwracając uwagi na jego wyciągniętą dłoń. Ten w końcu cofnął rękę, a jego uśmiech odrobinę przygasł.

— Hm, przyjemnie się gawędziło, ale teraz muszę wracać do gości — mruknął.

— A może ze mną pogawędzisz?

Sanders zaczął się obficie pocić.

— Może zobaczymy się wszyscy nieco później — odparł. — Do widzenia pani.

— Do widzenia, pastorze.

Odwrócił się do Michaela.

— Aha, przy okazji chciałem poinformować, że Święta Krucjata wspiera gorąco Izrael — rzekł. — Uznałem, że powinien pan wiedzieć.

Ruszył przed siebie.

Michael patrzył na oddalającą się postać.

— Proszę o pozwolenie, żeby roztrzaskać mu łeb.

— Brak zgody — odparła Sara. — Na razie.

— Ale ty jesteś drętwa — zażartował nieco już rozluźniony.

— Przepraszam.

— W dodatku to zwolennik Izraela. Wspaniale, prawda, skarbie? Założę się, że wśród najbliższych przyjaciół ma Żydów.

Skinęła głową.

— Pewnie chce się nawrócić — powiedziała.

— No to ja chętnie go obrzeżam.

Michael przytulił mocno Sarę.

— Wszystko w porządku? — spytał.

— Tak. — Zdjęła okulary i wytarła szkła jego chusteczką. — To co ty dzisiaj robiłeś, mój dzielny bohaterze?

Wzruszył ramionami.

— To co zwykłe. Wynosiłem małe dzieci z pożaru, walczyłem z przestępcami na ulicach, próbowałem nie wpaść w łapska twojej siostry.

Sara parsknęła śmiechem.

— Cassandra potrafi być mocno napastliwa — zauważyła.

— Tylko trochę. Jak Napoleon. Chyba nie było ci przykro?

— Przykro? Ależ skąd. Poczułam jednak, że mam wielką ochotę dać jej laską przez łeb.

— Brawo.

— Ale mam nadzieję, że opierałeś się dzielnie?

Położył dłoń na piersi.

— Moja cnota pozostaje nieskalana — powiedział.

— To dobrze.

— A tak przy okazji, świetnie dziś wypadłaś.

Uniosła brwi.

— Chodzi mi o program — wyjaśnił. — Nic dziwnego, że Sanders się wkurzył. Skopałaś mu dupsko.

— Wiesz, on chyba ma rację. Cała ta sprawa tylko dopinguje jego zwolenników i przysporzy mu nowych.

— Może na chwilę. Ale nawet ostatni dureń w końcu zmądrzeje.

— To nie są durnie, tylko naiwniacy.

— Wszystko jedno — odparł Michael, biorąc Sarę za rękę. — Gotowa stawić czoło swej wiernej publiczności?

— Nie.

— Doskonale! Więc chodź ze mną, maleńka.

— Dokąd?

— Wspomniałaś wcześniej o chwili sam na sam.

— Ja? Kiedy? Nie pamiętam.

— Wtedy, gdy nazwałaś mnie ogierem.

— Aha — odparła, ruszając w kierunku schodów. — Teraz sobie przypominam.

\* \* \*

— Senatorze!

Stephen Jenkins odwrócił się w stronę, z której dobiegł głos. Błyskawicznie przywołał na twarz dyżurny uśmiech, którym zyskiwał wyborców.

— Ach, wielbny Sanders! Tak się cieszę!

Uścisnęli sobie serdecznie dłonie. Senator wiedział, że Sanders jest jednym z najbardziej wpływowych ludzi na południu kraju. W ostatnich dziesięciu latach religijna prawica przesądziła o ponownym wyborze Jenkinsa na senatora, nikt zaś nie miał tak wielkiego posłuchu u wyborców jak właśnie Sanders. Jeśli kogoś popierał, wychwalał go jako następcę starotestamentowych proroków. Jeśli kogoś zwalczał, w swoich kazaniach traktował go gorzej niż szatana. Jenkins miał szczęście, bo pastor mu sprzyjał. Bez jego wsparcia zapewne przegrałby w ostatnich wyborach z tym liberałem, którego wystawiła przeciw niemu Partia Demokratyczna.

— Witaj, Stephen. Niezłe przyjęcie, co?

— O tak.

Bez kolejnego słowa czy choćby jednego porozumiewawczego spojrzenia zagłębili się w długi korytarz, żeby się znaleźć poza zasięgiem wzroku i słuchu innych gości. Uśmiechy szybko spłynęły z obu twarzy. Sanders nachylił się do przodu. Miał zaciśnięte szczęki.

— Niezbyt mi się podoba lista gości — szepnął senatorowi do ucha.

— Jak to?

— Co ten Riker tu robi, do ciężkiej cholery?

— Jest zaprzyjaźniony z córką Lowella — odparł Jenkins.

— Niedobrze, że przyszedł. To mu nadaje... pewną wiarygodność. Nie uważasz?

Senator skinął głową, choć miał inne zdanie. Poza tym wiedział, że Johna Lowella bardziej zbulwersowała obecność właśnie Sandersa, a nie Rikera. John wyraźnie zaznaczył, że nie chce, aby ktokolwiek wiedział o jego związkach z telewizyjnym kaznodzieją.

— Ostatnio sporo się dzieje — ciągnął Sanders. — Lepiej się przygotujmy. Uważam, że powinniśmy się wszyscy spotkać w przyszłym tygodniu.

— Gdzie?

— W Bethesda.

Senator skinął głową.

— Długo tutaj zabawisz? — spytał.

— Nie, jutro po południu wyjeżdżam. Przyjechałem tylko nu ten program w telewizji i... jak to powiedzieć... — Urwał zamyślony. — I po to, żeby utrzymać święte przymierze.

Jenkins poczuł ciarki na plecach.

— Nie rozumiem — rzekł.

Sanders spojrział mu prosto w oczy.

— O nic się nie martw, Stephen. Sam się wszystkim zajmę.

\* \* \*

Kilka godzin później Harvey Riker dostrzegł Sarę, stojącą Minolnic przy barze. Nareszcie, pomyślał, czując niewyraźną ulgę. W końcu z nią pogadam. Przez piętnaście minut patrzył, jak Sara rozmawia z Bradleyem. Oboje mieli poważne miny. Wreszcie przerwał im ojciec Bradleya. Wszedł między nich i odciągnął syna na bok. Nic dziwnego. Harvey wiedział, że Bradley zwierza się Sarze. Senator Jenkins prawdopodobnie też zdawał sobie z tego sprawę.

Wsparta na lasce Sara piła powoli drinka. Harvey podszedł do niej.

— Tu jesteś — zaczął. — Szukam cię przez cały wieczór. Winszuję świetnego występu.

Pocałowała go w policzek.

— Dziękuję — odparła. — Jak się masz?

— Świetnie.

— A co w klinice?

Wzruszył ramionami.

— W porządku.

— Harvey, czy Michael z tobą rozmawiał?

— O czym?

— O swoim brzuchu.

— Nie, a co się dzieje?

Zmarszczyła czoło.

— No nie, ja go ukatrupię! — prychnęła.

— Co się stało?

— Od ponad tygodnia ma ostre bóle brzucha.

Skinął głową.

— Teraz rozumiem, dlaczego się tak krzywi przez cały wieczór — mruknął.

— Co za uparciuch! Obiecał, że z tobą porozmawia.

— Nie miej do niego pretensji. Nie jestem dziś najlepszym towarzystwem. Pewnie uznał, że to nieodpowiednia pora.

— No dobrze.

— Słuchaj, Saro, muszę z tobą porozmawiać o czymś bardzo ważnym — powiedział Harvey, zmieniając temat. Złamał obietnicę daną barmanowi i zaliczył kolejne kieliszki martini. Teraz pił następny, najpierw rozkoszując się chłodnym trunkiem w ustach, dopiero potem go połykając. Być może wcześniej czuł się podпиты, ale w tej chwili jego umysł był trzeźwy i czujny. — Chodzi o klinikę — zaczął, zastanawiając się nad każdym słowem. — I o śmierć Bruce'a. — Urwał i wyciągnął rękę. — Chodźmy się przejść — zaproponował. Wyszli przez drzwi balkonowe na rozległy teren. Wielu gości znajdowało się na dworze, bo przyjęcie przeniosło się częściowo z zatłoczonej sali balowej na trawniki i do wypielęgowanych ogrodów. Minęli w milczeniu basen, kabinę plażową i kort tenisowy. Sara poprowadziła Harveya do stodoły, w której jej ojciec trzymał konie. Otworzyła drzwi, wypuszczając na zewnątrz woń siana. Weszli do środka. Z głębi dobiegło rżenie.

— Piękna posiadłość — powiedział Harvey.

— Tak — przyznała Sara.

Pogłaskał siwego ogiera po szerokim czole.

— Jeździsz konno? — spytał.

Pokręciła głową.

— W naszej rodzinie jeździ Cassandra — odparła. — Lekarze zawsze uważali, że w moim przypadku jazda konna to niedobry pomysł, więc nigdy się nie nauczyłam.

— Aha.

— No dobrze, powiedz, co się dzieje.

— Pomyślisz, że zwariowałem.

— Od dawna tak myślę.

Harvey zachichotał, a potem rozejrzał się dokoła, by się upewnić, że są sami.

— No więc posłuchaj — zaczął powoli. — Jak wiesz, nasza klinika działa już prawie trzy lata. Robiliśmy z Bruce'em co w naszej mocy. Jednocześnie staraliśmy się zachować wyniki badań w tajemnicy. Za wszelką cenę chcieliśmy uniknąć rozgłosu.

— Wiem — odparła Sara. — Ale nigdy nie rozumiałam powodów tej konspiracji. Szpitale i lekarze na ogół walczą o sławę w mediach.

— Na ogół. Ja też chętnie zobaczyłbym swoją uśmiechniętą twarz w telewizji. Ale tu chodzi o coś innego. O coś znacznie ważniejszego. Po pierwsze, nasze metody leczenia są eksperymentalne. W takim przypadku pogłoski nawet o jednym sukcesie rozbudzają nadzieje, które przecież mogą okazać się nieuzasadnione. Po drugie, mamy tylko czterdziestu pacjentów. Wielu z oczywistych względów nie chce, żeby ich nazwiska trafiły do opinii publicznej. W naszym społeczeństwie AIDS wciąż jest postrzegane jako kara za grzechy. To rodzi przesady i dyskryminację.

— Rozumiem.

— Ale teraz pojawiły się nowe problemy.

— Jakie?

— Pieniądze — rzekł Harvey bez ogródek. — Kończą nam się fundusze i rozpaczliwie potrzebujemy nowych. Jeśli nie będzie społecznej presji na władze federalne, jeśli nie będzie dotacji z zewnątrz, klinika długo nie przetrwa i... — Urwał. — Jest coś jeszcze. Ale musisz przysiąc, że zachowasz to w tajemnicy.

— Mów.

— Przysięgnij.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Przysięgam — powiedziała.

Westchnął głęboko.

— Pewnie słyszałaś różne plotki. Mimo że staraliśmy się zachować dyskrecję, informacje wyciekały. Najpierw zastosowaliśmy pewien specyfik wobec wyizolowanego laboratoryjnie wirusa. Wstrzyknęliśmy go myszom. I z czasem wirus został zniszczony we wszystkich przypadkach. To samo się stało, kiedy zrobiliśmy eksperyment z małpami.

Sara przełknęła ślinę.

— Co chcesz mi powiedzieć? — spytała.

— Tego nie da się długo utrzymać w tajemnicy. Poza tym sami uznaliśmy, że pora ujawnić fakty. Ale krok po kroku.

Patrzyła z rozdziawionymi ustami. Owszem, słyszała pogłoski o przełomie w badaniach nad AIDS, ale uznała je za pobożne życzenia.

— Harvey, czy to znaczy, że...

Skinął głową.

— Tak. Znaleźliśmy lek, a przynajmniej specyfik silnie ograniczający skutki zakażenia wirusem HIV.

— Mój Boże.

— Sprawa jest jednak dość skomplikowana — dodał szybko. — To nie jest cudowny lek w klasycznym rozumieniu, to długa i często bolesna procedura. Ale w niektórych przypadkach okazuje się nadzwyczaj skuteczna.

— Dlaczego trzymasz to w tajemnicy?

Wyjął chusteczkę z kieszeni i otarł spoconą twarz. Sara nigdy wcześniej nie widziała, żeby był aż tak spięty.

— Dobre pytanie — odparł. — HIV, a więc tak zwany ludzki wirus niedoboru odporności, to bardzo sprytnie cholerstwo. Nic mieliśmy pewności, czy faktycznie blokujemy skutki działania wirusa, czy może wirus po prostu zachowuje się łagodnie z jakiegoś powodu. HIV nieustannie się zmienia, przechodzi mutacje, a nawet kryje się w ludzkich komórkach. Nie znaliśmy faktycznych długoterminowych skutków naszego leczenia. Wyobraź sobie, że ogłosilibyśmy, iż znaleźliśmy lek na AIDS, a potem okazałoby się, że jesteśmy w błędzie.

— Rzeczywiście, to byłaby katastrofa — przyznała.

— Łagodnie rzecz ujmując. Poza tym musimy działać pod dyktando Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej.

— A co oni mają z tym wspólnego?

— Bardzo dużo. To wielki biurokratyczny urząd, a biurokraci potrafią wszystko niemiłosiernie spowolnić. Ten Departament to czapa nad całą służbą zdrowia, Agencją do spraw Żywności i Leków, Narodowym Instytutem Zdrowia i innymi instytucjami.

— Biurokraci rządzeni przez biurokratów.

— Otóż to. Dlatego mamy placówkę za granicą, żeby żaden znudzony albo urażony urzędnik z Departamentu nie wszedł nam w paradę.

— Nie rozumiem.

— Wiesz przecież, że służyłem jako lekarz w Wietnamie.

Skinęła głową.

— Spędziłem dużo czasu w Azji Południowo-Wschodniej. Tam mieszkają spokojni ludzie. Dyskretni. Nikt nie miesza się do twoich spraw. Bruce i ja postanowiliśmy trzymać wszystko w Bangkoku. Testy laboratoryjne, fragmenty tkanek, próbki krwi i tak dalej.

— Z dala od biurokratów?

— Tak. Oczywiście te instytucje mają do odegrania ważną rolę, ale na przykład Agencja do spraw Żywności i Leków przez długie lata bada specyfiki. Muszą się upewnić, że są bezpieczne. A czas płynie. Na pewno słyszałaś o eksperymentalnych lekach przeciw AIDS, których Agencja nie dopuściła do obrotu.

Znowu kiwnęła głową.

— Owszem. Nie widzę w tym żadnego sensu.

— To skomplikowana kwestia, ale zgadzam się z tobą. Skoro AIDS jest chorobą śmiertelną, to co szkodzi pozwolić, żeby biedny skurwiel spróbował jakiegoś leku, przecież i tak umiera? My chcieliśmy przeprowadzić jak najwięcej badań, by przekazać Agencji pełną dokumentację i tym samym wykluczyć wszelkie możliwe opóźnienia. Mając placówkę w Bangkoku, mogliśmy testować nasz specyfik w spokoju.

Sara zamyśliła się na moment.

— A nie mogliście po prostu przekazać po cichu władzom wyników waszych badań? Na pewno dostalibyście więcej funduszy, gdyby zobaczono, że macie konkretne efekty.

Harvey się uśmiechnął.

— Zapominasz, że ludzie, którzy o tym decydują, są politykami — odparł. — Wyobrażasz sobie polityka, który zachowałby dyskrecję w tak ważnej sprawie? Nie ma na to szans. Użyliby tego, żeby zyskać głosy w kolejnych wyborach.

— Racja.

— I jeszcze jedno. Nie wszystkim ważniakom podoba się to, co robimy. Nie podoba się na przykład twojemu ojcu.

— Mój ojciec zgłaszał zastrzeżenia zupełnie innego rodzaju — odparła Sara asekurancko. — Gdyby wiedział, że znaleźliście lek...

— Może niezbyt precyzyjnie się wyraziłem — przerwał jej Harvey. — Twój ojciec jest wspaniałym lekarzem i nigdy nie zakwestionowałbym jego poświęcenia. Nie zgadzam się z

nim w sprawie AIDS, ale rozumiem, że jest to po prostu różnica zdań, a nie kwestia ideologii. Ale są inni. Tacy jak ten skurwiel Sanders i idące za nim ślepo różne półgłówki. Oni zrobią wszystko, by zastopować nasze badania.

— No dobrze, ale co to wszystko ma wspólnego ze śmiercią Bruce'a? — spytała Sara. — Dlaczego popełnił samobójstwo, skoro byliście o krok od sukcesu?

Harvey opuścił głowę. Wbił spojrzenie swych zmęczonych oczu w buty.

— O to właśnie chodzi — mruknął.

— O co?

Zamieszał słomką w kieliszku.

— Załóżmy, że chciałbym ci udowodnić ponad wszelką wątpliwość, iż znaleźliśmy lek na AIDS — powiedział. — Co musiałbym pokazać, żeby cię przekonać?

— Badania konkretnych przypadków.

Skinął głową.

— Właśnie. Czyli pacjentów, których wyleczyliśmy, zgadza się?

— Tak — przyznała.

— Bruce, Eric i ja patrzyliśmy na to w ten sam sposób. Duża część naszej pracy polega na leczeniu pacjentów. Gdybyśmy mogli pokazać światu ludzi, którzy zostali w pełni wyleczeni, wtedy mielibyśmy niezbity dowód.

— Oczywiście.

— Sęk w tym, że dwaj pacjenci, w których leczeniu mieliśmy najlepsze wyniki, Bill Whitherson i Scott Trian, nie żyją.

— A więc jednak zmarli na AIDS?

Harvey pokręcił głową.

— Zostali zamordowani — powiedział.

Sara poczuła, jakby ktoś wymierzył jej siarczysty policzek.

— Że co?

— Obaj zmarli w wyniku zadania im wielokrotnych ciosów nożem. W ciągu dwóch tygodni.

— Nie słyszałam o tym.

— Sara, gazety nie piszą na pierwszych stronach o zabitych gejach.

— Rozmawiałaś z policją?

— Tak — odparł Harvey. — Uznali to za dziwny zbieg okoliczności. I tyle. Wskazali na podobieństwa między oboma pacjentami. Obaj geje, obaj szatyni, obaj z Greenwich Village. I tak dalej, i tak dalej.

— Może policja ma rację? Może to zbieg okoliczności?

— Owszem, też tak myślałem. Ale... Ale?

— Ale teraz Bruce też nie żyje.

— Myślisz, że jego samobójstwo ma z tym jakiś związek?

Milczał. Wziął głęboki oddech.

— Nie wierzę, że Bruce popełnił samobójstwo — odparł po chwili. — Uważam, że został zamordowany.

Sara poczuła suchość w ustach.

— Jak to? Przecież chyba znaleziono list pożegnalny?

— Tak.

— P potwierdzono, że to on go napisał?

— Tak.

— No więc?

— Nie wiem, jak to się odbyło. Może ktoś sprytnie podrobił jego pismo. Nie wiem.

Sara patrzyła w osłupieniu.

— Twierdzisz więc, że ktoś wyrzucił go przez okno?

— Twierdzą, że warto bliżej przyjrzeć się tej sprawie. Bruce miał być w Meksyku na wakacjach. Czy człowiek wraca wcześniej z wakacji do domu po to, żeby się zabić? I jest coś jeszcze.

— Co?

— Zadzwoił do mnie kilka minut wcześniej, zanim wypadł z okna. Był przerażony. Powiedział, że musi ze mną porozmawiać o czymś bardzo ważnym. Jestem pewien, że chodziło o tamte dwa morderstwa. Rozmawialiśmy może z minutę albo dwie, a potem się nagle rozłączył.

— Mówił ci, gdzie jest?

— Nie.

— Chcę cię jeszcze o coś zapytać — powiedziała Sara, rozmyślając gorączkowo. — Czy są inni pacjenci, których historia może być dowodem skutecznego działania waszego leku?

— Tak. Co najmniej cztery osoby. Zdaję sobie sprawę, że to wszystko brzmi idiotycznie i że można to wytłumaczyć na sto innych sposobów. Może po świecie gania jakiś wariat nienawidzący homoseksualistów z Greenwich Village. Może dopadł Whithersona i Triana, może ich zabił. Może zrobił to inny pacjent albo członek naszego zespołu badawczego. Ale zrozum, Saro, to bardzo ważna sprawa. Jeśli ktoś ich zabił, bo byli pacjentami naszej kliniki, i jeśli to samo spotka pozostałych, może to spowodować ogromne opóźnienie w leczeniu AIDS. Opóźnienie, które będzie kosztować życie tysięcy ludzi. Może setek tysięcy.

— Rozumiem twój punkt widzenia, Harv. Ale po co mi to wszystko mówisz?

Uśmiechnął się, choć nadal wyglądał na zmęczonego.

— Nie osiągnąłem wiele w życiu — odpowiedział. — Jestem rozwiedziony. Nie mam dzieci. Mój jedyny brat zmarł na AIDS. Ojciec umarł dawno temu, a matka ma alzheimera. Pracuję na okrągło, więc przyjaciół też nie mam. — Urwał, jakby chciał wykrzesać z siebie więcej sił. — Zawsze traktowałem Michaela jak syna. A to znaczy, że ty jesteś jakby moją synową. Najlepszą synową na świecie. Czy ci się to podoba, czy nie, oboje jesteście dla mnie jak rodzina.

— Podoba — odparła Sara, biorąc Harveya delikatnie za rękę. — Mówiłeś jeszcze komuś o tym wszystkim?

— Zamierzam powiedzieć Michaelowi, ale najpierw chciałem z tobą porozmawiać. Oczywiście wie Eric. Wspaniale mi się z nim współpracuje, odkąd przed rokiem do nas dołączył. Polegam na nim w każdej sprawie.

— Cieszę się, że jest tak przydatny.

— No właśnie. Jeśli chodzi o te okropne morderstwa, obaj zaczynamy wątpić w naszą poczytalność. Może jesteśmy wariatami? Świrami, którzy wierzą w teorie spiskowe? Taka wyteżona praca w zamknięciu po pewnym czasie sprawia, że człowiek dziwaczeje. Saro, czy pomożesz mi zbadać te zabójstwa?

— Tak — odpowiedziała. — Mam znajomego w wydziale zabójstw. To oficer śledczy Max Bernstein. Porozmawiam z nim. Ale mam też inną propozycję.

— Jaką?

— Pozwól mi zrobić reportaż o twojej klinice.

— Po co?

— Puścimy to w *NewsFlash*. Zobaczysz, odzew będzie pozytywny, a to zmusi władze do wyasygnowania większych funduszy.

— No nie wiem. Ci w Waszyngtonie mogą się wkurzyć.

— No i co z tego? — odparła. — Po twojej stronie będzie cała Ameryka. Politycy nie ośmielą się zamknąć kliniki.

Harvey spuścił wzrok i milczał przez długą chwilę.

— No więc? — spytała Sara.

— Czy możesz zachować w tajemnicy naszą tożsamość? — spytał. — Czy możesz to zrobić bez podawania nazwisk? Lekarzy i pacjentów. Nie chcę narażać dobra pacjentów na szwank.

— Oczywiście, nie ma problemu.

Rozejrzał się strachliwie dokoła półprzytomnymi oczami.

— Myślisz, że to pomoże...?

— Na pewno — odparła Sara z przekonaniem. — Sam mówiłeś, że czas powiedzieć o tym światu.

Skinął głową.

— No więc dobrze, zgoda. — Potrząsnął głową, jakby chciał przegnać mętne myśli. Próbował zrobić wesołą minę. — Zmieńmy na chwilę temat. Jak się masz?

— Właściwie to chciałam cię prosić o małą przysługę — odparła Sara z lekkim uśmiechem.

— Słucham.

— Szukam dobrego ginekologa — położnika.

Tym razem to Harvey wybałuszył oczy.

— Jezu, czy to znaczy, że...

Wzruszyła ramionami, próbując opanować podniecenie. Z największą chęcią odpowiedziałaby twierdząco. Pragnęła zobaczyć minę Michaela, gdyby wyniki potwierdziły jej przecucie.

— Na razie nie wiem. Okres mi się spóźnia.

— Może to dość obcesowe pytanie, ale co będzie z twoją karierą?

— Mogę pracować do samego końca, a poza tym korporacje telewizyjne uwielbiają rozgłos na temat macierzyństwa swoich gwiazd. Oglądalność strzela w górę.

— Możesz wpaść jutro do szpitala o dziesiątej rano?

— Tak.

— Świetnie. Spytaj o doktor Carol Simpson. Uprzedzę ją, że przyjdiesz. — Urwał, a potem dodał poważnym tonem: — Wiem, że od dawna staraliście się o dziecko. Mówiłaś już Michaelowi?

Pokręciła głową.

— Wolę zaczekać na wyniki badań — odparła. — Nie chcę mu robić nadziei, bo może to fałszywy alarm.

— Mogę jutro też przy tym być?

— Oczywiście. Chciałabym, żebyś przyszedł.

— Świetnie, to do jutra.

— Harvey?

— Tak?

— Proszę cię, porozmawiaj z Michaeliem o tych bólach brzucha. On jest uparty, ale to naprawdę niedobrze wygląda.

— Zaraz z nim porozmawiam.

\* \* \*

George siedział w samochodzie zaparkowanym za bujnymi zaroślami obok wjazdu na posiadłość doktora Lowella. Spojrzał na swój złoty zegarek marki Piaget. Robiło się późno. Przyjęcie powoli dobiegało końca i większość gości już wracała do domu.

Siedział w aucie od kilku godzin i widział, jak jego potencjalna ofiara przyjechała w lśniącej limuzynie. Biedak był teraz w środku. Prawdopodobnie pił szampana i jadł pasztet z gęsich wątróbek, bawił się w wytwornym towarzystwie w nieświadomości, że za kilka godzin nóż przetnie jego tętnice i na zawsze zgasi w nim życie.



George przyjrzał się długiemu ostrzu z obu stron. Mimo ciemności połyskiwało złowrogo. Minęła go limuzyna opuszczająca rezydencję. Podniósł wzrok i natychmiast rozpoznał numery rejestracyjne. Pojawiło się znajome uczucie krążącej w żyłach adrenaliny. Włączył zapłon i ruszył za limuzyną.

Szybka kontra dwóch na jednego. W swojej karierze sportowej Michael odparł setki, może nawet tysiące takich ataków. Patrzył, jak Jerome Holloway, chudy czarny chłopak z Memphis, numer jeden z tegorocznego naboru, błyskawicznie nadbiega z piłką. Po jego lewej stronie pędził Mark Hoone, drugi rekrut, biały dryblas z uniwersytetu Brigham Young wyglądający jak rośły rolnik. Dwaj debiutanci z determinacją w oczach natarli na weterana.

Chodźcie do tatusia.

Mało kto potrafił zatrzymać dwuosobowy atak skuteczniej niż Michael — należało ich zdeorientować, zwłaszcza tego, który miał piłkę. Chodziło o to, by spanikowany Holloway wykonał sygnalizowane podanie do Boone'a albo przyhamował na tyle długo, że zdąży nadciągnąć odsiecz.

Michael markował ruchy w lewo i w prawo, udając, że chce zastąpić drogę Hollowayowi, to znów że chce obstawić Moone'a. Pomyślał, że wygląda, jakby dostał ataku szału. I dobrze, tym łatwiej zdeorientuje rekrutów.

Jerome Holloway biegł wprost pod kosz. W ostatniej chwili Michael przeciął mu drogą. Murzyn podskoczył, wypatrując Boone'a po drugiej stronie. Michael omal się nie uśmiechnął. Gdy chłopak oderwał stopy od podłogi, wszystko zostało przesądzone. Popęnił błąd. Typowy błąd nowicjusza. Przestraszony przyciągnął ręce do klatki piersiowej, chcąc rzucić piłkę do kolegi.

Łatwe jak odebranie dziecku cukierka.

Michael odbił nagle w kierunku Boone'a, gotów przejąć piłkę i wyprowadzić błyskawiczną kontrę. Robił tak niezliczoną ilość razy. O wyniku meczu decydowały właśnie takie momenty, gdy sytuacja nagle się odwracała. Zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę, chcąc przeciąć lot piłki.

Ale Holloway nie rzucił. Przyłożenie piłki do piersi i spanikowana mina okazały się podpuchą. Całkowicie wyeliminowany z gry Michael patrzył bezradnie, jak uśmiechnięty Murzyn biegnie niepowstrzymany w kierunku kosza. Sekundę później wykonał wyskok zakończony mocnym wsadem, od którego zadrżała tablica.

Opadł na parkiet i się odwrócił. Wciąż się uśmiechał.

— Dobra, dobra, wiem — wykrztusił zdyszany Michael. — Zrobiłeś mnie w konia.

Chłopak wzruszył ramionami.

— Ty to powiedziałeś, staruszkule — odparł. — Ale uwielbiam grać przeciwko legendom.

— Ej, młody, to tylko trening. Gramy w tej samej drużynie.

— Jasne, w Knicksach do końca życia. A przy okazji, ładne porteczki.

— Co, nie podobają ci się?

— Bardzo modne. Różowe i niebieskie kwiatuszki.

Biegali dalej w dziesięciu po parkiecie, spoceni od walki o piłkę. Ich ciała połyskiwały w matowym świetle. Michael był zgrzany i zmęczony. Trochę nie w formie. W dodatku te bóle brzucha...

Zbliżający się sezon miał być jego dwunastym w drużynie New York Knicks. Zaczynał podobnie jak Holloway — jako numer jeden z naboru. W wieku dwudziestu dwóch lat skończył studia na Stanfordzie i już w pierwszym roku został gwiazdorem NBA, zdobywając tytuł Rekruta Roku i miejsce w Drużynie Gwiazd. W tym samym roku Knicks wydzwignęli się we wschodniej lidze z przedostatniego miejsca na drugie — po dwudziestu meczach karta zupełnie się odwróciła. Rok później Michael poprowadził drużynę do finałów, w których przegrali w serii siedmiu meczów z Phoenix Suns. Dwa lata później zdobył swoje pierwsze mistrzostwo NBA. Potem dokonał tego z Knicksami jeszcze dwukrotnie i dziesięć razy został

wybrany do Drużyny Gwiazd. Przez osiem sezonów miał też najwięcej odbiorów i asyst ze wszystkich graczy w lidze.

Nieźle, jak na staruszka.

Michael był uniwersalnym obrońcą. Wielu umiało zdobywać punkty tak jak on, niejeden dorównywał mu w zbieraniu piłki znad kosza, paru potrafiło równie dobrze podawać, ale nikt tak dobrze nie bronił. Wszystko razem sprawiało, że był graczem, którego potrzebowała każda drużyna chcąca zwyciężać.

— Co jest, Michael? Czujesz lata w kościach? Rusz tyłek!

Zziajany usłyszał głos nowego trenera, Richiego Crenshawa. Richie zadebiutował w Boston Celtics w tym samym roku, kiedy Michael trafił do Knicksów. Gdy jeszcze grał, toczyli między sobą swoistą przyjacielską rywalizację. I kolegowali się poza boiskiem. Teraz Crenshaw był trenerem Michaela — i nadal jego kumplem.

Chrząć się, Richie! — miał ochotę odkrzyknąć Michael, ale się pohamował.

Czuł suchość w gardle i paliły go płuca. Starzeję się, cholera, pomyślał. Przez pierwszych dziesięć sezonów gry w NBA bogowie zdrowia patrzyli na niego bardzo przychylnie. Ani jednej kontuzji. Przed kilkoma laty miał drobny wypadek na łódce, ale stało się to w trakcie przerwy w rozgrywkach, nie miało więc znaczenia. W ciągu dziesięciu sezonów opuścił tylko dwa mecze — w wyniku lekkiego bólu w pachwinie. Nadzwyczajne. Niestłuchane. Ale potem najwyraźniej coś wkurzyło bogów. W meczu przeciw Washington Bullets źle opadł po wyskoku i nadwerżył sobie kolano. Jakby tego było mało, wielki Burt Wesson, ważący sto dwadzieścia kilogramów brutal z Bullets, zderzył się z nim w trakcie gry. Stopa wytrzymała napór, kolano — nie. Wygięło się w nieodpowiednią stronę — do tyłu. Rozległo się chrupnięcie i w tej samej chwili Michael wrzasnął donośnie z bólu.

Rozbrat z koszykówką na ponad rok.

Nogę włożono w gips, który był tak niewygodny jak suspensorium z szorstkiego sukna. Michael kuśtykał przez długie miesiące.

— Przestań mnie naśladować — naigrawała się Sara. — To nieładnie, wiesz?

— No pięknie, ożeniłem się z komediantką.

— Możemy stworzyć duet — zaproponowała zachwycona. — Będziemy się nazywać Para Kulasów. W ten sposób dokuśtykamy do fortuny. Będziemy zabawni jak kłowni w cyrku.

— Okropne. Straszne. W ogóle nieśmieszne. Przestań.

— Nieśmieszne? No to może będziemy tańczyć? Kuśtykaj w lewo, kuśtykaj w prawo. W tangu możemy się wymieniać kulami.

— Przestań. Ratunku, policja! Niech ktoś zastrzeli tę kobietę!

Oboje zakładali, że być może nie wróci do sportu. Przygotowali się na to. Michael nie był tępym mięśniakiem i od początku zdawał sobie sprawę, że nie będzie grał w koszykówkę do końca życia. Politycy z Partii Republikańskiej przebąkiwali o wystawieniu go w wyborach do Kongresu, gdy już zerwie ze sportem. Ale nie chciał tak łatwo rezygnować. Jeszcze nie. Przez cały rok ćwiczył w pocie czoła pod kierunkiem fizjoterapeuty, którego znalazł Harvey. Dzięki niemu przywrócił kolano pełną sprawność.

Teraz usiłował odzyskać formę na obozie treningowym, na którym drużyna przygotowywała się do sezonu. Ale choć zabezpieczone szyną kolano spisywało się bez zarzutu, żołądek wciąż dawał mu popalić. Poprzedniego wieczoru Michael obiecał Harveyowi, że wpadnie przed trzecią do szpitala na kontrolną wizytę. Zrobią mu pewnie kilka badań, sprawdzą, czy może to jakieś chroniczne zatrucie, dadzą antybiotyki i odeślą do domu.

Harvey. Jezu Chryste, co się dzieje? Michael i Sara niewiele spali ostatniej nocy. Po powrocie z przyjęcia kochali się na kłębowisku zrzuconych pospiesznie ubrań, a potem usiedli i zaczęli rozmawiać o tym, co powiedział im Harvey. Jeśli mówił prawdę, jeśli faktycznie znalazł lek na AIDS...

Jeden z kolegów z drużyny zrobił zastłonę. Michael wykorzystał to i przebiegł z lewej strony boiska na prawą. Kątem oka dostrzegł zegar na ścianie. Dziesiąta. Jeszcze godzina i pojedzie zobaczyć się z Harveyem. W szpitalu. W umyśle Michaela był to teraz szpital przez duże „S”.

Michael nie palił się do tej wizyty. Niby nic, ale na samą myśl przechodziły go ciarki. Nie wiedział, czy przyczyną jest złowrogi wirus HIV, czy jego własna nie do końca uśpiona homofobia.

Zawsze miał pewien problem z gejami. Owszem, uważał, że homoseksualistów należy traktować jak innych, że ich życie prywatne nie powinno nikogo obchodzić, a dyskryminowanie ludzi z powodu preferencji seksualnych jest złem. Był świadom, że Sanders i jego banda skretyniałych bigotów to osobnicy obłąkani i niebezpieczni. Mimo to zdarzało się, że opowiedział dowcip o gejach i nazwał „pedziem” zniewieściałego faceta, poza tym trzymał się z daleka od mężczyzn, którzy wyraźnie byli „ciotami”. Pamiętał, jak Tim Hiller, jego współlokator z czasów studenckich, dobry kumpel i ulubieniec dziewczyn, zszokował środowisko, wyznając, że jest gejem. Michael stanął u jego boku, wspierał go i bronił, ale zarazem zdystansował się od niego. Nie zerwał przyjaźni, po prostu pozwolił, by obumarła. Źle się z tym czuł.

W tej samej chwili piłka trafiła do Reece’a Portera, największego przyjaciela Michaela w drużynie. Jako jedyni w zespole Knicksów byli po trzydziestce. Reece dojrzał Micheala i podał mu piłkę.

— Dawaj! — krzyknął.

Michael pięknym zwodem minął Hollowaya, ruszył środkiem pod kosz i wykonał miękki rzut. Patrzył, jak piłka szybuje, gdy nagle w jego polu widzenia pojawił się znowu Holloway. Frunął. Wyciągnął rękę i pacnął pomarańczową piłkę, posyłając ją w trybuny. Czyściutki blok.

Wylądował na parkiecie i znowu się wyszczerzył.

Michael podniósł rękę.

— Dobra, dobra, wiem — powiedział.

Uśmiech stawał się coraz bardziej zawadiacki.

— Na twarzy masz wypisane zdziwko, staruszk.

Michael usłyszał rechot dobiegający z tyłu.

— Z czego się śmiejesz? — rzucił przez ramię.

Reece ledwo mógł zapanować nad wesołością.

— Staruszk... — wykrztusił, zanosząc się chichotem. — Przyjmujesz to tak spokojnie, Mikey?

Michael spojrzął z powrotem na Hollowaya.

— Dawaj piłkę, cwaniaczku — rzekł. — Atakuj, a ja będę bronił.

— Jeden na jednego? — spytał chłopak z niedowierzaniem w głosie.

— Tak.

— Sam chciałeś. Kiwnę cię tak szybko, że nie będziesz wiedział, kiedy to się stało.

Michael uśmiechnął się szeroko.

— Akurat — odparł. — Pokaż, na co cię stać.

Jerome Holloway wziął piłkę. Zaczął kozłować. Po chwili ruszył szybko w kierunku Michaela. Minął go i był już blisko tablicy, gdy zorientował się, że nie ma piłki.

— Co jest, do...

Odwrócił się błyskawicznie i zobaczył, że Michael wykonuje rzut po przeciwnej stronie boiska. Parsknął śmiechem.

— Dobra, dobra, wiem!

Teraz to Michael wyszczerzył się od ucha do ucha. Reece wył z radości, jakby wygrał na loterii.

— Ej, koleżko, dałeś się zrobić jak dziecko! — krzyknął.  
— To prawda — przyznał Holloway. Odwrócił się do Michaela. — Cwany z ciebie staruszek — powiedział. — Chyba mogę się jeszcze sporo od ciebie nauczyć.  
„Staruszek”, no pięknie.  
— Dzięki, Jerome.  
Rozległ się gwizdek.  
— Pięć minut przerwy! — zawołał Crenshaw. — Napijcie się, a potem każdy rzuca po pięćdziesiąt osobistych.  
Zawodnicy pobiegli do wodotrysku. Tylko Michael stał pochylony na miejscu, z ręką na kolanie. Podeszedł do niego Richie Crenshaw.  
— Ej, co jest? — spytał. — Kiepsko wyglądasz.  
Michael łapczywie chwycił ustami powietrze.  
— Dzięki za wsparcie, trenerze — wykrztusił.  
— Bo to prawda. Mam cię okłamywać?  
— Małe kłamstwo by nie zaszkodziło.  
— Kolano cię boli?  
Michael pokręcił głową.  
— To co się dzieje? — dopytywał się Crenshaw.  
— To... — Dalsze słowa zdławił przeszywający ból. Michael wrzasnął i chwycił się za brzuch.  
— Michael! — zawołał Jerome Holloway. Wybafuszając oczy z przerażenia, rzucił się na ratunek. Za nim nadbiegł Reece Porter.  
— Mikey, co się dzieje?  
Michael nie odpowiedział. Padł na parkiet i zaczął się wić z bólu. Czuł, jakby jakaś żarłoczna bestia pożerała mu wnętrzności.  
— Dzwońcie po karetkę! — krzyknął Reece. — Szybko!

\* \* \*

Doktor Carol Simpson zaprowadziła Sarę do poczekalni w Atchley Pavilion tuż obok głównego budynku. Mieściły się tam prywatne gabinety wielu lekarzy. Pewnego dnia Harvey zabrał Michaela i Sarę na obchód po tym kompleksie medycznym, zwanym Columbia Presbyterian Medical Center. Sara była wtedy pod wrażeniem ogromu tej instytucji, nie mówiąc już o jej reputacji. Znajdował się tam oddział noworodków, oddział pediatryczny, pawilon z prywatnymi izolatkami dla zamożnych pacjentów, dalej instytut neurologii i instytut psychiatrii, każdy w osobnym budynku, uważane za najlepsze tego rodzaju placówki na świecie. Ponadto był oddział okulistyczny, szpital ortopedyczny, klinika urologiczna, szpital chorób kobiecych i nowo wybudowany bardzo duży szpital kardiologiczny.

Cały ten świat nowoczesnej medycyny wciśnięto między Sto Sześćdziesiątą Piątą a Sto Sześćdziesiątą Ósmą Ulicę w hiszpańskim Harlemie, na zachód od Broadwayu.

Nieco dalej stały akademiki dla studentów Akademii Medycznej Uniwersytetu Columbia, jednej z najznamienitszych instytucji medycznych w kraju. Natomiast kilka przecznic dalej w kierunku północnym znajdował się park J. Hooda Wrighta, gdzie na przekór tej szacownej nazwie przechodzień mógł się stać świadkiem lub uczestnikiem handlu narkotykami. Harvey mawiał żartem, że dzięki bliskości szpitala było to dogodne miejsce do przedawkowania.

Jeden z najnowszych i najmniejszych oddziałów tego kompleksu medycznego mieścił się blisko Sto Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy i był schowany przed okiem ciekawskich. Nikt by się nie domyślił, że wysłużony budynek kryje placówkę medycyny eksperymentalnej. W budynku tym, nazwanym Sidney Pavilion na cześć zmarłego brata Harveya, w tajemnicy i pod ścisłą ochroną prowadzono badania epidemiologiczne. Nikt nie mógł tam wejść bez

osobistego zezwolenia doktora Harveya Rikera lub doktora Erica Blake'a. Członków personelu — podobnie jak pacjentów — było niewielu, a wszyscy zostali wybrani osobiście przez Rikera i nieżyjącego już doktora Greya. Rada nadzorcza kompleksu medycznego bardzo rzadko — jeśli w ogóle — zajmowała się publicznie sprawami tego oddziału.

Doktor Simpson wskazała Sarze krzesło, a potem podeszła do okienka i podała pielęgniarce próbkę z pobraną krwią.

— Proszę to wziąć do laboratorium — powiedziała. — Chodzi o beta HCG.

— Tak jest, pani doktor.

Zbliżyła się z powrotem do Sary.

— Beta HCG?

— Tak się naukowo nazywa test ciążowy — wyjaśniła. — Uwielbiamy używać określeń, których nikt inny nie rozumie. Wtedy wydajemy się mądrzejsi, niż jesteśmy w rzeczywistości.

Sara polubiła Carol Simpson od pierwszego wejrzenia. W odróżnieniu od wielu innych lekarzy nie zachowywała się sztucznie ani onieśmielająco. Dzięki jej swobodnemu sposobowi bycia Sara się rozluźniła.

— Rozumiem — odparła.

— Wie pani, musimy jakoś usprawiedliwić te wszystkie lata spędzone na nauce. Najpierw studia, potem staż i specjalizacja. Potrzebujemy czegoś więcej niż tylko tych dwóch liter przed nazwiskiem, dzięki czemu możemy parkować, gdzie nam się żywnie podoba.

— A pani tak parkuje?

— Wyłącznie przed sklepami, gdy są wyprzedaże.

W poczekalni siedziało co najmniej czterdziestu innych pacjentów. Zerkali znad czasopism, chcąc jak najszybciej usłyszeć swoje nazwisko.

— Proszę do mnie zadzwonić po południu — powiedziała Simpson. — Wyniki powinny być do tej pory.

— Świetnie, dziękuję.

— I proszę się tak nie martwić. Widzę, że jest pani zdenerwowana. Niech pani spróbuje pomyśleć o czymś innym. Albo zrobi to, co ja robię, gdy coś mnie dręczy: idę na zakupy i łażę po sklepach do upadłego.

— Witam panie!

Sara i Carol odwróciły się i zobaczyły nadchodzącego Harveya. Wygląda jak zdjęty z krzyża, pomyślała Sara. Miał zgarbione plecy i głowę przechyloną na bok, jakby drzemał w marszu.

— Cześć — powiedziała Carol Simpson.

— Dzień dobry. Jak tam moja pacjentka?

— Świetnie. Za kilka godzin będziemy mieli wyniki. — Popatrzyła na ludzi siedzących w poczekalni. — Pani Golden!

— Jestem! — odkrzyknęła kobieta z ogromnym brzuchem.

— Proszę ze mną. Teraz pani kolej.

Sara i Harvey pożegnali się z Simpson i ruszyli do windy.

— Znalazłaś się w dobrych rękach — powiedział. — Carol jest jeszcze młoda, ale już teraz uważa się ją za jednego z najlepszych ginekologów-położników.

— Spodobała mi się.

— Posłuchaj, Saro, chodzi mi o to, o czym rozmawialiśmy wczoraj wieczorem...

— Tak?

— Za dnia moje teorie spiskowe wydają się zawsze jeszcze bardziej zwariowane. Nie bierz tego wszystkiego tak dosłownie, dobrze?

— Dobrze. Ale czy naprawdę znaleźliście lek?

— Raczej tak. W niektórych przypadkach jest skuteczny. A nawet w większości przypadków. Ale jak ci mówiłem wczoraj, wciąż jesteśmy na etapie badań. Zastosowaliśmy go tylko w wybranych...

Zadzwoił pager. Harvey zerknął na wyświetlacz.

— O cholera — mruknął.

— Co się stało?

Rzucił się do stanowiska pielęgniarek i chwycił za telefon.

— Ten sygnał oznacza nagły wypadek — powiedział. Wykręcił numer. Odebrano po pierwszym sygnale. — Mówi doktor Riker. — Zapadła chwila ciszy. — Co? Kiedy? — Harvey znowu zamilkł i słuchał. — Zaraz tam będę — odparł i odłożył słuchawkę.

Odwrócił się do Sary.

— To Michael. Przed chwilą przywieźli go na ostry dyżur.

\* \* \*

Zwłoki znajdowały się w bagażniku.

George jechał do śródmieścia. Poprzedniego wieczoru ciało leżące w bagażniku było pełne życia. Mężczyzna ten miał jakieś nadzieje, marzenia, pragnienia, cele. Prawdopodobnie jak większość ludzi chciał być szczęśliwy, chciał znaleźć swoje miejsce w świecie. Zapewne borykał się z problemami, dając z siebie wszystko. Cieszył się z każdej rzadkiej chwili szczęścia i próbował unikać zmartwień. A teraz nie żyje.

Martwy. Zimny. Koniec.

W tej chwili był zwykłą rozkładającą się tkanką. Pożytek z niego mieliby wyłącznie studenci medycyny, a wspominać go będą z szacunkiem tylko zrozpaczeni krewni. George zastanawiał się, dlaczego ludzie przywiązują tak wielką wagę do powłoki cielesnej, do tego naczynia? Dlaczego traktują marne ciało jako coś drogiego? Czy przesądza o tym wrodzona skłonność do dostrzegania wyłącznie tego, co widoczne jest gołym okiem, i zapominania o wnętrzu, o duszy? A może George zbyt surowo oceniał swoich bliźnich? Może człowiek musi uchwycić się czegoś namacalnego, kiedy staje w obliczu wielkiej niewiadomej?

Ciężka sprawa. Do tego trzeba mieć tęgą głowę.

Zachichotał i przypalił sobie papierosa.

Po przyjęciu w rezydencji doktora Lowella pojechał za srebrną limuzyną. Widział, jak mężczyzna wysiada przed swoim mieszkaniem w śródmieściu.

Idealnie.

George był profesjonalistą, więc wcześniej sprawdził ten budynek i okolice. Wiedział, że ofiara mieszka w lokalu 3A. Wiedział, że nie ma tam stróża. Zaparkował po drugiej stronie ulicy i wszedł do środka. Dotarł po schodach na górę, unikając windy, i stanął przed drzwiami, na których wisiała wyblakła mosiężna tabliczka: 3A. Zastanawiał się, dlaczego facet mieszka w takiej ruderze, skoro ma mnóstwo pieniędzy. Przecież stać go było na Piątą Aleję, okolice Central Parku, San Remo Building, Dakotę. Mógł mieszkać wszędzie. George wzruszył lekceważąco ramionami.

Nieważne. Nie moja sprawa, pomyślał.

Wsunął dłoń do kieszeni i wyjął małe narzędzie. Dwukrotnie przekręcił wytrych w zamku, tak samo jak w hotelu, w którym zatrzymał się doktor Bruce Grey. Tym razem jednak postarał się, by nie było słyhać odgłosów odblokowywanego mechanizmu. Dawno temu przekonał się, że zaskoczenie daje przewagę w walce. Bruce Grey miał się na bacności, zatem nie podszedłby do drzwi, gdyby usłyszał pukanie. Pilnował się. Podszedł dopiero potem, przekonany, że jest bezpieczny. Że drzwi są zamknięte, a na korytarzu nikogo nie ma. Ta chwila wystarczyła.

Ten mężczyzna nie spodziewał się żadnych przykrych niespodzianek. W przeciwieństwie do Greya nie przeczuwał, że korytarzem zbliża się śmierć. Wystarczyło więc zapukać.

George otworzył mały zamek, schował wytrych do kieszeni i zapukał.

— Chwileczkę!

Usłyszał zbliżające się kroki. Zastanawiał się, czy mężczyzna jest tak głupi, że od razu otworzy.

— Kto tam? A jednak.

Wiedział, że tamten stoi po drugiej stronie, być może nachyla się do przodu, by zerknąć przez judasza. Bez chwili wahania naparł ciałem z całej siły. Drewniane drzwi uderzyły mężczyznę tak gwałtownie, że upadł na podłogę.

George błyskawicznie wskoczył do środka. Zamknął za sobą drzwi i rzucił się na ofiarę. Chwycił mężczyznę za gardło i zacisnął palce. Rozległo się charczenie, a zaraz potem zapadła cisza. Mężczyzna próbował się bronić, wymachując rękoma i kopiąc, ale zadawał ciosy na oślep. George zupełnie się tym nie przejmował. Nachylił się nad mężczyznę, wciąż ściskając go za gardło.

— Jest tylko jeden sposób, żebyś przeżył — powiedział beznamiętnym tonem, jakby czytał przygotowany tekst. — Musisz zrobić to, co ci każę. Najmniejsza niesubordynacja z twojej strony i jesteś martwy. Rozumiemy się?

Mężczyzna wybałuszył oczy z braku powietrza i ze strachu. Skinął głową.

— Świetnie. Teraz cię puszcza. Spróbuj zawołać o pomoc albo uciekać, a doświadczysz bólu, jakiego niewielu zaznało.

George zabrał rękę.

Mężczyzna zaczął się tarzać po podłodze, charcząc. George stał i patrzył na tę męczarnię z uczuciem graniczącym z nudą.

— Zejdziemy teraz do mojego samochodu — oznajmił, kiedy tamten powoli się uspokoił. — Jak dwaj kumple, którzy jadą w miasto. Rób, co ci każę, a nic złego ci się nie stanie.

Mężczyzna znowu skinął głową. Jego natychmiastowa uległość znacznie ułatwiła całą sprawę. Gdyby trzeba go było zabić na miejscu, George musiałby sprzątnąć krew, zatrzeć wszelkie możliwe ślady, a co najgorsze, musiałby zatańczyć zwłoki do auta, narażając się, że ktoś go zobaczy. Mnóstwo zachodu.

Przeszli przez ulicę. George otworzył bagażnik.

— Wskakuj.

— Ale...

Chwycił go za rękę i ścisnął, łamiąc dwa palce. Drugą dłonią zakrył mu usta, żeby stłumić krzyk. Potem przesunął pierwszą dłoń i znowu ścisnął, w efekcie czego dwie złamane kości zaczęły ocierać się o siebie, napinając ścięgna. Mężczyzna pobladł.

— Mówiłem ci, żebyś bez szemrania robił to, co ci każę. Zapamiętasz wreszcie?

Mężczyzna skinął pośpiesznie głową i dał nura do bagażnika. George wiedział, że tamten chciał zapytać, czy po zamknięciu klapy wystarczy mu powietrza, ale nie miał odwagi. Poznał już ból. A ból, o czym przekonał się George dawno temu, potrafi być większym straszakiem niż śmierć.

Rozejrzał się po ulicy. Zza rogu wyszli akurat trzej mężczyźni. Zbliżyli się. Wyglądali na podpitych, bo się zataczali, zastępując sobie nawzajem drogę. George zatrzasnął klapę bagażnika i odjechał.

Dotarł do ustronnej drogi, którą wykorzystał wcześniej w podobnym celu. Zaparkował i ze schowka wyjął nóż. Zgodnie z instrukcją podaną przez telefon włożył rękawiczki chirurgiczne i maskę. Poczul się jak lekarz przed ważną operacją.

— To skalpel — powiedział na głos. I roześmiał się z własnego dowcipu.

Wysiadł z samochodu i podszedł do bagażnika. Ta część roboty intrygowała go najbardziej. Zawsze się zastanawiał, co się dzieje w głowie ofiary. Jeszcze przed chwilą świat



wydawał się normalny, przewidywalny, bezpieczny. Nagle wszystko się odmieniło: napad, groźba śmierci, zamknięcie w bagażniku. Życie wymknęło się spod kontroli.

Co dzieje się w głowie tego faceta?

Była to jednak tylko przelotna myśl. Nie miała znaczenia. Ostatecznie dla George'a liczyło się tylko jedno: żeby doprowadzić robotę do końca.

Kiedy otworzył bagażnik, mężczyzna spojrzął na niego oczami zwierzęcia schwytanego w potrzask.

— Co... Co...

George przyłożył palec do ust pod maską.

— Óóóó.

Wyciągnął rękę i chwycił mężczyznę za głowę, żeby ją unieruchomić. Potem przystawił mu nóż do twarzy, tuż pod nosem. Przesunął ostrze niżej, w kierunku ust, niemal dotykając warg. I nagle zadał cios ku górze. Nóż przeciął cienką tkankę i chrząstkę, wbijając się w mózg. Krew trysnęła obficie. Mężczyzna targnął się, ale śmierć nadeszła natychmiast. Zmętniałe oczy wpatrywały się w osłupieniu w George'a.

Wyszarpnął ostrze i podobnie jak w dwóch poprzednich przypadkach zadał kolejnych dwadzieścia kilka ciosów. Metodycznym uderzeniom towarzyszyły odgłosy przebijanej mokrej tkanki. George patrzył na to spokojnie.

Ale bałagan.

Zdawał sobie sprawę, że do rana musi przechować zwłoki w bagażniku. Potem zamierzał porzucić je w odpowiednim miejscu. Podobnie jak w przypadku tamtych dwóch, trupa mógł zostawić gdziekolwiek, ale głos w telefonie wyraźnie mu powiedział, żeby zawiózł zwłoki do zaułka obok gejowskiego baru w Greenwich Village. George wiedział, że w nocy okolice takich lokali tętnią życiem, bo dzieją się tam najprzeróżniejsze rzeczy. Postanowił więc, że dopiero rano pozbędzie się zwłok, kiedy miejsce się wyludni.

Nazajutrz obudził się rześki po godzinach nieprzerwanego spokojnego snu. Pojechał z powrotem do miasta i zaparkował w pobliżu baru. Co za syf, pomyślał. Przypomniała mu się Patpong Street w Bangkoku. Patpong, czyli dzielnica czerwonych latarni, zaspokajała potrzeby heteroseksualistów, ale każdy wiedział, że dwie przecznice dalej swoje pragnienia mogą spełnić kochający inaczej. W Pattaya, kurorcie nadmorskim niedaleko Bangkoku, była cała ulica pełna chłopców, którzy obsługiwali klientów płci męskiej bez wahania i zbędnych pytań.

To mocno paskudne, pomyślał George.

Wysiadł z samochodu i rozejrzał się po zaułku. Żywego ducha. Obok tylnego wejścia do baru stało kilkanaście worków ze śmieciami.

Tylne wejście. Hm, w sam raz.

Zerknął ponownie na boki, a potem dźwignął zwłoki z bagażnika i rzucił je obok worków. Wsiadł z powrotem do samochodu i odjechał. Minął trzy przecznice i dopiero wtedy zwrócił uwagę na swoje odbicie we wstecznym lusterku.

Jasna cholera!

Jego włosy wyglądały przeraźliwie.

Sara pokuśtykała za Harveyem, gnającym w kierunku izby przyjęć. Dziesięć kroków przed drzwiami zderzył się z Erikiem Blakiem, który akurat nadbiegł z boku.

— Ciebie też zawiadomili?

Harvey kiwnął głową. Nie zatrzymując się, wpadli obaj przez wahadłowe drzwi do poczekalni. Od razu dostrzegli Reece'a Portera.

Harvey podbiegł pierwszy.

— Co się stało? — wysapał.

— Nie wiem — odparł koszykarz. — Mikey dostał bóleści. Chwyił się za brzuch i upadł. Zabrała go karetka.

— Chodź, Eric!

Dwaj lekarze zniknęli za drzwiami z napisem „Wstęp wzbroniony”. Kilka sekund później do pomieszczenia weszła Sara.

Zaskoczony Reece podniósł głowę.

— A co ty tu robisz? Przyjechałaś tak szybko?

Zignorowała pytanie.

— Gdzie on jest? Co się stało?

— Dyżurny lekarz go zabrał. Harvey i Eric też już tam są.

— Ale co się stało? — powtórzyła.

— Nie wiem. Mieliśmy trening jak zwykle. Trochę sobie żartowaliśmy. Potem była przerwa i nagle...

— Nagle co?

— Mikey upadł, trzymając się za brzuch. Zadzwoniliśmy po karetkę. Przywieźli nas tutaj. Po drodze ból chyba trochę złagodniał. Gdy przyjechaliśmy, poprosiłem pielęgniarkę, żeby zawiadomiła Harveya i Erica.

— Jest przytomny?

— Tak, ocknął się. To pewnie jakieś zatrucie albo coś. Cały czas wcina chińszczyznę. Sara, co ty tu robisz?

— Miałam akurat wizytę u lekarza po sąsiedzku.

— Coś ci jest?

Głos Reece'a wyrażał serdeczność i szczerą troskę. Z tyłu dobiegły dziecięce szepty:

— Mamusiu, popatrz, to ten koszykarz. Porter!

Pod względem wzrostu Reece był w NBA przeciętniakiem, ale wszędzie indziej wydawał się wielkoludem i ściągał zainteresowane spojrzenia.

— Nie, wszystko w porządku — odparła Sara i objęła go mocno. — Dziękuję, że z nim przyjechałeś.

Wzruszył ramionami.

— Przecież to mój kumpel. Nie martw się, Mikey jest ulubieńcem bogów. Pamiętasz, jak się przestraszyliśmy ostatnim razem, kiedy wylądował w szpitalu? Było tyle krwi i w ogóle.

Pamiętała. Zawsze po zakończonym sezonie rozgrywek Sara i Michael wyjeżdżali razem z Reece'em i jego żoną Kureen na wakacje, żeby uciec od świata. Przed pięcioma laty, kiedy ich związek się scementował, cała czwórka postanowiła wynająć jacht motorowy i popłynąć z Florydy na rejs po wyspach Keys i Bahamach. Miniony sezon był szczególnie długi, a zakończył się dopiero, gdy Knicks pokonali Seattle Supersonics w morderczej serii siedmiu meczów. Wszyscy czworo marzyli więc o tym, by odpocząć od zgiełku, kibiców i mass mediów.

Trzeciego dnia Michael i Reece wstali wcześniej, wynajęli chłopca z motorówką i wypłynęli na morze, żeby pojeździć na nartach wodnych. Chłopak się upił i wpłynął łódką na

skąły. Holował akurat wtedy Michaela, którego zabrano natychmiast do miejscowego szpitala, bo był potłuczony i krwawił obficie. Następne trzy tygodnie spędził w łóżku.

— Pamiętam — odparła cicho Sara.

— No właśnie. Mikey to... twardy staruszek, jak powiedział jeden z nowych w naszej drużynie. Nic mu nie będzie.

Sara usiłowała znaleźć pociechę w słowach Reece'a, ale w jej głowie pulsowała natrętna myśl, że stało się coś poważnego i już nic nie będzie takie samo.

\* \* \*

— Co się dzieje? — spytał Harvey.

Młody lekarz dyżurny John Richardson podniósł głowę.

— Jeszcze nie wiemy — odparł. — Pacjent cierpi na ostre bóle brzucha. W trakcie badania fizykalnego wyczułem wątrobę cztery centymetry pod prawym łukiem żebrowym. Jest bardzo wrażliwa.

— Boli jak cholera — stęknął leżący w łóżku Michael. — To bardziej odpowiada prawdzie.

— Podstawowe funkcje życiowe?

— Stabilne.

Harvey podszedł do łóżka.

— Wyglądasz nieźle, mistrzu — stwierdził.

— Ale czuję się jak kupa gówna — odpowiedział Michael.

— Żartowałem. Wyglądasz właśnie jak kupa gówna.

Zachichotał.

— Czuję się, jakbym miał tutaj krnąbrne dziecko. Jak idzie, Eric?

— Bez problemu. Mam zawiadomić doktora Sagarela?

— Tak.

— To na razie, Mike — powiedział Eric, ruszając do drzwi.

— Cześć. Zaczekam na ciebie!

Gdy Blake wyszedł, Michael spojrzął z powrotem na Harveya.

— Kim jest doktor Sagarel? — spytał.

— To gastroenterolog.

— No tak, powinienem się domyślić.

— Jezu, Michael, spójrz na te swoje szorty. Są makabryczne nawet jak na ciebie.

— Potrzebuję lekarza, a dostałem krytyka mody.

Harvey nacisnął delikatnie brzuch Michaela w okolicy wątroby.

— Boli?

— Jak skurwysyn.

Wyprostował się i odwrócił do lekarza dyżurnego.

— Pobraliście krew? — spytał.

— Tak.

— Zróbcie mu jeszcze pusty brzuch.

— Potrzebujemy więcej informacji — powiedział Richardson. — Może po prostu coś zjadł...

— Niemożliwe. Ma te bóle od kilku tygodni. I żółtą cerę.

Wrócił Eric.

— Doktor Sagarel będzie za około pół godziny — oznajmił.

— Michael, czy zauważyłeś ostatnio coś dziwnego w swoim moczu? — spytał Harvey.

— Tak, jednego dnia strasznie się perlił.

— Prześmieszne. A teraz odpowiedz na pytanie.

Zobaczył, że w oczach Michaela nagle zamajaczył strach:  
— Może był jakby trochę ciemniejszy — odpowiedział.  
Lekarze wymienili spojrzenia.  
— Co? Co mi jest?  
— Na razie nie wiemy. Eric, każ zrobić badanie biochemiczne krwi i dodatkowo miano EBV i miano CMV. A potem zawieźcie go na USG jamy brzusznej.  
— Robi się.  
— A może teraz po ludzku? — stęknął Michael.  
— Wszystko wskazuje na zapalenie wątroby — odparł Harvey. — Eric i doktor Richardson zabiorą cię na prześwietlenie. Zobaczymy się trochę później.

\* \* \*

Doktor Raymond Markey, zastępca sekretarza Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej, patrzył przez okno skąpanego w zieleni luksusowego kompleksu w Bethesda. Dla niego Narodowy Instytut Zdrowia był połączeniem europejskiego uzdrowiska i bazy wojskowej. Z okien narożnego biura wydawało się, że lasy ciągną się przez wiele kilometrów. Ale Markey wiedział swoje. Na przykład to, że jego szef, prezydent Stanów Zjednoczonych, znajduje się zaledwie szesnaście kilometrów dalej — właśnie rozpoczynał swoją cotygodniową naradę z wiceprezydentem. Ci dwaj spotykali się prawie w każdy poniedziałek — na lekkostrawny posiłek i ciężko — strawną rozmowę. Raymond wziął udział w kilku takich naradach, choć nie interesowały go szczególnie ani te rozmowy, ani serwowane jedzenie.

Westchnął głęboko, zdjął okulary i przetarł oczy. Był tragicznym krótkowidzem. Kiedy patrzył bez okularów na rozległy krajobraz, świat przemieniał się w wielki abstrakcyjny bohomas. Jaskrawe kolory się mieszały, wirując jak w kalejdoskopie.

Włożył z powrotem okulary, odwrócił się od sielskiego widoku i zerknął na dwa raporty leżące na biurku. Pierwszy, oznaczony słowem „poufne”, zabezpieczały rozmaite pieczęcie, aby Markey miał stuprocentową pewność, że nikt do niego wcześniej nie zaglądał. Również koperta była specjalnego rodzaju — na tyle gruba, by nawet trzymając ją pod światło, nie można było przeczytać zawartości. Gdyby ktoś przy niej gmerał, zostałyby wyraźne ślady. Hm, mnóstwo środków ostrożności, ale ze wszech miar uzasadnionych.

Na drugiej kopercie napisano: „Sidney Pavilion, Columbia Presbyterian Medical Center w Nowym Jorku”. Również ta koperta była zabezpieczona, chociaż w mniejszym stopniu.

„Zastępca sekretarza Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej” — nieco przydługi i mało imponujący tytuł. Ale pozory bywają złudne. Jego urząd prowadził politykę zdrowotną Stanów Zjednoczonych, mając zwierzchnictwo nad takimi instytucjami, jak Agencja do spraw Żywności i Leków i Narodowy Instytut Zdrowia. Zatem stanowisko to było ważne i dawało dużą władzę.

Markey sięgnął po nożyk i rozciął pierwszą kopertę.

Następnie położył oba raporty przed sobą. Drugi został sporządzony przez doktora Harveya Rikera — i po raz pierwszy zabrakło podpisu Bruce’a Greya. Szkoda... Co do tajnego raportu, to lepiej nie myśleć, skąd pochodzi. Wypowiedzenie na głos nazwiska jego autora mogłoby się okazać szkodliwe dla zdrowia. A nawet śmiertelnie niebezpieczne.

Przejrzał pobieżnie oba teksty w poszukiwaniu rozbieżności. Natychmiast coś zauważył.

Liczba pacjentów.

Riker napisał, że jego zespół leczy czterdziestu jeden pacjentów, z których dwaj zostali zamordowani w ostatnich tygodniach. Raport był suchy i zwięzły, pozbawiony wniosków, choć zawierał wzmiankę, że dwaj pacjenci zginęli w ciągu zaledwie kilku tygodni w ten sam sposób — w wyniku wielokrotnych ciosów nożem. Markey zwrócił również uwagę, że Riker

ani razu nie nazwał śmierci Greya „samobójstwem”. Napisał, że „to szokujące wydarzenie, które nie ma żadnego sensu”.

Dziwnie to ujął, pomyślał.

Znowu popatrzył na oba raporty. W tajnym napisano jednoznacznie, że na początku było czterdziestu dwóch pacjentów, a nie czterdziestu jeden. Skąd ta rozbieżność? — zastanawiał się Markey. Wątpił, że jest to zwykły błąd. W takiej sytuacji nikt nie popełnia podobnych błędów. Na pewno istnieje jakiś powód tej niezgodności. Trzeba się tylko dowiedzieć jaki.

Przewertował od końca kartki tajnego raportu. Był pewien, że to Harvey Riker podał błędną informację. Markey go znał i mu nie ufał. Wiele lat wcześniej, kiedy był ordynatorem szpitala w New Jersey, poznał go jako aroganckiego młodego internistę o nazwisku Harvey Riker. Riker już wtedy nienawidził zasad i przepisów. Teraz, gdy zasady i przepisy narzucał rząd, zapewne jeszcze chętniej je łamał. Człowiek o wielkich umiejętnościach, ale całkowicie pozbawiony dyscypliny. Trzeba mieć go na oku. Koniecznie.

O, jest. Druga strona.

Na drugiej stronie tajnego raportu zamieszczono pełną listę personelu i pacjentów. Markey odnalazł taką samą listę w raporcie Rikera. Policzył. No tak, w tajnym raporcie czterdziestu dwóch, a u Rikera czterdziestu jeden. Które nazwisko opuścił pan doktor?

Nie trzeba było długo szukać. Równie dobrze mogłoby zostać podkreślone czerwonym flamastrem.

Markey wziął drżącą ręką telefon zza biurka. Oficjalną linię prawdopodobnie podsłuchiwano, ale prywatnej był pewien, bo sprawdzał ją codziennie. Ostrożność nie zawadzi. Wybrał numer. Odebrano po trzech sygnałach.

— Tak?

— Mam tajny raport. Przyszedł dziś rano.

Markey przełknął ślinę.

— Nie miałem czasu przeczytać wszystkiego uważnie — powiedział. — Ale chyba musimy działać szybko. Są coraz bliżej.

— A więc może trzeba wysłać kogoś do Bangkoku? Kiedy dostanę kopię?

— Wyślę dziś.

— Dobrze.

— Jest jeszcze jedno.

— Tak?

— Doktor Riker leczy w tajemnicy bardzo ważnego pacjenta. Pominął jego nazwisko w swoim raporcie.

— Kto to?

— Bradley Jenkins. Syn sena...

— Wiem. — Zapadło krótkie milczenie. — To wiele wyjaśnia, Raymond.

— Zdaję sobie sprawę.

— Wyślij mi to szybko.

— Zaraz wyślę. Raport będzie na pańskim biurku jutro rano.

— Dziękuję. Do zobaczenia.

— Do zobaczenia, pastarze Sanders.

\* \* \*

Opierając się ciężko na lasce, Sara kuśtykała do sali, w której leżał Michael. Tyle się działo, tyle ważnych rzeczy, i wszystko naraz. Choroba Michaela, domniemana ciąża i te tajemnicze sprawy związane z kliniką Harveya. Dwaj pacjenci zamordowani. Zbieg okoliczności? Może, ale Sara w to wątpiła. Przypomniała sobie, że w wolnej chwili powinna zadzwonić do Maxa Bernsteina. Może on coś będzie wiedział.

Skręciła za róg i pchnęła na oścież drzwi. Stopę miała sztywną; bardziej przypominała drewnianą protezę niż część ciała z krwi i kości. Michael spojrzął z łóżka i natychmiast się rozpromienił na widok żony. Podeszła i pocałowała go lekko.

— Lepiej się czujesz? — spytała.

— O wiele lepiej.

— Śmiertelnie mnie przestraszyłeś, wiesz? Zadzwoiłam do ojca. Powinien tu być lada chwila.

— Saro, a co ty akurat tutaj robiłaś?

Zawahała się.

— Nie chciałam ci nic mówić, dopóki sama nie będę pewna — odparła.

Usiadł w łóżku.

— Pewna? — spytał zaniepokojony. — Pewna czego? Co się dzieje? Źle się czujesz?

Pokręciła głową. Jego zatroskane czułe spojrzenie trafiało wprost do jej serca.

— Miesiączka... Wiesz, o czym mówię.

— Owszem, przerabialiśmy to na biologii w szkole.

Zachichotała, ale on wciąż miał niepewną minę.

— No więc spóźnia mi się już półtora miesiąca — powiedziała.

Wybałuszył oczy.

— Jesteś w ciąży?

— Na razie nie wiem. Wyniki badań będą za kilka godzin.

— Jezu Chryste, dlaczego nic mi nie mówiłaś?

Przysiadła na skraju łóżka i wzięła go za rękę.

— Nie chciałam, żebyśmy robili sobie nadzieję, bo może to kolejny fałszywy alarm. Nie chciałam, żebyś się rozczarował...

Odwróciła twarz, ale on wyciągnął rękę i delikatnie przekreślił jej głowę w swoją stronę.

— Saro, kocham cię. Jeśli nawet nie będziemy mogli mieć dzieci, to niczego nie zmieni.

Wtuliła twarz w jego pierś.

— Naprawdę? — szepnęła.

Roześmiał się.

— Naprawdę.

— Widzisz, ożeniłeś się z kwaśną cytryną.

— Ale całkiem ładną i orzeźwiającą. Świeżą. Ponętą.

— Ej, spokojnie, jesteś chory.

— Ale nawet choremu wolno mieć czasem włochate myśli, co? Lekarz mówił, że to zdrowe.

— Zabawne, bo nie słyszałam, żeby tak mówił.

— A co słyszałaś?

— Że masz żółtą cerę. I że to może być zapalenie wątroby.

— To prawda? Faktycznie jestem żółty?

Przyjrzała mu się.

— Wyglądasz jak żółta kredka.

— Dziękuję.

— Ale bardzo ładna kredka.

Rozległo się donośne pukanie. Do środka zajrzał ojciec Sary.

— Przeszkadzam? — spytał.

— Wchodź! — krzyknął Michael. — Przyda mi się każdy lekarz, który się nawinie!

John Lowell wszedł do środka. Był nadzwyczaj przystojnym mężczyzną średniego wzrostu. Bujne, starannie rozczesane szpakowate włosy stanowiły uosobienie statecznej godności. Charakterystyczną cechą twarzy były policzki, w których robiły się dołeczki, gdy się uśmiechał, oraz rozszczepiony podbródek, ale uwagę przede wszystkim przyciągały jego

oczy — jasnozielone jaku Sary. Podszedł do łóżka, pocałował córkę i uściśnął Michaelowi rękę.

— Obawiam się, że to nie do końca moja specjalność — powiedział. — Kto cię badał?

— Harvey i Eric. Pamiętasz mojego przyjaciela Erica?

— Oczywiście. Podobno pracuje z Rikerem w... klinice.

Sara i Michael zauważyli, że John Lowell spochmurniał.

On postanowił to zignorować, ona — nie.

— Owszem, pracuje — przyznała. — I dokonują razem niesamowitych postępów.

— To świetnie — skwitował jej ojciec, ucinając rozmowę na ten temat. — Co z tobą, Michael?

— Na razie robią mi badania, ale podejrzewają zapalenie wątroby.

— Kogo Harvey zarekomendował?

— Doktora Sagarela.

Lowell skinął aprobowująco głową.

— To dobry lekarz — stwierdził. — Słuchaj jego, a nie tych dwóch epidemiologów, z którymi się przyjaźnisz.

— Tato, Harvey Riker jest wybitnym lekarzem ogólnym, nie tylko epidemiologiem — zaproponowała Sara.

— Z pewnością...

— A jego klinika jest o krok od dokonania przełomu w walce z AIDS.

— Miło mi to słyszeć — odparł Lowell beznamiętnym tonem. — Im szybciej, tym lepiej. Wtedy fundusze będą mogły trafić gdzie indziej.

— Jak możesz tak mówić?!

— Saro, nie zaczynajmy od nowa tej dyskusji, dobrze? To kwestia zwykłej ekonomii.

— Ekonomii? A więc ekonomia jest ważniejsza niż ratowanie ludzkiego życia?

— Proszę cię, nie używaj wobec mnie takich prostackich, populistycznych argumentów — odpowiedział Lowell spokojnie. — Sam ich nadużywałem, występując przed podkomisjami w Senacie, więc nie dam się nabrać. Prawda polega na tym, że na opiekę zdrowotną i badania medyczne przeznaczona jest określona suma. Tylko tyle i ani dolara więcej. Część pieniędzy idzie na badania nad zwalczaniem raka, część trafia do kardiologii, poza tym jest jeszcze dystrofia mięśniowa, reumatyzm, zwykła starość i tak dalej. Wszyscy walczą o te fundusze. Nagle pojawia się AIDS i ludzie się tym zajmujący dostają nieproporcjonalnie dużą część tego tortu. Astronomiczną.

— Przedstawiasz to tak, jakby to były jakieś zawody — odparła Sara. — Czy współczucie...

— Żyjemy w określonym świecie — przerwał jej ojciec. — A w określonym rzeczywistym świecie liczą się realia ekonomiczne. Prawda polega na tym, że każdy dolar przeznaczony na walkę z AIDS odebrany jest innym instytucjom.

— Nieprawda! — rozległ się głos z tyłu.

John Lowell się odwrócił. W drzwiach stał Harvey Riker.

— Wsparcie finansowe na walkę z AIDS pochodzi w dużej mierze z innych źródeł — powiedział.

— Częściowo może tak — przyznał Lowell. — Ale Liz Taylor i jej przyjaciele równie dobrze mogliby zrobić zrzutkę na badania nad przyczynami nowotworów lub chorób wieńcowych. Niech pan nam powie, doktorze Riker, kto daje największe wsparcie finansowe pańskiej klinice?

Harvey znieruchomiał.

— Rząd federalny i rada nadzorcza szpitala — odrzekł.

— A co by się stało z tymi funduszami, gdyby nie trafiły do pana? Zostałyby przeznaczone na walkę z rakiem albo chorobami wieńcowymi, ot co. W tym roku wielu ludzi umrze na

AIDS, to fakt. Ale wiecie, ile tysięcy umrze w wyniku nowotworów i chorób wieńcowych? Ci ludzie to niewinne ofiary, które nie prowadziły ryzykownego trybu życia, dając upust skłonnościom do samozniszczenia i niemoralnym...

— Postuchaj siebie, Lowell! — krzyknął Harvey. — Mówisz jak Sanders.

Starszy mężczyzna zrobił krok do przodu. Jego oczy płonęły.

— Nie znam osobiście Sandersa, ale nie waź się porównywać mnie do tej zachłannej świni, rozumiesz?! I przestań udawać naiwnego lekarzynę. Wiesz dobrze, że w badaniach naukowych trzeba wyraźnie nakreślić priorytety. Jeśli temu przecyzysz, to przecyzysz rzeczywistości. Niektóre choroby są ważniejsze od innych.

— I uważasz, że leczenie AIDS jest mało ważne?

— Tej chorobie można zapobiec prawie w stu procentach, doktorze Riker. Czy to samo może pan powiedzieć o nowotworach? O chorobach serca? O artretyzmie? Dlatego właśnie na posiedzeniu rady nadzorczej głosowałem przeciw przydzieleniu środków twojej klinice. Niewinni ludzie, którzy nigdy nie dymali podejrzanych typków na tyłach podejrzanych barów ani nie wbijali sobie w żyłę strzykawki z trucizną, giną w przerażających okolicznościach. Ludzie, którzy nie spółkowali z nikim w sposób, od jakiego niedobrze się robi. Nie udawaj naiwniaka, Riker. Wiesz doskonale, że środowiska homoseksualne od początku ignorowały oznaki zbliżającego się nieszczęścia. Miano CMV mieli niebotycznie wysokie, ale woleli nie zwracać na to uwagi. Zastraszająco duża część tych środowisk zarażona była cytomegalowirusem i całą masą innych rzeczy, ale woleli nadal dawać upust swojej chuci.

— A więc karą za rozwiązłość ma być śmierć? — spytał Harvey. — To chcesz powiedzieć? Więc wielu heteroseksualistów też powinno uważać!

— Mówię tylko, że zostali ostrzeżeni. Każdego, kto sprzeciwiał się ich rozwydrzeniu seksualnemu, każdego, kto mówił, że powinni przyhamować, nazywano świętoszkiem i homofobem. Choroby wirusowe od lat atakowały to środowisko. Czego się więc spodziewali?

— To niedorzeczne.

— Czyżby? Czy ci ludzie nie ponoszą odpowiedzialności za swój narcyzm i niebezpieczne zachowania? Trochę się o to prosili.

— Tato!

— Nigdy nie prosili o śmierć, doktorze Lowell — odparł Harvey lodowatym tonem. — Żebyś nie wiem jak bardzo się starał, nie zaprzeczysz istnieniu tej choroby. Nie mówimy o czymś, co gnębi zwierzęta albo jakichś podludzi. Tysiące żywych, oddychających istot ludzkich umiera w straszny sposób z powodu AIDS.

— Wiem o tym. I Bóg mi świadkiem, że chciałbym, aby dla tych nieszczęśników był lek. Ale pieniądze wydawane na badania nad AIDS to jeden wielki skandal, bo chorobę tę może zatrzymać zwykła osobista wstrzeźliwość.

Harvey pokręcił głową.

— Mylisz się — powiedział. — Mylisz się nawet w kwestii pieniędzy. Wiesz, ile będzie nas kosztowało AIDS, jeśli nie wynajdziemy leku? Zdajesz sobie sprawę, jak wielkie wydatki będą musiały iść na leczenie tej rzeszy nieuleczalnie chorych pacjentów? To będzie drenaż wszystkich federalnych i lokalnych budżetów. Całe miasta zbankrutują.

— Pacjenci sami powinni za to płacić — zripostował Lowell. — Są inne priorytety, inne cele, na które rada nadzorcza mogła przeznaczyć te fundusze. — Mówił coraz bardziej drżącym głosem. Sara zamknęła oczy, bo wiedziała, co zaraz nastąpi. — Patrzyłem, jak moja żona umiera na raka. Widziałem, jak choroba wyniszcza moją Erin, aż... — Urwał i opuścił głowę, żeby ukryć ściętą bólem twarz.

— Podziwiam twoje oddanie — powiedział Harvey. — Mnie nie było dane zobaczyć mego umierającego brata. Sidney cierpiał w samotności, a jego ciało pożerały różne infekcje i zmiany skórne. Został odtrącony przez swoją rodzinę. Nawet przeze mnie. Większość tych pacjentów, mężczyzn w wieku dwudziestu, trzydziestu lat, umiera jak



trędowaci. Gdyby ta choroba uderzyła w jakikolwiek inny segment społeczeństwa, rząd już dawno by zareagował i przeznaczył o wiele więcej pieniędzy na leczenie. Ale wszystkim się wydawało, że to po prostu choroba pedziów. A kogo obchodzi banda pedziów?

— Powinni byli kontrolować swoje zachowanie.

Harvey pokręcił głową.

— Nie możesz się stawiać w roli Boga, Lowell — odrzekł. — Zgadzam się z twoimi ostrymi wypowiedziami na temat palaczy papierosów, ale muszę zadać ci pytanie: gdzie stawiasz granicę? Czy chudzielcy są ważniejsi od otyłych? Czy ludzie z wysokim poziomem cholesterolu, którzy ignorują ostrzeżenia lekarza, powinni od nas usłyszeć, że sami ponoszą odpowiedzialność za swój zawał serca? Gdzie stawiasz granice, doktorze? Kto ma występować w roli Boga?

Lowell otworzył usta, żeby kontynuować dyskusję, ale nagle się rozmyślił.

— Smutna prawda polega na tym, że mamy ograniczone środki — powiedział tylko. — A to oznacza, że musimy dokonywać trudnych wyborów.

— A kto ma ich dokonywać?

Machnął ręką, jakby chciał uchylić to pytanie.

— Dość już — powiedział wyraźnie zdenerwowany.

Wolę usłyszeć, co dolega Michaelowi.

\* \* \*

Porucznik policji Max „Tik” Bernstein nienawidził Nowego Jorku latem. Za gorąco, cholera, człowiek aż się smażył. Nie znaczy to jednak, że Max znał inne zakątki świata. Urodził się, wychował i mieszkał — z Lennym — na Manhattanie. Studiował dawniej na nowojorskim uniwersytecie. A teraz pracował jako policjant również na Manhattanie. W wydziale zabójstw. Człowiek ma ręce pełne roboty, gdy zajmuje się zabójstwami w takim miejscu jak Nowy Jork, ale latem świry rzadko wychodziły z ukrycia.

Zaparkował nieoznakowany radiowóz (nieoznakowany? Takiego wała. Każdy przestępca na pierwszy rzut oka widział, że to policyjny chevrolet) i ruszył w kierunku żółtej taśmy. Nie wyglądał na policjanta ścigającego zabójców. Był za młody, miał długie kręcone włosy, pociągłą twarz i wydatny nos. Bardziej przypominał dostawcę pizzy niż łapsa.

Obszedł budynek, na którym widniał szyld: Bar Czarna Magia. Odwiedzał kiedyś tę knajpę — w bardziej wyzwolonych, rozrywkowych czasach, kiedy nazywała się Przodem i Tyłem. Zawsze incognito. Zawsze pod fałszywym nazwiskiem.

Mignął odznaką do kilku mundurowych i ruszył uliczką. Powitał go sierżant Willie Monticelli.

— Jak leci, Tik? — spytał.

Bernstein nie zasługiwał na tę ksywkę, bo nie miał żadnego tiku. Owszem, wiercił się i gestykułował gwałtownie, obgryzał paznokcie do krwi, bawił się wszystkim, co mógł wziąć do ręki, i mrugał zawzięcie oczami, słowem — nigdy nie zastygał w bezruchu. Nic dziwnego, że wszyscy go ciągle pytali, czy właśnie rzucił palenie. Ale tiku nie miał.

— Leciało dobrze do chwili, gdy dostałem to wezwanie — odparł. — Ej, Willie, przytyłeś. Monticelli poklepał się po brzuchu.

— Miło spotkać kogoś, kto nie ma hopla na punkcie diety, co? — odpowiedział.

— Bardzo miło. — Bernstein wyjął ołówek, włożył go sobie do ust i zaczął gryźć końcówkę. Ołówek wyglądał jak zużyta psia zabawka. — Co tu mamy?

— Śmieciarz znalazł zwłoki pół godziny temu. Chcesz zerknąć?

Skinął głową, choć poczuł, że żołądek mu się wywraca. Ugryzł mocniej ołówek. Nienawidził tej części swojej roboty.

— Nie chcę, ale muszę. Dlatego właśnie zarabiam miliony.

— Jasne, to widać po twoim wozie.

Monticelli podszedł do nieruchomej sylwetki leżącej obok pojemników na śmiecie. Odgarnął prześcieradło. Max zwalczył uczucie mdłości. Pochylił się i przyjrzał zmasakrowanym zwłokom, które jeszcze niedawno były człowiekiem.

— Jezusie.

— Wygląda na to, że Homorozpruwacz znowu się zabrał do roboty — powiedział Willie.

— Ten sam *modus operandi* co w tamtych dwóch przypadkach.

— Z jedną wyraźną różnicą — odparł Max półszepem. — Willie, nie nazywaj tak tego człowieka, bo prasa się nakręci.

— I tak się nakręci.

— Na pierwsze dwie ofiary jakoś nikt nie zwrócił uwagi.

— Tym razem zwróci.

— Skąd ta pewność?

— Wiesz, kto to jest?

Max zerknął na zmasakrowaną twarz, a potem na Monticellego.

— Skąd mam wiedzieć? — odparł. — Rodzona matka by go nie poznała.

— Nie spodoba ci się, gdy ci powiem.

— Nigdy mi się nie podoba, gdy giną ludzie.

— Ze znalezionych w jego portfelu dokumentów wynika, że to Bradley Jenkins. Sprawdziłem. Jego ojcem jest...

— Senator Jenkins — przerwał sierżantowi Bernstein. — Wiem.

Zamknął oczy i się odwrócił. Pogłaskał się po wąsach.

— No właśnie — powiedział Monticelli. — Bradley Jenkins mieszkał przy Dwunastej. Jego rodzice mają dom w Hamptons. Dziwne, nie? Senator z Arkansas, który wakacje spędza na Long Island?

— Od czasów szkolnych mieszka na północnym wschodzie. Wątpię, żeby poza okresem wyborczym spędził w Arkansas chociaż pięć dni.

— A skąd tyle o nim wiesz?

Max przeciągnął kilka razy dłonią po gęstych włosach.

— Bo po pierwsze, jest przywódcą mniejszości w Senacie — odpowiedział. — Po drugie, co jakiś czas czytam gazety.

— Jest jakieś „po trzecie”?

— Owszem, Bradley był przyjacielem Sary Lowell. Poznałem go kiedyś.

— Aha — mruknął Monticelli. — No to kiepsko. Sara pewnie ciężko to przyjmie. Wiesz co? Dobrze byłoby mieć kogoś z mediów po naszej stronie w tej sprawie.

— Nie licz na nią.

— Taa, szkoda byłoby jej czasu na takie historie. To teraz wielka gwiazda. Widziałeś ją wczoraj w telewizji?

Max skinął głową. Zaczął się przechadzać: pięć kroków naprzód, pięć z powrotem.

— Masz dzisiejszego „Heralda”?

— Tak, w samochodzie, bo co?

— Daj, chcę ci coś pokazać.

Monticelli przyniósł gazetę. Max zaczął ją wertować gwałtownie, drąc kartki.

— Ej, Tik, zwolnij!

— Jest gdzie tutaj... — Wertował zawzięcie gazetę, gryząc ołówkę. — Czytałeś dzisiaj kolumnę towarzyską?

— Skąd, cholera. Nie czytam tego gówna. Interesują mnie tylko wyniki sportowe.

— Tak, wyniki sportowe na pewno się nam przydadzą — odparł. Przekręcił kilka kolejnych stron, tupiąc niecierpliwie prawą nogą. — O, jest! Zerknij sobie.

Monticelli spojrział mu przez ramię. Na całej stronie widniały zdjęcia ukazujące elegancko ubranych ludzi, którzy wzięli udział w przyjęciu charytatywnym wydanym poprzedniego wieczoru przez doktora Johna Lowella. Max pokazał palcem fotografię w prawym górnym rogu.

— Proszę!

— Ale sraczka — szepnął Monticelli.

Podpis głosił: „Gwiazda telewizyjna Sara Lowell relaksuje się po swoim triumfalnym debiucie w programie *NewsFlash*. Widzimy ją w towarzystwie przystojnego męża, gwiazdora New York Knicks Michaela Silvermana (po prawej), i Bradleya Jenkinsa, atrakcyjnego syna senatora Stephena Jenkinsa”.

— To on! — krzyknął Willie, dźgając zdjęcie palcem. — To Bradley Jenkins.

— Zgadza się.

— Mało podobny do siebie. No, może trochę przy uszach.

— Bardzo śmieszne.

— Boże, nienawidzę takich spraw. Zrobi się szum. Burmistrz będzie do nas dzwonił pięć razy dziennie. Wszyscy będą żądać natychmiastowych wyników w śledztwie.

— W takim razie bierzmy się do roboty. Rozejrzyj się po okolicy. Popytaj ludzi, może ktoś coś widział.

— Dobra. Myślę, że coś ustalimy. Ktoś musiał słyszeć krzyki albo odgłosy walki.

Max pokręcił głową.

— Niekoniecznie — odparł. — Wydaje mi się, że morderstwo popełniono gdzie indziej.

— Jak to?

— Przyjrzyj się zwłokom. Bradleya Jenkinsa zabito w nocy, tak?

— Tak.

— No właśnie. A w nocy w tym zaułku aż się roi od klientów Czarnej Magii.

— Klientów? Tak się to teraz nazywa?

Max zareagował bladym uśmiechem. Och, Willie, gdybyś znał prawdę, pomyślał.

— Gdyby Bradley zginął tutaj, ktoś na pewno widziałby zabójstwo — ciągnął. — Morderca nie mógł ryzykować. Poza tym krew jest tylko na ciele, dokoła nie. Tyle ciosów nożem. Cały zaułek byłby we krwi. Podejrzewam, że zabito go gdzie indziej, a zwłoki po prostu podrzucono. Dlatego *modus operandi* jest inny. Tym razem zwłoki przeniesiono.

Obserwując chodzącego tam i z powrotem porucznika,

Monticelli kręcił głową na boki, jakby oglądał mecz tenisowy.

— To się nie klei, Tik — powiedział. — Jest mnóstwo bardziej zacisznych miejsc, gdzie można podrzucić trupa. Dlaczego akurat tutaj?

— Nie wiem.

— Może trzeba sprawdzić, czy Bradley był gejem?

Max poczuł pierwsze objawy silnego bólu głowy, więc zaczął masować sobie skronie opuszkami palców. Syn znanego senatora znaleziony martwy na tyłach gejowskiego baru, po otrzymaniu wielokrotnych ciosów nożem. Na to nawet tylenol nie pomoże.

— Zapytam Sarę — odparł. — Ty się tym nie zajmuj.

— Przekaż jej moje kondolencje.

— Dobrze. Chcę, żeby technicy sprawdzili każdy centymetr tego zaułka. I przeczeszcie okolicę. Popytajcie, czy ktoś widział coś dziwnego w nocy albo nad ranem.

— Zrobi się. Jeszcze jedno.

— Co?

— Powodzenia z dziennikarzami. Skurwiele. Zanim się obejrzymy, wszystkie świry z okolicy przyznają się do tego morderstwa albo, co gorsza, zaczną naśladować skurwysyna.

Max pokiwał głową, zaciskając zęby. Trzymany w ustach ołówki pękł na dwie nierówne części, o mało nie raniąc mu dziąseł.

Zapowiadał się ciężki tydzień.

- Jak się czujesz? — spytała Sara.
- Dobrze — odpowiedział Michael. — Jeszcze raz mnie spytasz, to zacznę wrzeszczeć.
- Po prostu się martwię.
- Przestań się martwić i zrób coś konstruktywnego.
- Na przykład?
- Na przykład zamknij drzwi na klucz i rozbierz się do naga.
- Chciałbyś, co?

Skinął głową.

— Cześć, Saro — rozległ się z tyłu kobiecy głos. Oboje spojrzeli w kierunku drzwi. W progu zobaczyli doktor Carol Simpson. Obok łóżka Micheala stał mały odtwarzacz płyt kompaktowych, z którego płynął *Koncert d-moll* Chopina. To Reece przywiózł go do szpitala z klubowej szatni przy Madison Square Garden. „Mnie się od tego badziewia rzygać chce — powiedział — ale biedakowi może się polepszy”.

— Michael, to jest doktor Simpson, o której ci mówiłam — rzekła Sara.

— Miło mi pana poznać — powiedziała lekarka.

— Wzajemnie.

— Słyszałam, że pan zaniemógł? Jak pan się czuje?

— Dziękuję, już lepiej.

— To dobrze. Wiedziałam, że oboje tu jesteście, więc pomyślałam, że wpadnę, by przekazać wam nowinę.

Michael usiadł prosto. Poczłł suchość w ustach. Próbował zwilżyć wargi, ale język też miał suchy.

— Nowinę?

— Tak. Są wyniki badań.

— No i? — spytała niepewnie Sara.

Carol Simpson wyciągnęła dłoń.

— Winszuję — powiedziała. — Jesteś w ciąży.

Sara zakryła dłonią usta z wrażenia.

— To pewne? — wyszeptała.

— Stuprocentowo. Mniej więcej drugi miesiąc.

Odwróciła się do Michaela.

— Słyszałeś, skarbie?

Skinął głową, niezdolny wykrztusić słowa.

— Przepraszam... — wyszeptał. — Po prostu jestem...

— Nie ma za co przepraszać, proszę pana. Pańska mina to naprawdę wzruszający widok.

Sara zarzuciła mężowi ręce na szyję.

— Muszę wracać do pracy — powiedziała Simpson. — Chciałabym, Saro, żebyś wpadła do mnie jutro rano, dobrze?

— Oczywiście.

Michael odsunął się od żony.

— Dziękuję, pani doktor!

— Nie ma za co. Proszę na siebie uważać. I jeszcze raz wam gratuluję.

Wyszła.

— To chyba oznacza, że od teraz powinienem cię nazywać mamuszką — zażartował z uśmiechem.

— Owszem. A ty jesteś tatusiem.

— Nawet w łóżku będziemy tak do siebie mówić?

— Nie. Wtedy będę do ciebie mówiła po imieniu.  
— Czyli Ogier?  
— Śnij dalej.  
— Boże, ciągle nie mogę w to uwierzyć. Zostaniemy rodzicami! Saro, będziesz ty, ja i nasze dziecko. Będzie nas troje.  
Pocałowali się.  
— Kocham cię, Michael.  
— Ja też cię kocham — odpowiedział. Pogłaskał ją po wciąż płaskim brzuchu. — Kocham was oboje.  
Gdy znów się całowali, zadzwonił telefon. Michael niechętnie wyciągnął rękę i odebrał.  
— Tak?  
Po chwili podał Sarze słuchawkę.  
— Do ciebie.  
— Kto to?  
Wzruszył ramionami.  
— Nie wiem.  
— Proszę czekać — powiedział nosowy kobiecy głos. Rozległ się sygnał, a potem nastąpiło połączenie.  
— Sara?  
— Max?  
— Rany, strasznie trudno cię złapać. Szukam cię od godziny. Jak leci?  
— Świetnie.  
— Cieszę się.  
Niemał słyszała, jak Bernstein obgryza paznokcie w trakcie rozmowy.  
— O co chodzi, Max? Czuję, że nie zadzwoniłeś po to, żeby pogawędzić towarzysko.  
— To prawda.  
— No więc co się dzieje? Wziął głęboki wdech.  
— Zamordowano Bradleya Jenkinsa. Muszę z tobą jak najszybciej porozmawiać.

\* \* \*

Spotkali się pół godziny później w cichym kącie szpitalnej stołówki. Po pośpiesznym powitaniu Max powiedział:

— Nasza rozmowa jest poufna, rozumiemy się?  
— Tak.  
— Wobec tego od razu cię o coś spytam.  
— Wal.  
— Czy Bradley Jenkins był gejem?  
— Tak.

Spodziewał się takiej odpowiedzi. Skinął głową, potrząsając kręconymi włosami. Wsunął do ust nowy ołówek i zaczął go gryźć. Potem założył prawą nogę na lewą i przeciągnął dłonią po włosach. Po chwili zaczął się znowu wiercić i zmienić nogi.

Max Bernstein miał trzydzieści dwa lata, ale wyglądał młodziej. Sara wiedziała, że w policji traktowany jest jak pewien fenomen. Mimo że miał najlepsze wyniki w całym wydziale, nie lubił niebezpieczeństw. Nienawidził broni i nigdy dotąd nie użył jej na służbie. Starał się unikać przemocy i ledwo umiał wywijać pięściami. Nie uważał się za bohatera.

Uwielbiał jednak rozwiązywać zagadki — im trudniejsze, tym lepiej. I był w tym dobry, cholernie dobry. Właściwie nie wiadomo, jak tego dokonywał — wierząc się i kręcąc, szperając i gmerając, potrafił rozwikłać każdą tajemnicę.

— Teraz ja zadam pytanie — powiedziała Sara. — Co się stało Bradleyowi i dlaczego chciałeś wiedzieć, czy jest gejem?

— To są dwa pytania.

— Max!

— Próbuje nie stracić do końca humoru. Dziś rano znaleźliśmy jego zwłoki na tyłach gejowskiego baru w Greenwich Village.

— O Jezu...

— Nie mamy jeszcze wyników sekcji, ale jesteśmy pewni, że zmarł od wielokrotnych ciosów nożem. Uważamy... Saro, dobrze się czujesz?

Miała szeroko otwarte oczy i pobladłą twarz.

— Czy były inne podobne morderstwa? — spytała.

— Skąd ten pomysł?

— Max, nie baw się ze mną.

— No dobrze. Być może mamy do czynienia z seryjnym zabójcą — przyznał. — Nie zajmowałem się poprzednimi morderstwami, ale owszem, były. Dwa. Ofiary zginęły w ten sam makabryczny sposób. Podejrzewamy, że wszystkie trzy zbrodnie popełnił ten sam człowiek.

— A dlaczego pytałeś, czy Bradley był gejem?

— Bo tamci dwaj byli. Być może zabójca uderza w homoseksualistów. Dobra, teraz ja. Skąd wiesz, że były inne ofiary?

— Chyba znasz doktora Harveya Rikera?

— Owszem.

— Wiesz, że prowadzi tutaj klinikę i leczy pacjentów chorych na AIDS?

Wzruszył ramionami.

— I co z tego?

— Jak się nazywały dwie pierwsze ofiary?

— Bill Whitherson i Scott Trian.

— No właśnie. Należeli do grupy wybranych pacjentów, którzy są leczeni w tej klinice. Na pewno macie tę informację w aktach.

Bernstein zaczął machać nogą.

— Szczerze mówiąc, nie miałem czasu ich przejrzeć — odparł. — Dostałem sprawę godzinę temu.

— Harvey powiedział mi o tym wczoraj wieczorem. Stąd wiem.

— W takim razie zadam oczywiste pytanie. Czy Bradley miał AIDS i czy był leczony?

Sara podniosła kubek do ust i łyknęła kawy.

— Nie wiem — odrzekła. — Musisz spytać Harveya.

— Co znaczy „nie wiem”?

— Po prostu nie wiem.

— Saro! Czy on miał AIDS?

— Dobrze, odpowiem, ale to musi zostać między nami.

— Zostanie.

— Tak, miał.

— I był leczony?

— Tak, ale nic więcej nie wiem. To była wielka tajemnica. Nie chciał mi powiedzieć.

— Dlaczego?

— Wiesz chyba, kim jest jego ojciec.

— Wiem.

— Senator zbił Bradleya na miazgę, gdy się dowiedział o jego chorobie. Bał się, że to wyjdzie na jaw.

— A wtedy byłby skończony jako polityk.

— No właśnie. Dlatego unikaliśmy tego tematu.  
— Rozumiem. — Bernstein znieruchomiał, zerknął na sufit i podrapał się w gardło. — A Riker nic ci nie mówił? Przecież leczył Bradleya.  
— Nie. Klinika działa bardzo dyskretnie. Nie znam nazwisk pacjentów.  
— Ciekawe... — mruknął. Spojrzał w bok, podniósł rękę i podrapał się w policzek. — Dlaczego więc rozmawiał z tobą wczoraj o tych dwóch zabójstwach?  
— Jego spytaj — odparła Sara z wahaniem.  
— Daj spokój, nie zgrywaj dziennikarki chroniącej źródła informacji.  
— Obawiam się, że w tej chwili nie mam innego wyjścia. Porozmawiaj z Harveyem. Od niego dowiesz się znacznie więcej.  
Bernstein wzruszył ramionami.  
— No dobra, to go znajdziemy — rzekł.

\* \* \*

Przeszli przez dwa punkty kontrolne w Sidney Pavilion. Harvey Riker pracował w swoim gabinecie. Podniósł głowę znad załanego papierami biurka i spojrzał na gości zacerwienionymi ze zmęczenia oczami.

— Co się dzieje? — spytał.  
— Harvey, pamiętasz porucznika Bernsteina?  
— Oczywiście. Witam, poruczniku.  
— Dzień dobry, doktorze. Jak leci?  
— W porządku, dziękuję. Sara, właśnie rozmawiałem z Michaeliem. Tak jak podejrzewaliśmy, USG wykazało opuchnięcie wątroby.  
— Co to znaczy?  
— Może znaczyć różne rzeczy. Doktor Sagarel, Eric i ja uważamy, że to zapalenie. Za dzień, dwa dostaniemy wyniki badania krwi. Wygląda na to, że będzie musiał zostać u nas kilka tygodni, a potem czeka go miesiąc leżenia w domu.  
— A koszykówka?  
— W tym sezonie to wykluczone. I mała szansa, by zagrał w play-offach.  
— Wie już?  
— Tak, powiedziałem mu. Trochę dziwnie zareagował.  
— To znaczy?  
— Nie przejął się. Powiedział, że jesteś w ciąży. Cholera, tylko o tym mówił.  
— W ciąży?! — odezwał się Max. — Nic nie mówiłaś.  
— Bo nie zdążyłam.  
— Moje gratulacje.  
— Dziękuję. Harvey, porucznik Bernstein chce z tobą porozmawiać.  
Riker wstał i obszedł biurko.  
— Czy chodzi o to, o czym mówiliśmy wczoraj wieczorem? — spytał.  
— Przekonamy się! — krzyknął Max. Próbował udawać profesjonalistę, ale wypadł jak kiepski aktor w starym filmie o detektywach. Nie potrafił zgrywać twardziela. — Czy Bradley Jenkins jest pańskim pacjentem?  
Na twarzy Rikera odmalowało się zaskoczenie połączone z irytacją.  
— A co to za pytanie, do cholery?  
Bernstein odchrząknął.  
— Zechce pan odpowiedzieć?  
— Nie zechcę. — Harvey spojrzał na Sarę. — Co tu się dzieje?  
Zerknęła na Maxa, a on skinął przyzwalająco głową.  
— Bradleya zamordowano — powiedziała. — Dziś rano policja znalazła jego zwłoki.



— Co?!

— Zadano mu wielokrotne ciosy nożem — dorzucił Bernstein. — Podejrzewamy, że jego śmierć ma związek z zabójstwami dwóch pańskich pacjentów. Niejakiego Billa Whithersona i Scotta Triana.

— Jezu Chryste!

— No więc może będzie pan łaskaw odpowiedzieć na moje pytanie? Czy Bradley Jenkins był pacjentem pańskiej kliniki?

Harvey ruszył niepewnie z powrotem do fotela jak bokser, który otrzymał serię bolesnych ciosów. Usiadł ciężko i ukrył I warz w dłoniach.

— Saro, czy twojemu policjantowi można ufać? — spytał po długiej chwili.

— Tak.

Wbił spojrzenie w Bernsteina, który niemal płaszał po małym gabinecie.

— Proszę przysiąc, że nie będzie pan o tym rozmawiał z mediami.

— Przysięgam.

— Tak, Bradley był moim pacjentem. W tajemnicy.

— Od dawna?

— Od niedawna. Od mniej więcej czterech miesięcy.

— A tamci dwaj? Whitherson i Trian.

— Prawie od samego początku.

— Czyli?

— Od ponad dwóch lat.

Max skinął głową. Wyjął notes i zaczął pisać ogryzionym ołówkiem.

— W takim razie proszę mi opowiedzieć o waszej wczorajszej rozmowie.

Harvey zerknął na Sarę.

— Możesz mu zaufać — zapewniła.

Przemógł wahanie i zaczął mówić. Najpierw stwierdził, że podejrzewa, iż morderstwa mają związek z kliniką, potem wyjawiał, że klinika jest o krok, zaledwie o jeden krok od dokonania przełomowego odkrycia w leczeniu AIDS. Max kiwał gwałtownie głową, słuchając w milczeniu i zapisując kolejne strony notatnika.

— Powiedział pan, że jesteście blisko wynalezienia leku — odezwał się, gdy Riker zamilkł. — „Wy” to znaczy kto?

— W zasadzie ja i mój nieżyjący już współpracownik doktor Bruce Grey. No i nowy członek naszego zespołu, doktor Eric Blake.

— Blake jest przyjacielem Michaela, prawda?

— Tak — potwierdziła Sara.

Max zmrużył oczy w skupieniu. Ołówek znów wsunął się do ust.

— Bruce Grey... Czy to nie ten, który wypadł przed kilkoma tygodniami z okna?

Harvey zerknął na Sarę i skinął głową.

— Coraz ciekawsze — mruknął Max. — Co pan myśli o tym samobójstwie, doktorze?

— Nic nie myślę. Bruce popełnił samobójstwo. Tak stwierdziła policja. Cała reszta, o której mówiłem Sarze, to raczej wymysł mojego zmęczonego umysłu i bujnej wyobraźni. Obłąd.

Max podszedł do krzesła stojącego przed biurkiem i usiadł.

— Lubię obłądy — stwierdził.

\* \* \*

Cassandra schodziła cicho na parter. Wciąż miała lekkiego kaca po hulance poprzedniego wieczoru, ale ból głowy nie był aż tak dojmujący jak zwykle. Próbowwała poskładać w całość wydarzenia sprzed kilku godzin. Przypomniała sobie trudną rozmowę z Michaeliem.

Pamiętała mgliście, że pieprzyła się w senatorem. Jenkinsem w domku plażowym, pamiętała też, że sporo wypila.

Ale zadziwiająco, że najwyraźniej zapamiętała to, co wydarzyło się pod koniec przyjęcia. Powlokła się do baru, żeby wypić ostatni kieliszek przed pójściem spać. Czekając na drinka, wdała się w rozmowę z mężczyzną, który też był już podchmielony. Wiedziała, kim jest, spotkała go kilka razy, ale nigdy nie zwróciła na niego większej (czytaj: żadnej) uwagi. Jednak w tamtej chwili nie napatoczył się nikt inny, ona zaś była akurat usposobiona wspaniałomyślnie.

Kiedy godzinę później goście zaczęli wychodzić, Cassandra uświadomiła sobie, że nadal rozmawia z tym mężczyzną — rozmawia, nie flirtuje, nie kokietuje ani nie jest kokietowana, nic pieprzy się z nim. Po prostu rozmawia. Cholera, musiałam się nieźle wstawić, pomyślała. W normalnych okolicznościach, gdybym była trzeźwiejsza, nie marnowałabym śliny na takiego faceta.

Ale mężczyzna okazał się dżentelmenem w każdym calu. Słuchał jej, słuchał, co miała do powiedzenia. Och, nieraz widziała, jak mężczyźni udają zainteresowanie rozmową tylko po to, żeby dobrać się do jej majtek. Czuła, że jego naprawdę ciekawi to, co ona mówi.

Dziwne.

A jeszcze dziwniejsze było to, że gdy go spytała, czy chce pójść z nią na piętro, odparł:

— Nie dzisiaj.

— Dlaczego?

Pokręcił głową z uśmiechem.

— Widziałem coś takiego w *Strefie mroku*. Przeciętny mężczyzna i szalona kobieta zamieniają się rolami. Sam nie wierzę, że to mówię, ale nie chcę być kolejnym okazem w twojej kolekcji.

— Słucham?

— Wiem, wiem, samemu trudno mi uwierzyć. Wiesz, Cassandro, dałbym sobie obciążenie prawą dłoń, żeby spędzić z tobą noc.

— Więc?

Wzruszył ramionami i rozłożył bezradnie ręce.

— Jeśli teraz pójde z tobą, to będzie koniec. A jeśli ci odmówię, może cię to zaintryguje? Może będziesz chciała czegoś więcej? Chociaż tak naprawdę podejrzewam, że gdy wytrzeźwiejesz, ta rozmowa wyda ci się koszmarem.

Uśmiechnęła się.

— Odkrywasz karty, Harvey.

— Hm, nigdy nie byłem dobrym strategiem — odpowiedział. — Poza tym wyszedłem z wprawy, bo minęło dwadzieścia sześć lat, odkąd próbowałem zdobyć kobietę. Zrób sobie przysługę, Cassandro. Trzymaj się ode mnie z daleka, bo mam kłopoty.

— No, teraz to naprawdę brzmi intrygująco.

— Obawiam się, że nie ma w tym nic intrygującego. Jestem pracoholikiem, który każdą chwilę na jawie spędza w szpitalu w Harlemie. Nie mam czasu na życie towarzyskie. To był zabawny wieczór, cudowna odskocznia od pracy, ale czas wracać na ziemię.

— Może jednak przemyślisz jeszcze raz swoją decyzję? — zasugerowała.

Harvey uderzył się pięścią w skroń, jakby chciał otrzeźwieć.

— Śnię, prawda? — spytał. — Cała ta rozmowa mi się przyśniła.

— Może. Przekonamy się jutro rano.

Teraz nastąpiło jutro i z jakiegoś dziwnego powodu Cassandra pragnęła znowu zobaczyć Harveya Rikera. Ale był jeden problem — przez cały ranek zastanawiała się, co powinna zrobić, i nie znalazła odpowiedzi na to pytanie. Zaczekać, aż on zadzwoni? A jeśli nigdy tego nie zrobi? Mówił, że wyszedł z wprawy. Ona też. Minęło wiele lat, odkąd zależała jej na telefonie od jakiegoś mężczyzny.

Potem ojciec wrócił do domu i rozwiązanie nasunęło się samo.

— Gdzie byłeś? — spytała.

— W szpitalu — odparł rozkojarzony Lowell. — Michael zasłabł i zawieźli go tam na ostry dyżur.

— A co się stało?

— Na razie nie wiadomo. Zajęli się nim przyjaciele.

— Harvey Riker?

Skinął głową.

— Podejrzewają, że ma zapalenie wątroby.

— W takim razie chyba go odwiedzę.

— Jak uważasz. Kiedy chcesz jechać?

— Za dziesięć minut — odparła Cassandra.

— To świetnie. Niedługo mam ważne spotkanie i lepiej, żeby nikt się wtedy nie kręcił po domu. Rozumiesz?

Ta rozmowa odbyła się ponad godzinę temu, dlatego Cassandra skradała się teraz po schodach na parter. Spotkanie było prywatne. Pofne. Ojciec dostałby szału, gdyby się zorientował, że ona nadal jest w domu. Ruszyła bezszelestnie w kierunku garażu. Mijając gabinet ojca, usłyszała jego gniewny głos dobiegający zza grubych dębowych drzwi.

— Jasna cholera, nie trzeba było tu przychodzić!

— Uspokój się — odpowiedział drugi głos, którego Cassandra nie rozpoznała. — Mówiłeś, że jesteś sam.

— Nie szkodzi. Nie chcę cię widzieć w moim domu.

— Przestań się bać. Mamy robotę do wykonania.

Kto to jest, do cholery? Cassandra odsunęła się cicho od drzwi. Zaintrygowana rozmyślała gorączkowo. Głos brzmiał znajomo. Już go wcześniej słyszała, była tego pewna. Ale gdzie? Do kogo należał?

Odpowiedź pojawiła się sama, gdy Cassandra zatrzymała się na skrzyżowaniu półtora kilometra od domu.

— Charakter pisma doktora Greya naprawdę pokazuje coś interesującego — powiedział grafolog Robert Swinster.

Max Bernstein kiwnął głową.

— Tak, wiem — mruknął. — To może wiele wyjaśnić.

— Niby co?

— Później. Mam milion spraw na głowie.

— Aluzja zrozumiana. Już mnie nie ma.

Max uściskał Swinsterowi dłoń i poklepał go po plecach.

— Dzięki, Bob. Doceniam twoją pomoc.

— Nie ma problemu. Cieszę się, że się przydałem.

Grafolog odwrócił się i odszedł. W tym samym momencie do biurka Bernsteina przykuśtykała Sara.

— Cześć — powiedziała.

Max się uśmiechnął.

— O, dobrze, że jesteś. Siadaj.

Przyjrzała mu się. Wszystkie oznaki koncentracji były wyraźnie widoczne: zaczerwienione oczy, obgryzione nierówno paznokcie, zmarszczone czoło, palce nerwowo obracające ołówek, połamane spinacze do papieru na biurku, dłoń nieustannie drapiąca nieogoloną twarz.

Od dwóch dni Max i jego ludzie zajmowali się śledztwem w sprawie zamordowania Bradleya Jenkinsa przez sławnego już Homorozpruwacza. Załamany senator Jenkins ukrył się przed światem i odmówił skomentowania plotek na temat śmierci swego syna. Rzecznik senackiej mniejszości śpiewał dyżurną śpiewkę: zabójstwo to było dziełem pewnych grup wywrotowych chcących zniszczyć reputację i życie osobiste senatora z Arkansas.

Poprzedniego dnia, po pogrzebie Bradleya, Max przesłuchał starego Jenkinsa. Przepracował lata w wydziale zabójstw, wiedział więc, że podobna tragedia może załamać najsilniejszego człowieka, ale mimo to wygląd senatora wstrząsnął nim do głębi. Jenkins miał ziemistą cerę, zgarbione ramiona i tępe spojrzenie. Zachowywał się, jakby przeżył druzgocącą klęskę. Na pytania odpowiadał beznamietnym, nieobecnym głosem. Okazało się, że nie wie niczego, co pomogłoby znaleźć zabójcę.

— Kto to był? — spytała Sara.

— Robert Swinster — odparł Max. — Nasz grafolog. Sprawdział list, który przed samobójstwem napisał Bruce Grey.

— I co?

Zadzwoił telefon na biurku. Max wyprostował palec, dając Sarze znak, by poczekała, i odebrał.

— Słucham.

— Znowu „Daily News” na piątej linii. Na ósmej ABC-TV.

— Nie gadam na razie z mediami — warknął i trzasnął słuchawkę na widełki. — Cholerni dziennikarze. Można oszaleć.

— Spokojnie.

— Wszyscy dokoła wrzeszczą, że nie robimy tego, co trzeba. A jak mamy cokolwiek zrobić, kiedy dziennikarze wciskają się wszystkimi szczelinami? Stado sępów. Z wyłączeniem szanownej pani, oczywiście — dodał. — Wiesz, co ci powiem? Moim zdaniem media mają nadzieję, że ten psychol znowu uderzy. Chore na umyśle skurwysyny.

— No cóż, taka jest natura mediów.

— Wiem, ale w tej sprawie wywierają na nas niewyobrażalną presję. Na tej konferencji czułem się jak ochłap mięsa rzucony sforze wygłodniałych dobermanów. A to tylko jeden

kłopot. Z drugiej strony burmistrz z oburzoną miną żąda błyskawicznych wyników. Gejowscy aktywiści też już się nakręcili, oskarżając faszystowską policję o dyskryminowanie homoseksualistów. Do tego kilkanaście telefonów od świrów, którzy przyznali się, że są Homorozpruwaczem. — Wziął głęboki oddech. — Ech, chrzanić to. Jak Michael?

— Czuje się lepiej. Są teraz u niego koledzy z drużyny.

— To dobrze. Chciałbym z tobą porozmawiać.

— Burza mózgów?

Skinął głową i uśmiechnął się smętnie. Kilka lat wcześniej Sura pomogła mu znaleźć zabójcę, który w jednym tygodniu zastrzelił czterech policjantów. Z doświadczenia wiedział, że warto czasem porozmawiać o śledztwie z kimś, kto potrafi słuchać, a Sara potrafiła nie tylko słuchać, ale też myśleć. Często wpadali razem na szalone pomysły, wymyślali niestworzone hipotezy — wyłącznie po to, żeby w starciu irracjonalności z faktami narodziło się rozwiązanie zagadki. — Czy to dla ciebie trudniejsza sprawa od innych? — spytała.

— Co masz na myśli?

— Wiesz, co mam na myśli.

Uśmiechnął się nerwowo i rozejrzał dokoła, żeby się upewnić, że nikt nie słyszy ich rozmowy.

— To byłby sensacyjny news, co? — spytał ironicznie. — Pedzio z policji prowadzi śledztwo w sprawie Homorozpruwacza.

Milczała.

— Saro, jesteś jedyną osobą, która wie — ciągnął. — Poza Lennym i moją matką. — Przełknął ślinę, poruszając jabłkiem Adama. — Chciałbym wszystkim powiedzieć, ale wiesz, co by się ze mną stało, gdyby w policji się o tym dowiedzieli?

— Wyobrażam sobie.

— Straciłbym wszystko. Miałbym farta, gdyby mi pozwolili wypisywać mandaty w drogówce.

— Max, nie musisz się tłumaczyć. Skinął głową, patrząc w biurko.

— A tak przy okazji, to masz pozdrowienia od Lenny'ego — mruknął.

— Dzięki. Jak się miewa?

Wzruszył ramionami.

— Jęczydupa z niego, ale go kocham — odpowiedział.

— Ważne, że jesteś szczęśliwy.

— Mówisz jak moja matka. Możemy wrócić do śledztwa?

— Oczywiście. Co masz?

— Niewiele. Znaleźliśmy menela, który widział, jak wczesnym rankiem ktoś podrzucił zwłoki Bradleya pod Czarną Magię. Znaleźliśmy też samochód, którym jeździł zabójca. I to raczej wszystko.

— A szczegóły?

— Ten menel, niejaki Louis Bluwell, spał sobie smacznie po wypiciu paru butelek ginu, przykryty workami ze śmiecia mi. Nagle usłyszał warkot samochodu i zobaczył mężczyznę, którego określił jako „wielkiego potwora”. Ten facet wysiadł z samochodu i rzucił zwłoki na worki. Bluwell zeznał, że to był stary zielony chevrolet. Przy Riverside Drive znaleźliśmy porzucony samochód odpowiadający temu opisowi. W bagażniku było sporo krwi, to znaczy całe hektolitry. Okazało się, że samochód skradziono poprzedniego wieczoru.

— Technicy znaleźli coś w tym samochodzie?

— Odciski palców. Należą do Bradleya. I kilka włosów. Też jego.

— Tak myślałam. Coś jeszcze?

— Ten menel twierdzi, że morderca jest wielkim facetem. Wysoki jak dąb. I ma ciemne włosy. Nie dostrzegł żadnych innych cech charakterystycznych.

— No i co sądzisz?

Max wyprostował się w fotelu i splótł dłonie przy twarzy, palcami wskazującymi podpierając nos. A potem położył nogi na biurku.

— Że to wszystko jest bardzo ciekawe — odparł.

— Czyli?

— Czyli nie układa się w żadną sensowną całość.

— Dlaczego?

— Posłuchaj, Saro. Co na razie wiemy? Po pierwsze, wszyscy trzej zabici byli homoseksualistami. Po drugie, leczyli się w tej samej klinice. Po trzecie, zginęli od wielokrotnych ciosów zadanych nożem. W ciągu zaledwie trzech miesięcy.

— No i?

— Przyjrzyjmy się wszystkim tym zabójstwom po kolei. — Max wyprostował się gwałtownie, otworzył notatnik i zaczął czytać: — Ofiara numer jeden: Scott Trian. Został przywiązany do łóżka w swoim mieszkaniu przy Christopher Street. Zadano mu dwadzieścia siedem pchnięć. Morderca odciął mu lewe ucho, oba kciuki i lewy sutek. I to prawdopodobnie wtedy, gdy biedak jeszcze żył. Dodatkowo go wykastrował.

— Niesłychane — szepnęła Sara.

Max skinął głową.

— Jeszcze bardziej niesłychane jest to, że udało nam się zataić te makabryczne szczegóły przed mediami — powiedział.

— Nie na długo. Ktoś w końcu zacznie gadać.

— Zapewne, ale na razie dzięki temu mogę demaskować świrów, którzy przyznają się do winy. Bo oni nie wiedzą o tych szczegółach. Wiedzą tylko to, o czym czytali w gazetach. Ale odbijamy od tematu. Teraz druga ofiara.

— Słucham.

Max poślinił palec wskazujący i przewertował kilka kartek.

— Ofiara numer dwa: William Whitherson. Jego partner, niejaki Stuart Lebrinski, wyszedł z ich mieszkania na Upper West Side, żeby zrobić zakupy. Kiedy wrócił po godzinie, Whitherson już nie żył. Zadano mu dwadzieścia trzy ciosy nożem. Nie było żadnych okaleczeń ani śladów tortur.

— Bo morderca miał mało czasu — odparła Sara. — Lebrinski wyszedł tylko na godzinę.

— Możliwe, ale uważaj, bo robi się coraz ciekawiej. Ofiara numer trzy: Bradley Jenkins.

— Znowu zaszeleściły przewracane kartki. — Po przyjęciu charytatywnym u twojego ojca Bradley wrócił udostępnioną mu limuzyną do swojego mieszkania. Jeden z sąsiadów widział go niedługo potem, jak wychodził z budynku w towarzystwie wysokiego mężczyzny.

— Pewnie tego samego, którego widział potem ten menel.

— Najprawdopodobniej. Potem zwłoki Jenkinsa znajdujemy na tyłach gejowskiego baru. Kilku bywalców Czarnej Magii rozpoznało Bradleya na zdjęciu. Ale przysięgają, że tamtego wieczoru nie było go w knajpie.

— Co w tym dziwnego? Przecież był u mojego ojca.

— Jest jeszcze jedno. Zamek w drzwiach do mieszkania Bradleya został otwarty wytrychem.

— Pewnie ten dryblas się włamał — powiedziała Sara. — Max, nie rozumiem cię. Co według ciebie się nie zgadza?

Bernstein odłożył notatnik.

— Spróbuj złożyć to wszystko w całość — odparł. — Najpierw Bradley Jenkins wraca z przyjęcia. Potem jakiś dryblas otwiera wytrychem drzwi w jego mieszkaniu i się włamuje. Na razie wszystko gra. Nadążasz?

— Tak, mów dalej. — Ze śladów w mieszkaniu wynika, że walka trwała bardzo krótko, jeśli w ogóle. Potem Bradley i zabójca wychodzą z mieszkania i odjeżdżają razem. Możemy zakładać, że został zasztyletowany w bagażniku, bo było tam mnóstwo krwi. Nie został

okaleczony, ale podobnie jak w poprzednich dwóch przypadkach zadano mu ponad dwadzieścia ciosów w twarz, klatkę piersiową i krocze. Zabójca trzyma zwłoki w bagażniku przez całą noc, budzi się nazajutrz rano, jedzie tło baru gejowskiego i zostawia je przy śmietnikach.

— Może Bradley znał tego mężczyznę — zasugerowała Sura. — Nie, czekaj, źle! Gdyby go znał, tamten nie musiałby używać wytrycha.

Max uśmiechnął się lekko.

A już ci miałem wytknąć błąd w myśleniu — powiedział.

— Przepraszam, że cię ubiegłam.

— Nieważne. Ale przy okazji umknęło ci ważniejsze pytanie.

— Jakie?

— Dlaczego zabójca w ogóle wyprowadził Bradleya z mieszkania? Zastanów się, Saro. Triana i Whithersona zamordował w ich mieszkaniach. Dopadł ich, gdy byli sami. Zrobił swoje i wyszedł. W przypadku Bradleya postąpił inaczej. Zadał sobie trud, żeby go wywlec z domu. Co to oznacza? Po pierwsze, że dodatkowo musiał ukraść samochód. Po drugie, ryzykował, że ktoś go zobaczy wychodzącego z mieszkania. Oraz że ktoś go zobaczy, gdy będzie podrzucał ciało na tyłach Czarnej Magii. Dlaczego zrobił to wszystko? Dlaczego nie zabił go na miejscu, tak jak tamtych dwóch? I dlaczego podrzucił zwłoki akurat pod gejowski bar?

Sara zamyśliła się na chwilę.

— Teraz rozumiem — mruknęła. — Posłuchaj, Max. Wiem, że działasz pod wielką presją, ale nie mogę dłużej zatajać tej sprawy. Nie powiem nic o okaleczeniu Triana, ale społeczeństwo musi się dowiedzieć o powiązaniach trzech ofiar z kliniką AIDS.

— Saro...

— Ktoś za chwilę i tak wygrzebie te informacje. Starego Bradleya nie można skrzywdzić bardziej, niż został skrzywdzony. — Chwyciła laskę. — A co ważniejsze, Harvey postanowił upublicznić sukcesy kliniki. Potrzebuje więcej funduszy. W *NewsFlash* puścimy godzinny program o leczeniu.

Max gwizdnął.

— No to narobicie szumu — mruknął. — Może dostaniesz za to Pulitzera? Taka dziennikarka jak ty na pewno zasługuje na tę nagrodę.

— Ej, to nie fair.

— Wiem, przepraszam. Dają o sobie znać moje uprzedzenia wobec mass mediów.

— Dobra, nieważne. — Sara patrzyła, jak Max obgryza palec: nie paznokiec, lecz palec. — Nie uważasz, że w tej uprawie ważne jest właśnie powiązanie ofiar z kliniką?

Moim zdaniem jest kluczowe — odparł. Wyjął palec z ust i otarł dłonią twarz. — Moi ludzie sprawdzają wszystkich, którzy się tam leczą i pracują.

— A więc zgadzamy się, to sedno całej sprawy, prawda? Wszyscy zakładają, że ten psychopata uderza w gejów, n przecież możliwe, że raczej uderza w ludzi chorych na AIDS, a konkretnie w ludzi chorych na AIDS, których leczy Harvey Riker.

Możliwe.

W związku z tym co myślisz o obawach Harveya, że ktoś próbuje storpedować działalność kliniki?

Bernstein wstał i zaczął chodzić dokoła, zataczając małe kręgi.

— Też możliwe, ale bardzo mało prawdopodobne — odparł. — Zdaniem Rikera nikt spoza kliniki, ani władze, ani ty, ani nikt inny, nie wiedział, że są blisko znalezienia leku na AIDS. Owszem, krążyły plotki, ale ludzie na ogół nie torpedują plotek.

— Chyba się z tobą nie zgadzam — odrzekła Sara. — Ludzie często działają z powodów jeszcze mniej ważnych niż nieuzasadnione plotki.

Oczywiście, ale spójrz na to z tej strony: gdyby ktoś chciał sabotować działalność Rikera i Bruce'a, to po co mordowałby pacjentów w tak makabryczny sposób? Wystarczyłoby podłożyć ogień pod klinikę. Albo po prostu zabić... — Max urwał.

— Po prostu zabić?

Przełknął ślinę.

— Chciałem powiedzieć: „Po prostu zabić lekarzy”.

Zapadła długa chwila milczenia.

— Max, co mówił twój grafolog? — spytała Sara.

— Że Bruce Grey własnoręcznie napisał ten list. Fałszerstwo jest wykluczone.

— Czy to znaczy, że na pewno popełnił samobójstwo?

Bernstein zastanawiał się nad odpowiedzią, nerwowo masując dłonią podbródek.

— Niekoniecznie — odrzekł. — Ale ponieważ ustalono, że to Grey napisał list, uznano, że popełnił samobójstwo. To była prosta sprawa. Więc została zamknięta.

— A teraz?

— A teraz pojawiają się wątpliwości. Zrobiłem wywiad na temat Greya. To był zadowolony z życia facet. Normalny. Nie wykazywał oznak depresji ani zaburzeń psychicznych.

— No ale mówiłeś, że to on napisał list, więc...

— Pozostaje pytanie, w jakich okolicznościach go napisał.

— Nie rozumiem.

— Kazałem grafologowi zbadać ten list ponownie. Tym razem jednak poprosiłem go, by zwrócił uwagę na konkretne szczegóły.

— Jakie?

— Po pierwsze, Swinster zauważył, że podczas pisania listu Bruce'owi drżała ręka. Pismo jest rozedrgane. Słowa i litery się zlewają. List napisał Grey, bo świadczy o tym kształt liter, ale to nie jest jego normalne pismo. Wygląda na to, że albo się śpieszył, albo był w wielkim stresie.

— Czy to nie typowe w przypadku samobójcy?

— Nie bardzo. Na ogół pismo jest normalne. Równe. Ponadto Grey zawsze pisał bardzo starannie, nawet gdy wypisywał receptę. Natomiast list pożegnalny jest nadzwyczaj niechlujny. Być może, powtarzam: być może, Grey został zmuszony do jego napisania.

Sara usiadła prosto, wybałuszając oczy.

— Zmuszony?! — spytała. — To znaczy, że ktoś mógł mu przystawić broń do głowy?

— Uspokój się. Tego na razie nie wiemy.

— Ale jeśli tak było, oznacza to, że Harveyowi też grozi śmiertelne niebezpieczeństwo!

Bernstein pokręcił głową.

— Nie zaczynaj tworzyć nieuzasadnionych hipotez — powiedział. — Jest tysiąc lepszych odpowiedzi. Bruce mógł być po prostu zziębnięty tak bardzo, że drżały mu ręce. Albo był zdenerwowany, bo myślał o tym, co się z nim stanie, gdy wyskoczy z okna głową w dół.

— Sam w to nie wierzysz.

Schowął klucze do kieszeni.

— Ale brzmi przekonująco — odparł.

— Dokąd się wybierasz?

— Do tego hotelu. Chcę sprawdzić pokój, w którym zatrzymał się Grey.

\* \* \*

— Ej, jak się czujesz?

Michael podniósł głowę i się uśmiechnął. Do pokoju w maszerowali Reece i Jerome z połową drużyny.



— Jesteście bandą najbrzydszych sanitariuszy, jakich widziały moje oczy!  
— Ale mamy coś dla ciebie — odparł Jerome, podnosząc brązową papierową torbę.  
— A co to jest?  
— Wiadomo, że szpitalne żarcie jest do niczego, prawda?  
— Żebyś wiedział, cholera. Dwa dni i już mam dosyć.  
— No właśnie — przytaknął Reece. — Wszyscy wiemy, że wy, Żydzi, lubicie orientalne jedzenie.  
— Czyli?  
— Czyli chińszczyzna na wynos!  
— Kocham was, panowie.  
— Tylko się zanedo nie roztkliwiaj, staruszk.  
— Spróbuję się nie rozbeczeć.  
— Powiedz lepiej, jak się czujesz.  
— Dobrze.  
— Kiedy do nas wracasz?  
— Prawdopodobnie dopiero w przyszłym sezonie.  
— O cholera!  
— No właśnie. Ale wiecie co?  
Zapadło krótkie milczenie.  
— Wiemy, Reece już nam mówił — rzekł Jerome, uśmiechając się szeroko. — Będiesz tatusiem. Gratulacje, kolego.  
Uścisnęli sobie dłonie.  
— Dziękuję.  
Zbliżyli się pozostali, żeby powinszować Michaelowi.  
— No i co, staruszk? — spytał Jerome. — Ze szpitalnego łóżka chyba niewiele mnie nauczysz.  
— To pooglądaj stare nagrania — zasugerował Reece. — Zobacz, jak Mikey grał w najlepszych latach.  
— To wtedy już były kamery? — zażartował młody Murzyn.  
Reece parsknął śmiechem.  
— Z czego tak ryczysz? — spytał Michael. — Jesteś tylko rok młodszy ode mnie.  
— Wiem. Dlatego chcę, żebyś jak najszybciej wrócił do drużyny. Bo inaczej to mnie będą nazywać „staruszkim”.  
— Super. No a jak treningi?  
— Brakuje cię — odparł Reece.  
— Miło słyszeć.  
— Tak, tak, brakuje — potwierdził Jerome. — Nie mam komu blokować rzutów.  
— Przestań się zgrywać i dawaj lepiej to żarcie, zanim lekarz je zobaczy — powiedział Michael.  
— Za późno!  
Rośli koszykarze odwrócili się do drzwi. W progu, oparty o framugę, stał Harvey Riker.  
— Cześć, Harv! — zawołał Reece.  
— Cześć. Jak leci?  
— Nie najgorzej.  
— Czy ty i twoja banda moglibyście wyjść na moment, bo chcę porozmawiać sam na sam z Michaeliem?  
— Jasna sprawa.  
— Świetnie. Poproszę jedną z pielęgniarek, żeby w tym czasie zaprowadziła was na oddział dziecięcy. Jest tam kilku chorych brzdąców, których wasza wizyta może rozweselić.  
— Z przyjemnością — odparł Reece. — Idziemy, chłopaki.

Pożegnali się z Michaeliem i wyszli. Harvey zamknął za nimi drzwi i zbliżył się do łóżka. Mamy wyniki badania krwi — powiedział. — Okazuje się, że masz zapalenie wątroby.

— Chyba to podejrzewaliście, co?

— I tak, i nie.

— Możesz mówić jaśniej?

— Szczerze mówiąc, wygląda to dość dziwnie.

— Jak to „dziwnie”?

— Masz wirus typu B, a nie typu A.

— To źle?

— W dziewięćdziesięciu procentach pacjenci zainfekowani wirusem typu B odzyskują zdrowie w ciągu trzech, czterech miesięcy. Jeśli będziesz miał szczęście i przyłożysz się do treningów, wrócisz do drużyny pod koniec sezonu i na play-offy.

— Świetnie.

— Ale chcielibyśmy zrobić kolejne badania — powiedział Harvey. — Limfocyty T, HIV. Michael usiadł w łóżku i wbił spojrzenie w Rikera.

— HIV? — spytał. — Czy to...?

— Tak. Zbadamy, czy przypadkiem nie jesteś zakażony HIV i nie masz AIDS.

— Po co macie to badać?

— Na wszelki wypadek. Dmuchamy na zimne. Jesteśmy pewni, że nie masz AIDS. Nie jesteś homoseksualistą i nie zażywasz dożylnie narkotyków, co oznacza, że w twoim przypadku groźba zarażenia się jest bliska zeru.

— No więc?

— Przedyskutowałem to z Erikiem. Skonsultowaliśmy się też z Sagarelem. Sęk w tym, że nie rozumiemy, jak się nabawiłeś tego wirusowego zapalenia wątroby.

— Pewnie zjadłem nieświeże owoce morza.

— Mylisz wirus typu A z typem B — odparł Harvey. — Typ B przenoszony jest przez krew, ślinę, nasienie i tym podobne. Czuję, że będziesz chciał mi dać za to w mordę, ale muszę cię o coś spytać. Musimy znać prawdę.

— Wal.

— Wiem, że kochasz Sarę, ale czy miałeś może jakiś skok w bok? Chwila wytchnienia po meczu wyjazdowym?

— Nie — odpowiedział Michael. — Nigdy.

Harvey skinął głową.

— W takiej sytuacji zrobilibyśmy od razu test na obecność HIV, ale Eric przeglądał twoją historię chorobową i zauważył, że po wypadku na Bahamach miałeś przetaczana krew.

— To było dawno temu.

— Wiem. Właśnie to mnie martwi. Gdyby to była świeża uprawa, nie widziałbym problemu. Bo dziś technika medyczna jest inna. Badamy krew dawców, zatem niebezpieczeństwo mrużenia się wirusem HIV jest bardzo znikome. Ale wtedy takich badań nie robiono...

— Twierdzisz więc...

— Na razie niczego nie twierdzę — przerwał Harvey. — Wiesz, Eric i ja mamy obsesję na punkcie wirusa HIV. Jestem prawie stuprocentowo pewny, że nie masz AIDS. W normalnych okolicznościach zrobiłbym ci badania na obecność HIV, nic mówiąc ci o tym.

— To dlaczego nie zrobiłeś? O innych badaniach mnie nie informowałeś.

— Bo prawo wymaga, żebyś podpisał oświadczenie.

— Doktor Sagarel jest tego samego zdania co ty i Eric?

Riker nagłe spochmurniał.

— Tak — odparł. — Tego samego.

— Przepraszam, Harvey — powiedział Michael. — Nie chciałem kwestionować twoich kompetencji, tylko...

Riker machnął lekceważąco ręką.

— Nieważne — odparł. — Zadałeś słuszne pytanie.

— To co teraz?

— Chciałbym ci pobrać krew, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Michael wzruszył ramionami. W jego oczach wciąż malował się strach.

— Rób, co trzeba — odrzekł. — To ty jesteś lekarzem.

— Świetnie. Daj rękę.

— Wybierz sobie.

Harvey Riker pochylił się i wbił igłę w wydatną niebieską żyłę.

— To zwykła formalność — powiedział uspokajającym tonem.

— Obyś się nie mylił.

Napełnił strzykawkę i wyciągnął igłę.

— Nie myślę — odparł. Podszedł do drzwi i wyjrzał na korytarz. — Janice!

Janice Matley, najbardziej sumienna i zaufana pielęgniarka, czekała przy drzwiach. Harvey sprowadził ją z kliniki, bo chciał zachować dyskrecję.

— Tak, panie doktorze?

— Zanieś to Ericowi albo Winstonowi. Ale nikomu innemu. Gdyby ich nie było, zaczekaj, aż wrócą.

Skinęła głową i się oddaliła. Harvey wszedł z powrotem do pokoju.

— Kiedy będziemy mieć wyniki? — spytał Michael.

— Za tydzień. A teraz przestań się martwić jak stara baba. Nie ma powodu sądzić, że to coś poważniejszego niż zapalenie wątroby.

\* \* \*

Philip Adams, zastępca kierownika hotelu Days Inn., otworzył kluczem drzwi.

— To tutaj — oznajmił. — Pokój tysiąc sto osiemnaście.

— Cholera jasna — mruknął Max Bernstein.

— Coś nie w porządku?

Wyjął palec z ust.

— Naskórek mi się zadarł.

Philip Adams patrzył z uczuciem bliskim przerażenia, jak porucznik policji zębami pozbywa się irytującego naskórka.

— Coś jeszcze? — spytał.

— Ktoś się zatrzymywał w tym pokoju od tamtego czasu?

— Ostatnio jest mały ruch w interesie, więc stoi pusty.

— Sprzątano tutaj?

— Oczywiście.

— Może pan przyprowadzić pokojówkę, która to robiła?

— Ma dzisiaj wolne.

— Kiedy będzie w pracy?

— Jutro rano.

— Chciałbym, żeby do mnie zadzwoniła.

— Oczywiście, przekażę. Ale dlaczego znowu prowadzicie tutaj śledztwo? Przecież to się stało ponad dwa tygodnie temu.

— Wyjaśniamy drobne nieścisłości — odparł Max. — Może pan również znaleźć recepcjonistę, który miał dyżur tamtego dnia?

— To Hector. To on zameldował pana Greya. Policja już go przesłuchiwała.

- Kiedy Hector będzie w pracy?
- Jest dzisiaj.
- To proszę go przysłać tutaj na górę.
- Dobrze.
- Czy od wypadku zmieniano cokolwiek w tym pokoju? — spytał Bernstein.
- Adams odkasznął w pięść.
- Oczywiście. Musieliśmy wymienić wybitą szybę. Wyskoczył przecież przez okno.
- To wszystko?
- Mężczyzna zamyślił się na moment.
- Chyba tak — odpowiedział.
- To w takim razie dziękuję panu.
- Tu jest klucz, panie poruczniku.
- Świetnie. Oddam go, gdy będę wychodził.
- Dziękuję.

Max został sam. Zaczął krążyć po pokoju, usiłując wczuć się w jego atmosferę. A potem zamknął oczy i próbował wyobrazić sobie całą sytuację: Bruce Grey melduje się w hotelu, jedzie windą na jedenaste piętro, otwiera kluczem drzwi, wchodzi do środka. Wyobraził sobie, jak Grey chce otworzyć okno i przekonuje się, że jest zablokowane. Co więc postanawia zrobić? Wziąć rozbieg i wyskoczyć, rozbijając głową szybę. Znow wyobraził sobie, jak lekarz się cofa pod drzwi, startuje, biegnie, rzuca się z rozpędem na okno, rozbija szybę, raniąc się kawałkami szkła. Nieprzyjemne samobójstwo. Bardzo nieprzyjemne. I bolesne. Taki skok nie należy chyba do przyjemności.

Coś tu nie gra, Tik.

Max pokiwał głową do własnych myśli. Dlaczego tutaj? Dlaczego w ten sposób? Dlaczego uparł się, żeby rozbić szybę? To nie miało sensu. Przecież ten człowiek był o krok od dokonania przełomowego odkrycia w dziedzinie medycyny. Rozwodnik od siedmiu lat, rzadko widywał swoje dziecko, uwielbiał za to czytać i pracować. Domator. Według Harveya Rikera i innych świadków Grey nieczęsto podróżował. Za granicą był tylko trzy razy — przed kilkoma laty dwukrotnie pojechał do Bangkoku, gdzie klinika przechowywała w tajemnicy próbki krwi i wyniki badań, a ostatnio wybrał się do Cancún (wakacje w Meksyku przed popełnieniem samobójstwa?). Max dowiedział się, że Harvey i Bruce paranoicznie bali się przecieków, sabotażu, interwencji władz i tak dalej — dlatego podjęli decyzję o założeniu tajnej placówki w Tajlandii. Do niedawna może wydawało się to nieuzasadnioną fobią, ale teraz...

Zastygł, bo coś zobaczył.

Spojrzał na ścianę po lewej stronie drzwi. Otworzył szeroko oczy. Podszedł powoli i przyjrzał się łańcuchowi, który wisiał w dwóch oddzielnych kawałkach — ze ściany i z drzwi. Stalowy łańcuch został przerwany w połowie. Max nachylił się bliżej, gdy nagle podskoczył, bo rozległo się pukanie.

— Kto tam?

— Hector Rodriguez — odpowiedział głos z latynoskim akcentem. — Pan Adams mówił, że chce się pan ze mną widzieć.

Max otworzył drzwi.

— Proszę wejść — powiedział.

Do środka wszedł niewysoki śniady mężczyzna. Miał hiszpańską bródkę, która wyglądała jak dorysowana ołówkiem. Ubrany był w hotelową liberię.

— Kierownik mówił, że chce pan porozmawiać o tym samobójstwie.

— Czy ktoś wcześniej to zauważył? — spytał Max, wskazując palcem drzwi.

Rodriguez spojrzał zmrużonymi oczami na łańcuch.

— Chyba nie — odparł. — Tu nikt potem nie mieszkał.

— Często pękają łańcuchy w waszym hotelu?

— Nie, proszę pana. Zaraz każę to naprawić.

Max zastanawiał się, czy łańcuch był już pęknięty, gdy Bruce wprowadził się do pokoju. Wątpił w to.

— Pamięta pan, jak doktor Grey się meldował? — spytał.

— Trochę. No bo wyskoczył przez okno niedługo potem. Nie upłynęło chyba nawet pięć minut.

— Co pan pamięta?

— Miał bardzo jasne włosy...

— Nie chodzi mi o jego wygląd. Raczej o to, jak się zachowywał.

— Zachowywał?

— Tak. Czy na przykład nie wyglądał na przygnębionego.

— Na przygnębionego to raczej nie. Powiedziałbym, że był zdenerwowany. Pocił się jak ruda mysz.

— Rozumiem... — mruknął Max. Nagle wyrzucił ręce do przodu. — Zaraz, moment! Jasne włosy? Powiedział pan, że Grey miał jasne włosy?

— No tak. Bardzo jasne.

Zmrużył oczy z niedowierzaniem. Otworzył teczkę z aktami i spojrzął na niedawne zdjęcie Bruce'a Greya. Brunet.

— Czy to ten mężczyzna wprowadził się do hotelu tamtego dnia? — spytał Max, pokazując zdjęcie.

Hector Rodriguez przyglądał się fotografii przez ponad dziesięć sekund.

— Nie jestem pewny — odparł. — Wyglądał jednak trochę inaczej. Nie miał brody. No i jak już mówiłem, miał jasne włosy.

Bernstein znowu otworzył teczkę. Nie przyjrzał się wcześniej zdjęciom sporządzonym przez techników, bo nie był miłośnikiem oglądania krwawej miazgi, ale teraz nie miał wyboru. Przewertował kartki i odnalazł pierwszą lśniącą fotografię. Z twarzy niewiele zostało, więc trudno było powiedzieć, czy mężczyzna miał brodę, ale mimo rozbryzgów krwi Max wyraźnie zobaczył jasne włosy. Bardzo jasne — zgodnie z tym, co mówił Hector Rodriguez.

Zamknął dokumenty i jednocześnie oczy. Skąd ta nagła zmiana wyglądu? Nowa fryzura i golenie przed skokiem z okna? Dziwne, mówiąc delikatnie.

— Niech pan mi powie, co mówił doktor Grey, kiedy się meldował w recepcji.

Rodriguez zmarszczył brwi, wyteżając pamięć.

— Nic szczególnego — odparł. — Po prostu poprosił o pokój. Spytałem, na ile dni potrzebuje. Powiedział, że na jeden.

— To wszystko?

— Spytałem jeszcze, czy zapłaci gotówką, czy kartą. Powiedział, że gotówką. Dałem mu klucz i poszedł.

— Nic więcej?

— Nic.

— Jest pan pewien?

Recepcjonista zamyślił się na moment.

— Tak, jestem pewien.

— Nie miał żadnych szczególnych życzeń?

— Nie.

— Nie prosił na przykład o pokój na konkretnym piętrze?

Rodriguez pokręcił gwałtownie głową.

— Nie — odparł. — Nawet nie spojrzął na numer pokoju. Pewnie się zorientował dopiero w windzie.

Max Bernstein poczuł strach w sercu. Włożył z powrotem palec do ust, ale paznokieć był już obgryziony do żywego mięsa. Cała ta sprawa stawała się coraz bardziej niejasna i skomplikowana. Zbyt skomplikowana. Bruce Grey nie prosił w recepcji o konkretny pokój. Nie prosił o pokój z ładnym widokiem ani o pokój blisko windy. Ani o jeden z tych nowych pokoi, w których obowiązuje zakaz palenia. Nie poprosił o pokój z królewskim łóżem ani z dwoma osobnymi łózkami. A przede wszystkim nie poprosił o pokój na wysokim piętrze. Przecież równie dobrze mogli go umieścić na parterze.

— Coś jeszcze, panie poruczniku?

— Nie, na razie to wszystko.

Rodriguez ruszył do drzwi, ale się zatrzymał.

— Czytałem o panu w „Heraldzie” — powiedział. — Mam nadzieję, że złapie pan tego świra, zanim oderżnie on jaja kolejnemu facetowi.

Max podniósł gwałtownie głowę.

— Słucham?!

— No... że go pan złapie, zanim oderżnie jaja kolejnemu facetowi. *Loco* sto procent.

— A skąd pan o tym wie?

— Czytałem w wieczornym wydaniu. Na pierwszej stronie. Co za człowiek robi takie rzeczy? To miasto jest pełne szajbusów.

Max znowu potarł ręką twarz i oczy. Prasa. Burmistrz. Gejowscy aktywiści. Ratunku.

Dzwoniący telefon wyrwał George'a ze snu. Jak zawsze oprzytomniał w ułamku sekundy, czujny i gotowy. Podniósł słuchawkę, zanim rozległ się drugi sygnał.

— Słucham.

— Czytałeś poranne gazety?

Usiadł i zerknął na zegarek. Tym razem głos po drugiej stronie linii brzmiał inaczej. Nadal był zaniepokojony i napięty, ale przebijało w nim jeszcze coś. Strach? Gniew?

— Nie. A powinienem?

— W „Heraldzie” napisali, że Homorozpruwacz torturował i wykastrował Scotta Triana. Dopiero potem go zabił.

— I to cię tak denerwuje?

— Mieli umrzeć szybko, do jasnej cholery! Nie było mowy o okaleczaniu i torturach!

— Jeśli nie odpowiada ci moja praca...

— Nie odpowiada? Jesteś wariatem. Myślałem, że mam o czynienia z zawodowcem. Ale ty jesteś cholernym psychopata.

— Wykonywałem twoje polecenia — odparł George. — Okaleczanie przyspiesza koniec. I ma uzasadnienie finansowe.

W słuchawce zapadła głucha cisza.

— Zakładałam też, że przeczytałeś, iż sprawa Jenkinsa poszła gładko — ciągnął. — Zostawiłem zwłoki tam, gdzie chciałeś.

— Czy... czy jego też okaleczyłeś?

— Zginął od pierwszego ciosu. Tak jak Whitherson.

— Na pewno?

— Nie każ mi się powtarzać.

— No więc obiecaj, że pozostałym nie zrobisz nic złego.

George niemal się uśmiechnął.

— Ja jestem tylko zwykłym wykonawcą — odparł. — Naciskam przycisk, odpalam puszkę z gazem. To ty... To ty jesteś sędzią w tej sprawie. To ty skazałeś tych ludzi na śmierć.

— Nie, to nie ja!

Znów zapadła cisza.

— Obiecaj mi coś, George — odezwał się głos po chwili. — Obiecaj, że nie będziesz niepotrzebnie torturował pozostałych.

— Dobrze. Ale zapewniam cię, że tak było lepiej.

Rozległo się przeciągłe westchnienie. A potem:

— Sytuacja się zmieniała. Musisz być ostrożniejszy. Policja zaczyna węszyć.

— I co z tego? Policja nie upilnuje każdego pedzia na Manhattanie... Chyba że chodzi o coś innego.

— Coś innego? Nie rozumiem.

— Myślę, że rozumiesz — odparł George. — Słuchaj, nie obchodzi mnie, kim jesteś. Nie obchodzi mnie, dlaczego kazałeś zabić tych ludzi. To nie moja sprawa. Ale muszę wiedzieć, co myśli policja. Muszę wiedzieć, jaki jest związek między ofiarami, żeby się odpowiednio przygotować. W przeciwnym razie mogą wyniknąć błędy.

Milczenie.

— Czy mam zakładać, że tych trzech łączyło coś poza homoseksualizmem? — spytał George.

— Wszyscy byli pacjentami pewnej kliniki, w której leczyli się na AIDS — odpowiedział głos.

— Aha. Dlatego kazałeś mi nosić maskę i rękawiczki?  
— Tak.  
— A doktor Grey był pracownikiem tej kliniki?  
— Tak.  
— A więc wyjaśnijmy to sobie do końca: Trian, Whitherson i Jenkins chorowali na AIDS i byli pacjentami doktora Greya, tak?  
— Tak.  
— Policja o tym wie?  
— Częściowo. Ale reszty się domyśla.  
— A więc mogą znowu węszyć w sprawie samobójstwa Greya?  
— Mogą.  
George zamyślił się na moment.  
— Mam pomysł, ale to cię będzie kosztować — powiedział.  
— Słucham.  
— Załatwię kilku przypadkowych pedziów...  
— Nie!  
— Posłuchaj do końca. Załatwię kilku przypadkowych pedziów, którzy nie mają AIDS. Albo którzy nie leczą się w tej klinice. To sprowadzi gliny na fałszywy trop. Będzie wyglądało jak robota psychopaty nienawidzącego gejów.  
— Nie!  
— A potem zabiję następnych z twojej listy w inny sposób. Upozoruję wypadek albo jeszcze lepiej samobójstwo. Jeśli ci faceci mają AIDS, to i tak czeka ich śmierć. Więc samobójstwo może się wydać całkiem prawdopodobne.  
— Policja na pewno się pokapuje. Nie uda się.  
— Ale warto spróbować.  
— Nie. Masz używać tych samych metod. Chyba że powiem inaczej.  
George wzruszył ramionami.  
— Dobra — mruknął. — Ty płacisz, ty decydujesz.  
— I pamiętaj: jedyni, którzy mają zginąć, to ci, których ja wskażę.  
— Nie zginąć — zaproponował George.  
— Słucham?  
— Oni nie zginą. Zostaną zamordowani.

\* \* \*

— Codziennie tutaj jadasz? — spytała Sara.  
— Nie — odpowiedział Eric.  
Oboje przesuwali tace w szpitalnej stołówce. W sali było pełno lekarzy, pielęgniarek i laborantów — wszyscy w białych kitlach lub zielonych fartuchach chirurgicznych. Wszyscy wyglądali na zmęczonych: mężczyźni nieogoleni, kobiety z podpuchniętymi oczami. Czterdziestogodzinny dyżur może wykończyć najtwardszego człowieka.  
Sara spojrzała na pizzę i zmarszczyła czoło.  
— Słuchaj, czy szpitalna mozzarella zawsze jest zielona?  
— To jedna z najlepszych potraw w całym jadłospisie — odparł Eric.  
— Chyba jednak zrezygnuję.  
— Mogę zamówić chińszczyznę z miasta, jeśli chcesz.  
Pokręciła głową.  
— Michael by mnie zabił — powiedziała. — Nie miał nic chińskiego w ustach od dwóch dni i już wykazuje symptomy odstawienia.  
— No tak, zawsze uwielbiał chińską kuchnię.



Znaleźli wolny stolik w głębi sali, gdzie było trochę spokoju.

— Jak on się czuje? — spytał Eric. — Dziś nie miałem czasu do niego zajrzeć.

— Mniej więcej tak samo — odparła Sara. — Teraz się zdrzemnął. Nie wiem, co o tym myśleć. Według mnie nie wygląda za dobrze.

— Wyzdrowieje, nie martw się. — Otworzył ostrożnie karton mleka. Wszyscy dokoła pili wprost z kartonów, on jednak nalał sobie trochę do szklanki i podniósł ją do ust. — Ale przynajmniej, że widok Michaela w szpitalu jest mało przyjemny. Jak niemiłe *déjà vu*.

— Jak to?

— Przypominają mi się czasy, kiedy obaj byliśmy dziećmi. Kiedy ojczym go bił.

Sara się skrzywiła.

— Nie lubi o tym mówić — mruknęła.

— Wiem i wcale mu się nie dziwię. To był okropny czas. Najlepiej o tym zapomnieć.

Pokiwała powoli głową, wyobrażając sobie męża jako bezbronne dziecko leżące w szpitalnym łóżku. Poczowała przyływ bólu i gniewu. Cofnęła się myślą pięć lat, do chwili gdy dowiedziała się o przeszłości Michaela. Dosłownie kilka godzin przed tym, gdy go poznała...

\* \* \*

— Chcę, żebyś zrobiła wywiad z Michaeliem Silvermanem — powiedział Larry Simmons, redaktor naczelny „New York Herald”.

— Z tym koszykarzem?

— Ehe.

— Dlaczego ja? Nie znam się na sporcie.

— Nie chcę wywiadu o koszykówce. Chcę mieć historię Michaela Silvermana. Człowieka, nie sportowca. Posłuchaj, teraz są finały NBA i wszyscy zachwycają się jego grą. Ale skąd się wziął? Jakim cudem ten żydowski chłopak z New Jersey stał się gwiazdorem koszykówki?

— Nikt tego wcześniej nie robił?

— Próbowali, ale bezskutecznie. Wygrzebano natomiast niemiłe fakty z jego przeszłości.

— Niemiłe?

— Mamy wszystko w naszej dokumentacji. Ale nie chcę, żebyś do tego zaglądała. Najpierw z nim porozmawiaj.

— Nie rozumiem. Skoro inni próbowali, to dlaczego nic z tego nie wyszło?

— Bo on nie chce rozmawiać z prasą o swoim prywatnym życiu. Spytaj go o rzuty za trzy punkty albo przechwyty, to się zrobi poetycko jak Proust. Ale zapytaj, co robił, zanim został koszykarzem, a zasznurowe usta.

— No to co ja mam zrobić?

— Skłoń go do mówienia. Dowiedz się, co go kręci. Bądź szczerą, otwartą. A jeśli to nie poskutkuje, bądź podstępna.

Sara się roześmiała.

— A jeśli to się nie uda, przyłożę mu laską w łeb! — powiedziała.

— No, wreszcie załapałaś, o co chodzi.

Pół godziny później zadzwoniła do Michaela.

— Pan Silverman?

— Tak.

— Nazywam się Sara Lowell. Jestem dziennikarką z „New York Herald”.

— Wiem — odparł. — Czytałem niektóre pani artykuły. Podobał mi się ten demaskatorski tekst o komisarzu do spraw mieszkalnictwa z zeszłego tygodnia. Mocny.

— Dziękuję.

— W czym mogę pomóc?

Sara była zbита z tropu. Przygotowała się na spotkanie z ogrem, człowiekiem usposobionym nieufnie do prasy. Okazało się, że ma do czynienia z kulturalnym mężczyzną. Uprzejmym.

— Chciałabym w dogodnej chwili przeprowadzić z panem wywiad.

— Aha. Zaczęła pani pisać o sporcie?

— Właściwie to nie.

— Więc o co chodzi?

— Hm, chciałabym napisać ogólnie o Michaelu Silvermanie. O pańskim życiu poza parkietem. O pańskich zainteresowaniach, o hobby. Żeby kibice lepiej pana poznali.

— To byłoby nudne.

— Nie wydaje mi się — odparła Sara. — Z tego, co słyszę, jest pan bardzo ciekawą postacią.

— A więc chce pani napisać lekki tekst o tym, jak chodzę do kina, hoduję króliki, uprawiam w bieliźnie ogródek i tak dalej?

— Coś w tym rodzaju.

— Przecież pani chyba wie, że nie udzielam wywiadów na temat mojego prywatnego życia.

— Coś o tym słyszałam.

— Rozumiem więc, że nie będzie pani zadawała bardzo osobistych pytań? Na temat moich związków, dzieciństwa?

— Zawsze może pan przecież odmówić komentarza.

Michael zachichotał.

— Zapomniała pani, że znam pani teksty. Wiem, że nie zadowala się pani ogólnikami. Że jest pani wnikliwa, że lubi pani drażnić.

— Ten artykuł ma być...

— Proszę mi coś wyjaśnić — przerwał. — Dlaczego wy, dziennikarze, nie możecie zrozumieć jednej rzeczy? A mianowicie, że moje prywatne życie nie powinno was obchodzić. Dlaczego nie możecie po prostu relacjonować meczów i zostawić mnie w spokoju?

— Bo kibice chcieliby wiedzieć coś więcej.

— Szczerze mówiąc, mam w dupie, czego chcą kibice. Jak to się dzieje, że życie żadnego dziennikarza nigdy nie zostaje rozwleczone na pierwszych stronach gazet? Jak to się dzieje, że nigdy nie przeczytam artykułu o tym, jak straciła pani dziewictwo albo jak pewnego razu przesadziła pani z alkoholem?

— Bo ludzie nie chcą czytać o mnie, proszę pana.

— Takiego wała. O mnie też nikt nie chce czytać, chyba że dobrze rzucam piłkę do kosza.

— Nieprawda.

— Proszę posłuchać: nie mam ochoty być bohaterem prasy brukowej. Chcę, żeby zostawiono mnie w spokoju. Po co te gierki? Nie mogła pani otwarcie powiedzieć na samym początku, o co chodzi?

Sara się zawahała.

— Odłożyłby pan słuchawkę — odparła po chwili,

— Prorocze słowa, proszę pani. Życzę miłego dnia.

Usłyszała trzask przerwanej linii.

— Żeby cię posrało, Silverman! — rzuciła wściekła do słuchawki.

Ale przyjemniaczek. Wstała i ruszyła do drzwi.

— Dokąd to? — spytał Larry Simmons.

— Jadę do niego.

— Zgodził się na wywiad?

— Nie, trzasnęła słuchawką.

— No więc?

— Byłam podstępna i nie poskutkowało. Może więc pomoże, gdy przyrznę mu łaską w łeb?

— Poczekaj. Zanim pojedziesz, powinnaś jednak chyba przeczytać to, co o nim wiemy. Masz.

Sara wzięła szarą kopertę. W środku była tylko jedna kartka. Przebiegła tekst spojrzeniem.

— Nie wierzę... — mruknęła.

— Wiedziałem, że to cię zainteresuje — odparł Simmons.

Zaczęła czytać na głos:

— „Urodzony w szpitalu żydowskim w Newark. Ojciec, Samuel Silverman, zginął w wypadku samochodowym, kiedy Michael miał pięć lat. Matka, Estelle Silverman, rok później wyszła za mąż za Martina Johnsona. Od szóstego do dziewiątego roku życia Michael osiem razy przebywał w szpitalu. Podobno doznane obrażenia były wynikiem przemocy domowej ze strony ojczyma. Kilkakrotne złamania kości i wstrząśnienia mózgu. Kiedy Michael miał dziesięć lat, jego matka popełniła samobójstwo, strzelając sobie w głowę. To on znalazł jej zwłoki. Jest jedynakiem. Po samobójstwie matki został porzucony przez ojczyma. Jedynym żyjącym krewnym była babcia ze strony ojca, Sadie Silverman. Wychowywała go aż do swojej śmierci. Michael skończył wtedy dziewiętnaście lat”. — Sara podniosła głowę. — Jezus, Larry, i ja mam przeprowadzić wywiad z tym człowiekiem?

— Nic z tego nie opublikowano, bo to zbyt ogólne. Czytaj dalej.

Odnalazła właściwe miejsce w tekście.

— „Michael dostał stypendium Stanforda jako koszykarz i pianista”. — Urwała. — On jest pianistą?

Larry skinął głową.

— O tym akurat wiadomo — powiedział.

— „Przez cztery lata z rzędu otrzymywał uniwersyteckie wyróżnienia... Słynął z tego, że jest ulubieńcem kobiet...”.

— To największe niedomówienie tysiąclecia! — krzyknął Larry. — Ten facet zmienia kobiety częściej niż inni skarpetki. Mam nadzieję, że się nie zakochasz.

— Zmienia kobiety jak skarpetki? Bardzo kuszące, ale nie w moim typie.

— Żaden nie jest w twoim typie.

— Jak mam to rozumieć?

— Tak, że nigdy nie chodzisz na randki.

— Bo mam mnóstwo pracy na głowie.

— To wymówka.

— Poza tym akurat w tej chwili nikt szczególnie nie pojawił się na horyzoncie.

— Posłuchaj, Saro. Mam sześćdziesiąt siedem lat i siedmioro wnucząt. Jestem szczęśliwie żonaty od czterdziestu czterech lat.

— No i co z tego?

— To, że musisz sobie znaleźć kogoś innego. Jestem zajęty.

Uśmiechnęła się.

— Cholera jasna, rozgryłeś mnie — powiedziała.

— Nie osądzaj zbyt pochopnie Silvermana — ostrzegł Simmons. — Weź pod uwagę jego przeszłość. Myślisz, że byłabyś otwarta na innych ludzi, gdybyś jako dziecko przeżyła to co on?

Położyła kartkę na biurku.

— To zaczyna wyglądać jak tania sensacja — mruknęła.

Redaktor naczelny wzruszył ramionami.

— Zależy, jak się do tego zabierzesz — odrzekł. — Prawda jest taka, że Michael Silverman to idol sportowy. My, Żydzi, uwielbiamy go, bo niewielu z nas potrafi być

dobrymi sportowcami. Kiedy ostatnio mieliśmy żydowskiego gracza leż klasy...? Rany, trzeba by się cofnąć do Sandy'ego Koufaksa.

— Do czego zmierzasz, Larry?

— Że ten artykuł mógłby być interesującym kawałkiem publicystyki. O człowieku, który musiał pokonać wiele przeszkód, żeby zostać sportowcem światowego formatu. Silverman mógłby też być wzorem dla dzieci, które mają (rudne dzieciństwo.

— A jeśli on nie chce być takim wzorem?

— Wielka szkoda. Ten facet to bardzo interesująca postać. Co z tego, że brzmiałoby to trochę sensacyjnie? To świetny temat.

— Okay, rozumiem. Jadę do niego.

\* \* \*

— Saro?

Zaskoczona podniosła głowę.

— Och, przepraszam cię.

— Nie przepraszaj — odparł Eric. — Wiem, że masz w tej chwili mnóstwo spraw na głowie. Ale pamiętaj o jednym. Problemy Michaela to już przeszłość. Będziecie mieli dziecko. On jeszcze nigdy nie był tak szczęśliwy.

Próbowała się uśmiechnąć, ale ledwo poruszyła kącikami ust. Wyczuwała intuicyjnie, że kłopoty ciągną się za Michaeliem, że są na tyle duże, iż potrafią go dosięgnąć w teraźniejszości...

— Można się przysiąść?

Podnieśli głowy.

— O, cześć, Max — powiedziała Sara. — Znasz Erica Blake'a, prawda?

— Zdaje się, że już się spotkaliśmy. Jak leci, doktorze?

— Dziękuję, bardzo dobrze — odrzekł Eric. W tym momencie zabrzączał jego pager. — Przepraszam, muszę was pożegnać.

— Jakiś nagły wypadek?

— Nie, po prostu zbliża się pora obchodu.

Max podrapał się gwałtownie po twarzy, jakby miał wszy.

— Mogę panu zadać jedno szybkie pytanie?

Eric zastygł.

— Oczywiście, słucham.

— Kiedy ostatni raz widział pan doktora Greya?

Zamyślił się na moment.

— W dniu jego wyjazdu do Cancún — odparł.

— Wyglądał wtedy jak zwykle?

— Jak zwykle? Nie rozumiem.

— Czy nadal był brunetem i miał brodę?

— Tak — odpowiedział Blake bez wahania. — Dlaczego pan pyta?

— O tak, bez powodu. Dziękuję, doktorze.

— Do usług, panie poruczniku. Cześć, Saro, na razie.

— Cześć.

Ułożył starannie brudne naczynia na tacy i odszedł. Przy okienku jako jedyny zadał sobie trud, by posortować sztuce. Sara spojrzała na Maxa.

— Dzwoniłam dziś do ciebie trzy razy — powiedziała.

— Przepraszam, miałem urwanie głowy.

— I co? Przeżywasz zmasowany atak z powodu tego, że w prasie napisano o wykastrowaniu Triana?

Max wzruszył nie tylko ramionami, ale też całym ciałem.

— Potrafię to odeprzeć za pomocą granatnika i gazu łzawiącego.

— No tak. Dobra, lepiej powiedz, czego się dowiedziałeś.

Nachylił się do przodu, opierając prawy łokieć na stole, a lewą ręką sięgając za plecy.

— Po pierwsze, kiedy Bruce Grey wypadł z okna, miał jasne włosy i był gładko ogolony — oznajmił. — Miał również szkła kontaktowe, które zmieniły mu kolor oczu. Przeprowadziłem kilka osób, rozmawiałem nawet z szoferem, który zawiózł go na lotnisko. Okazuje się, że kiedy Grey wyjeżdżał z Nowego Jorku, miał ciemne włosy i brodę.

Sara skinęła głową.

— Tak jak mówiłeś, Max. To wszystko jest bardzo ciekawe.

— Delikatnie mówiąc. Ale mam coś jeszcze.

Opowiedział Sarze o rozmowie z recepcjonistą w hotelu.

Słuchała jak zahipnotyzowana.

— A więc Grey nie popełnił samobójstwa — stwierdziła, gdy zamilkł.

— Nie. Został zamordowany. Jestem tego pewien.

— A morderca upozorował samobójstwo.

— Na to wygląda.

— Śmierć Greya na pewno łączy się z zabójstwami trzech pacjentów. Zgadzasz się ze mną, Max?

— Zgadzam.

— Powstaje więc pytanie, dlaczego w przypadku Greya zabójca upozorował samobójstwo, a w pozostałych przypadkach po prostu mordował?

— Nie wiem. — Bernstein wstał, obszedł bez powodu stolik i usiadł z powrotem.

— Max.

— Co?

— Znowu bawisz się włosami.

Spojrzał na swoją prawą dłoń. Wokół środkowego palcami miał owinięty kosmyk włosów, jakby kręcił sobie loki. Wyciągnął palec i położył ręce na stole.

— W ten sposób oszczędzam na trwałej ondulacji — mruknął z uśmiechem.

— Czego jeszcze się dowiedziałeś?

Nachylił się ponownie.

— Dziś rano przejrzałem zabezpieczone przez nas rzeczy, które zostały po Greyu w hotelu. Portfel, dowód, karty kredytowe, neseser, ubranie na zmianę. A nawet paszport.

— No i?

— W paszporcie nie ma żadnego stempla z Meksyku.

— Co w tym dziwnego? Przy wjeździe do Meksyku nie musisz pokazywać paszportu.

Wystarczy amerykański dowód tożsamości.

— Po co w takim razie zabrał paszport?

Sara wzruszyła ramionami.

— Nie wiem — odparła. — A co było w tym paszporcie?

— Chodzi raczej o to, czego w nim nie było. Wiesz, że są strony, na których celnicy wbijają stempel przy wjeździe do kraju?

— No tak.

— Z paszportu Greya starannie wycięto jedną taką stronę. Widać to dopiero przy uważnych oględzinach.

Sara spojrzała na sufit.

— A więc zabójca chciał ukryć to, co zostało tam wstemplowane — powiedziała. — Może Grey wcale nie był w Meksyku? Może pojechał gdzieś indziej? A zabójca nie chciał, żeby policja się o tym dowiedziała.

— Tak właśnie sobie pomyślałem — odparł Max. — Dlatego zatelefonowałem do hotelu Oasis w Cancún.

— I co?

— Grey się tam zameldował.

Czekała, ale on zamilkł i tylko patrzył na nią z uśmiechem,

— Max, przestań się ze mną droczyć! — prychnęła. — Mów!

— Skontaktowałem się z twoim starym znajomym z urzędu emigracyjnego.

— Z Donem Scharfem?

— Tak. Wiem, że powinienem był najpierw spytać cię o zgodę, ale czas naglił. Pamiętałem mnie ze sprawy sprzed paru lat, kiedy ten gwałcieł uciekł do Portoryko.

— I czego się dowiedziałeś?

— Trochę to trwało, ale w końcu udało się ustalić, dokąd pojechał doktor Grey.

— No?

— Najpierw rzeczywiście poleciał do Cancún. Ale nazajutrz wyfrunął z Meksyku.

— Dokąd?

Max się uśmiechnął.

— Do Bangkoku — odparł.

\* \* \*

— Nie ma żadnych wątpliwości — powiedział Winston O'Connor, główny laborant w Sidney Pavilion. Pracował w klinice od momentu jej powstania, a z rodzinnej Alabamy wyjechał osiemnaście lat wcześniej, kiedy dostał się na Uniwersytet Columbia, jednak upływ czasu nie zatarł wyraźnego południowego akcentu. — Spójrz jeszcze raz na *western blot*. To oczywiste.

Eric przełknął ślinę i wyciągnął rękę. Zegar ścienny — jeden z tych hałaśliwych, których używają w szkołach — wskazywał dziesięć po piątej. Od ilu godzin siedzi w klinice? Dokonał szybkiego obliczenia w głowie. Od trzydziestu. Rozpaczliwie potrzebował snu, ale nagle poczuł się całkowicie przytomny.

Spojrzał w milczeniu na zdjęcie. Wiedział, co to oznacza, ale wciąż się wpatrywał w paski, jakby chciał sprawić, by przesunęły się niżej lub wyżej.

— Pokaż mi jeszcze raz ELISĘ.

Winston westchnął.

— Już dwa razy to oglądałeś — odparł.

— Chcę jeszcze raz. Jesteś pewien, że nie pomyliłeś próbek?

Laborant spojrzał zaskoczony na Erica.

— Kpisz sobie? — spytał.

— Chcę po prostu mieć pewność.

— Stałeś obok mnie, gdy robiłem badanie. Nie popełniam takich błędów. Ty też nie.

Eric opuścił głowę.

— Wiem — mruknął. — Przepraszam.

Winston przeszedł przez pokój i otworzył drzwi, które przypominały drzwi ogromnej lodówki. Sięgnął do środka i wyjął płytkę.

— Proszę — powiedział. — A to cyfrowy odczyt gęstości optycznej.

— Chcę też mieć badanie limfocytów T.

— Jeszcze raz?

Eric skinął głową.

— Czego szukamy, do cholery? — spytał Winston po chwili.

Eric milczał. Przeanalizował wyniki wszystkich badań przynajmniej dziesięć razy. Gdzieś w tle słyszał, jak Winston wzdycha i zlorzczy pod nosem.

— Na miłość boską! — krzyknął w końcu laborant. — Jak długo będziesz się w to wpatrywał? Błąd jest wykluczony. Cholera, nigdy dotąd nie popełniliśmy żadnych błędów.

— Ale to niemożliwe — powtarzał Eric. — Niemożliwe.

— Słuchaj, przecież setki razy badania dawały wynik dodatni — ciągnął Winston. — Dlaczego akurat w tym przypadku sprawdzamy to w nieskończoność? Już dwa razy zrobiłem temu facetowi ELISĘ i *western*. Wyniki są niepodważalne.

Eric powlókł się do krzesła jak pokonany zapaśnik. Powolnym ruchem wziął telefon i wykręcił numer.

— Do kogo dzwonisz?

— Do Harveya — odpowiedział nieobecny głosem.

— Dobra, chowam więc te wyniki.

— Nie. Harvey będzie chciał je zobaczyć.

— Ale przecież obaj już...

— Nie uwierzy nam — przerwał Eric. — Będzie chciał to zobaczyć na własne oczy.

Harvey zapiął koszulę i uśmiechnął się w stronę łóżka ze skłębioną pościelą. Gdyby Jennifer mogła go teraz zobaczyć...

— Ciągle nie wierzę, że tu jesteś — powiedział.

Naga Cassandra przeciągnęła się leniwie, okryta tylko cienkim białym prześcieradłem.

— Dlaczego? W końcu to już czwarty dzień.

— Zadowolona?

— Wniebowzięta — odparła.

To była prawda. Od pierwszego pocałunku czuła upojenie. Nawet w tej chwili serce jej biło mocniej na jego widok.

— Żadnych uwag? — spytał.

— Tylko jedna. Twój czas wolny.

— Uprzedzałem cię.

— No dobrze, ale dwie godziny na dobę?

— Przykro mi.

— No cóż, to nie twoja wina — odpowiedziała. — Poza tym w ten sposób bardziej doceniam mój zwykły dzień pracy w agencji od dziewiątej do piątej.

Harvey zaczął się rozglądać po zaśnieżonej ubraniach podłodze. Znalazł swoje spodnie i je wciągnął.

— Kiedy masz prezentację dla linii lotniczej? — zapytał.

— Jutro. Northeastern Air. Spotykam się z ich przystojnym dyrektorem od marketingu. Zazdrosny?

— A mam powody?

Spojrzała na niego.

— Nie.

— To dobrze — odparł Harvey z głupawym uśmiechem. — Bo naprawdę cię lubię.

— Boże, ale ty potrafisz być banalny.

Wzruszył ramionami.

— Mówiłem ci, że wyszedłem z wprawy. Jakie hasło reklamowe wymyśliłaś?

Zamyśliła się na moment.

— „Lataj bezpiecznie z Northeastern” — powiedziała.

— Oklepane.

— A „My z Northeastern robimy to najlepiej”?

— Przykro mi.

— „Jestem Lola, przeleć się ze mną”?

— To może poskutkować, jeśli dodasz głęboki dekolt.

— Nie ma problemu — odparła Cassandra. — Głębokie dekolty przerabiałam na studiach.

— Nie wątpię. — Znalazł swój czerwony krawat, który był wciśnięty do buta. — Prawdopodobnie wyrwę się dopiero pojutrze.

— Dobrze, ja i tak muszę jechać do domu. Kończą mi się ubrania.

— Opuszczasz mój wspaniały zamek?

Rozejrzała się po zapuszczonej kawalerce. A potem popatrzyła sceptycznie na Harveya.

— No cóż, Wersal to nie jest — przyznał.

— To nawet trudno nazwać siedzibą ludzką.

— Owszem, przydałoby się poprawić co nieco.

— Do tego będzie potrzebny buldożer.

— Jesteś rozkapryszona do szpiku kości.

Uśmiechnęła się.



— Żebyś wiedział! — Usiadła i podłożyła sobie poduszkę pod głowę. — Harv, czy to prawda, co mówią? Że znalazłeś lek na AIDS?

— Nie nazwałbym tego lekiem — odparł, najpierw zawiązując, a potem poluzniając krawat. — To raczej skuteczny sposób leczenia.

— Miałam kolegę, który zmarł na AIDS — powiedziała cicho Cassandra. — Pracowałam z nim w reklamie. W Dunbar Strauss. Boże, to był taki twórczy, pełen życia człowiek. Odwiedzałam go w szpitalu, ale potem cierpiał tak bardzo, że już nikogo nie chciał przyjmować.

Harvey skinął głową.

— To straszna choroba — rzekł.

— Jak działa to twoje leczenie? — spytała.

Zastygł.

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

— Tak.

Usiadł na skraju łóżka i wziął ją za rękę.

— AIDS — zaczął — to zespół nabytego niedoboru odporności. Sam z siebie nie prowadzi do śmierci. Wirus zwany HIV atakuje system odpornościowy. W efekcie system szwankuje do tego stopnia, że pacjent pada ofiarą chorób i zakażeń. W końcu te choroby i zakażenia okazują się śmiertelne. Nadażasz?

— Tak mi się wydaje — odparła Cassandra. — Mówisz, że AIDS niszczy mury, które nas chronią przed chorobami.

— Właśnie. HIV niszczy system odpornościowy w sposób dość skomplikowany, więc spróbuję ci to wyjaśnić jak najbardziej przystępnym językiem.

— Słucham.

— Wirus przyczepia się do tak zwanych limfocytów T. Potem wnika w te komórki i je niszczy. Rozumiesz?

Kiwnęła głową.

— Wirus przyczepia się do części komórki zwanej receptorem T — ciągnął Harvey. — Innymi słowy, rozgląda się, odnajduje receptory i się do nich dokleja. Atakuje.

— Jasne.

— W naszej klinice wstrzykujemy pacjentom silnie działający, uzależniający specyfik, który sami opracowaliśmy i który nazwaliśmy SR–jeden. SR to inicjały mojego brata, Sidneya Rikera. Niestety, SR–jeden powoduje wiele niepożądanych skutków ubocznych, pacjent zaś z biegiem czasu musi zażywać coraz większe dawki.

— Co robi ten SR–jeden?

Harvey uściśnął Cassandrę dłoń.

— To znowu dość zagmatwane — odparł — więc będę się starał wyrażać jak najprościej. SR–jeden wprowadzony do ludzkiego organizmu przypomina receptor T. A więc podsuwamy wirusowi fałszywą ofiarę.

— Czyli wirus przykleja się do receptorów SR–jeden, a nie do prawdziwych receptorów T?

— Coś w tym rodzaju. To prawie tak, jakby SR–jeden nosił maskę upodabniającą go do receptora T. Wirus HIV zostaje zmylony. Atakuje SR–jeden i wtedy...

— SR–jeden go wykańcza!

Harvey pokręcił głową.

— Chciałbym, żeby tak było — westchnął. — Być może pewnego dnia tak będzie, ale od tej chwili dzielą nas jeszcze lata badań.

— Więc co się dzieje?

— Gdy wirus przyczepia się do SR–jeden, zaczyna się zacięta walka. To prawie jak przeciąganie liny. Na początku wirus jest tym porządnie wkurzony. SR–jeden uaktywnia go,

rozbudza. Wówczas podajemy dodatkowe, zwiększone dawki SR–jeden, aż wreszcie specyfik zaczyna niszczyć wirus. Skutki AIDS zostają jakby zahamowane. W końcu, po długiej i wyczerpującej walce, wirus ginie.

— SR–jeden wygrywa w tym przeciąganiu liny?

Harvey skinął głową.

— Tak — odpowiedział. — Tak sądzimy. Mamy kilku długoletnich pacjentów, u których po wyniku dodatnim jest teraz wynik ujemny.

— Niesamowite.

— Wiążą się z tym jednak pewne problemy. Po pierwsze, zachodzi groźba uzależniania się od SR–jeden. Po drugie, potrafimy uratować tylko system odpornościowy. Jeśli pacjent jest w zaawansowanym stadium AIDS, czyli dopadła go poważna infekcja z tym związana, nasz sposób leczenia nie da większych rezultatów. SR–jeden może zatrzymać HIV, ale nie AIDS. Na przykład nie wyleczy pacjenta z mięsaka Kaposiego ani z innych chorób, których można się nabawić wskutek AIDS. Dlatego jedyną szansą jest wczesne wykrycie i zaatakowanie wirusa. Zanim nadejdą infekcje i choroby. No i oczywiście należy przeprowadzić znacznie więcej badań naukowych. Na razie poskrobaliśmy trochę po powierzchni.

— Na pewno dostaniecie więcej funduszy, gdy Sara wyemituje materiał o waszej klinice.

— Mam nadzieję.

— Jak to „masz nadzieję”? Gdy ludzie zobaczą niezbite dowody, na pewno będą chcieli wspomóc klinikę. Nawet mój ojciec.

Harvey zasznurował drugi but i wstał.

— To byłby dzień zwycięstwa — mruknął. — Zobaczysz, poprze cię.

— Może — odparł wymijająco, nie chcąc wdawać się w dyskusję. — Ale nie tylko jego się boję.

— A kogo?

— Niebezpiecznych świrów, którzy robią karierę polityczną na śmierci młodych ludzi. Świrów takich jak wielbny Sanders...

— Myślisz, że on chce ci pokrzyżować plany?

— Nie zdziwiłbym się, gdyby tak było.

Cassandra przekreśliła się na bok, odsłaniając okrągłe biodro.

— Ostatnio złożył ojcu potajemną wizytę — powiedziała. — Siedział u niego w gabinecie.

Harvey odwrócił się gwałtownie.

— Sanders? Sanders był u twojego ojca?

— Tak.

— A mnie powiedział, że nie zna go osobiście.

— Był u nas dzień po przyjęciu charytatywnym. Słyszałam jego głos. Kłócili się.

— Kłócili? O co?

— Nie wiem.

— Cassandro, to ważne.

Próbowała skupić myśli.

— Ojciec powiedział, że nie powinien przychodzić do naszego domu.

— A co na to Sanders?

— Kazał ojcu się uspokoić. Pamiętam, że zastanowiło mnie to, bo zachowywał się bardzo swobodnie. Jego głos mocno kontrastował z głosem ojca. A potem powiedział, że mają jakąś robotę do wykonania. Coś w tym sensie.

Harvey zmartwił.

— Jezu... — jęknął.

— Więcej nie słyszałam, bo wyszłam po cichu.

— Jesteś pewna...

Zadzwoił telefon. Przez chwilę oboje trwali w bezruchu, patrząc na siebie. Potem Harvey opuścił wzrok i podszedł do aparatu.

— Słucham.

— Przyjeżdżaj do laboratorium — powiedział zdenerwowany Eric. — Szybko.

— Co się stało?

— Chodzi o Michaela. O Boże.

\* \* \*

Michael przytrzymał przycisk palcem. Łóżko poruszyło się powoli z cichym warkotem, składając w pozycję siedzącą. Odknszłań dwa razy w kułak i uśmiechną się do Sary.

— No pij — powiedziała.

Podniósł plastikowy kubek do ust i łyknął.

— Dobrze?

— To na pewno sok pomarańczowy? — spytał. — Bo smakuje jak rozcieńczalnik do farb. Która godzina?

— Siódma. Dobrze spałeś?

— Nie za bardzo. Nie lubię spać bez ciebie. W osobnych łózkach.

— Ja też nie. Ale przecież moje jest na wyciągnięcie ręki od twojego.

— To nawet gorzej. To tak, jakby widzieć świętego Graala i nie móc go wziąć do ręki.

— Poetycko to ująłeś.

— Dobra, a teraz będę mniej poetycki. Pragnę twojego ciała.

— I wzajemnie — odparła Sara. — Za każdym razem, gdy wstajesz, z piżamy wystaje twój zgrabny tyłek. Dostaję szału na ten widok.

— Wiem. Lubię się z tobą podroczyć. — Odsunął kubek z sokiem. — Jak idzie przygotowywanie materiału o klinice?

— Dziś wieczorem zaczniemy kręcić wywiady. Będzie mnóstwo roboty, więc być może nie będę miała czasu wpadać do ciebie aż tak często.

— Całe szczęście — odrzekł Michael. — Wreszcie trochę ciszy i spokoju.

— Nie ciesz się za bardzo, przystojniaczku. Na pewno będę wpadała w przerwie na lunch i kolację. Poza tym od dziś będę spała w tym łózkach obok.

Chwycił żonę i ją pocałował.

— Nie potrafimy żyć bez siebie, co?

— Nie potrafimy. Znowu się pocałowali.

Z tyłu otworzyły się drzwi. Sara odwróciła się i zobaczyła Erica i Harveya. Ich ponure twarze jakby jeszcze sposepniały na widok Michaela w objęciach żony. Przyjrzała im się uważniej. Spuszczone głowy, dłonie w kieszeniach. I nagle zrozumiała. Zrozumiała z całą mocą, że wszystko skończone. Przytuliła mocno Michaela, czując jego napięte mięśnie. Chciała krzyknąć.

Harvey zamknął drzwi i zrobił krok do przodu.

— Musimy porozmawiać — powiedział.

Jennifer Riker wystawiła twarz do słońca, rozkoszując się jego ciepłymi promieniami. Mineła witrynę sklepową, przystanąła, cofnęła się o dwa kroki i spojrzała na swoje odbicie w szybie. Prawie pięćdziesiąt lat zrobiło swoje. Smukła dawniej figura stała się trochę ociężała. Pogłębiły się zmarszczki wokół oczu, tworząc kurze łapki (nie ma sensu zaprzeczać), a na szyi pojawiły się fałdy. Zerknęła ponownie i po raz tysięczny zaczęła się zastanawiać, czy postąpiła słusznie. A może — wbrew wielu ostrzeżeniom — skoczyła z deszczu pod rynnę?

Po chwili uznała, że nie miała innego wyboru. Gdyby została z Harveyem, marniałaby z dnia na dzień w poczuciu, że jest bezwartościową osobą. Jej jedyną rozrywką byłoby oglądanie telewizyjnych tasiemców. Gdyby nie odeszła, musiałaby nadal grać rolę sumiennej żony mężczyzny, który całe życie poświęcił jednej sprawie i który zakładał, że wszyscy inni powinni postąpić tak samo. Patrząc na Harveya w te sporadyczne wieczory, gdy wracał z kliniki do domu — zmęczona twarz i przygarbiona sylwetka — czuła się jak egoistka, która do niczego się nie nadaje. Musiała to przerwać.

Zatem odeszła. Uciekła, zanim przygnębienie całkowicie odebrałoby jej chęć do życia. Przeprowadziła się do Los Angeles, gdzie teraz mieszkała (całkiem przyjemnie, dziękuję bardzo) ze swoją siostrą i jej synem Tommym. Podczas dwudziestosześcioletniego pożycia z Harveyem Jennifer rzadko opuszczała Wschodnie Wybrzeże. Nigdy nie była w Kalifornii, a najdalej na zachód dotarła do Chicago. Ona i Harvey, para snobów z północno-wschodnich stanów, uważali, że życie kulturalne Ameryki toczy się wyłącznie w granicach trzynastu pierwszych kolonii.

Ale Los Angeles miało pewną przewagę nad Nowym Jorkiem. Po pierwsze, cieplejszy klimat; po drugie, cieplejsi ludzie. Jennifer lubiła kalifornijską swobodę — zwłaszcza po latach pełnych napięcia. Mieszkanie pod jednym dachem z Susan okazało się dobrodziejstwem — pod pewnymi względami wydawało się odtworzeniem dzieciństwa. Jennifer i Susan zawsze były ze sobą zżyte. Gdy wydorosłały, postanowiły, że będą mieszkać blisko siebie. Jennifer, starsza od Susan od dwa lata, pierwsza wyszła za mąż — za lekarza, Harveya Rikera. Nie chcąc być gorsza, półtora roku później Susan została żoną innego lekarza, Bruce'a Greya. Harvey i Bruce wkrótce się zaprzyjaźnili, a potem zaczęli razem pracować. Wszystko układało się idealnie. Aż do momentu, kiedy pewien drobiazg zburzył ten sielski obrazek.

Bruce i Susan powoli oddalali się od siebie.

Po kilku bezowocnych próbach ratowania małżeństwa Susan odeszła od Bruce'a. Zabrała ze sobą siedmioletniego wówczas Tommy'ego i przeniosła się do Los Angeles. Jennifer i Harvey byli wstrząśnięci, gdy się o tym dowiedzieli. Poczuli nic osamotnieni. Po raz pierwszy zaczęli kwestionować własne szczęście, po raz pierwszy przyjrżeli się swojemu związkowi. Odtąd rozpad ich małżeństwa był tylko kwestią czasu.

Jennifer zamknęła oczy i westchnęła. Wyjęła klucz, otworzyła drzwi i weszła do mieszkania. Niemal natychmiast zadzwonił telefon.

— Słucham.

— Pani Susan Grey?

— Nie ma jej w tej chwili. Kto mówi?

— Pani Jennifer Riker?

— Tak.

— Dzień dobry, mówi Terence Lebrock.

— Ach, jest pan wykonawcą testamentu Bruce'a.

— Zgadza się. Chciałem poinformować, że wczoraj wysłałem klucz do skrytki pocztowej. Powinien dziś nadejść.

— Klucz do skrytki pocztowej? Nie bardzo rozumiem.

— Doktor Grey miał skrytkę na poczcie głównej w Los Angeles. Chyba lepiej opróżnić ją jak najszybciej. Może są tam jakieś ważne dokumenty.

Jennifer zamyśliła się na moment. Dziwne. Bruce miał skrytkę na poczcie w Los Angeles? Może to pozostałość z czasów jego dwuletniej pracy na Uniwersytecie Kalifornijskim? Ale po co trzymałby ją aż do tej pory? Wzruszyła ramionami. Kolejny przejaw jego powikłanej osobowości.

— Proszę się nie martwić — powiedziała. — Załatwimy to jeszcze dzisiaj.

\* \* \*

Zapadła grobowa cisza. Narastała, wypełniając pokój, aż Sara pomyślała, że ściany nie wytrzymają naporu. Najpierw było zaprzeczenie. To niemożliwe! Michael nigdy nie miał kontaktów z homoseksualistami. Nie zażywał dożylnie narkotyków. Nie był chory na hemofilię, więc nie przetaczano mu krwi. Od sześciu lat współżył tylko z Sarą. Wszystko wskazywało na to, że powinien być zdrowym trzydziestodwuletnim mężczyzną.

Ale nie był. Leżał w szpitalu. Miał wirusowe zapalenie wątroby typu B, a badanie na obecność HIV dało wynik dodatni. Liczba limfocytów T była niebezpiecznie niska. Nasuwało się przypuszczenie, że po wypadku na Bahamach przetoczono mu zakażoną krew.

Miał AIDS.

Sara patrzyła na niego. Jego przystojna twarz nie wyrażała żadnych emocji — osobliwe jak na człowieka, który był zawsze pełen namietności, który rzadko ukrywał swoje myśli i uczucia. Przypomniała sobie chwilę, kiedy po raz pierwszy zobaczyła tę twarz, kiedy po raz pierwszy rozmawiali, patrząc na siebie...

\* \* \*

Drzwi otworzyły się gwałtownie i ze środka popłynęła *Sonata fortepianowa c-moll* Beethovena.

— Tak?

Był zaskakująco przystojny i oczywiście wysoki; miał szerokie ramiona. Na szyję zarzucił ręcznik, a w dłoni trzymał szklankę soku pomarańczowego. Włosy miał zlepione od polu. Krajem ręcznika otarł mokre czoło.

Sara nerwowo ścisnęła laskę. Chciała wyciągnąć rękę na powitanie, ale uświadomiła sobie, że ma wilgotną dłoń. Jasne włosy związała z tyłu, odsłaniając wydatne kości policzkowe.

— Dzień dobry — powiedziała. — Nazywam się Sara Lowell.

Spojrzał zaskoczony.

— To pani?

— Czemu pan się dziwi?

— Bo inaczej sobie panią wyobrażałem.

— Inaczej? A jak? Wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Sądziłem, że wygląda pani bardziej przebojowo.

— Przebojowo?

— Tak. Ciemne kręcone włosy. Papieros przyklejony do ust. Wypalony do połowy. Maszyna do pisania. Czarny sweter. Trochę przy kości.

— Przepraszam, że pana rozczarowałam.

— Nie szkodzi. A co pani tu robi?

— Proszę mi mówić po imieniu. Jestem Sara.

— Co tu robisz?

Kichnęła.

— Na zdrowie.

— Dziękuję.

— Przeziębiona?

Skinęła głową.

— W czym mogę pomóc? — spytał.

— Chciałabym wejść i zadać panu kilka pytań.

— Coś takiego. Hm, cała ta sytuacja wygląda znajomo. Ty też masz poczucie *déjà vu*.

— To zależy.

— Od czego?

— Od tego, czy zatrzaśnie mi pan drzwi przed nosem, tak jak pan trzasnął mi słuchawką w ucho.

— *Touché* — odparł z uśmiechem.

— Czy mogę wejść?

— Najpierw zadam ci pytanie — powiedział. Z kieszeni wyjął wymaginowany ołówek i notatnik, jakby zamierzał zapisywać odpowiedzi. — Po co laska?

— Słucham?

— Słyszałaś — odparł poważnym tonem jak dziennikarz. — Używasz laski i masz Ortegę na nodze. Co ci się stało?

— Zamieniliśmy się rolami?

— Odpowiedz na pytanie.

— Byłam wcześniakiem. Urodziłam się z trwale uszkodzonym nerwem w stopie.

— Czy to był dla ciebie duży problem w dzieciństwie?

— Niemały — odparła cicho.

Podniosła głowę i zobaczyła jego zatroskane, łagodne spojrzenie. Byłby świetnym dziennikarzem, pomyślała. Wyczuwała wyraźne napięcie, które jednak sprawiało jej przyjemność.

— A więc byłaś wcześniakiem. Jakies inne powikłania?

— Ej, nie tak szybko — zaoponowała. — Teraz moja kolej. Kiedy zacząłeś grać w koszykówkę?

— Nie wiem. Gdy miałem sześć, siedem lat.

— Byłeś jednym z tych dzieciaków, które cały czas spędzały na boisku?

— Tak, bo to było najlepsze miejsce.

— Jak to?

Milczał.

— Saro, były inne powikłania? — powtórzył nagle pytanie.

— Infekcja płuc — odparła szybko. — A kiedy zacząłeś grać na fortepianie?

— Gdy miałem osiem lat.

— Rodzice wynajęli ci nauczyciela?

Na ustach Michaela zamajaczył smutny uśmiech.

— Nie — odpowiedział.

— Więc kto...

— Chyba lepiej, żebyś już poszła.

— To w takim razie zmienmy temat.

— Nie.

— Ale chciałam tylko spytać...

— Wiem, o co chciałaś spytać — przerwał Michael. — Naprawdę tak trudno to zrozumieć? Nie chcę, żeby moje życie osobiste było rozsmarowane na stronach gazet. Koniec, kropka.

— Zamierzałam tylko spytać o nazwisko nauczyciela muzyki — próbowała tłumaczyć. — Myślałam, że chciałbyś to publicznie docenić.

— Gówno prawda. Twoja zmiana tematu to wybieg. Chcesz mnie po prostu podejść z innej strony. Wydaje ci się, że gdy będziesz drążyć, to w końcu dostaniesz to, czego chcesz. Bez względu na koszty.

— A jakie są te koszty? Opowieść o twoim życiu mogłaby zainspirować tysiące dzieci, które są ofiarami przemocy domo...

— Jezus, do czego jesteś zdolna się posunąć, żeby zrobić ten wywiad?

— Nie pochlebiaj sobie. Zawsze konsekwentnie dążę do celu. Nie tylko w tym przypadku.

— Nie masz żadnych zasad?

Zacisnęła pięści.

— Oszczędź mi morałów — odparła. — My, dziennikarze, jesteśmy świetni, pod warunkiem że będziemy mówić światu, jacy z was fantastyczni faceci. Jesteśmy waszymi kumplami, gdy poklepujemy was po plecach i pomagamy wam zdobywać coraz lepsze kontrakty reklamowe. Ale gdy ośmielimy się was krytykować, gdy ośmielimy się zajrzeć pod...

— Moje życie prywatne jest wyłącznie moją sprawą.

— Dlaczego? Boisz się, że rozpadnie się twój wspaniały wizerunek? Że pokażę cię jako prawdziwego człowieka, a nie Supermana?

Z trudem opanowywał gniew.

— Żegnam — powiedział, zaciskając zęby. — Nie chciałem, żeby tak wyszło, ale trudno.

— No dalej, zatrzasknij mi drzwi przed nosem. I tak wrócę.

— Nie wrócisz.

— Przekonamy się.

Zamknął gwałtownie drzwi. W tej samej chwili przeziębiona Sara znowu kichnęła. Oddychała płytko i chrapliwie. Przemogła ból, odwróciła się i odeszła.

— Dupek ekstraklasa — mruknęła pod nosem.

Po powrocie do domu przeczytała ponownie informacje na temat Michaela Silvermana. Gdy chłonęła wzrokiem kolejne zdania, jej gniew słabł, aż w końcu zniknął zupełnie. Czy naprawdę należy winić go za to, że jest taki nieprzystępny? Miał koszarne dzieciństwo. Drugi Oliver Twist. Usiadła wygodnie, splótła ręce z tyłu głowy i kichnęła ponownie. Oddychała z coraz większym trudem. Próbowwała o tym nie myśleć, ale prawda stawała się coraz bardziej oczywista. Czuła niepokój graniczący ze strachem. Pozostawało tylko jedno. Sięgnęła po telefon i zadzwoniła do ojca.

Nazajutrz rano lekarze potwierdzili jej podejrzenia.

— Zapalenie płuc — powiedział John Lowell, podchodząc do szpitalnego łóżka. W oczach miał łzy. — Saro, to już trzeci raz w ostatnich dwóch latach.

— Wiem.

— Musisz zwolnić tempo.

Spojrzała w milczeniu na ojca.

— Jak się czujesz? — spytał.

— Dobrze. Jak długo będą musiała tu leżeć?

— Na razie nie wiadomo. Mogę trochę z tobą posiedzieć, jeśli chcesz.

Skinęła głową.

— Chcę, tato.

John Lowell wyszedł o dziewiątej wieczorem. Nie chciała, żeby ją zostawiał. Choć było to irracjonalne, nie lubiła zostawać sama w nocy w szpitalu. Pomimo że spędziła w szpitalach wiele tygodni życia, bała się zamknąć oczy, bo sądziła, że zakradnie się jakieś zło. Czuła się jak postać w filmie próbująca przetrwać w domu nawiedzanym przez upiory. Drżała ze strachu, słysząc różne odgłosy, narastające w ciszy i ciemności: głośne kroki na korytarzu, nieustanne pikanie i syk urządzeń podtrzymujących życie, jęki bólu, okrzyki przerażenia, skrzypienie kół, płacz.

Czuając samotność, włączyła walkmana i zaczęła nucić piosenkę The Police. Nieświadomie śpiewała coraz głośniej („Nie stój tak blisko... nie stój tak blisko... nie stój tak blisko mnie!”). Nagle weszła pielęgniarka.

— Proszę nie hałasować! — powiedziała groźnym tonem.

— Przepraszam.

Sara zdjęła słuchawki i włączyła telewizor. Natychmiast rozległ się głos sprawozdawcy sportowego:

„Świetne podanie Michaela Silvermana. Rozgrywa dzisiaj fenomenalny mecz! Zgadzasz się, Tom?”.

„Oczywiście, Brent. Dwadzieścia dwa punkty, dziesięć zbiórek, dziewięć asyst. Gra jak nakręcony”.

„Trener Seattle prosi o czas. Dotychczasowy wynik w czwartym meczu finału mistrzostw: New York Knicks osiemdziesiąt siedem, Seattle Supersonics osiemdziesiąt pięć. Za moment wracamy do Madison Square Garden”.

Chociaż Sara nie była kibicem, obejrzała mecz do końca. Nowojorczyki wygrali pięcioma punktami, co oznaczało, że w czterech dotychczasowych meczach obie drużyny miały po dwa zwycięstwa. Potem rozgrywki przenosiły się do Seattle, gdzie koszykarzy czekały dwa kolejne starcia, a jeśli one też nie przyniosłyby rozstrzygnięcia, w Nowym Jorku odbyłby się siódmy, decydujący mecz. Oglądała dalej, słuchając żargonu sportowego sprawozdawców komentujących najważniejsze sytuacje na parkiecie. Potem nastąpiły wywiady z zawodnikami i trenerami, które trwały prawie godzinę.

— Stęskniona za mną?

Odwróciła głowę w stronę drzwi.

— Kto to..?

Z cienia wyłonił się Michael Silverman. Włosy wciąż miał mokre po prysznicu.

— Nancy Levin — powiedział.

— Że co?

— Pytałaś o moją nauczycielkę muzyki. Nazywała się Nancy Levin. Uczyła muzyki w szkole podstawowej, do której chodziłem.

Przełknęła ślinę, zbita z tropu.

Godziny odwiedzin już dawno się skończyły — odrzekła.

— Wiem — odparł — ale obiecałem portierowi dwa bilety na mecz, jeśli mnie wpuści. To jedna z zalet bycia sławnym. Można usiąść?

Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła wykrztusić słowa, więc tylko skinęła głową.

— Dziękuję. Dzwoniłem rano do twojej redakcji. Usłyszałem, że masz zapalenie płuc. I że często ci się to przytrafia.

Wzruszyła ramionami.

— Więc pomyślałem, że cię odwiedzę — ciągnął. — Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? Obudziłem cię?

— Nie, skąd — wydukała. — Ale czy nie powinieneś teraz świętować zwycięstwa z drużyną?

— Świętować będziemy dopiero wtedy, gdy wygramy cztery mecze. Na razie wygraliśmy dwa.

— A dziennikarze nie chcieli zrobić z tobą wywiadu?

Skinął głową z uśmiechem.

— Owszem, chcieli — odparł. — Ale jak przekonałaś się na własnej skórze, nie lubię udzielać wywiadów.

— Nawet po wygranym meczu?

— Po wygranym to jeszcze ujdzie.

— Więc?



— Więc wolałem przyjechać tutaj i się z tobą zobaczyć.

Zerknęła w bok, unikając jego uporczywego spojrzenia. Po chwili przywołała wewnętrzną siłę i znów popatrzyła mu prosto w oczy.

— Jak ważne są dla ciebie te mistrzostwa, Michael?

— Zawsze zadajesz tyle pytań?

— Zboczenie zawodowe.

— Hm, jak to określić... Są bardzo ważne. Znaczą dla mnie wszystko. Nie potrafię powiedzieć, ile razy marzyłem o zdobyciu zwycięskich punktów w finałach NBA. Odkąd byłem dzieckiem, śniłem o takim zwycięstwie. Zadowolona cię taka odpowiedź?

— Tak.

— To powiedz, jak się czujesz.

— Dobrze.

— Zmęczona?

— Nie.

— Chcesz pogadać?

Skinęła głową.

— Pod jednym warunkiem — zaznaczył. — Wszystko zostanie między nami. To nieoficjalna rozmowa. Po prostu sobie gadamy. Nic, co powiem, nie może być potem przez ciebie użyte. Dajesz słowo?

— Daję.

Wstał i zaczął się przechadzać.

— Co o mnie wiesz? — spytał.

— Informacje są na stoliku — odpowiedziała. — Możesz sprawdzić.

Wziął kopertę i wyjął kartkę. Zaczął czytać. Po chwili w jego oczach pojawił się wyraz bólu.

— To prawda? — spytała po dłuższej chwili.

— Tak.

— Wszystko?

— Wszystko.

Rozmawiali przez następną godzinę, aż w pewnej chwili pielęgniarka — rośla Murzynka, która nie miała zamiłowania ilu koszykówki — weszła do pokoju Sary, zbesztła Michaela za składanie wizyt w nieodpowiedniej porze i go przepędziła.

Knicks i Supersonics wygrali po jednym z kolejnych dwóch meczów, w efekcie czego obie drużyny miały trzy zwycięstwa na koncie, więc przyszedł kolej na decydujące, siódme starcie w Madison Square Garden. „Siódmy mecz” — mistyczne określenie dla kibiców koszykówki. Dwadzieścia cztery zespoły, z których każdy rozegrał osiemdziesiąt dwa mecze w regularnych rozgrywkach i cztery rundy play-off. Wszystko to sprowadzało się teraz do jednego meczu, który miał przesądzić o mistrzostwie.

Sara obejrzała to spotkanie w szpitalu. Dopingowała gorąco Knicksów, zwłaszcza Michaela. Otrzymał piłkę trzy sekundy przed końcem meczu, kiedy Knicks przegrywali sto jeden do stu dwóch. Serce podeszło jej do gardła, gdy ruszył do przodu i nagle rzucił piłkę wysoko ponad wyciągniętą ręką obrońcy. Zawył syrena. Piłka podskoczyła dwa razy na obręczy, odbiła się od tablicy i wpadła do kosza. Mecz dobiegł końca.

New York Knicks: sto trzy punkty, Seattle Supersonics: sto dwa.

W sali rozpełtało się szaleństwo. Zawodnicy, na czele z Reece'em Porterem, rzucili się na Michaela Silvermana. Sara rozplakała się ze szczęścia, bębniąc pięściami w szpitalne łóżko.

Zrobił to. Dokonał wyczynu, o którym marzył.

— Hurra! — zakrzyknęła.

Ta sama rośla pielęgniarka wsunęła głowę przez drzwi.

— Proszę pani!

— Najmocniej przepraszam.

Sara patrzyła teraz na ujęcia z szatni: otwierano butelki i oblewano szampanem głowy zawodników. Wszyscy smakowali niezwykły triumf, jakim jest zdobycie mistrzostwa NBA. Sportowcy i trenerzy skandowali, krzyczeli, ściskali się, dając upust niepohamowanej radości i szczęściu. Sara próbowała wypatrzeć Michaela w rozwrzeszczanym tłumie, ale panował zbyt wielki zgłęb. Paru koszykarzy udzielało wywiadów reporterom, wychwalając Silvermana, ale bohater meczu zniknął. Jakiś czas później Sara usłyszała zbliżające się kroki.

— Cześć!

— Michael?! — spytała rozgniewana. — Co ty tu robisz?

Natychmiast posmutniał.

— Co tu robisz? — powtórzyła tym samym tonem. — Powinieneś świętować najważniejszy dzień w swoim życiu. Po co tu przyszedłeś, do cholery?

W kąciakach jego oczu zabłyśły łzy.

— Nie wiem — mruknął.

— Czego chcesz ode mnie? Mówiłeś, że wszystkie informacje na twój temat są prawdziwe. A więc jest pełno kobiet, w których możesz przebierać...

— Saro...

— Czego ode mnie chcesz?

Opuścił głowę.

— Dlaczego tak się złościł? — spytał jak urażone dziecko.

Zamilkła. Jego reakcja ją zaskoczyła. No właśnie, dlaczego na niego wrzeszczy? Dlaczego zawsze czuje się dziwnie w jego towarzystwie — czuje uniesienie, a jednocześnie skrępowanie? Dlaczego zachowuje się tak idiotycznie, skoro w głębi ducha cieszy się, że przyszedł?

— Jestem zdezorientowana. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Zbliżył się.

— Ja też — odparł.

— Michael, dlaczego dziś tutaj przyszedłeś? Dlaczego nie świętujesz z kolegami?

— Nie wiem... Chciałem być z tobą. To wszystko.

\* \* \*

A teraz miał AIDS.

AIDS. Słowo to wypełniło salę jak trujące opary. Sara poczuła, że ma mokre oczy, i znowu się rozpląkała.

— Uspokój się — szepnął Michael. — Wszystko będzie dobrze.

Nie uronił ani jednej łzy, odkąd dwie godziny wcześniej Harvey i Eric przekazali mu tragiczną nowinę. Najstraszniejszy wydawał się właśnie brak żywej reakcji. Michael drżał tylko, patrząc tępo przed siebie, wstrząśnięty, zamyślony. Sara zastanawiała się, co teraz czuje. Co czuje i dlaczego nie chce tego wyrazić?

Przez cały czas obaj lekarze siedzieli w pokoju. Eric patrzył przez okno na gwarną ulicę. Harvey chodził niespokojnie tam i z powrotem.

— Chcę znać prawdę — powiedział Michael, ściskając Sarę za dłoń. — Możecie mnie wyleczyć czy nie?

Harvey zatrzymał się i odwrócił. Zerknął błyskawicznie na Erica, a potem popatrzył na Michaela.

— Chcemy spróbować — odparł. — Wierzmy, że wyleczenie jest możliwe.

— No to do roboty.

Skinął głową.

— Jeszcze dziś przeniesiemy cię do kliniki.

— Dziś? — spytała zaskoczona Sara. — Czy to nie może poczekać...

— Nie — uciął Harvey. — Nie może poczekać. Im wcześniej zaczniemy, tym lepiej. Muszę was uprzedzić, że leczenie nie jest miłe. Będziesz dostawał SR—jeden. Skutki uboczne są bolesne i bardzo nieprzyjemne. Na pewien czas staniesz się nałogowcem. Będziesz czuł, że musisz dostać działkę, inaczej umrzesz. I tak właśnie naprawdę będzie.

W pokoju znów zaległa cisza.

— Lepiej już idźcie — odezwał się po chwili Michael. — Macie tysiąc spraw do załatwienia.

Harvey skinął na Erica i obaj ruszyli do drzwi. Pierwszy odwrócił się w progu do Michaela.

— Pamiętajcie o tym, co mówiłem — rzekł. — Oboje możecie zrobić dużo dobrego.

Gdy tylko wyszli, Sara zarzuciła Michaelowi ręce na szyję. Leżał nieruchomo. Był zimny i zeszywniały... jak trup.

— Kochanie...

— Przepraszam — mruknął.

Rozglądał się dokoła, jakby rozpaczliwie szukał drogi ucieczki. Położyła mu głowę na piersi; leżeli razem przez długą chwilę — słychać było tylko miarowy oddech Michaela, a głowa Sary rytmicznie unosiła się i opadała.

— Powinnaś już iść — szepnął wreszcie. — Masz pracę.

— Nigdzie nie idę.

— Musisz. Ten reportaż o klinice to ważna rzecz.

— Donald Parker mnie zastąpi.

Pokręcił głową.

— Ty to musisz zrobić — powiedział.

— Niech szlag trafi robotę. Chcę zostać z tobą!

Milczeli przez następne dziesięć minut.

— Saro, wcale nie jestem pewien, czy chcę przez to wszystko przechodzić — powiedział nagle.

— Nie masz wyboru — odparła. — I nie waz się zgrywać męczennika. Nie umrzesz. Nie zostawisz mnie. Nie zostawisz mnie i dziecka.

Uśmiechnął się smutno i pogłaskał ją po brzuchu.

— Masz rację, musimy myśleć o brzdącu — przyznał.

— No właśnie.

— Saro...

— Słucham.

— Zastanawiam się nad tym od paru godzin. Chcę to podać do publicznej wiadomości.

— Co?!

— Harvey i Eric mają rację...

— W ogóle nie powinni o tym mówić. To niewłaściwa pora na podejmowanie takich decyzji. Znalazłeś się w bardzo trudnej sytuacji.

Uśmiechnął się znowu, tkliwie, smutno.

— Ale po co opóźniać to, co i tak jest nieuchronne? — spytał. — Wiesz, że nie mamy wyboru.

Poczuła ucisk w gardle, jakby ktoś dusił ją zimnymi dłońmi.

— Proszę cię, kochany, przemyśl to jeszcze. Nie rezygnuj tak łatwo...

— Z czego? To koniec, Saro. Nie ma z czego rezygnować. Nigdy nie pozwoliłem ci napisać artykułu o moim dzieciństwie. To było samolubne z mojej strony.

— Michael...

— Pozwól mi dokończyć. Dziwne. Kiedy Harvey powiedział mi o wynikach badań, nagle zacząłem myśleć z przerażającą jasnością. Przemyślałem wszystko. Niewiele powiedzieli, ale znam ich stanowisko. Chcą, żebym to podał do publicznej wiadomości.

— Daj sobie trochę czasu. Nie działaj pochopnie. Jest mnóstwo rzeczy, które powinniśmy wziąć pod uwagę. Pomyśl o dyskryminacji, jaka cię czeka. Ludzie cię za to znienawidzą. Władze NBA prawdopodobnie powiedzą, że stanowisz zagrożenie dla zdrowia innych zawodników. Nie pozwolą ci więcej grać, nawet jeśli wirus się cofnie.

— No i co z tego? Słuchaj, nie jestem żadnym bohaterem. Chyba miałas wtedy rację. Historia o moim dzieciństwie mogła uświadomić ludziom, na czym polega okrucieństwo wobec dzieci. Ale nie potrafiłem znowu przez to przechodzić. Nie miałem siły.

— Wszystko w porządku. To nie twoja wina.

— Ale tym razem to zbyt ważne. Nie mogę się drugi raz uchylić. Wydaje mi się, że Harvey zdaje sobie z tego sprawę. Widzi, że jego lek może pomóc ludziom, więc rezygnuje ze wszystkiego innego. Słyszałaś, co mówił. Szum wywołany moją chorobą może mieć największy wpływ na stosunek ludzi do AIDS od czasów śmierci Rocka Hudsona. Nie wolno mi stchórzyc.

Trzymała go w ramionach, zaciskając powieki.

— Dlatego chcę wyjść z tym do ludzi, Saro. Chcę, żebyś jutro rano zorganizowała dla mnie konferencję prasową.

— Dobrze, skoro naprawdę chcesz — odparła powoli. — Zrobię to. Ale nie mówmy już o tym. Przytul mnie mocno.

\* \* \*

Jennifer Riker pchnęła szklane drzwi i weszła na pocztę główną w Los Angeles. Buchnęło jej w twarz powietrze schłodzone klimatyzacją. Biedny Bruce, pomyślała. Pod wieloma względami był wspaniałym człowiekiem. Kiepski mąż, owszem, ale niektórzy mężczyźni po prostu nie nadają się do małżeństwa. Dlaczego popełnił samobójstwo? Co takiego nawyprawił, że postanowił ze sobą skończyć?

Ta tragedia uderzyła w nich wszystkich, zwłaszcza w Tommy'ego. Nic dziwnego, że chłopak obwiniał matkę za śmierć ojca.

— To ty go zabiłaś! — wrzasnął do Susan. — To przez ciebie tata nie żyje!

Choć Susan próbowała przemówić mu do rozumu, w głębi ducha oskarżała siebie o to samo. Obsesyjnie się zastanawiała, jaką rolę odegrała w tragicznej śmierci męża. Jennifer patrzyła bezradnie, jak poczucie winy pogłębia zmarszczki na ładnej twarzy siostry. Susan nie mogła spać. Niewiele jadła. Sytuacja zabrnęła tak daleko, że Jennifer zaczęła myśleć o psychoterapii, która pomogłaby im przetrwać trudne dni.

Susan jednak miała inny pomysł. Postanowiła uciec na moment z synem od świata. Uznała, że upływ czasu i pobyt w samotności pozwolą im nareperować nadszarpnięte więzi i pogodzić się ze śmiercią Bruce'a. Przed dwoma dniami wyjechali więc we dwoje do zacisznego zakątka niedaleko Sacramento, gdzie nie było telefonów ani żadnego kontaktu ze światem.

Jennifer podeszła do okienka informacyjnego.

— Gdzie jest skrytka pocztowa o numerze tysiąc siedemset trzydzieści osiem? — spytała.

— Za rogiem po lewej stronie.

— Dziękuję.

Po kilku minutach znalazła właściwy schowek, włożyła klucz do zamka i otworzyła drzwiczki. W środku były papiery i kurz. Przetarła wierzch dłonią i zaczęła przekładać korespondencję ze skrytki do płóciennej torby. Na jednej z kopert było zdjęcie Eda McMahona z informacją o możliwości wygrania stu tysięcy dolarów. Niestety, data

wskazywała, że list nadano w zeszłym roku. Szkoda. Być może Bruce stał się bogaczem, ale nigdy się o tym nie dowiedział.

Parę innych przesyłek, nadanych kilka lat wcześniej, wyglądało jak wyciągi bankowe. Były też periodyki medyczne, również sprzed lat. Nic ciekawego, same starocie.

Jennifer przebierała palcami wśród zawartości, aż nagle natknęła się na dużą szarą kopertę. Zastygła, bo na papierze zobaczyła znajomy charakter pisma. Próbowwała sobie przypomnieć, do kogo należy, ale przez dłuższą chwilę miała pustkę w głowie. Zamknęła oczy w skupieniu, wyobrażając sobie starannie nakreślone litery. Gdzieś już to widziała. I nagle sobie przypomniała. Oczywiście, to pismo Bruce'a! Kształt liter nie pozostawiał wątpliwości.

Odwróciła kopertę i popatrzyła na stempel. Gdy odczytała datę, nogi się pod nią ugięły. Trzydziesty sierpnia tego roku. Próbowwała przełknąć ślinę, ale miała sucho w gardle. A więc Bruce nadał tę przesyłkę w dniu swojej śmierci. A co dziwniejsze, zaadresował ją do siebie.

Dlaczego wysłał do siebie przesyłkę kilka godzin przed popełnieniem samobójstwa?

Jennifer szybko wrzuciła kopertę do torby, jakby bała się trzymać ją dłużej w dłoniach. Potem opróżniła skrytkę do końca i ruszyła do wyjścia.

Postanowiła, że dopiero w domu otworzy przesyłkę.

Harvey poczuł, że zbliża się kolejny silny ból głowy. Była druga w nocy, więc na korytarzach Sidney Pavilion panowała cisza. Pacjenci spali, nabierając sił. Ruszył w głąb spowitego półmrokiem pustego korytarza, gdzie syk przygaszonych jarzeniówek przypominał daleki odgłos pił łańcuchowych. Zajrzał po kolei do wszystkich sal — każde otwierane drzwi skrzypiały inaczej. Sprawdził kroplówki, karty, leki.

Wszedł do ostatniej sali na piętrze, w której leżeli Kieł Davis i Riccardo Martino. Obaj mężczyźni spali. Około czterdziestu pacjentów kliniki podzielono na dwie grupy: pacjentów stacjonarnych i ambulatoryjnych. Ci ostatni przychodzili codziennie na leczenie. Co trzy, cztery tygodnie stosowano rotację, wskutek czego w nocy przebywało w klinice na ogół nie więcej niż dwudziestu pięciu pacjentów. Teraz jednak było ich prawie trzydziestu. Większość umieszczono w pojedynczych pokojach, ale z braku miejsca niektórych pogrupowano w pary.

Nocna zmiana rzadko przebiegała zgodnie z planem, ponieważ każdy pacjent miał inne potrzeby. Na przykład Davis i Martino. Kieł Davis, homoseksualista z Indiany, który dziesięć lat wcześniej przeniósł się do Nowego Jorku, przez ostatnie półtora roku dwie trzecie czasu przeleżał w klinice. Z kolei Martino, narkoman z Bronksu, przebywał tutaj nie dłużej niż sześć miesięcy.

Harvey spojrzął na karty obu pacjentów, wsłuchany w delikatne miarowe oddechy. Potem wyszedł, zamknął za sobą cicho drzwi i wbiegł schodami na drugie piętro. Bieganie po schodach miało mu pomóc w zachowaniu sprawności fizycznej. Po chwili przystanął na górze zziębnięty.

Jestem bez formy, pomyślał. Powinienem przestać jeździć windą.

Zdawał sobie jednak sprawę, że ucisk w klatce piersiowej wywołany jest czymś więcej niż tylko nagłym wysiłkiem. Miał wrażenie, że głowę rozsadza mu wewnętrzne ciśnienie napierające na końcówki nerwowe. Poczucił łaskotanie w żołądku.

Bał się.

Zatrzymał się przed drzwiami do pokoju 317 — jedyne na tym piętrze, w którym przebywał pacjent. Otworzył drzwi i wsunął głowę do środka. Michael wreszcie zasnął po wielu godzinach. Trzeba mu było podać silne środki nasenne, które na szczęście poskutkowały. Powaliłyby szarżującego nosorożca.

Przez okno wpadały długie cienie, przypominające palce zaciskającej się olbrzymiej dłoni. Na drewnianym krześle obok łóżka siedziała Sara, trzymając Michaela za rękę. Mimo nikłego światła Harvey zobaczył grymas bólu na jej twarzy. Usta jej drżały, jak gdyby z zimna, a oczy były wilgotne. Jakby go nie dostrzegą, chociaż z pewnością usłyszała otwierane drzwi. Wpatrywała się w śpiącego męża. Była pogrążona w rozmyślaniach czy celowo ignorowała Harveya?

Może jedno i drugie.

Znowu spojrzął na sylwetkę zgarbioną nad łóżkiem. Przynajmniej na razie Sara była zdrowa. Przebadła się niecały miesiąc wcześniej, przygotowując materiały do artykułu na temat AIDS dla „New York Herald”. Wprawdzie wirus mógł pozostawać uspiiony przez wiele lat, niemniej jednak wynik ujemny był dobrą wiadomością — dla Sary, Michaela i ich nienarodzonego jeszcze dziecka.

Harvey odwrócił głowę od smutnego widoku i zamknął za sobą drzwi. Zdawał sobie sprawę, że Sara przeżywa teraz znacznie większą udrękę niż Michael. Bezradne patrzenie z boku na tragedię ukochanej osoby jest znacznie trudniejsze niż doświadczenie fizycznego cierpienia. Harvey z całego serca pragnął im pomóc. Najchętniej zająłby miejsce Michaela, wziąłby jego brzemię na swoje barki. Ale to było niemożliwe.

Choć wydawało się to okrucieństwem, Sara i Michael musieli przejść przez to piekło oddzielnie. Jeszcze straszniejsze było to — z czego Harvey zdawał sobie sprawę — że tragedia Michaela mogła przynieść wiele dobrego. Gdyby ujawnił swoją chorobę, mogłoby to poprawić sytuację innych pacjentów chorych na AIDS oraz pomóc samej klinice — zyskaliby nadzieję, finanse, rozgłos. To okropne, ale choroba Michaela mogła uratować tysiące istnień ludzkich. Mógłby zrobić dla walki z wirusem tyle, ile nie zrobił nikt od czasu Rocka Hudsona i Ryana White'a. Mógłby uświadomić wszystkim skalę zagrożenia, ukazać rzeczywistość, zmienić punkt widzenia milionów obywateli.

Dlatego Sara była zła na Harveya. Zachowywał się powściągliwie, ale mimo to jego stanowisko w tej sprawie nie pozostawiało wątpliwości. Na barkach Michaela spoczęła wielka odpowiedzialność. Zyskał rzadką sposobność, by zdziałać dużo dobrego. Nie mógł zmarnować tej okazji — Sara to pojmowała. W głębi serca wiedziała, co należy zrobić, ale w obecnej chwili była zbyt rozstrojona, żeby klarownie myśleć. To zrozumiałe. W tym momencie liczył się dla niej jedynie Michael. Liczyło się tylko to, żeby go uratować. Cały świat był nieważny.

Zatem najpierw muszą opaść emocje. Musi minąć pierwszy wstrząs. Dopiero potem będą mogli racjonalnie i spokojnie omówić sytuację. Jeszcze nie teraz. Należało zostawić ich samych sobie, żeby przemogli ból. Ratowanie innych musi poczekać do kolejnego wschodu słońca.

Ruszył korytarzem w kierunku laboratorium. Zapadła głęboka noc. Słyszał tylko dwa odgłosy: skrzypienie podeszew własnych butów i...

...szmery dobiegające zza drzwi laboratorium.

Zastygł. Winston i Eric skończyli badania przed trzema godzinami. Zamknęli laboratorium i wyszli. Nikt inny nie miał klucza. Nikt inny nie powinien tam przebywać.

Bez paniki, pomyślał Harvey. Może któryś z nich wrócił, aby podgonić robotę? Nieraz już tak się zdarzało.

Podszedł cicho. Okienko w drzwiach zakryto zasłonką, więc nie można było zajrzeć do środka. Przyłożył ucho i poczuł zimne szkło. Nasłuchiwał. Nic, cisza. Zamknął oczy w skupieniu.

Znowu szmery.

E tam, to pewnie Winston albo Eric. Nacisnę kłamkę i otworzę...

Głowa pękała mu z bólu, niemal słyszał dudnienie własnych pulsujących skroni. Chwytał kłamkę i szarpnął. Drzwi były zamknięte. Poczuł lód w sercu. Cofnął rękę. Laboratorium nigdy nie było zamknięte na klucz, gdy ktoś znajdował się w środku. Nigdy. Próbował zajrzeć przez szparkę między szybą a zasłonką, gdy nagle coś sobie uświadomił i aż przeszył go zimny dreszcz. Spojrzał pod drzwi, by potwierdzić swoje podejrzenia.

Ciemno.

W szczelinie między drzwiami a podłogą nie było widać światła. Wszystkie lampy pogaszono.

Jaki naukowiec pracuje w ciemności?

Naukowiec o kocich ślepiach? Z noktowizorem?

Czoło Harveya zrosiły krople potu.

Może to jednak nic podejrzanego... Może to...

Co?

Nie potrafił wymyślić żadnego sensownego wyjaśnienia, które powstrzymałoby narastającą panikę. Machinalnie sięgnął do kieszeni po klucz. Wsunął go w zamek. Ze środka dobiegł trzask zamykanej szuflady. Harvey przełknął ślinę, wziął głęboki oddech, przekręcił klucz i otworzył gwałtownie drzwi.

W głębi panował mrok, rozjaśniony jedynie przez poświatę wpadającą z korytarza. Kątem oka Harvey dostrzegł jakiś ruch. Odwrócił się szybko, ale niczego nie zobaczył. Przywidziało mu się? Wyciągnął rękę, po omacku odnalazł włącznik i pstryknął.

W laboratorium zapaliło się światło.

W pierwszej chwili nie zobaczył nic szczególnego. Wszędzie panował porządek. Mikroskopy stały w foliowych pokrowcach, próbówki były pozamykane. Tylko jedna rzecz... — Harvey patrzył wybałuszonymi oczami. Nagle zapomniał o zmęczeniu i potrzebie zachowania ostrożności. Pryśł strach przed niebezpiecznym włamywaczem, który być może czaił się w kącie. Harvey zrobił krok do przodu, myśląc wyłącznie o tym, co zobaczył.

To był błąd.

Nagle coś twardego uderzyło go w kark. Zatoczył się do przodu, czując w czaszce wściekły tępy ból. Zgięty wpół, chwycił się obiema rękami za głowę i runął na podłogę. Ciężkie powieki opadły na oczy.

\* \* \*

Jennifer zjadła sama lekkostrawną kolację na mieście i pobiegła na ostatni seans filmu Woody'ego Allena w multipleksie — jednym z tych kin, gdzie było więcej ekranów niż widzów. Tuż po północy wróciła do domu. Rzuciła na kanapę niewielką płócienną torbę z zawartością skrytki pocztowej i klapnęła ciężko obok. Przez chwilę patrzyła tępo na logo Nubeny wymalowane na płótnie. Cofnęła się myślą o dziesięć lat — do chwili kiedy poleciała z Harveyem liniami Sabena im objazd po Europie: Belgia, Francja, Holandia. Pierwszą klasą. Na pokładzie serwowano kawior i szampana. Wspaniała wycieczka. Niestety, były to ostatnie wakacje, na które dał się namówić Harvey. Nie spodobało mu się. Swoboda, zwiedzanie, wykwintne potrawy, dogadzanie sobie w luksusowych hotelach — to nie jego świat.

Co za głupi kretyn.

Owszem, była rozgoryczona. Miała do tego powody. Kochała go. Ale on w ogóle nie umiał normalnie żyć. Owszem, potrafił być zabawny i z pozoru beztroski. Zupełnie nie przypominał moli książkowych. Sęk w tym, że miał obsesję na punkcie swojej pracy. Chciał ocalić świat. Wyszła za marzyciela. Przed ślubem współżycie z marzycielem było miłe. Romantyczne, by nie powiedzieć: jak z bajki. Ale po chwili czar prysł. Jego bezinteresowność odbierała jej apetyt na życie. Pozostało tylko uzalanie się nad sobą.

Głupi kretyn.

Bruce Grey też był oddany sprawie, ale rozumiał, że poświęcenie musi mieć swoje granice. Nie był tak naiwny i uparty jak Harvey. Dostrzegał rzeczywistość. Wiedział, że we dwóch nie zlikwidują cierpienia na świecie, co najwyżej mogą je zmniejszyć. Od człowieka nie można więcej oczekiwać. Bruce'owi to wystarczało. Harveyowi — nie.

Wyprostowała się gwałtownie. Duża szara koperta! Przesyłka, którą Bruce wysłał do siebie w dniu śmierci. Trzeba ją w końcu otworzyć. Przysunęła się do torby, chwyciła ją i zaczęła szperać. Szybko znalazła przesyłkę. Była o wiele grubsza i cięższa od pozostałych. Jennifer wyciągnęła ją z torby i położyła na kolanach. Na wierzchu widniało nazwisko Bruce'a napisane jego własną ręką.

Dziwne.

Podeszła do biurka, wzięła nożyk i rozcięła kopertę. Niczym z rogu obfitości z koperty wysypało się mnóstwo kartek, dokumentów i długich pojemniczków ze styropianu.

Jennifer westchnęła i zaczęła czytać.

\* \* \*

— Ooo...



- Harvey!
- Moja głowa... — jęknął.
- Słyszysz mnie? — spytała Sara.

Rozchylił powieki. Światło wydawało się tak oślepiające, że zamknął oczy i zakrył twarz ręką.

- Harvey!
- Słyszę, słyszę. Gdzie jestem?
- W łóżku. W klinice.
- Jak długo byłem nieprzytomny?
- Znalazłam cię pół godziny temu.

Otworzył znowu oczy i skupił wzrok na dwóch twarzach. Jedna była piękna, a druga miała długi nos i wąsy.

- Porucznik Bernstein?

Max skinął głową.

- Przyjechałem, bo Sara do mnie zadzwoniła — powiedział. — Jak się pan czuje?
- Już dobrze.
- Co się stało?

Harvey próbował zebrać myśli.

- Laboratorium... — wystękał. — Ktoś był w laboratorium.

— Widziałam człowieka uciekającego korytarzem — dorzuciła Sara. — Ale twarzy nie dostrzegłam.

- Ten ktoś dał mi w łeb.

— Może zacznijmy od początku — zaproponował Max. Wyjął notes i ołówek. — Proszę opowiedzieć po kolei, co się wydarzyło.

Harvey zrelacjonował powoli wydarzenia od chwili, gdy usłyszał szmery dobiegające z laboratorium. Kiedy skończył, Bernstein zastygł w trakcie chodzenia tam i z powrotem.

— Czego ten ktoś szukał? — spytał. — Co jest aż tak cennego, że ktoś włamał się do laboratorium? Tak cennego, że pan stracił rozsądek i wbiegł tam, nie zważając na niebezpieczeństwo?

- Dokumentacja.
- Jaka dokumentacja?
- Prywatne dokumenty dotyczące pacjentów. Trzymam je zamknięte w laboratorium.
- A nie w gabinecie?

— Nie. W laboratorium jest bezpieczniej, bo w drzwiach zainstalowano lepszy zamek. Poza tym ta prywatna dokumentacja zawiera wyniki badań laboratoryjnych. Wszyscy więc trzymamy ją w laboratorium.

Max wpatrywał się w swój notes.

— Już drugi raz mówi pan, że to dokumentacja prywatna — powiedział. — Jak należy to rozumieć?

- Zawiera poufne informacje. Tajemnice zawodowe, jeśli pan woli.
- Jakiego rodzaju?
- Różnego. Wyniki badań, eksperymentów i tym podobnych.
- Jakich eksperymentów?

Harvey położył z powrotem głowę na poduszce.

— Poufnych — odparł. — Na ogół informujemy siebie nawzajem o wynikach badań, bo to bardzo użyteczne, ale czasem trzeba pracować w pojedynkę. Bez żadnych sugestii i ingerencji z zewnątrz. W taki sposób często osiąga się postępy. Jeden człowiek w jednym laboratorium. My to rozumiemy i szanujemy nawzajem swoją prywatność.

- „My” to znaczy kto?
- Bruce, Eric i ja.

Max skinął głową. Obszedł łóżko i wrócił.

— Czy Bruce Grey też miał taką prywatną dokumentację? — spytał.

— Oczywiście.

— Przejrzał ją pan po jego śmierci?

— Tak.

— Znalazł pan coś ciekawego?

Harvey się zawahał.

— Nie bardzo — odparł.

— Co znaczy „nie bardzo”?

— To, że nie było w niej nic sensacyjnego. Bruce nie potrafił prowadzić indywidualnych badań... Ale... Nie, to prawdopodobnie głupstwo.

Bernstein nachylił się nad łóżkiem.

— Proszę mówić.

— Niektóre ważne dokumenty zaginęły.

— Jakie dokumenty?

— Karty osobowe. Na przykład Triana i Whithersona.

— A Bradleya Jenkinsa?

— Są.

Max podszedł do drzwi i zaczął gmerać przy klamce.

— Chciałbym, żeby sporządził pan dla mnie kompletną listę zaginionych dokumentów — powiedział. — Chcę też przejrzeć całą dokumentację Greya.

Harvey skinął głową.

— Spodziewałem się tego — odrzekł. — Ale mam prośbę, poruczniku. Niech pan to zrobi osobiście i nie pokazuje tych dokumentów nikomu innemu. Zawierają poufne informacje.

Czegoś tu nie rozumiem — wtrąciła Sara. — Dlaczego rutynowa dokumentacja trzymana jest razem z poufnymi informacjami?

— Tu nie ma rutynowej dokumentacji — odparł Harvey. — Wszystko ma charakter poufny. Używamy kodów, a nie nazwisk, żeby pielęgniarki, laboranci i sanitariusze nie poznali tożsamości pacjentów. Sami pacjenci często nie wiedzą o sobie nawzajem. Chyba że leżą w jednej sali.

— Czy Whitherson, Trian i Jenkins się znali? — spytał Bernstein.

— Nie.

— A co się dzieje, gdy są odwiedziny? — dopytywała się Sara. — Czy goście nie widzą pozostałych pacjentów przebywających na tym samym piętrze?

Harvey pokręcił stanowczo głową.

— Nasza klinika jest podzielona na osobne oddziały — wyjaśnił. — Na parterze są gabinety i pokoje odwiedzin. Zwozimy tam pacjentów, a więc osoby z zewnątrz nigdy nie wchodzi na oddział znajdujący się na piętrze.

— Wygląda to jak widzenia w więzieniu — stwierdził Max.

— Owszem, to podobna sytuacja — przyznał Harvey. — Najważniejsze, żeby goście nigdy nie wchodzili do sal pacjentów.

Bernstein podrapał się mocno w gładki policzek — jak pies mający kleszcza za uchem.

— Dobrze, więc uporządkujmy to — powiedział. — Na parterze są gabinety i pokoje odwiedzin. Na pierwszym piętrze są pokoje pacjentów. A na drugim jest laboratorium. Tak?

Harvey zerknął błyskawicznie na Sarę.

— Na drugim trzymamy także pacjentów, których leczenie wymaga największej poufności — dodał. — Na ogół jest to jedna, dwie osoby.

— Czy Bradley Jenkins był takim pacjentem?

— Tak.

— Ciekawe... — Max włożył ołówek do ust i spojrzał na sufit. — A więc być może włamywacz szukał nazwisk pacjentów albo ich kart chorobowych?

Harvey podniósł się z łóżka.

— Możliwe — odparł, stawiając stopy na podłodze.

— Dokąd pan idzie?

— Muszę sprawdzić, czy nic nie zginęło.

— Moment! — zakrzyknął Max, pstrykając palcami. — Czy ostatnio przyjął pan jakiegoś pacjenta? Czy jest tutaj ktoś, kogo tożsamość stanowi tajemnicę?

Harvey zastygł.

— Możesz mu powiedzieć — szepnęła Sara.

— Co powiedzieć? — spytał zdziwiony Bernstein.

— Dzisiaj przyjęto tutaj Michaela — odparła. — Ma AIDS.

\* \* \*

Kiedy Sara, Max i Harvey rozmawiali o włamaniu do laboratorium, Janice Matley, najbardziej zaufana pielęgniarka w Sidney Pavilion, otworzyła drzwi do jednej z sal i od razu dostrzegła, że stało się coś złego. Wyczuła to. Całkowity bezruch, sposób, w jaki pacjent był przykryty kołdrą, głowa leżąca bezwładnie na poduszce. W żołądku poczuła narastający lęk.

Wiedziała.

Była postawną Murzynką po pięćdziesiątce. Od trzydziestu lat pracowała jako pielęgniarka, a przez ostatnich dziesięć należała do zespołu doktora Rikera i doktora Greya. Przeżyła głęboki wstrząs, gdy Grey popełnił samobójstwo. Była zdruzgotana. Taki wspaniały człowiek. Biedak. Cudowny lekarz. On i Riker świetnie się uzupełniali. Grey był sercem, troskliwym lekarzem, który nawiązywał głęboką więź emocjonalną z każdym pacjentem. Doktor Riker był mózgiem, przywódcą, siłą napędową. Robił to, co należy, bez względu na cenę, jaką musiał zapłacić.

A doktor Eric Blake? Janice nie bardzo wiedziała, co o nim myśleć. Stanowił pewien paradoks. On również był oddany sprawie — spędzał w klinice długie godziny, ale wydawał się zdystansowany, wyniosły. Owszem, ogromnie dbał o pacjentów. Janice wiedziała, że poszedłby za Rikerem w ogień. Jednak odnosiło się wrażenie, że... że jest trochę nieczuły. A może to niesprawiedliwa ocena? To, że nie zachowuje się wylewnie, nie oznacza przecież, że ma serce z kamienia. To wspaniały człowiek i lekarz, inteligentny jak mało kto. Pacjenci i koledzy okazywali mu wielki szacunek. Tylko że był chłodny, to wszystko.

Podeszła do pacjenta z beznamiętną miną doświadczonej pielęgniarki. Ale wewnątrz czuła drżenie. Zapaliła lampkę. Aż się zachwiała, bo przeszło ją na wskroś spojrzenie martwych, szklanych oczu. Zobaczyła zastygłe rozchylone usta. Ręce przypominały kruche gałązki na uschniętym drzewie.

Wybiegła na korytarz.

\* \* \*

Max patrzył bacznie na Sarę.

— Michael ma AIDS?

Kiwnęła głową.

Osunął się na krzesło.

— Nie wiem, co powiedzieć — wyszeptał.

— Wyjdzie z tego — zapewniła stanowczym tonem.

Skinął głową z wahaniem.

— Kto o tym wie? — spytał.

— Oprócz nas tylko Eric i może jedna pielęgniarka — odparł Harvey.  
— Może?  
— Bo być może go rozpoznała.  
— Jak się nazywa ta pielęgniarka?  
— Janice Matley.  
— Ufa jej pan?  
— Bezgranicznie.  
Max pokręcił głową.  
— Nieważne, ile macie zabezpieczeń — powiedział. — Nie utrzymacie tego w tajemnicy.  
— Zdajemy sobie z tego sprawę — odparła Sara. — Michael zaplanował konferencję prasową na jutro wieczorem. Pokażemy ją na żywo w *NewsFlash*.  
Bernstein zmrużył oczy, aż przypominały dwie małe szparki.  
— Chcesz powiedzieć, że poda do publicznej wiadomości, że ma AIDS? — spytał.  
Sara skinęła głową.  
— I zrobisz reportaż o SR—jeden?  
— Nie ja — odparła. — Dla mnie to teraz sprawa nazbyt osobista. Donald Parker mnie wyręczy.  
— I co dokładnie Parker zamierza pokazać? Że jest lek na AIDS? Że morderstwa Homorozpruwacza powiązane są z kliniką? A może, że leczono tutaj syna senatora Jenkinsa?  
— Wszystko.  
Wyjął ołówek z ust i gwizdnął cicho.  
— No to będziemy mieli trzęsienie ziemi — skwitował. — Cały kraj już mówi o Homorozpruwaczu. A teraz Amerykanie dowiedzą się, że te morderstwa mają związek z kliniką, w której wynaleziono lek na AIDS. I jeszcze że w tej klinice leczony jest Michael Silverman. — Pokręcił głową. — Niewiarygodne.  
Milczeli przez chwilę.  
— No dobra — westchnął w końcu Max. — Doktorze, niech pan się teraz skupi na czym innym. Mówił pan, że drzwi do laboratorium były zamknięte na klucz, tak?  
— Tak.  
— Kto ma klucze oprócz pana?  
— Eric i Winston O'Connor, główny laborant.  
— Czy O'Connor wie o Michaelu?  
— Nie — odparł Harvey. — Winston nie zna tożsamości pacjentów. Jak już mówiłem, posługujemy się kodami. Laboranci nigdy nie stykają się z nazwiskami pacjentów. Znają tylko numery. Innymi słowy, Winston zna wyniki, ale nie wie, kogo dotyczą. Dla bezpieczeństwa zmieniamy te kody co tydzień, żeby nikt nie mógł się połapać.  
— Jest pan bardzo zapobiegliwym człowiekiem, doktorze.  
— Czyli paranoikiem?  
Max otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale nie zdążył. Rozległ się krzyk. Do pokoju wbiegła Janice Matley.  
— Doktorze, szybko! — zawołała, chociaż zdawała sobie sprawę, że jest za późno.  
— Co się stało?  
— Niebieski kod. Ustanie akcji serca!

Jennifer patrzyła na zawartość szarej koperty, niewiele rozumiejąc. Dokumentacja. Była niegdyś żoną lekarza, więc często widywała dokumentację medyczną, ale ta była inna. Zamiast konkretnych danych zawierała opinie i rozmyślania Bruce'a na temat pacjentów. Przypominała pamiętnik. Jennifer przeczytała nazwisko widniejące na pierwszej stronie. „Scott Trian”. Przewertowała kilka kartek. Potem wróciła do początku i zobaczyła słupkę cyfr:

9/1	897a83
16/1	084c33
23/1	995d42
30/1	774c09
6/27	86m60

Podobne słupki ciągnęły się przez dwie strony. Poszła do kuchni i wróciła z kalendarzem. Domyśliła się, że „9/1” oznacza dziewiąty stycznia, „16/1” to szesnasty stycznia i tak dalej, Zerknęła do kalendarza. Dziewiąty stycznia wypadł w poniedziałek. Tak samo wszystkie kolejne dni. Obok widniały pięciocyfrowe numery przedzielone literą po trzeciej cyfrze. O co chodzi?

Wzruszyła ramionami i czytała dalej. Niewiele z tego rozumiała, bo wszędzie natykała się na żargon medyczny, ale wkrótce znalazła coś, co od razu stało się dla niej jasne:

Wynik badania HIV dodatni. Bardzo niska liczba limfocytów T. Symptomy mięsaka Kaposiego.

Zapisek był dość oględny, jednak Jennifer zdawała sobie sprawę, co to oznacza: AIDS. W całej dokumentacji słowo „AIDS” nie pojawiało się ani razu. Jakby tego akronimu należało unikać za wszelką cenę, bo mógł sprowadzić nieszczęście.

AIDS.

Czytała. Kilka stron dalej natknęła się na kolejny akapit, który skłonił ją do zastanowienia. Pismo Bruce'a było lekkie, zwiewne — prawdopodobnie odzwierciedlało jego nastrój w tamtej chwili. Widziała na własne oczy, co oznacza praca w klinice — naprzemienne wloty i upadki, niepowodzenia pogłębiające zniechęcenie i przełomy dodające sił. Huśtawka emocji, czasami w ciągu jednego dnia, a nawet w ciągu jednej godziny.

Dobra wiadomość. Wygląda na to, że stan Triana się poprawia. Postęp w walce z jego chorobą przypomina wyniki badań przeprowadzonych na zwierzętach. Sukces. Trudno nie odczuwać optymizmu, śledząc rozwój wypadków. SR-1 dało mu w kość, ale po raz pierwszy wygląda na zdrowego. Czy to tylko remisja, czy coś więcej?

Dziesięć miesięcy później Bruce dopisał:

Wreszcie jesteśmy gotowi. Harvey i ja. Jutro się przekonamy. Nie mogę w to uwierzyć. Obaj jesteśmy tak spięci, że warczymy na siebie i na każdego, kto znajdzie się w pobliżu. Biedny Eric. Dziś rano Harvey o mało nie urwał mu głowy bez powodu. Potem miał wyrzuty sumienia, jak zawsze, gdy straci zimną krew. Próbował zatrzeć złe wrażenie, chwaliąc Erica za pracowitość.

Trudno mieć do Harveya pretensje, że jest trochę nerwowy. Znaleźliśmy się u kresu wędrówki. Na tę chwilę czekaliśmy.

O czym Bruce pisze? — zastanawiała się Jennifer. Na co czekali? Zanotowała datę. Zapisek pochodził sprzed dziewięciu miesięcy. Przez ten okres w jej życiu wydarzyło się mnóstwo rzeczy — odeszła od Harveya i przeniosła się do Kalifornii — ale gdy przeczytała na następnej stronie, co stało się nazajutrz w klinice, uzmysłowiła sobie, że jej osobiste sprawy nic nie znaczą. Słowa Bruce'a ukazały wszystko z innej perspektywy. Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuła w sercu znane z przeszłości bolesne ukłucie — świadomość nijakości własnego życia.

— Mój Boże — szepnęła. — To niemożliwe.

Przełknęła ślinę i ponownie przeczytała notatkę, przekonamy że opacznie ją zrozumiała:

Nie wstydzę się przyznać, że w tej chwili łzy spływają mi po policzkach. Targają mną silne emocje. Nie potrafię sobie z nimi poradzić. Czegoś takiego się nie spodziewałem. Ale wybiegam myślą do przodu, więc powinienem się cofnąć. Postaram się być jak najbardziej precyzyjny, żeby móc potem wszystko dokładnie upamiętnić.

Harvey i ja chcieliśmy osobiście sprawdzić wyniki Triana. W takiej sytuacji nie zamierzaliśmy czekać, aż laboranci raczą je nam przysłać. Poszliśmy więc do laboratorium, ledwo opanowując emocje — jak uczniowie idący na przerwę pod czujnym okiem srogiemu nauczyciela. Winston zdziwił się na nasz widok. Spytał, co tu robimy. Odpowiedziałem, że chcemy zobaczyć wyniki 443t90. Skąd ten pośpiech? Harvey zaczynał się niecierpliwić, co było zrozumiałe w tych okolicznościach. Na moje polecenie Winston przekazał nam wyniki.

Byliśmy zbyt zdenerwowani, żeby otworzyć kopertę na miejscu, więc, znowu rozsadzani przez emocje, wróciliśmy do mojego gabinetu. Pod drodze próbowała nas zatrzymać Janice, ale wyminęliśmy ją bez słowa. Popatrzyła na nas, jakbyśmy postradali zmysły. Pośpiesznie weszliśmy do gabinetu i zamknęliśmy drzwi. Harvey podał mi kopertę. „Nie mam odwagi”, powiedział.

Otworzyłem. Badanie Triana na obecność HIV dało wynik ujemny. Liczba limfocytów T była niemal w normie. Poczulem, że serce skacze mi do gardła. Harvey stał jak sparaliżowany. Chyba przeżył szok. Zadzwoniliśmy po Erica. Przyszedł i przekazaliśmy mu nowinę. Zaczęliśmy we dwóch krzyczeć i skakać z radości jak kibice. Harv zachowywał się inaczej. Stał i patrzył tępo przed siebie. „Co jest?”, spytałem. Przecież dokonaliśmy wielkiej rzeczy.

Pokręcił głową. „Nie tak szybko. Czekaj nas jeszcze mnóstwo roboty”, odparł.

Ja: Spójrz na badania, wynik jest ujemny.

Harvey: Owszem, lecz na jak długo? To wygląda bardzo optymistycznie, ale co wiemy ze stuprocentową pewnością? Musimy go zbadać jeszcze raz.

Ja: Ale przecież tego właśnie potrzebowaliśmy, żeby złapać wiatr w żagle. Potrzebowaliśmy takiego przełomu, zwycięstwa. Władze będą nam teraz musiały dać pieniądze. Zwiększą nasz budżet.

Harvey: Liczy się zgranie wszystkiego w czasie.

Ja: Co masz na myśli?

Harvey: Musimy to na razie zachować w tajemnicy. Wyobrażasz sobie, jaki zrobiłby się szum, gdyby to się przedostało do opinii publicznej? Prasa, całe to węszenie. Stracilibyśmy naszą anonimowość.

Eric milczał.

Harvey: Na razie nie wolno nam nikomu o tym mówić. Coś wyjawimy, ale tylko tyle, by podtrzymać zainteresowanie i dostać fundusze. Jednak nikt nie może wiedzieć, co naprawdę się dzieje. Jednocześnie musimy jak najstaranniej prowadzić dokumentację. Wyślij w piątek próbkę do Bangkoku.

Jennifer nie mogła uwierzyć w to, co przeczytała. Wynik ujemny? Wyleczyli osobę chorą na AIDS? Poczła się tak, jakby ktoś uderzył ją mocno w głowę.

Wyleczyli człowieka chorego na AIDS.

Wyglądało to jak bajka, ale przed sobą miała dowód. Dokonali tego. Jakimś sposobem znaleźli lek.

A Harvey nigdy jej o tym nie wspomniał.

To wszystko wydawało się niewiarygodne. Prawda okazała się szokująca. Rozdygotana Jennifer poczuła zmęczenie. Zamknęła oczy. Chciała odpocząć przez kilka minut, a potem czytać dalej, ale znużenie wzięło górę. Odchyliła głowę do tyłu, osuwając się w krainę między jawą i snem. Gdy zapadała w głębszą drzemkę, w otchłani jej świadomości tętniło już tylko jedno pytanie: dlaczego Bruce popełnił samobójstwo zaraz po wysłaniu tej przesyłki?

\* \* \*

Koroner Ralph Edmund przepchnął wózek obok Maxa. Wyglądał na koronera — a ściślej na przedsiębiorcę pogrzebowego. Był wysoki i chudy, miał ziemistą cerę, cienkie czarne włosy i długie palce. Nie ubierał się jednak jak przedsiębiorca pogrzebowy, bo lubił jaskrawe kolory, nadruki na poliestrze i krzykliwą złotą biżuterię. Zachowywał się też inaczej, gdyż był człowiekiem emocjonalnym i nieokrzesany jak cholera. Mało tego, miał czarujący zwyczaj żucia tytoniu i spluwania żółto-czarną śliną w każdym miejscu, w którym akurat się znajdował.

— Natychmiast zróbcie sekcję zwłok — szepnął Max.

— To dlatego mnie wezwałeś? — spytał Ralph, z policzkiem wypchanym prymką.

Bernstein skinął głową.

— Tak — odparł. — Sprawdźcie wszystko.

— Dobrze. Zajmę się tym po południu.

— Teraz, zaraz. I pobierz próbki krwi. Chcę mieć pełne spektrum badań.

— Jakich badań?

— Później o tym porozmawiamy.

— Ej, Tik, co tak szepczesz? Nie obudzisz go, wiesz? Cha, cha.

— Przeabawne. Ustalcie przyczynę śmierci. — Max odwrócił się i podszedł do bladego Harveya. — Gdzie jest ten drugi, który był z Martinem w jednym pokoju? — spytał.

— Kieł Davis? Kazałem go przenieść w inne miejsce. Podaliśmy mu środki uspokajające.

— Chcę z nim porozmawiać.

— Później — odparł Harvey. Pokręcił głową. — Mój Boże, nie mogę w to uwierzyć.

— W co uwierzyć? — spytał Max, wertując notatnik. — Nie widziałem żadnych widocznych obrażeń, ran ani śladów krwi. Żadnych śladów walki. Facet był chory na AIDS, więc zakładam, że stan jego zdrowia pozostawiał wiele do życzenia. Wszystko wskazuje na śmierć z przyczyn naturalnych. Tak czy nie?

Harvey milczał przez długą chwilę.

— Riccardo Martino nie był aniołkiem — odpowiedział wreszcie. — Zażywał dożylnie narkotyki. I sprzedawał je w miejscowej szkole.

— To nieistotne. Ważne, czy był bardzo chory.

— Nie. Tak naprawdę został wyleczony.

— Nie miał AIDS?

— Już nie. Ostatnie badania dały wynik ujemny. Nadal brał leki, ale był na najlepszej drodze do pełnego wyzdrowienia.

— Ciekawe — mruknął Max.

— Szczerze mówiąc, nie byłem wielkim zwolennikiem leczenia Martina — rzekł Harvey.

— Dlaczego?

— Bo wydawał mi się kiepskim kandydatem. Po pierwsze, nałogowo brał heroinę.

— To dlaczego go wzięliście? — spytała Sara. — Przecież jest tylu innych ludzi, którzy na pewno chcieliby dostać taką szansę.

— Bo powinniśmy mieć jak największy przekrój charakterologiczny pacjentów. Nie powinniśmy leczyć tylko homoseksualistów. Dlatego Bruce przyjął Martina. Lubił go. Wierzył w niego.

— A ty nie?

Harvey wzruszył ramionami.

— Narkomani to na ogół nieciekawi ludzie — odparł. — Przyznaję, że nie jestem wielkim zwolennikiem ich leczenia. Nie z powodów moralnych, ale dlatego, że dane pochodzące z badania takich osób są mało wiarygodne. Narkomanom nie można ufać. Na dodatek większość z nich ma inne choroby z powodu wieloletniego zaniedbywania zdrowia, co sprawia, że szanse zwalczenia wirusa są jeszcze mniejsze.

— Więc jak pan myśli, na co on zmarł? — spytał Max.

— Nie wiem — odparł Harvey. Zamilkł, żeby zebrać myśli. — Nie rozumiem. Byłem u niego niecałą godzinę wcześniej.

— Zanim dostał pan w głowę?

— Tuż przed tym.

— I Martino był cały i zdrowy?

— W każdym razie oddychał normalnie. Proszę posłuchać: nie był najzdrowszym człowiekiem na świecie, ale nie widziałem niczego, co mogłoby doprowadzić do tak nagłej śmierci. A ponieważ w laboratorium był włamywacz... Czy to przypadek?

Max splótł ręce na piersi. Na jego twarzy odmalował się wyraz największego skupienia.

— Jeśli Martino został zamordowany, to wszystko jawi się w innym świetle.

— Jak to?

— Po pierwsze, nowy *modus operandi*.

— Noża nie było w robocie — rzuciła Sara.

— A Bruce? — spytał Harvey. — Przecież jego też zamordowano inaczej.

Bernstein skinął głową i zaczął się przechadzać.

— Zastanówmy się spokojnie — powiedział. — Pięciu ludzi nie żyje. Czterech pacjentów i jeden lekarz. Trzej, Trian, Whitherson i Jenkins, zostali zakłuci w podobnych, choć nie identycznych okolicznościach.

— To już wiemy — mruknął zniecierpliwiony Harvey.

— Momencik, dobrze? Co łączyło tych trzech?

— Byli homoseksualistami i leczyli się na AIDS w tej samej klinice — odparła Sara.

— A teraz załóżmy, że Martino też został zamordowany, i dorzućmy go do tej listy.

— W takim razie możemy wyeliminować hipotezę, że morduje człowiek, który nienawidzi gejów — stwierdził Harvey. — Bo Martino był hetero. — Zadzwoił jego beeper. — Cholera, muszę iść.

— Chciałbym z panem później koniecznie porozmawiać — powiedział Max. — Chcę też zajrzeć do dokumentacji wszystkich zabitych pacjentów.

Harvey kiwnął głową i wyszedł. Bernstein przestał spacerować i spojrzał czule na Sarę.

— Jesteś chyba wykończona, co? — spytał. — Prześpij się trochę.

— Nic mi nie jest.

— Posłuchaj...



— Oszczędź mi tych pierdoł, Max. Płacz i bezczynność nic nie pomogą. Muszę się czymś zająć.

Skinął głową ze zrozumieniem.

— No dobrze. To na czym stanęliśmy?

— Riccardo Martino.

— No właśnie. Dodajmy go do tamtych trzech. Co oni wszyscy mają ze sobą wspólnego?

— Dwie rzeczy — odparła Sara. — AIDS i tę klinikę. Harvey ma rację. Możemy wyeliminować ewentualność, że morderca nienawidzi gejów.

— Dobrze, a teraz weźmy doktora Bruce'a Greya. Dodajmy go do Withersona, Triana, Jenkinsa i Martina. Jaki jest wspólny mianownik?

— Tylko jeden. Klinika. Ktoś wziął na cel ludzi związanych z tą kliniką.

Max zamyślił się na moment. Patrzył przed siebie, kiwając powoli głową i rwąc zębami kolejny paznokieć.

— Coś przeoczyliśmy — powiedział. — Coś ważnego.

— Co?

— Żebym to ja wiedział, cholera jasna.

— Myślisz, że ktoś próbuje zniszczyć klinikę?

— Możliwe.

Sara zerknęła na zegar nad drzwiami.

— Muszę wracać do Michaela — powiedziała. — Zaraz się obudzi.

— Dobrze, ja zajrzę do dokumentacji pacjentów.

— To na razie. Zobaczymy się później.

— Saro, jeszcze jedno.

— Tak?

— Mówię to jako przyjaciel, a nie policjant.

— Słucham.

— Nie dopuszczasz do siebie prawdy o Michaelu. Ale za moment to cię dopadnie.

Ruszyła do drzwi.

— Wiem, Max — powiedziała. — Dziękuję.

\* \* \*

Słyszał płynącą z kranu wodę.

— Nie, proszę, nie...

— Przestań skamleć, gnoju jeden!

Siedmioletni Michael podniósł wzrok i spojrzał przerażonymi oczami. Ojczym stał pochylony nad wanną. Niebieską roboczą koszulę — z imieniem Marty wyszytym czerwoną nitką nad kieszenią na piersi — miał rozpiętą, a pod spodem widać było porwany biały T-shirt. Wykrzywił twarz w grymasie wściekłości i nienawiści. Cuchnął wódką i tytoniem.

— Chodź tu!

— Proszę...

— Jeśli będę musiał za tobą gonić, to... — Marty zawiesił głos, pozwalając, by wyobrażenia Michaela wypowiedziały resztę.

Chłopiec chciał uciec, ale czuł się tak, jakby miał stopy przyśrubowane do podłogi. Stał sparaliżowany. Marty wyciągnął rękę i chwycił go za włosy. Przyciągnął go mocno do siebie, a potem wetknął mu głowę pod strumień wody.

— I co, będziesz dalej myszkował w moim pokoju?! — ryknął.

Michael nie mógł odpowiedzieć, bo brakowało mu powietrza. Próbował poruszać gwałtownie głową, chcąc złapać oddech. Bezskutecznie. Do ust wlała się woda, zaczął się krztusić.

Marty chwycił go jeszcze mocniej.

— Nie słyszę — powiedział. — Pytałem cię, szczyłu, czy będziesz jeszcze myszkował po moim pokoju?

Michael czuł, że jego głowa za chwilę rozpadnie się na kawałki, a płuca pękną. Słyszał jedynie szum wody...

\* \* \*

Zerwał się z łóżka. Był cały mokry od potu.

To tylko sen.

Rozejrzał się dokoła przerażony, że w kącie spowitego półmrokiem pokoju zobaczy twarz Marty'ego. Ale ojczyrna nie było.

Znajdował się w klinice. W klinice dla pacjentów chorych na AIDS. Był chory. Z korytarza dobiegał szum płynącej wody. Ktoś mył ręce. A może coś opłukiwał. Nie ma powodu do niepokoju.

Zsunął nogi z łóżka i wstał. Nadal drżał z powodu strasznego snu, ale przynajmniej nie czuł jeszcze skutków ubocznych SR-1. Objął się ramionami i ruszył do okna. Wyrzwał na zewnątrz. Nieciekawy widok. Brudny zaułek. Wszędzie walały się śmieci. Dwaj bezdomni mężczyźni grali w karty, a obok leżały wywrócone puszk. Koty ogryzały kości kurczaka. Jedyną wskazówką, że w budynku jest inny świat, była zaparkowana przed wejściem śnieżnobiała furgonetka z napisem: „Utylizacja nieczystości medycznych”. Michael patrzył.

W jego głowie kłębiły się przypadkowe myśli i emocje. Przelatywały tak szybko, że ich treść mu umykała — jakby próbował zobaczyć numery rejestracyjne pędzącego samochodu. Starał się uspokoić, ale bezskutecznie. W końcu na pierwszy plan wysunęło się jedno słowo, przesłaniające wszystko inne.

Sara.

Dziwne, ale nie bał się śmierci. O wiele bardziej bał się tego, że zostawi Sarę samą. Z dzieckiem. Teraz przyszłość nabrała nowego sensu, gra toczyła się o wielką stawkę. Chciał zostać z Sarą i dzieckiem, bo ponosił przecież za ni cli odpowiedzialność. Dlaczego to się stało akurat teraz? Dlaczego dostał coś, co za chwilę może stracić?

Przestań się nad sobą rozczulać, bo niedobrze się robi, upomniał siebie w duchu.

Zaczął rozmyślać o wieczornej konferencji prasowej. Co powinien powiedzieć? Wyobrażał sobie pytania, które dziennikarze zaczną zadawać na wyścigi. „Zawsze był pan gejem?”. „Czy żona wiedziała o pańskich skłonnościach?”. „A koledzy z drużyny?”. „Ilu miał pan partnerów?”.

Boże, Sara, co ja nawyprawiałem? Zamierzałem przede wszystkim cię chronić. A teraz pakuję cię w sam środek tej afery. Gdybym mógł postąpić inaczej. Gdybym mógł pozostać ślepy na prawdę, gdybym mógł ją zignorować. Ale nie mogę. Dlaczego akurat ty musisz cierpieć? Odzywa się we mnie głos, który mówi, że powinienem cię odtrącić, odsunąć jak najdalej od siebie. Wtedy nie musiałabyś przechodzić przez to całe gówn.

Zdawał sobie sprawę, że nie może tego zrobić. Że ona nigdy mu na to nie pozwoli. Zdawał sobie również sprawę, że gdyby role się odwróciły, on też by jej nie opuścił. Bez względu na okoliczności, nawet gdyby sama tego chciała. W głębi ducha dostrzegał, że pragnie mieć ją u swego boku, choć mogło się to wydawać samolubstwem. Wiedział, że bez niej sobie nie poradzi.

Tylko dlaczego aż tak bardzo się boi?

— Michael.

Odwrócił się. W drzwiach stała Sara. Była taka piękna, tak cholernie, boleśnie piękna... Poczul, że do oczu napływają mu łzy. Opanował się.

— Kocham cię — powiedział.

Przykuśtykała i objęła go mocno. Zamknął oczy.  
— Damy radę we dwoje, prawda? — spytał.  
Odchyliła głowę i spojrzała na niego. Na jej ustach zamajaczył uśmiech.  
— Skopiemy dupę temu wirusowi — odparła stanowczo. I znowu go mocno objęła, usiłując rozpaczliwie uwierzyć we własne słowa.

\* \* \*

Nazajutrz rano Max Bernstein zastał Harveya Rikera w laboratorium podczas sprawdzania dokumentacji.

— Zginęło coś? — spytał.  
Harvey pokręcił głową.  
— Nie — odparł. — Ale ktoś tutaj szperał. Przeglądał karty. Niektóre są poprzesławiane.  
— Chodzi o Michaela?  
— Tak. Czy są już wyniki sekcji zwłok?  
— Są — odrzekł Max. Palcami prawej ręki wyginał w fantastyczne kształty spinacz do papieru. — W organizmie znaleziono ślady cyjanku. Został mu wstrzyknięty w prawe przedramię.  
— A więc to było morderstwo?  
— Na to wygląda.  
Harvey westchnął przeciągle.  
— Rozmawiał pan już z Kielem Davisem?  
— Tak. Niczego nie widział. Niczego nie słyszał. Nic nie wie.  
Harvey chciał coś odpowiedzieć, ale w drzwiach stanął Winston O'Connor.  
— Dzień dobry — rzekł.  
— Cześć. Win, to jest porucznik Max Bernstein z policji.  
O'Connor wyciągnął dłoń na powitanie.  
— Miło mi poznać — powiedział. — Młodo pan wygląda jak na porucznika.  
Bernstein puścił mimo uszu tę często słyszaną uwagę. Przyjrzał się laborantowi: siwiejący blondyn około czterdziestki, średni wzrost, szeroki uśmiech. Mówił z południowym akcentem.  
— Pan jest głównym laborantem kliniki? — spytał.  
— Tak. Czemu zawdzięczamy pańską wizytę?  
— Temu, że w nocy było włamanie do laboratorium — odparł Max, celowo nie wspominając o zabójstwie Martina.  
— Żartuje pan?! Tutaj, u nas? Co zabrano?  
— Nic. Doktor Riker zaskoczył włamywacza.  
— Poważnie, Harv? Nic ci nie jest?  
— Nie.  
— Gdzie pan był około trzeciej w nocy?  
— Całą noc spędziłem w domu.  
— Mieszka pan sam?  
— Tak.  
— Czy ktoś może potwierdzić, że był pan w domu?  
— A dlaczego ktoś miałby to potwierdzać?  
— Proszę odpowiedzieć na pytanie.  
— Nie może. Na ogół nie staram się o świadków, kiedy odpoczywam sam w domu.  
— O której wyszedł pan wczoraj z kliniki?  
— Około północy.  
— Czy wyszedł pan z laboratorium jako ostatni?

— Nie — odparł O'Connor podniesionym głosem. — Eric Blake został dłużej.

— Sam?

— Tak. Schowałem wyniki kilku testów, jak co wieczór. I wyszedłem. — Laborant patrzył wściekłym wzrokiem na Bernsteina, ale ten unikał jego spojrzenia. — Czy mogę pójść po kawę, poruczniku? A może najpierw chce pan poznać panińskie nazwisko mojej matki?

— Śmiało.

O'Connor odwrócił się na pięcie i wyszedł.

— Drażliwy — mruknął Max.

— Ale to dobry człowiek i sumienny pracownik — odparł Harvey.

— Jak długo pan go zna?

— Piętnaście lat.

— A jak długo mieszka w Nowym Jorku?

— Nie wiem, pewnie ze dwadzieścia.

Max pogłaskał się po podbródku.

— Ciekawe — mruknął.

— Co?

— Nic. Mam jeszcze do pana kilka pytań, jeśli można.

— Słucham.

Znów zaczął się przechadzać.

— Ilu tajnych pacjentów macie w klinice? — spytał, nic patrząc na Harveya.

— Poruczniku, ci pacjenci to nasza tajemnica zawodowa.

— Rozumiem, ale ilu ich jest? Ilu pacjentów leczonych jest oddzielnie od reszty za tamtymi drzwiami w głębi korytarza?

— W tej chwili tylko Michael. Na pomysł osobnych pomieszczeń wpadłem wtedy, gdy zaczęliśmy leczyć Bradleya Jenkinsa.

— Jak pan go poznał?

Harvey zaczął z powrotem porządkować dokumenty.

— Przez jego ojca — odparł.

— A jak pan poznał ojca?

— Zjawił się u mnie pewnego dnia. Powiedział, że chce się dowiedzieć więcej o naszej działalności. Oczywiście wzbudził moją nieufność. Senator Jenkins nie należy do naszych zwolenników. Po dłuższej chwili wyznał, że doszły go plotki, iż potrafimy leczyć AIDS. Zaprzeczyłem, mówiąc, że na razie odnosimy niewielkie sukcesy w walce z wirusem HIV. Ale był uparty. A zaraz potem powiedział mi o swoim synu.

— Wyjawił, że Bradley miał AIDS?

— Tak. Był zdesperowany. Być może to fanatyk, ale jego syn umierał na śmiertelną chorobę. Obiecał, że będzie dyskretnie pomagał klinice, jeśli przyjmę Bradleya.

— Więc pan go przyjął.

Harvey machinalnie skinął głową, ale uświadomił sobie, że Bernstein patrzy w drugą stronę.

— Tak — powiedział szybko. — Nie wierzyłem jednak, że będzie nam pomagał. Modliłem się raczej, by nie przeszkadzał.

— Jenkins sporo ryzykował, zwierając się panu.

— Miał inny wybór? Chciał ratować syna. Opracowaliśmy dodatkowe zabezpieczenia, takie same jak w przypadku Michaela. Ukryte wejście z piwnicy i tak dalej.

— Kto oprócz pana zna prawdziwą tożsamość pacjentów?

— To jest najdziwniejsze, bo praktycznie nikt. Wiedział o nich Bruce. Eric zna większość, ale nie wszystkich. I...

— I? — spytał Max.

— I doktor Raymond Markey.

— Kto to jest?

— Zastępca sekretarza Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej. Jest naszym bezpośrednim przełożonym.

— Ufa mu pan?

— Nie bardzo. To raczej polityk, nie lekarz.

— Ale wiedział, że Bradley Jenkins się tutaj leczy?

— Nie. Ukryliśmy to przed nim.

— W jaki sposób?

— Skłamałem.

— Jak to: skłamał pan?

Harvey wzruszył ramionami.

— Po prostu nie włączyłem nazwiska Bradleya do listy pacjentów, którą przesłałem Markeyowi w swoim raporcie.

— A on nigdy tego nie zakwestionował?

— Nie.

— Czy wie, że znaleźliście lek na AIDS?

— I tak, i nie. Mówimy mu tylko tyle, ile trzeba, by nie wycofał środków.

— A on tak po prostu wierzy panu na słowo?

Harvey zachichotał pod nosem.

— Nie za bardzo — odpowiedział. — Zawsze dołączamy twarde dane na poparcie naszych twierdzeń. Dobry badacz dokłada starań, żeby nie można mu było postawić zarzutu nierzetelności. Wystarczy jedno oskarżenie o fałszowanie danych, by upadła taka klinika jak nasza. Dlatego ustanowiłem system, według którego nad każdym przypadkiem pracuje przynajmniej dwóch lekarzy. Na różnych etapach. To wyklucza wszelkie błędy.

— Chyba nie do końca rozumiem.

— Weźmy na przykład badania krwi.

— Czyli?

— Pobieramy i badamy krew. Jeśli ja robię to jako pierwszy, Bruce albo Eric wykonują podobne badanie na późniejszym etapie leczenia. I odwrotnie. Podam konkretny przykład. Trzy lata temu zbadałem Teddy'ego Krutzera i okazało się, że ma AIDS. Taka była moja diagnoza. A więc gdy po okresie leczenia badaliśmy go ponownie, żeby się przekonać, czy uzyskamy wynik ujemny, zajął się tym Bruce. Inny przykład. Scott Trian, ten, którego zabito, najpierw został przebadany przez Bruce'a Greya cztery lata temu, a...

— A potem pan albo Eric Blake zbadaliście go ponownie, żeby się przekonać, czy leczenie poskutkowało.

— Zgadza się. W ten sposób chronimy się przed zarzutami ludzi, którzy chcieliby ciskać nam kłody pod nogi.

Max pokręcił głową.

— Cała ta sprawa robi się coraz dziwniejsza — powiedział.

— Chyba aż taka dziwna nie jest.

— Nie?

— Wydaje mi się całkiem prosta.

— W takim razie dlaczego nie wyjawi mi pan wszystkiego?

Harvey przerwał porządkowanie dokumentów i podniósł wzrok.

— Jest prosta, bo ktoś próbuje zniszczyć klinikę — stwierdził. — Ktoś dowiedział się o naszych odkryciach i chce powstrzymać nas przed ich ujawnieniem. Od dawna to podejrzewałem. Dlatego wprowadziłem te wszystkie wewnętrzne zabezpieczenia.

— Ale...

— Proszę posłuchać, poruczniku. Jest tak, jak mówiłem Sarze na początku. Gdybym chciał przekonać pana, że znalazłem lek na AIDS, to w jaki sposób bym się do tego zabrał? Co

byłoby nieodpartym dowodem? Wyleczeni pacjenci, zgadza się pan? Kiedy zaś pacjenci są wyeliminowani, zostają tylko karty i wykresy, wyniki badań i próbki. Ale nie ma człowieka. Musiałbym zaczynać wszystko od początku. Wyprodukowanie takiej szczepionki mogłoby się opóźnić o długie lata.

— To chyba brzmi sensownie — odparł Max, wciąż spacerując po laboratorium. — Ale chciałbym o coś spytać. Ilu ma pan żywych pacjentów bliskich wyleczenia?

— Trzech.

— Trzech? A więc wszyscy trzej wymagają ochrony. Powinni zostać przeniesieni w miejsce, o którym nikt nie będzie wiedział.

— Zgadzam się — rzekł Harvey.

— Zatem mam propozycję, doktorze. Być może to się panu nie spodoba, ale chcę umieścić tych ludzi w kryjówkach. W porządnych kryjówkach.

— Nie rozumiem.

— Jeśli ten spisek jest tak duży, jak podejrzewam, to Bóg raczy wiedzieć, kto bierze w nim udział. Okazało się, że ci ludzie zdolni są do wszystkiego. Przecież mordują pacjentów. Nie zawahają się przed niczym. Dlatego uważam, że najlepiej, jeśli nikt, nawet pan, nie będzie wiedział, gdzie znajdują się trzej pacjenci. Im mniej ludzi o tym wie, tym mniejsze prawdopodobieństwo przecieku. Albo wyjawienia tego pod przymusem.

— Naprawdę pan myśli...

— Zginęło już pięć osób! — krzyknął Bernstein.

— Ale tymi pacjentami musi się opiekować wykwalifikowany lekarz.

— Znam takiego. Jego zaletą jest trzymanie gęby na kłódkę. Powie mu pan, co ma robić. A gdy będzie pan musiał osobiście zobaczyć się z pacjentami, zawiozę pana do kryjówki. Ale będzie pan miał zawiązane oczy.

Harvey skinął głową.

— Zgoda — powiedział. — Brzmi sensownie. Jednak musi mi pan dać słowo, że nikt nie będzie robił nic przy pacjentach bez mojego zezwolenia. Jeśli pański lekarz podałby im nieodpowiednie leki albo wykonał niepotrzebne badania...

— Daję panu słowo. Nic takiego się nie wydarzy. I jeszcze jedno: muszę przejrzeć dokumentację medyczną pierwszych czterech ofiar.

— Dobrze, poruczniku, ale chcę o coś spytać.

— Wał pan.

— Jeśli ten spisek jest zakrojony na tak dużą skalę, to skąd mam zyskać pewność, że pan do niego nie należy?

Bernstein zatrzymał się w pół kroku i podniósł wzrok, nawijając kosmyk włosów na palec.

— Ciekawe pytanie — odparł i wyszedł na korytarz.

\* \* \*

Jennifer Riker obudziła się na kanapie. Dokoła leżała zawartość wysypana z dużej szarej koperty. Później to przejrze, pomyślała. Wzięła prysznic, ubrała się i nasypała sobie muesli do miski — ostatni krzyk kulinarnej mody. Miało pomóc na wszystko, od nowotworu po szczękościsk. Ale smakowało jak kora. To Susan kupowała zdrową żywność. Wracała z supermarketu, krzycząc w progę: „Właśnie kupiłam (wypełnić puste pole), a moja koleżanka (wypełnić puste pole) przysięga, że dzięki temu będziemy się czuły o sto procent bardziej (wypełnić puste pole)”.

Westchnęła i poszła z miską do pokoju. Usiadła z powrotem na kanapie. Spojrzała na dokumenty, które czytała poprzedniego dnia. Nie do wiary. Harvey i Bruce dokonali wielkiego odkrycia. Znaleźli lek na AIDS. Potrafili zlikwidować wirus HIV w organizmie człowieka. To historyczny przełom.

Wzięła do ręki dokumenty medyczne Scotta Triana i zaczęła wertować kartki. Szukała miejsca, w którym przerwała lekturę. O, jest. Bruce wspomina o badaniach, które dały wynik ujemny. Stan pacjenta miarowo się poprawiał, choć z pewnymi oporami. Bruce napisał:

Zdarzają się chwile, kiedy Scott jest tak słaby po zastrzykach SR-1, że boję się o niego. Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Harveyem. Zgodziliśmy się, że musimy coś zrobić, by ograniczyć skutki uboczne. Ale czy mamy wybór? Śmierć z powodu AIDS jest znacznie gorsza niż to, co teraz obserwujemy.

W dokumentach nie było żadnych innych sensacyjnych informacji, a jedynie kilka rozsianych uwag dotyczących reakcji organizmu Triana na SR-1. Ostatni zapisek brzmiał:

DNA. A kontra B.

Co to znaczy? — zastanawiała się Jennifer. Po chwili wzruszyła ramionami, odłożyła jeden plik dokumentów i wzięła drugi. William Whitherson. Dokumenty na temat tego pacjenta przypominały dokumenty na temat Triana. Badanie Whithersona również dało w końcu wynik ujemny, ale pojawiły się inne problemy:

Rodzina Billa w ogóle go nie wspiera, cholera jasna. Ojciec nie chce z nim rozmawiać, a matka czuje się w potrzasku między mężem i synem. Boi się przychodzić do Billa, bo mąż uznałby to za zdradę. Parszywe dupki, jedno i drugie. O dziwo Bill wciąż kocha ich nad życie. Ciągłe do nich dzwoni. Słyszę, jak błagalnie szepcze do słuchawki: „Nie rozumiesz? Ja umieram”. Jakby byli głusi.

A na końcu znajdował się ten sam zapisek co poprzednio:

DNA. A kontra B.

Następnie Jennifer przeczytała dokumenty na temat Theodorem Krutzerem. Historia wyglądała podobnie. Z jednym istotnym wyjątkiem:

W odróżnieniu od rodziny Whithersona Krutzerowie niewiarygodnie wspierają syna. Nie tylko zaakceptowali jego seksualność, ale też najwyraźniej szanują ten wybór. Ojciec zaprasza jego chłopaka na weekendy. Razem jeżdżą na ryby.

A potem:

Mamy kolejnego wyleczonego pacjenta. Zbyt piękne, by było prawdziwe? U Krutzerem choroba przebiegała dość łagodnie: miał wirusowe zapalenie wątroby i wysypki skórne. A teraz jest wyleczony. Harvey zasugerował dziś coś bardzo sensownego. Rozmowa między nim, Erikiem i mną potoczyła się mniej więcej tak:

Harvey: Bruce, zrób osobiście badania. Teraz tylko ty masz dostęp do Krutzerem.

Eric: Dlaczego?

Harvey: Chodzi o wiarygodność. Skoro tym przypadkiem zajmuje się dwóch lekarzy, nie będzie nas można oskarżyć o fałszowanie wyników. Sugeruję, żebyś powiedział Markeyowi o Krutzerem.

Ja: Dobrze, zadzwonię do niego, ale wątpię, żeby był tym zainteresowany.

Harvey: Ale przynajmniej będziemy kryci. W razie czego powiemy, że go informowaliśmy, tylko nie chciał słuchać.

Eric: Nie jestem pewny, czy to dobry pomysł. Czy mamy tak dużo czasu, żeby wyręczać laborantów?

Harvey: To zbyt ważna sprawa, byśmy mogli coś sknocić. Musimy dmuchać na zimne. Wszystkie dane muszą być stuprocentowo wiarygodne. Żadnych luk, bo nasi przeciwnicy to wykorzystają.

Treść pozostałych dokumentów była podobna, choć za każdym razem zachodziły jakieś szczególne okoliczności. Nie było w tym nic dziwnego. Dziwne wydawało się to, że za każdym razem zapiski kończyły się tak samo:

DNA. A kontra B.

Jennifer wyciągnęła rękę po ostatnią teczkę, gdy przypomniała sobie o styropianowych pojemniczkach ułożonych na skraju kanapy. Na każdym z nich widniała nalepka z nazwiskiem pacjenta. Otworzyła jeden z napisem „Scott Trian”. W środku były dwie małe próbówki, jedna oznaczona literą A, druga B.

Co to jest, do cholery?

Wyjęła małe próbówki przypominające fiołki i się im przyjrzała. Krew! W środku były próbki krwi. Sprawdziła pozostałe pojemniczki — to samo. W każdym znajdowały się dwie próbówki wypełnione krwią, A i B.

Po co?

Nagle zauważyła małą białą kopertę.

Koperta spadła wcześniej na podłogę w taki sposób, że spod kanapy wystawał tylko jej róg. Jennifer schyliła się i ją podniosła. Czysta biała koperta, jaką można kupić prawie wszędzie. Żadnego znaczka ani stempli, tylko imię Susan napisane wyraźnie ręką Bruce’a. Jennifer odwróciła kopertę. Kiedy zobaczyła widniejące na odwrocie słowa, poczuła, jakby ktoś imadłem ścisnął jej żołądek. Napisane małymi wersalikami zdanie brzmiało:

OTWORZYĆ W RAZIE MOJEJ ŚMIERCI

\* \* \*

— Potrzebujesz pomocy?

Max Bernstein spojrzął na Sarę.

— Przyda się, wejdz — odparł. — Co z Michaeliem?

— Ma zabieg — powiedziała. — To karty pacjentów?

Skinął głową, trzymając w ustach nowy ołówek.

— Ta cholerna sprawa staje się coraz bardziej tajemnicza — wybąkał.

Sara usiadła, odpięła ortezę i rozmasowała nogę.

— Mów, słucham.

— Tutaj są wszystkie dokumenty medyczne dotyczące zabitych pacjentów. Zaczniemy od Triana. Był jednym z pierwszych, których tu leczono. Przyjęli go prawie trzy lata temu. Whitherson pojawił się mniej więcej w tym samym czasie. Tak samo ten narkoman Martino.

— A Bradley?

— No właśnie. Bradley nie pasuje do tego towarzystwa. Zjawił się tutaj niecały rok temu. Był w samym środku leczenia. Dobrze mu szło, ale nadal był chory. Dlatego nie pasuje do reszty. Czy Riker mówił ci, o czym rozmawialiśmy?

— Tak.

— A wspominał o hipotezie, że ktoś chce zniszczyć klinikę?

Sara pokiwała głową.

— Michael i ja uważamy to za bardzo prawdopodobne — stwierdziła.



— Zgadzam się, ale w tej hipotezie jest dużo luk — powiedział Max. — Weźmy Bradleya Jenkinsa. Załóżmy, że tamci chcą zlikwidować wszystkich pacjentów wyleczonych z AIDS. Czyli chcą się pozbyć dowodu, jak mówi Riker. Ale po co w takim razie zabili Jenkinsa? Był nowym pacjentem w klinice. I dlaczego jego ciało podrzucono na tyły gejowskiego baru? No i jeszcze jedno. Jeśli jesteś zdeterminowana, żeby zaszkodzić jakiejś instytucji, jeśli jesteś gotowa zabijać ludzi, to po co się czaić i dreptać na paluszkach? Dlaczego nie pójść na całość? Dlaczego nie podpalili kliniki? Dlaczego nie zamordowali Rikera i Blake'a? Nie zniszczyli dokumentacji?

— Rozumiem.

— Saro, tutaj coś nie gra. Dlaczego zabójca tak się afiszuje z tymi morderstwami?

— To psychol.

— Psychol, który włamał się do najlepiej zabezpieczonego miejsca w tej klinice? Wątpię.

— Może chciał zamydlić wszystkim oczy, udając, że wziął na cel gejów.

— Jak to?

— Najpierw zabił w makabryczny sposób dwóch homoseksualistów — powiedziała Sara. — Wiedział, że prasa nieuchronnie to podchwyci. Wiedział też, że świat uzna to za robotę świrniętego homofoba. Nikt się w to nie zagłębiał. Świat chciał mieć Homorozpruwacza, człowieka, który na oślep morduje homoseksualistów, a nie cwanego zabójcę likwidującego pacjentów półtajnej kliniki.

— Ale prasa wcale nie zainteresowała się tymi zabójstwami. Przynajmniej nie do chwili, kiedy...

— ...zabił syna znanego senatora — dopowiedziała Sara. — To tłumaczy, dlaczego dopadł Bradleya. Żeby zrobić się rozgłos. Nagle wszyscy zaczęli gadać o Homorozpruwacz. Max podrapał się w zamyśleniu po policzku.

Rozumiem, co masz na myśli — odparł. — Ale to nadal nie trzyma się kupy. Dlaczego podrzucił zwłoki Bradleya na tyły gejowskiego baru?

Żeby świat się dowiedział, że był homoseksualistą. Zabójca chciał, by wszyscy myśleli, że nienawidzi gejów. Że chce sterroryzować kręgi gejowskie. Trian i Whitherson byli zdeklarowanymi homoseksualistami. Z kolei preferencje Bradleya stanowiły ścisłą tajemnicę. Czy był lepszy sposób, żeby to wyszło na jaw, niż podrzucić zwłoki do zaułka przy gejowskim barze?

— Może i tak — przyznał Max. — Ale nie jestem do końca przekonany, że o to chodzi.

— Ja też nie — przyznała Sara. — Coś jeszcze przyszło mi do głowy. Może zabójcy chodziło przede wszystkim o Bradleya.

— Jak to?

— Być może ten ktoś zamordował Triana i Whithersona tylko dlatego, żeby wyglądało na to, że jest seryjnym zabójcą. Ale w rzeczywistości chodziło mu o Bradleya. Może chce zniszczyć senatora Jenkinsa, który...

— Daj spokój. Też już się nad tym zastanawiałem. To nie ma sensu. Bo po co potem zabił Martina? Po co włamał się do laboratorium? A powiązanie z kliniką? A domniemane samobójstwo Greya?

— Racja — mruknęła Sara. — Zapomnij o tym, co powiedziałam.

— Przykro mi — westchnął Max. Ułożył karty i odsunął je na bok. — Masz tremę przed dzisiejszą konferencją?

— Tak. Właściwie to jestem przerażona. Ale o wiele bardziej boję się choroby.

Bernstein skinął głową.

— Michael jest silny — powiedział. — Harvey Riker go wyleczy.

\* \* \*

Harvey Riker odebrał telefon na prywatnej linii.

— Słucham.

— Cześć, przystojniaczku — powiedziała Cassandra. — Chętnie zdarłabym z ciebie ubranie.

— Przepraszam, ale to chyba pomyłka.

— Tym lepiej.

— Jak spotkanie z przedstawicielami linii lotniczej?

— Jeszcze trwa. A jak mija twój dzień?

Przyszło mu do głowy, by powiedzieć jej o Michaelu, ale szybko odegnał tę myśl. To nie jego rola.

— Średnio. W nocy zmarł pacjent. Podejrzewamy, że został zamordowany.

— Następny?

— Tak.

— Naprawdę myślisz, że Sanders macza w tym palce? — spytała Cassandra z wahaniem.

— Nie zdziwiłbym się.

— I mój ojciec też?

— Wiesz, to dziwne, że twój ojciec zaprzeczył, iż zna go osobiście, a tego samego dnia spotkał się z nim we własnym domu, o czym sama mówiłaś — odparł Harvey, uważnie dobierając słowa. — Dlaczego kłamie? Co próbuje ukryć?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, zabzyczał interkom w gabinecie Harveya.

— Poczekaj chwilę — rzucił do słuchawki. Wcisnął guzik interkomu. — Słucham.

— Doktor Riker?

— Tak.

— Telefon do pana na siódmej linii.

— Jestem w tej chwili zajęty. Czy to ważne?

Zapadła krótka chwila milczenia.

— Dzwoni doktor Raymond Markey.

Harvey poczuł strach. Zastępca sekretarza telefonował tylko wtedy, gdy miał złe wiadomości do przekazania.

— Chwileczkę — powiedział. Wcisnął guzik. — Cassandro, muszę kończyć. Oddzwonię do ciebie. — Wcisnął drugi guzik. — Słucham.

— Mówi Markey. Witam, doktorze. Jak się pan miewa?

— Nie za dobrze.

— O!

— W nocy zmarł nasz kolejny pacjent. Wygląda na to, że został zamordowany.

— Zamordowany? Mój Boże, który to już z kolei? „Czwarty”, chciał odpowiedzieć Harvey, ale w ostatniej chwili się zreflektował.

— Trzeci — odparł.

— Jak się nazywał?

— Martino.

— Martino... Martino... A, jest. Riccardo Martino. Zażywał nałogowo narkotyki.

— Tak, to ten.

— Zobaczmy... Pozostali dwaj to Trian i Whitherson. Homoseksualiści. Zginęli od ran kłutych. Martino został zabity w ten sam sposób?

— Nie.

— A jak?

— Wstrzyknięto mu cyjanek.

— Mój Boże, to straszne. Okropne.

— Owszem. Zaczynam się martwić o bezpieczeństwo moich pacjentów.

— Nie przejmowałbym się tym zbytnio. Jestem pewien, że to po prostu okropny zbieg okoliczności.

Okropny zbieg okoliczności?

— Z całym szacunkiem, panie sekretarzu, ale zamordowano trzech pacjentów z tej samej kliniki.

— Racja, ale zapomina pan o jednej ważnej rzeczy. Zamordowano również Bradleya Jenkinsa, syna senatora. Jego też zakłuto nożem. Policja twierdzi, że zabił go ten sam człowiek, który zamordował Triana i Whithersona. Tak zwany Homorozpruwacz. A przecież Jenkins nie był pacjentem pańskiej kliniki. Mam listę pacjentów i jego nazwiska na niej nie widzę.

Harvey zastygł. Znalazł się w potrzasku. Wyczuwał, że Raymond Markey uśmiecha się szeroko do słuchawki.

— Tak, ale...

— Zatem nie ma się czym martwić, doktorze. Gdyby Jenkins był pacjentem kliniki, wtedy rzeczywiście sytuacja wyglądałaby poważnie. Również dlatego, że pański raport okazałby się niepełny. A to oznaczałoby, że może być niewiarygodny także w innych kwestiach. Wszystkie badania należałoby wówczas zweryfikować. Powstałoby podejrzenie, że dane mogą być sfałszowane. Mógłby pan stracić dofinansowanie.

Harvey struchlał. Dziś wieczorem ma być reportaż w telewizji, pomyślał. O klinice... O zabójstwach... O Bradleyu Jenkinsie... W jego uszach zabrzmiał głos Maxa Bernsteina: „I co dokładnie Parker zamierza pokazać? Że jest lek na AIDS? Że morderstwa Homorozpruwacza powiązane są z kliniką? A może, że leczono tutaj syna senatora Jenkinsa?”.

I odpowiedź Sary:

„Wszystko”.

Raymond Markey milczał przez chwilę, by jego słowa nabrały doniosłego wydźwięku.

Skurwiel wie o Jenkinsie, pomyślał Harvey. Ale skąd? I dlaczego tego nie przewidziałem? Co się dzieje, do cholery?

Wreszcie Markey przerwał milczenie:

— Ale oczywiście obaj wiemy, że Bradley Jenkins nie miał nic wspólnego z pańską kliniką. Czyli nie ma się czym martwić. Te zabójstwa to po prostu straszny zbieg okoliczności. Do widzenia, doktorze Riker.

\* \* \*

Raymond Markey odłożył słuchawkę. Naprzeciw niego siedział szeroko uśmiechnięty wielebny Sanders. Przerazający uśmiech, pomyślał Markey. Przerazający, bo autentycznie radosny, przyjazny, łagodny. Nie złowrogi. Świetna maska. Niebywały uśmiech — tak samo jak niebywały był sam Sanders. Markey znał jego życiorys. Chłopak z biednej rodziny z Południa. Ojciec był farmerem i przemycał bimber przez granice stanów. Matka była pijaczką. Oszustwem, szantażem i pazurami Sanders wydobył się z ubóstwa, niszcząc wszystko i wszystkich, którzy stanęli mu na drodze. Był przebiegły. Umiał manipulować ludźmi i zdobywać poparcie. Najpierw znalazł posłuch u niewykształconej biedoty, a teraz zyskał sympatię bardzo wpływowych osób w Waszyngtonie.

W tym moje, pomyślał Markey.

— Zrobione — powiedział. Poprawił krawat, patrząc na swoje odbicie w stojącej na biurku fotografii. Z biegiem lat czerwone krawaty stały się jego znakiem rozpoznawczym. Krawaty i okulary o grubych szklach.

— Świetnie — skwitował Sanders. — Czy twój informator ma coś nowego?

— Nic. Tylko to, co wiemy do tej pory. Dokoła kliniki czai się ekipa filmowa, ale na razie wszystko utrzymane jest w tajemnicy.

Sanders pokręcił smętnie głową.

— To niedobry znak — odparł. — Być może się ujawnią, wykorzystując chorobę Silvermana.

— Nie myślisz, że mój telefon ich powstrzyma? Sanders się zamyślił.

— Wątpię, by Riker miał dość odwagi, żeby ujawnić powiązania Jenkinsa z kliniką i zabójstwami — powiedział. — Ale jeśli postanowili się ujawnić z powodu Silvermana, to nie wyobrażam sobie, jak twoja rozmowa z Rikerem miałyby to zmienić.

— Może powinniśmy dać sobie spokój? — spytał niepewnie Markey. — Za daleko to zabrnęło.

Sanders wbił w niego wściekłe spojrzenie.

— Chcesz się wycofać, Raymond?

— Nie, tylko...

— Czy mam ci przypominać, dlaczego zgodziłeś się wesprzeć mnie w mojej świętej misji? To ty nie lubisz Rikera. Nigdy mu nie ufałeś, ani jako człowiekowi, ani jako lekarzowi. I mam to nagranie wideo, na którym...

— Przestań! — krzyknął Markey. Zamknął oczy, oddychając ciężko. — Nadal popieram cię w stu procentach, ale musisz przyznać, że nasz spisek zaczyna się chwiać.

Na twarzy Sandersa znów pojawił się uśmiech.

— „Spisek” to takie paskudne słowo — odrzekł. — Postrzegam to raczej jako świętą misję. Pan Bóg wspiera nas w tej krucjacie. Czynimy jego dzieło.

Jakby występował w telewizji, pomyślał Markey z odrazą. „Święta misja” Sandersa polegała na tym, by obwieścić światu, iż zbliża się Armagedon. A czy jest lepszy dowód niż epidemia AIDS?

„Przecież — krzyczał wielebny Sanders do mikrofonu — AIDS jest współczesną wersją plag egipskich! Bezlitośnie uderza w bezecników. Tak, drodzy przyjaciele, Bóg szykuje się do ostatecznej rozprawy! Do Armagedonu! Wysłał nam wyraźny znak, że nie możemy zamykać oczu na to, co się dzieje. Bóg zesłał nieuleczalną chorobę po to, żeby oczyścić ziemię z tych zboczonych, hedonistycznych szumowin. Wkrótce nadejdzie ostateczna bitwa między dobrem i złem. Chwalmy Pana! Czy będziemy gotowi? Czy będziemy się wygrzewać w blasku Bożej chwały? A może dołączymy do tych niegodziwców zarażonych HIV i będziemy się smażyć w piekle? Musimy się uzbroić do tej bitwy, przyjaciele. Potrzebujemy waszej pomocy. Nadeszła pora, by ludzie o czystych duszach okazali nieograniczoną hojność”.

Potem wielebny pokazywał kilka slajdów przedstawiających ludzkie ciała spustoszone przez zesłaną przez Boga chorobę, przemienione w skrawki beużytecznej tkanki. Jego zahipnotyzowani zwolennicy patrzyli z przerażeniem na ekran, a tymczasem dokoła krążyły koszyki przeznaczone na datki. Sanders zerkał z mównicy, jak koszyki napełniają się zielonymi banknotami.

A zatem gdyby znalazł się lek na AIDS, gdyby okazało się, że plagę zesłaną przez Boga można zatrzymać... interpretacja wielebnego Sandersa przepadałaby z kretesem.

Najdziwniejsze jest to, pomyślał Markey, że Sanders najwyraźniej wierzy w większość swoich bredni. Umiał aranżować cuda i wyciskać pieniądze z ludzi, ale w głębi serca naprawdę wierzył, że czyni dzieło Boże. Porównując AIDS do plag egipskich, widział między nimi ścisły związek. Dlaczego, spytał pewnego razu, tak trudno zrozumieć, że Bóg może działać aktywnie w XX wieku, podobnie jak działał w czasach biblijnych? Czy ludzie sądzą, że z upływem stuleci stracił moc?

— Chodzi o to, że kurczy się nasze poparcie — powiedział Markey.

— Mylisz się, Raymond. Oni nadal są z nami.

— Jak możesz tak twierdzić? Senator Jenkins...

— Stephen rozpacza w tej chwili po stracie syna — przerwał Sanders. — Dowiedział się, że syn był zboczeńcem. To straszliwy cios. Dołączy do nas, gdy już ochłonie.

Markey patrzył z niedowierzaniem.

— Nie mówisz poważnie — odparł. — Wiesz przecież, co zrobił. Sprzedał nas!

— Wiem, i bardzo mi się to nie podoba. Ale wciąż jest wpływowym senatorem. Potrzebujemy go. Chcę, żebyś do niego zadzwonił. Żebyś mu powiedział, że oczekuję go na naszym następnym spotkaniu.

— Kiedy to będzie?

Sanders wzruszył ramionami.

— To zależy — odpowiedział. — Jeśli Michael Silverman poinformuje publicznie o swojej chorobie, to będziesz musiał zwołać zebranie w trybie pilnym. Zebranie wszystkich.

— Wszystkich? Przecież Silverman to zięć Lowella!

Sanders zachichotał.

— Nie martw się o Lowella — odrzekł. — Ja się nim zajmę. — Wstał, włożył płaszcz i podszedł do drzwi. — Przypominam ci, że John Lowell jest jednym z nas.

\* \* \*

Przerażony Harvey wbiegł do pokoju Michaela.

— Saro, dzięki Bogu, że cię znalazłem!

Siedziała na brzegu łóżka. Omawiała akurat z mężem jego oświadczenie dla prasy. Uznali oboje, że powinno być jak najkrótsze.

— Co się stało? — spytała.

— Gdzie jest Donald Parker?

— Powinien tu być za kilka minut. Co się stało?

— Muszę z nim pomówić! — krzyknął rozgorączkowany Harvey. — Nie wolno mu wspomnieć o Bradleyu Jenkinsie.

— Dlaczego?

— Bo wtedy wszystko może runąć! — Harvey zrelacjonował nieskładnie rozmowę z Raymondem Markeyem, płacząc słowa. — Jeśli dowie się, że pominąłem nazwisko Bradleya w moim raporcie, mogę stracić klinikę. Wszystkie nasze odkrycia zostaną uznane za niewiarygodne.

— To możliwe? — spytał Michael.

— Już Markey się o to postara! Cały czas szuka pretekstu, żeby nam cofnąć dofinansowanie. Wykorzysta każdą możliwość. Musimy zataić, że leczymy Bradleya.

Sara kiwnęła głową.

— Dobrze. Porozmawiam z Donaldem, gdy tylko przyjdzie — obiecała.

\* \* \*

Cassandra obudziła się w znajomym stanie dezorientacji i bólu. Dezorientacji — bo nie wiedziała, gdzie się znajduje. Źródłem bólu zaś był potężny kac. Na ogół dezorientacja mijała po chwili — gdy umysł odebrał dość bodźców, by posklejać w całość wydarzenia z poprzedniego wieczoru. Ból natomiast utrzymywał się dłużej.

— Harvey! — zawołała. Brak odpowiedzi.

Stęknęła. Chwyciła się obiema rękami za głowę, bo miała wrażenie, że młot pneumatyczny uderza w jej skronie. Otworzyła z trudem oczy, lecz natychmiast zmrużyła z powrotem powieki, jakby oślepił ją ostry blask, chociaż zasłony były zaciągnięte, a światła pogaszone. W pokoju panował półmrok.

Znowu stęknęła.

Była w hotelu, a nie w mieszkaniu Harveya. W eleganckim hotelu. W folderze turystycznym napisano by „luksusowy” albo „wytworny”. W oddali zabrzmiał klakson samochodu. Cassandra poczuła, jakby w jej mózgu ryknął wzmacniacz nastawiony na cały regulator.

— Óóóó — jęknęła.

Trzymała się za głowę, chcąc przeczekać łupanie w czaszce. Próbowwała sobie przypomnieć, co się stało. Spotkała się z przedstawicielem linii lotniczej. Czy dobili targu? Jeszcze nic. Dyrektor od marketingu, skończony egomaniak, odwlekł decyzję. Potem poszli się napić do... do Plazy. Aha, a więc jest w Płazie! O czym rozmawiali? Nie pamiętała. Dyrektor, niby-przystojniak, był wstrętny, namolny i zadufany. Wielki pozer. Kiedy otwierał usta, zamiast słów wypływało gówno. Próbowwała sobie przypomnieć, co mówił, ale pamiętała wyłącznie, że przez wszystkie przypadki odmieniał zaimek „ja”.

A potem?

To proste. Zabrał ją na piętro, zerznął i zostawił. Przypomniała sobie. Seks był kiepski. Ech, stuprocentowy pozer, zainteresowany tylko tym, jakie wywiera wrażenie. Jeden z tych, którzy wolą patrzeć w lustro niż na drugą osobę. Równie dobrze mógłby się onanizować.

Cassandra usiadła i rozejrzała się dokoła. Uff, nie ma go, poszedł. Na stoliku przy łóżku zostawił kartkę. Wzięła ją i przeczytała:

Winszuję. Masz kontrakt.

Nawet się nie podpisał, tylko dorzucił wizytówkę.

Chryste.

Zsunęła nogi z łóżka i z trudem wstała. Pokój był podobny do wielu innych, w których spędzała noce — przestronny, ładny, nienagannie utrzymany, wyposażony w drogie meble, do tego czysta pościel i grube ręczniki. Cassandra Lowell zadowalała się jedynie najlepszymi rzeczami. Nigdy nie przestąpiła progu obskurnego motelu. Mężczyzno, jeśli chcesz przelecieć Cassandrę Lowell, musisz jej zapewnić eleganckie otoczenie. Zabrać do wytwornego miejsca. W końcu Cassandra to nie byle dziwka.

Tylko dziwka z klasą.

Ruszyła do łazienki. Stała przed prysznicem i puściła ciepłą wodę. Weszła do kabiny, gdy w środku zaczęła się kłębić para. Przez długą chwilę stała nieruchomo, wystawiając się na silną strugę gorącej wody. Namydliła się dokładnie i zmyła pianę kilka razy. Trzy kwadransy później wytarła się ręcznikiem. Potem usiadła na królewskim łóżku i popłakała trochę. Wreszcie ubrała się i wyszła.

Parę godzin później zjawiała się w ojcowskiej rezydencji. Nasypała sobie muesli do miski i usiadła przy stole w kuchni.

— Dzień dobry, skarbie — powiedział John Lowell.

Podniosła głowę. Włożył popielaty golf, był starannie uczesany i miał zaróżowione policzki. Ciągłe jest przystojnym mężczyzną, pomyślała. Ale od śmierci matki przed dziesięcioma laty nie miał żadnego poważnego związku. Szkoda, z drugiej jednak strony Cassandra zastanawiała się, jak by się czuła, gdyby ojciec patrzył na jakąś kobietę z taką czułością, jak kiedyś patrzył na matkę. Chyba byłabym wściekła, pomyślała. To do mnie podobne.

— Dzień dobry — odrzekła.

— Sara się do ciebie odzywała?

— Nie, a powinna?

Wzruszył ramionami.

— Dzwoniłem do szpitala. Powiedzieli, że Michael wyszedł dziś do domu. Zatelefonowałem więc do nich, ale włącza się tylko automatyczna sekretarka.

— Próbowaleś się skontaktować z Rikerem? — spytała.

Skinął głową.

— Tak, ale nie oddzwonił. Szczerze mówiąc, nie spodziewam się, by to zrobił.

— Dlaczego?

— Powiedzmy, że Harvey Riker i ja nie jesteśmy parą bliskich przyjaciół.

Cassandra spuściła wzrok. Poczowała zażenowanie.

— To wszystko dziwnie wygląda — powiedział Lowell.

— Co?

— Michael ma wirusowe zapalenie wątroby, co oznacza, że powinien przeleżeć w szpitalu co najmniej trzy tygodnie. Dlaczego więc się wypisał?

— Może przenieśli go do innego szpitala?

— Może — odparł Lowell bez przekonania. Przypomniała sobie, w jak wielkim pośpiechu Harvey wyszedł z mieszkania po telefonie od Erica poprzedniego ranka. Nie słyszała ich rozmowy, ale był zdenerwowany i bardzo przejęty. Słyszała też, że wymówił imię Michaela, a potem odłożył słuchawkę. Wybiegł prawie bez pożegnania. Czy choroba Michaela to coś poważnego?

— Muszę iść — powiedział ojciec. — Jeśli zadzwoni Sara, przekaz jej, żeby łąpała mnie na telefon w samochodzie. — Pocałował córkę w policzek i skierował się do drzwi.

Nie spytał, gdzie i z kim spędziła pięć ostatnich nocy. Gdy chodziło o intymne sprawy, ojciec najchętniej udawał, że wszystko jest w idealnym porządku — stara dobra moralność woli pozory niż prawdę.

Cassandra pomyślała o Harveyu. Dlaczego wylądowała w łóżku z tym neandertalczykiem od marketingu (jak on w ogóle ma na imię?), skoro z Harveyem tak dobrze się jej układa...

Może za dobrze?

No cóż, *c'est la vie*. Może to znaczy, że nie jest im pisane być razem? Albo po prostu za dużo wypija. Albo...

Albo jesteś nic niewartą zdzirą, Cassandro.

Zamknęła oczy. Kiedy usłyszała warkot odjeżdżającego samochodu, wstała i ruszyła cicho do ojcowskiego gabinetu. Czas puścić w niepamięć wydarzenia z ostatniej nocy. Są ważniejsze sprawy. O wiele ważniejsze.

Wiedziała, że to, co zamierza zrobić, jest złe. Wiedziała, że ojciec uważa swój gabinet za sanktuarium i że nie wolno wściubiać nosa w jego prywatne życie. A jednak powodowały ją słowa Harveya:

„Wiesz, to dziwne, że twój ojciec zaprzeczył, iż zna go osobiście, a tego samego dnia spotkał się z nim we własnym domu, o czym sama mówiłaś. Dlaczego kłamie? Co próbuje ukryć?”.

A może raczej chciała się zrehabilitować po ostatniej nocy?

No właśnie, pomyślała. Co ojciec próbuje ukryć? Czy naprawdę coś go łączy z Sandersem? Czy to możliwe, że jest zamieszany w te dziwne wydarzenia w klinice?

Nacisnęła klamkę, otworzyła drzwi i weszła do gabinetu. Było to jej ulubione pomieszczenie w całym domu. Przestronne, wysokie, wszędzie ciemna dębina i tysiące książek — jak gabinet Henry’ego Higginsa w *My Fair Lady*. Obeszła wielkie zabytkowe biurko i nachyliła się, żeby otworzyć drzwiczki, za którymi znajdowały się szuflady. Szarpnęła, ale bez skutku. Jeszcze raz. Zamknięte. Usiadła w miękkim skórzanym fotelu obrotowym. Gdzie on mógł schować ten cholerny klucz? Wsunęła dłoń pod blat biurka i zaczęła macać palcami. Po chwili poczuła zimny metal.

Brawo.

Oderwała kluczyk razem z przytrzymującym go kawałkiem przylepca i otworzyła drzwiczki. W dolnej szufladzie znalazła teczkę z prywatną korespondencją. Zaczęła

przeoglądać listy i szybko znalazła jeden, który wzbudził jej ciekawość. Nadawcą był doktor Leonard Bronkowitz, przewodniczący rady nadzorczej szpitala Columbia Presbyterian.

Drogi Johnie,

zdaję sobie sprawę, że ta wiadomość wywoła Twoje niezadowolenie, ale Rada Nadzorcza postanowiła zezwolić na otwarcie Sidney Pavilion. Pomimo Twoich przekonujących argumentów niewielką większością głosów uznaliśmy, że AIDS jest chorobą zbyt długo ignorowaną. Choć wielu członków Rady podziela Twoje zdanie, że obecnie — gdy świat uświadomił sobie skalę tej choroby — nastąpił przechył w drugą stronę, to jednak uważamy, że doktorzy Riker i Grey mogą dokonać przełomu w opracowaniu szczepionki przeciw wirusowi. Gdyby do tego doszło, to oprócz oczywistego pożytku dla całej ludzkości byłby to wielki prestiż dla naszego szpitala, a w przeszłości może także źródło nowych dochodów.

Rozumiem, że oznacza to spowolnienie Twojej działalności na polu walki z nowotworami, ale mam nadzieję, że wspomozesz nas w tym nowym, ekscytującym przedsięwzięciu.

Z poważaniem

Leonard Bronkowitz

Obok Cassandra zobaczyła list przysłany z Waszyngtonu. Zaczęła czytać:

Szanowny Panie Doktorze Lowell,

przyznano fundusze na ten rok i z żalem donoszę, że zabraknie środków na rozbudowę nowego skrzydła w Centrum Nowotworów. Szanujemy i doceniamy Pańską pracę, jednak to Nowy Jork, a zwłaszcza szpital Columbia Presbyterian, otrzymał Iwią część funduszy. Większość przeznaczono na klinikę dla pacjentów chorych na AIDS prowadzoną przez doktora Harveya Rikera i doktora Bruce'a Greya.

Oso biście uważam Pańską działalność za niezwykle cenną, zatem jestem rozczarowany tą decyzją. Nie mam jednak wątpliwości, że Pan, jako były Naczelnny Lekarz Kraju, rozumie zasady, którymi kieruje się system. W moim przekonaniu wirus AIDS jest w tej chwili gorącym tematem publicystycznym. Jak książka miesiąca w plebiscycie czytelników. Wszyscy bardzo się ekscytują tym tematem. Jestem przekonany, że wkrótce zainteresowanie społeczeństwa osłabnie, a wtedy będziemy mogli spojrzeć na tę chorobę w sposób bardziej racjonalny.

Proszę nie upadać na duchu i pamiętać, że inni myślą podobnie jak Pan i ja. Byłbym zaszczycony, gdyby odwiedził mnie Pan podczas następnej wizyty w Waszyngtonie, abyśmy wspólnie przedyskutowali różne kwestie medyczne. Bardzo sobie cenię Pańską opinię w każdej sprawie.

Z wyrazami szacunku

dr Raymond Markey,

zastępca sekretarza Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej

Cassandrę ogarnęło bardzo nieprzyjemne uczucie. W tych dwóch listach nie było w zasadzie nic sensacyjnego. Wiedziała, że jej ojciec od początku był przeciwny działalności Rikera i uskarżał się na „marnowanie” funduszy. Nie wiedziała jednak, że finansowanie kliniki ma tak bezpośredni wpływ na funkcjonowanie Centrum Nowotworów. A więc to była alternatywa. Albo pieniądze pójdą na walkę z AIDS, albo na walkę z rakiem. Zdawała sobie sprawę, jak ważne jest dla ojca to Centrum. Do czego więc mógłby się posunąć, żeby zdobyć fundusze? Przecież chyba nie...



Podskoczyła na odgłos samochodu wtaczającego się na podjazd. Głośny silnik Diesla. To mercedes ojca. Już wrócił!

Cholera, myślałam, że nie będzie go cały dzień!

Włożyła listy z powrotem do papierowej teczki, teczkę schowała do szuflady i ją zamknęła. W tle rozległ się warkot automatycznej bramy garażowej.

Cholera, co zrobiłam z kluczem?

Rozglądała się po blacie. Ani śladu. Spojrzała na podłogę. Znowu nic. Mercedes wjechał już do garażu na sześć samochodów.

Muszę stąd wyjść, bo ojciec mnie przyłapie! Jasna cholera, gdzie się podział ten klucz?!

Chwilę później zobaczyła go w drzwiczkach. Najchętniej spoliczkowałaby siebie za własną głupotę. Przekręciła klucz i wyjęła go z zamka, a w tym samym momencie ojciec wysiadł z samochodu, trzaskając drzwiami.

Oddała kawałek taśmy z podajnika na biurku i przykleiła z powrotem klucz pod blatem. Wstała i podbiegła do drzwi. Wyszła z gabinetu i błyskawicznie skręciła w prawo.

Gdyby skręciła w lewo, zobaczyłaby ojca na końcu korytarza. Patrzył na nią zdumiony.

\* \* \*

W głębi stał Donald Parker — wyprostowane plecy, idealna poza, granatowy garnitur. W ciągu czterdziestu lat pracy w dziennikarstwie dotarł na wszystkie kontynenty. Relacjonował objęcie władzy przez wszystkich prezydentów Stanów Zjednoczonych od Harry'ego Trumana po George'a Busha. Opisywał pierwszy lot na Księżyc, wojnę w Wietnamie, masakrę na placu Tiananmen, upadek Muru Berlińskiego i operację „Pustynna Burza”. Przeprowadził wywiad z Gandhim, Malcolmem X, Pol Potem, Chomeinim, Aminem, Gorbaczowem, Saddamem Husajnem. Mało kto osiągnął tyle co on.

Zobaczył podchodzącą Sarę i się uśmiechnął. Miał przenikliwie jasnyniebieskie oczy. Oczy idealnego reportera.

— Cześć.

— Cześć, Donaldzie. Masz moje notatki?

Skinął głową.

— Sensacyjna historia — powiedział. — Może historia roku. Dlaczego rezygnujesz?

— Bo za bardzo jestem w to zaangażowana.

— Chodzi o sprawy osobiste?

— Tak.

— Czy to ma coś wspólnego z zaplanowanym oświadczeniem twojego męża?

— Wołałabym w tej chwili o tym nie mówić.

— Juk sobie życzysz. Są jakieś nowiny?

— Owszem. W nocy zamordowano w szpitalu kolejnego lnu pacjenta, niejakiego Riccarda Martina.

— Co?!

— Tutaj masz szczegóły.

— Par wziął kartę i zaczął czytać.

— Donaldzie, wynikła pewna sprawa.

— Tak?

— Nie możesz nic mówić o synu senatora Jenkinsa.

— Jak to? Nie rozumiem.

Sara zaczęła wyjaśniać. Słuchał uważnie, kiwając głową.

— Dobrze — powiedział, gdy skończyła. — Pominę to.

— Dziękuję. Jestem ci bardzo wdzięczna.

— Wyjaśnijmy jeszcze jedno. Ten doktor Riker nie chce się pojawić na wizji, tak?

— Tak. Chce zachować anonimowość. W wywiadzie weźmie udział jego asystent, doktor Eric Blake.

— Dobrze. Czas się brać do roboty. Dziękuję, że przygotowałaś dla mnie grunt. Cała reszta to łatwizna.

— Proszę bardzo — odparła Sara, ruszając w głąb korytarza. — I dziękuję za zrozumienie w sprawie Jenkinsa!

Patrzył, jak Sara kuśtyka, oparta ciężko na lasce. Hipnotyzująca kobieta — niebywała uroda w połączeniu z niebywałym intelektem. Była świetną dziennikarką i Donald Parker czuł do niej wielki szacunek.

Niestety, zdawał sobie sprawę, że tego wieczoru ich zawodowa przyjaźń zostanie wystawiona na ciężką próbę. Po programie Sara będzie srodze zawiedziona. Będzie wściekła. Jednak Parker od wielu lat uprawiał dziennikarstwo i kierował się niewzruszonymi zasadami. Między innymi uważał, że nic wolno pomijać istotnych aspektów sprawy dla dobra osób trzecich — bez względu na konsekwencje.

Dlatego zamierzał wspomnieć o Bradleyu Jenkinsie w swoim programie.

Cassandra przyjechała do kliniki, żeby powiedzieć Harveyowi o listach, które znalazła w biurku ojca. Jednak gdy otworzyła usta, popłynęły z nich słowa, których później miała całować:

— Muszę ci coś wyznać.

Tak? Spuściła głowę, bojąc się spojrzeć mu w oczy.

— Spędziłam noc z innym mężczyzną.

Poczuł ukłucie bólu.

— Ree... Z tym dyrektorem od marketingu?

Kiwnęła głową.

— Rozumiem — mruknął Harvey. Zachowywał kamienną twarz, nie okazując żadnych emocji. Wrócił do biurka, usiadł i zaczął coś zapisywać w dokumentach.

— Nic więcej nie powiesz? — spytała.

— A co mam powiedzieć?

— Nic przejmujesz się?

— A chciałabyś, żebym się przejmował?

— Przestań odpowiadać pytaniem na pytanie.

— Cassandro, nie wiem, czego ty ode mnie chcesz. Przychodzisz tu i mówisz, że się przespałaś z jakimś facetem. Jak mam zareagować?

— Nie wiem.

— Po co mi o tym mówisz?

— Jak to: po co?

— Przecież sam nigdy bym się o tym nie dowiedział. No więc po co?

Otworzyła usta, żeby coś odpowiedzieć, ale się rozmyśliła. Wzruszyła ramionami.

— Chciałam być z tobą szczerą — odparła cicho.

— No to świetnie. Wyznałaś szczerze, co się stało, a teraz przepraszam, bo mam mnóstwo pracy.

— Zaraz, chwileczkę...

— Bardzo mi przykro, Cassandro. Naprawdę. Myślałem, że dobrze nam ze sobą. Myślałem... Sam nie wiem... Myślałem, że to coś wyjątkowego.

— Bo to prawda.

— W takim razie inaczej rozumiemy wyjątkowość. Nie chcę, żeby znowu podeptano mi serce. Za bardzo boli. Wpływa na moją zdolność koncentracji, na moją pracę...

— To się już nigdy nie powtórzy, przysięgam. Nie chciałam cię zranić...

— Daj spokój, nieważne. Nie powinienem był pozwolić, żeby to zaszło aż tak daleko. Byłem cholernym idiotą, sądząc, że mogłabyś... — Pokręcił głową. — Żegnaj, Cassandro — dodał. Spuścił głowę i zaczął pisać.

— Harv...

— Żegnaj — powtórzył stanowczym tonem, nie podnosząc wzroku.

Poczuła coś dziwnego — silny ucisk w piersi. Chciała coś powiedzieć, ale jego oschłość odebrała jej mowę. Odwróciła się i wyszła.

\* \* \*

— Za pięć minut jest konferencja prasowa Michaela!

Reece Porter zastygł w trakcie wiązania sznurówek. Podniósł głowę i spojrzął na trenera.

— Że co?

Richie Crenshaw przeszedł przez szatnię, wymijając wyciągnięte długie nogi siedzących zawodników, porozrzucane buty i spodenki. Knicks byli w Seattle, dokąd przyjechali na towarzyski mecz z Supersonics przed rozpoczęciem sezonu.

— To, co słyszysz. Na początku *NewsFlash* Michael wygłosi oświadczenie.

— Jakie oświadczenie?

— A skąd mam wiedzieć, cholera?

Jerome Holloway i Reece Porter wymienili zdezorientowane spojrzenia.

— Pokazują to na ogólnokrajowym kanale?

— Tak — odparł Crenshaw.

— Nie kapuję — mruknął Reece. — Co takiego Michael mu do powiedzenia, że będą go pokazywać w najlepszym programie publicystycznym?

— Może chodzi o to zapalenie wątroby?

Pokręcił głową.

— Tym może się zainteresować stacja sportowa, ale nie CBS — stwierdził.

— Poza tym prasa już wie o wątrobie — dorzucił Holloway.

Trener wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia, co to za historia — rzekł. — Włącz telewizor, Jerome, to się przekonamy.

Młody zawodnik podszedł do odbiornika i pstryknął przycisk. Wszyscy obecni w szatni zastygli, patrząc na ekran. Na większości twarzy malowała się ciekawość. Tylko Reece miał zaniepokojoną minę. Coś tu nie gra, pomyślał. Sportowiec, choćby najślawniejszy, nie występuje w takich programach telewizyjnych. Chyba że stało się coś ważnego. Naprawdę ważnego. Coś, co wykracza poza świat sportu.

Reece zobaczył, jak Michael i Sara wchodzą na mównicę. Ogarnął go strach.

\* \* \*

George akurat wykonywał trzecią serię stu pompek, przy każdej powtórce napinając mięśnie, gdy nagle usłyszał zapowiedź:

— Zostańcie z nami, bo za chwilę specjalne wydanie *NewsFlash*. Jaki jest związek między zaskakującym oświadczeniem koszykarza Michaela Silvermana, Homorozpruwaczem i sprawą roku, a więc epidemią AIDS? Nie odchodźcie od telewizorów. Za chwilę wszystko się wyjaśni na antenie CBS.

Zastygł. Michael Silverman? To mąż Sary Lowell i zięć Johna Lowella. Silverman był na przyjęciu charytatywnym u Lowella. Tamtego wieczoru, kiedy Bradley Jenkins dał się pokroić.

George za wszelką cenę chciał usłyszeć oświadczenie Michaela Silvermana.

Oczywiście samo wystąpienie koszykarza nie było powodem do niepokoju. Kłopot w tym, że wspomniano także o Homorozpruwacz i epidemii AIDS. George pokręcił głową. Za dużo, żeby mógł to być zbieg okoliczności. Michael Silverman, Homorozpruwacz i AIDS.

Ktoś najwyraźniej dodał dwa do dwóch.

Nowym elementem było właśnie spodziewane oświadczenie Silvermana. Policja wiedziała już o powiązaniach ofiar z kliniką, zatem przeciek do prasy był tylko kwestią czasu. Ale czy to się łączy z mężem Sary Lowell? Czy ten koszykarz ma jakiś związek z tą sprawą? Jeśli tak, to jaki?

Przyhamuj, George. Twoja robota polega na likwidowaniu ludzi, nie na zadawaniu pytań.

To prawda, ale należało zachować ostrożność. W tej sprawie musiał podejmować większe ryzyko niż zwykle. Homorozpruwacz stał się tematem doniesień prasowych i robił się coraz większy szum. A zatem rozsądek podpowiadał, by dowiedzieć się jak najwięcej. W ten sposób można ocalić tyłek.

Cholera jasna, pomyślał, dlaczego wcześniej nie przyjrzałem się tej sprawie?

Fuszarka, George. Zachowałeś się bardzo nieprofesjonalnie.

Zerwał się z podłogi w chwili, gdy reklama w telewizji dobiegła końca. Usiadł na brzegu szerokiego łóżka i patrzył, jak Michael i Sara zbliżają się do mównicy. Sara Lowell była Jłęką kobietą. Och, niesamowita uroda. George spojrział na Michaela i poczuł ukłucie zazdrości.

Ten skurwiel ma szczęście. Co noc sypia z Sarą Lowell.

George pokręcił głową. Życie bywa niesprawiedliwe.

\* \* \*

— Wróciłem! — zawołał Max Bernstein, stając w drzwiach.

— Jestem w sypialni! — odskrzyknął Lenny. — Kupiłeś po drodze mleko?

— Tak. I sześciopak dietetycznej coli.

Lenny wszedł do pokoju i pocałował Maxa lekko w usta.

— Zmęczony? — spytał.

— Skonany. A ty?

Skinął głową, odbierając mleko.

— Też — odparł. — Siedem godzin czekałem w sądzie na sprawę, która się nie odbyła.

— A co się stało?

— Mój klient się nie zjawił.

— Złamał zasady zwolnienia warunkowego?

— Najwyraźniej.

Max wzruszył ramionami.

— My, gliniarze, łapiemy takich ludzi, a wy, adwokaci, ich wypuszczacie.

— To oznacza, że bez nas bylibyście bez pracy. Aha, zamówiłem pizzę. Pomyślałem sobie, że wolałbyś zjeść w domu.

— Słusznie.

Lenny zaniósł torby do kuchni.

— Pracujesz w weekend?

— Że co?

— Przestań na moment obgryzać paznokcie i posłuchaj. Pytałem, czy pracujesz w weekend.

— Chyba tak. Bo?

— Bo w weekend będę z Melissą.

Melissa była dwunastoletnią córką Lenny'ego.

— No to spróbuję się urwać.

— Byłbym wdzięczny. Aha, wypożyczyłem ten film, który chciałeś zobaczyć.

Max wziął do ręki telefon i wykręcił numer.

— Ale dziś nie mogę go obejrzeć — odparł. — Za kilka minut jest *NewsFlash*.

— Ach, zapomniałem! — Lenny wystawił głowę z kuchni. — Max!

— Co?

— Wyjmij palce z ust, bo ci je wepchnę do gardła!

— Przepraszam.

— Do kogo dzwonisz?

— Do swojego mieszkania.

— Wyrzucanie pieniędzy w błoto.

— Lenny, znowu zaczynasz?

— Naprawdę musisz przez sześć lat trzymać puste mieszkanie? Masz tam tylko telefon i automatyczną sekretarkę.

— Muszę. I dobrze wiesz dlaczego.

— Owszem, wiem! Boisz się, że ktoś się dowie, że, o zgrozo, żyjesz z mężczyzną. Że jesteś stuprocentowym pedziem!

— Posłuchaj...

Dlatego bulisz za to mieszkanie przy Osiemdziesiątej Siódmej! Żeby zachować pozory kawalerskiego życia. Jesteś paranoikiem. Taniej wyszłoby, gdybyś powiedział światu, że jesteśmy po prostu dwoma samotnymi facetami, którzy żyją pod jednym dachem. Jak w *Trzech mężczyznach i dziecku*.

— O czym ty gadasz?

— O filmie *Trzech mężczyzn i dziecko*. Nie pamiętasz? Tom Selleck, Ted Danson i Steve Guttenberg. Byli samotni i mieszkali razem. Nikt ich nie pytał o preferencje seksualne.

— Jesteś upierdliwy.

Żadnych wiadomości na automatycznej sekretarce. Max odłożył słuchawkę.

— Poza tym przytnij wąsy, bo wyglądasz jak Gene Shalit.

— Upierdliwiec, upierdliwiec. Nakarmiłeś Simona?

— Przed chwilą. Właśnie połyka sześć złotych rybek. Chcesz popatrzeć?

— Chyba sobie odpuszczę. Lenny wrzucił ramionami.

— No trudno, jak chcesz, ale to twój wąż — mruknął.

Dwa lata temu pod wpływem zachcianki Max kupił Simona, nieszkodliwego węża. Fajnie byłoby mieć coś takiego, uznał. Przeoczył jednak istotną sprawę — śmiertelnie bał się węży. Uwielbiał Simona, uwielbiał patrzeć, jak on pełza po terrarium, ale bał się go dotknąć lub choćby podejść bliżej. Co gorsza, Simon jadł wyłącznie złote rybki, które chwycił błyskawicznie w paszczę i połykał w całości. Widać było kształt walczącej o życie małej istotki, gdy zsuwała się w głąb węzowego ciała.

Mocne.

Na szczęście Lenny polubił Simona — choć było to dość chorobliwe uczucie, bo zapraszał znajomych na pokazy karmienia. Patrzyli wszyscy, robiąc zakłady, która rybka zostanie pożarta jako ostatnia.

Bardzo mocne.

Zadzwoniono do drzwi i Lenny poszedł otworzyć. Zapłacił dostawcy i wniósł pizzę do pokoju. Max patrzył na niego, przypominając sobie, jak bardzo zmieniło się jego życie, kiedy przed siedmioma laty po raz pierwszy zobaczył te łagodne oczy. Rok 1984. Rok zmian. W obliczu rosnącej epidemii AIDS zaczął upadać świat anonimowych zbliżeń, orgii w Soho, barów pełnych klienteli w lateksie i łaźni godnych Kaliguli. Max żył w nieustannym strachu, że jego skłonności wyjdą na jaw, zarazem jednak brał udział w tym wszystkim. Ilu miał kochanków? Stracił rachubę. Ilu przyjaciół zmarło na AIDS? Tego też nie umiał już policzyć. Wielu, a ich twarze były teraz mglistym wspomnieniem — energiczni młodzi mężczyźni, których życie zostało brutalnie zniszczone. Odeszli, a dziś często popadali w zapomnienie.

Dlaczego, zastanawiał się Max, tak bardzo łaknęliśmy bezimiennego, anonimowego seksu? Czy chodziło tylko o fizyczną ekscytację, czy kryło się w tym coś więcej? A może był to wyraz buntu? Możliwe, że w ten sposób odreagowywaliśmy nasze niepokoje i wieloletnie stłamszenie w heteroseksualnym społeczeństwie? Czego szukaliśmy w skłębionych ciałach? A może ważniejsze pytanie brzmi: przed czym uciekaliśmy?

W ostatnich siedmiu latach Bernstein przebadał się ponad dwadzieścia razy na nosicielstwo wirusa HIV. Zawsze pod fałszywym nazwiskiem. I zawsze z wynikiem ujemnym. Dopisało mu szczęście, a jednak czasem odzywało się w nim poczucie winy, że jest zdrowy, że mimo szaleństw uniknął zarażenia. Jak więzień, który przeżył obóz w Oświęcimiu-Brzezince i który zastanawia się, dlaczego akurat on uniknął śmierci, skoro inni zginęli.

W przeciwieństwie do Maxa Lenny pochodził z konserwatywnej rodziny. W wieku dziewiętnastu lat ożenił się z koleżanką ze szkoły, a rok później urodziła im się córeczka. Z całej siły starał się stłumić w sobie swoją orientację seksualną. Przez pewien czas mu się udawało. Ale po czterech latach małżeństwa zarówno on, jak i jego żona Emily zdali sobie sprawę, że heteroseksualna tożsamość zaczyna się rozpadać. Powiedzieli prawdę swoim rodzinom i rozstali się jako przyjaciele.

Max włączył telewizor. Usiedli we dwóch na kanapie i patrzyli na ekran, trzymając się za ręce.

Po chwili Lenny oparł głowę ma ramieniu Maxa.

— Jestem najlepszą rzeczą, jaka przytrafiła ci się w życiu, wiesz? — powiedział.

— Chyba masz rację.

Kilka minut później zobaczyli, jak Sara i Michael wchodzą na mównicę.

\* \* \*

— Tato! — krzyknęła Cassandra.

John Lowell milczał. Stał wpatrzony w starą fotografię.

— Co to? — spytała cicho.

Westchnął przeciągle i odstawił ostrożnie zdjęcie, jakby było wykonane z kruchej porcelany.

Podeszła. Tak jak podejrzewała, ojciec patrzył na fotografię zmarłej żony. Poczwała łzy w oczach.

— Ja też za nią tęsknię — powiedziała.

— Bardzo cię kochała. Chciała, żebyś była szczęśliwa.

Skinęła głową. Wyciągnęła rękę i dotknęła wizerunku matki.

— Sara dzwoniła przed chwilą.

— Gdzie ona się podziewa?

— Nie chciała powiedzieć. Podobno wszystkiego dowiemy się z *NewsFlash*.

— Z *NewsFlash*? Jak to?

— Nie wiem.

John wyciągnął ręce i po raz pierwszy od wielu lat ojciec i córka padli sobie w ramiona. Cassandra przytuliła się mocno, czując na policzku dotyk szorstkiego wełnianego swetra. Na moment zapomniała o listach, które znalazła w biurku. Zapomniała o głosie Sandersa rozbrzmiewającym w ojcowskim gabinecie. Zapomniała nawet o swoich zwariowanych podejrzeniach. Przecież to jej ojciec. Poczwała się dobrze w jego ramionach, jak małe dziecko. Było bezpiecznie i ciepło...

— Jesteście całym moim światem — szepnął. — Ty i Sara.

Obejmowali się mocno. Ujawniła się obopólna potrzeba — silna jak wilczy apetyt, który rośnie w miarę jedzenia. Milczeli, ale zdawali sobie sprawę, że myślą o tym samym. Nie wiedzieli, w jaki sposób czytają sobie nawzajem w myślach. Nic potrafili też wyjaśnić, dlaczego ogarnęło ich poczucie, że zbliża się jakieś niebezpieczeństwo. To powinna być chwila szczęścia i czułości, ale padł na nią dziwny cień. Jakby za rogiem czaiła się niszczycielska siła.

Cassandra odsunęła się i oboje spojrzeli na siebie niepewnie, jakby połączył ich wstydlivy sekret.

— Zaraz będzie program — powiedziała.

— No tak.

Wyszli z pokoju, nie dotykając się, nie patrząc na siebie. A jednak córka nadal czuła ojcowskie objęcia, jakby owijał ją ciepły szal. Patrzyła, jak on włącza telewizor. Poczwała przypływ miłości. Jest tak delikatnym człowiekiem, pomyślała, człowiekiem, który całe życie

poświęcił ratowaniu innych. Nikogo by nie skrzywdził. Nigdy. Była tego pewna, stuprocentowo pewna. W końcu kilka listów i poufne spotkanie z Sandersem nie znaczą, że zrobił coś złego. W gruncie rzeczy to nic nie znaczy. Ucieszyła się, że nie powiedziała Harveyowi o listach. Że nie nadużyła zaufania ojca.

Usiadła wygodnie, rozluźniona i uspokojona, próbując zignorować irytujący głos podejrzliwości, który wciąż rozbrzmiewał w jej głowie.

\* \* \*

Flesze błyskające niczym stroboskop sprawiały wrażenie, że Sara i Michael poruszają się w zwolnionym tempie. Razem weszli na mównicę. On zrobił krok do przodu, a ona zatrzymała się nieco z tyłu. Miał spuszczoną głowę i zamknięte oczy. Chwilę później wyprostował się i spojrzał śmiało na salę wypełnioną dziennikarzami.

Sara patrzyła na niego. Wyglądał bardzo ładnie w szarym garniturze z niebieskim krawatem, choć to przecież nie w jego stylu. Żadnych ostrych kolorów, żółto-zielonych deseni, fioletowych wzorów, fikuśnych grochów. Jak na Michaela był to strój nijaki, pozbawiony życia. Pasował do jego twarzy: poważnej, ziemistej, zmęczonej.

Wyjął kartkę z kieszeni koszuli. Rozłożył ją w palcach i wygładził dłonią na pulpicie mównicy. Zerknął na tekst, ale nie zamierzał czytać. Odsunął kartkę na bok i znów podniósł wzrok. Przez długą chwilę stał w milczeniu.

Za świetlną ścianą błyskających fleszy Sara wyczuwała skrępowanie. Tu i ówdzie rozległy się szmery. Podeszła do Michaela i uściśniła mu dłoń. Jaka zimna! A potem on zrobił coś dziwnego. Odwrócił się do niej i uśmiechnął — nie był to uśmiech sztuczny ani zmęczony, lecz piękny i prawdziwy. Autentyczny. Poczwała zarazem ulgę i strach. Uśmiech zniknął i Michael odwrócił się do dziennikarzy.

— Wczoraj się dowiedziałem, że zostałem zarażony wirusem HIV — powiedział. — Mam AIDS.

Zapadła niezmacona cisza. Szmery ucichły, jakby dobiegła końca taśma magnetofonowa.

— Będę leczony w klinice, o której usłyszą państwo więcej w późniejszej części tego programu — ciągnął Michael. — To wszystko, co miałem do powiedzenia. Dziękuję.

Cofnął się o krok, uśmiechnął znowu do Sary i wziął ją za rękę.

— Chodźmy stąd — szepnął.

Rozpętało się piekło.

— Od jak dawna jest pan gejem, panie Silverman?!

— Pani Lowell, czy wiedziała pani wcześniej, że mąż jest homoseksualistą?!

— Czy wasze małżeństwo to tylko fasada?!

Przy każdym pytaniu twarz Michaela ścinał grymas bólu. Wreszcie podszedł z powrotem do mównicy i wziął mikrofon. Na sali znów zaległa cisza. Wtedy odwrócił się bez słowa, nachylił i pocałował żonę w policzek.

— Chodźmy już — powtórzył.

\* \* \*

Harvey oglądał telewizję.

Samotność mu nie doskwierała. I dobrze, tak powinno być. Przygoda z Cassandrą była błędem od samego początku. A tyle mówi się o iluzjach — chyba się nażarł psychotropów, skoro sądził, że taka kobieta jak ona może być zainteresowana mężczyzną jego pokroju. Poza tym prowadzi klinikę. Nie może sobie pozwolić na rozkojarzenie, bo to negatywnie wpłynie na jego koncentrację i pracę.



Pokręcił głową. Dość tego. Są ważniejsze sprawy niż rozterki sercowe. Harvey wyrzucił Cassandrę z myśli i skupił się na programie telewizyjnym.

Donald Parker spisywał się świetnie — obiektywnie prezentował fakty. Nie podał nazwy ani adresu kliniki, żeby nie naruszyć jej anonimowości. I dzięki Bogu. Harvey już widział te tłumy, które szturmowałyby Sidney Pavilion, gdyby adres został ujawniony. Tylko tego brakowało.

A jeszcze lepiej, że w reportażu wymieniono z nazwiska wyłącznie Erica. Zatajono tożsamość „głównego badacza”. Doskonale. Lepiej być nie mogło. Redakcja wyświetliła nawet numer konta, na które można było przysyłać datki na klinikę. Zasugerowano także, by widzowie pisali listy i telegramy do Kongresu z żądaniem zwiększenia środków finansowych na rzecz „niewymienionej z nazwy” kliniki.

Niebieskie oczy Donalda Parkera patrzyły na wprost, nawiązując kontakt z milionami widzów. Harvey rozumiał, dlaczego ten człowiek jest tuzem dziennikarstwa. Jego siła przekazu sprawiała, że publiczność zapomniała, iż ogląda telewizję. Stawał się gościem w każdym domu, członkiem rodziny siedzącym w salonie.

— Jeszcze bardziej sensacyjnie — ciągnął głębokim głosem — wygląda powiązanie kliniki z serią tajemniczych morderstw popełnionych przez tak zwanego Homorozpruwacza, który od dwóch miesięcy terroryzuje kręgi gejowskie w Nowym Jorku. Tak naprawdę należałoby chyba nazwać tego mordercę „HIVorozpruwacz”. Oto nasz felieton.

Sekundę później rozległ się nagrany komentarz Parkera:

„Młodzi mężczyźni zostali zadźgani nożem i okaleczeni. Mieli całe życie przed sobą”.

Na ekranie ukazały się zdjęcia zakrwawionych płacht okrywających ciała. Tu i ówdzie wystawała ręka albo noga.

„Opinia publiczna sądziła, że psychopata poluje na osoby z kręgów homoseksualnych. Ale na światło dzienne wyszły fakty, które obalają tę teorię i prowadzą do bardziej sensacyjnych wniosków”.

Nastąpiła umyślna przerwa.

„Tak zwany Homorozpruwacz morduje osoby chore na AIDS — brzmiał dalej komentarz. — Ofiary łączy jedno: wszyscy byli pacjentami kliniki, o której wcześniej wspomniano”.

Po kolejnej przerwie Parker ciągnął:

„Pierwszą ofiarą był Scott Trian. — Na ekranie wyświetlono zdjęcie uśmiechniętego Triana. — Ten dwudziestodwuletni makler giełdowy został zamordowany w swoim mieszkaniu w sposób niewyobrażalnie makabryczny. Był torturowany. Został okaleczony nożem, a potem wykrwawił się na śmierć”.

Po chwili ukazała się fotografia Williama Whithersona.

„Następną ofiarą Homorozpruwacza był William Whitherson, wiceprezes banku. Zadano mu w twarz, szyję, klatkę piersiową i krocze ponad dwadzieścia ran kłutych. Martwego Whithersona znalazł w mieszkaniu jego współlokator, Stuart Lebrinski, który wyszedł zaledwie godzinę wcześniej. Kiedy Lebrinski wrócił z supermarketu, z ciała Whithersona wciąż płynęła krew”.

Zdjęcie zniknęło z ekranu...

...a sekundę później ukazała się twarz Bradleya Jenkinsa.

Harveya zmroziło.

— O Boże — jęknął. — Nie, tylko nie to...

„To zabójstwo Bradleya Jenkinsa, syna senatora, rozślawiło Homorozpruwacza. Bradley był potajemnie leczony w klinice. Znalaziono go na tyłach gejowskiego baru w Greenwich Village...”.

Harvey zatkał sobie uszy.

— Stop! — wrzasnął. — Zdajesz sobie sprawę, coś narobił?!

\* \* \*

Wielebny Ernest Sanders patrzył w telewizor. Sprawy przybrały bardzo zły obrót, nie czuł jednak gniewu. Gniew to marnowanie energii. Gniew mąci umysł, uniemożliwia racjonalne myślenie. A w tej sytuacji należało myśleć bardzo klarownie.

Dixie leżała w sypialni na piętze, zamoczona dużą ilością wina. Znowu. Trzeci dzień z rzędu. Niemniej jednak ją kochał. Była nadzwyczaj piękną kobietą — przyznawali to nawet wrogowie. Zupełnie niepodobna do stereotypowego wizerunku żony ewangelisty. Była jego oczkiem w głowie, więc obsypywał ją kosztownymi prezentami. A jednak nim gardziła. Widział to, gdy na niego patrzyła. Jego syn, Ernie junior, wyrósł na przystojnego mężczyznę, który też zajął się duszpasterstwem. Zgłębił Pismo Święte, był namiętnym mówcą i zarobił mnóstwo forsy. I nienawidził swego ojca. Wstręt, jaki malował się na jego twarzy, sprawiłby, że nawet ślepiec by się zaczerwienił, pomyślał Sanders.

Na szczęście Dixie, Ernie i dwie dziewczyny — Sissy i Mary Ann — kochali jego pieniądze. Pieniądze to władza. Sanders przypomniał sobie „złotą zasadę” swojego ojca: „Ten, kto ma złoto, dyktuje zasady”.

Sanders miał złoto. Miał władzę. Miał kontrolę.

I miał swoją misję. Swoje duszpasterstwo. To zabawne, że człowiek staje się taki, jakim inni go widzą. Niektórzy uważali go za zbawcę, proroka, człowieka Boga. Dla innych był ekstremistą, hochszaplerem, bigotem i hipokrytą.

A jak wyglądała prawda? No cóż, wbrew temu, co mówił w swoich programach telewizyjnych, nigdy nie miał wizji zesłanych przez Boga. Jezus nigdy nie pojawił się nocą w jego sypialni. Wielebny nigdy nie słyszał tajemniczych głosów ani nie widział prawdziwego cudu. No i co z tego? Ludzie mieli określone potrzeby, więc on je zaspokajał. Potrzebujemy powietrza, jedzenia, potrzebujemy odpoczynku i rozrywki. Potrzebujemy też wiary w coś. Lewicowi liberałowie mają swoich bożków: świeckość, kręgi uniwersyteckie, mass media. Czy konserwatywnym Amerykanom nie przysługują te same prawa? Potrzebowali silnego przywódcy, kogoś, za kim mogliby pomaszerować bez wahania. Politycy stosują fortele i ładne opakowania, żeby stworzyć wizerunek męża godnego zaufania. Co złego, jeśli kaznodzieja robi to samo?

Kpił sobie z krytyków, którzy oskarżali go o wykorzystywanie naiwniaków. Wystarczy spojrzeć na jego parafian w niedzielny poranek: rozemocjonowane twarze, przejęte miny. Czy coś takiego ma jakąkolwiek cenę? Wystarczy zobaczyć, jak płoną im oczy, gdy przemawia. Ich ufność jest niezachwiana. Owszem, wystarczy spojrzeć na tych ciężko pracujących Amerykanów, którzy pragną choćby chwili religijnego uniesienia, którzy chcą wierzyć, że w życiu liczy się coś więcej niż codzienna nudna harówka. Którzy chcą, by fundamentem była ufność w Boga, a nie w ludzi.

Ernest Sanders dawał im to wszystko i jeszcze coś więcej. To prawda, zarabiał przy tym mnóstwo pieniędzy. A dlaczego nie? Przynosił radość tysiącom, może milionom ludzi, a więc dzięki niemu świat stawał się lepszy. Bóg nie ukazał mu gorejącego krzewu ani nie obdarzył umiejętnością chodzenia po wodzie. Ale dał mu moc budzenia ludzi za pomocą słów. Taki właśnie był Boży zamysł. W tych stechnicyzowanych, zbiurokratyzowanych czasach nie będzie żadnych spektakularnych cudów. Liczy się tylko moc przekazu. Boże przesłanie.

Być może, pomyślał Sanders, uczestniczę w świętej batalii. Być może Bóg wybrał mnie, bym stanął na czele sprawiedliwych. Bym poprowadził ich hufce do ziemi obiecanej...

...i oczyścił ziemię z tej bezbożnej zarazy. Bym walczył z nikczemnikami. Na śmierć.

Na ekranie telewizora przesuwają się napisy. Program *NewsFlash* dobiegł końca. Sanders westchnął i sięgnął po telefon. Zadzwoił pod numer domowy Raymonda Markeya.

— Słucham.

— Oglądałeś? — spytał.

— Tak.

— Bardzo przygnębiające. Będzie wielki skandal.

— Ale przecież Riker się nam podłożył, bo powiedzieli o Bradleyu Jenkinsie. Mamy dowód, że raporty były nierzetelne. Możemy zakwestionować jego ustalenia.

— Być może — odparł Sanders. — Być może uda nam się to wykorzystać, ale czy to wystarczy? Być może będziemy musieli zastosować inny plan.

Markey odchrząknął.

— Myślisz, że to będzie konieczne?

— Jest konieczne. Riker zagrał Silvermanem, więc nie mamy wyboru. Skontaktuję się z Lowellem.

— A co ja mam robić?

— Leć do Nowego Jorku. Rozmów się w cztery oczy z Rikerem.

— Dobrze. — Markey się zawahał. — Jest jeszcze jedno.

— Co?

— Te morderstwa... Homorozpruwacz. To wszystko jest bardzo dziwne.

— Rozumiem, co masz na myśli.

Zapadła cisza.

— Jak sądzisz, kto za tym stoi? — spytał Markey po chwili.

— Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia — odparł Sanders.

Nazajutrz wcześniej rano Sara weszła do siedziby CBS. Pokuśtykała korytarzem i bez pukania otworzyła gwałtownie drzwi do gabinetu Donalda Parkera.

— Ty skurwielu!

Podniósł głowę znad biurka. Jeśli zdziwił go jej wybuch gniewu, to nie okazał tego.

— Spodziewałem się ciebie — odparł.

— Oszukałeś mnie!

— Saro...

— Powiedziałaś, że nie wymienisz nazwiska Bradleya!

— Przykro mi, ale nie mogłem zrobić inaczej.

— Dlaczego?!

— Bo jestem dziennikarzem. Musiałem jak najpełniej przedstawić tę sprawę...

— Oszczędź mi takich gadek!

— Poczekaj! Nie jesteś obiektywna w tej sprawie. Twoje oceny są stronnicze.

— O czym ty gadasz?

Parker poprawił krawat.

— To proste — odparł. — Nie zatajamy istotnych informacji po to, żeby chronić swoich przyjaciół.

— Tłumaczyłam ci przecież, że...

— Że co? Że twój przyjaciel, ten Harvey Riker, okłamał władze, tak? Że w swoich raportach podawał fałszywe informacje?

— Nie kłamał. Po prostu zapewnił poufność swojemu pacjentowi.

— Przestań, Saro. Naprawdę sądziłaś, że odpuszczę? Gdybym nie wspomniiał o młodym Jenkinsie, to co byśmy mieli? Przecież chodzi właśnie o to, że ofiary są pacjentami tej samej kliniki. Nie mogłem pominąć Jenkinsa.

Oparła się ciężko na lasce.

— Zdajesz sobie sprawę z konsekwencji tego, co zrobiłeś? — spytała.

— Martwienie się konsekwencjami nie należy do nas. Wiesz o tym. My przekazujemy informacje. Mówimy prawdę bez względu na cenę. Niech się dzieje, co chce. Nie możemy pomijać ważnych faktów tylko dlatego, że zamierzamy osiągnąć jakieś osobiste cele. Zamieńmy się na moment rolami. Gdybyś ty przygotowywała jakiś temat, a ja bym przyszedł do ciebie i poprosił, byś pominęła ważną część historii, bo chcę chronić swojego przyjaciela, to co byś powiedziała? W dodatku przyjaciela, który kombinował w dokumentach.

— Nie prosiłam cię, żebyś chronił mojego przyjaciela. Prosiłam, żebyś chronił klinikę. Nie rozumiesz tego? Twój reportaż może ją zniszczyć!

Pokręcił głową.

— Mowy o tym nie ma — odparł. — Po wczorajszym programie opinia publiczna na to nie pozwoli. Ci lekarze z dnia na dzień stali się bohaterami. Cała Ameryka o nich mówi.

— Mimo wszystko powinienes być ze mną uczciwy.

— Może i tak, ale uznałem, że nie ma czasu na dyskusje. — Parker wstał i podszedł do Sary. — Bardzo mi przykro z powodu twojego męża — powiedział. — Okazał wielką odwagę, wygłaszając wczoraj oświadczenie.

— Dziękuję — odparła i odwróciła się do drzwi. — Przepraszam za najście.

\* \* \*

Harvey Riker próbował przeczytać raport leżący na biurku, ale bezskutecznie. Po obejrzeniu programu *NewsFlash* poprzedniego wieczoru nie przespał ani minuty. Teraz, gdy

po nocy nastął poranek, w jego umyśle kłębiły się te same pytania i wątpliwości. Czy popełnił niewybaczalny błąd, pozwalając na nakręcenie programu telewizyjnego o klinice? Wcześniej wydawało się, że to doskonały pomysł. Że dzięki temu wzmocni pozycję Sidney Pavilion. Ale nie wkalkulował w to Bradleya Jenkinsa. A to był czynnik, który mógł doprowadzić do upadku kliniki.

Co teraz będzie?

Zaterkotał interkom na biurku.

— Słucham.

— Doktor Raymond Markey chce się z panem widzieć.

Harvey poczuł lód w kościach.

— Jest tutaj?

— Tak.

O Boże... O Boże...

— Niech wejdzie...

Odchylił się do tyłu i zaczął chwytać łąpczywie ustami powietrze. Czekał, wpatrzony w sekundnik na zegarze wiszącym nad drzwiami. Wskazówka poruszała się z mozołem, jakby stawiała jej opór jakaś siła.

Markey wiedział, pomyślał Harvey. Skurwiel wcześniej wiedział o Bradleyu. Ale skąd?

— Witam, doktorze Riker!

Rozciągnął twarz w szerokim uśmiechu.

— Proszę wejść, doktorze Markey. Dzień dobry. Co pana do mnie sprowadza?

— Nie wie pan?

Harvey nadal się uśmiechał, jakby nigdy nic.

— Nie, a powinienem? — spytał.

— Musimy poważnie porozmawiać.

Harvey był zaskoczony. Spodziewał się, że Markey będzie spokojny, chłodny, pewny siebie. Tymczasem w jego głosie przebijało napięcie. Zastępca sekretarza miał na sobie niebieski garnitur w prążki, czarne buty, które domagały się pasty, i Jednolity czerwony krawat.

— Proszę usiąść.

— Dziękuję — mruknął Markey i usiadł ciężko na krześle, jakby był skrajnie wyczerpany.

— Kawy?

— Nie. — Rozparł się i skrzyżował nogi. — Doktorze, przejdę od razu do sedna. Wczoraj wieczorem obejrzałem reportaż o pańskiej klinice. Program był bardzo ciekawy i... niepokojący.

— Niepokojący? — powtórzył Harvey z przyklejonym do twarzy głupim uśmiechem.

Jak długo uda mi się strugać idiotę? — pomyślał.

— Wczoraj wieczorem przeczytałem ponownie pański raport — ciągnął Markey. — Wprawdzie pańskie informacje nie są sprzeczne z tym, co zobaczyłem w telewizji, ale jednak okazują się... jak by to powiedzieć... nieprecyzyjne.

— Nieprecyzyjne? Hm, starałem się informować pana jak najrzetelniej — odparł Harvey, rozpaczliwie zastanawiając się nad możliwościami ratunku. — Widzi pan, nie chciałem stawiać żadnych hipotez, dopóki nie będę miał twardych dowodów na ich poparcie.

— Ale w programie powiedziano...

— Otóż to. Powiedziano w programie. Ja tego nie mówiłem. Wie pan, jak pracują dziennikarze. Wyolbrzymiają wszystko do n-tej potęgi.

— A więc ten program to nie był pański pomysł?

— Ależ skąd. Dziennikarze sami do mnie przyszli. Powiedzieli, że był przeciek, że słyszeli o klinice. — Nagle pojawił się pomysł, więc Harvey uchwycił się go skwapliwie. — Zasugerowali, że ten przeciek wziął się w Waszyngtonie. W pańskiej instytucji.

Brawo, Harvey. Łżyj jak pies, przejmij inicjatywę. Najlepszą obroną jest atak.

Markey spojrział w sufit. Myślał gorączkowo.

— A może źródłem przecieku jest Michael Silverman albo Sara Lowell? — zasugerował.  
— O ile wiem, to pańscy dobrzy przyjaciele.

Harvey pokręcił głową.

— Niemożliwe — stwierdził. — Jeszcze przedwczoraj nic nie wiedzieli o klinice. Dopiero wczoraj Michael został zdiagnozowany jako nosiciel wirusa HIV. A ten dziennikarz Donald Parker wiedział o wszystkim już tydzień temu.

Markey patrzył na niego z niedowierzaniem. Nachylił się do przodu.

— Zostawmy tę sprawę na chwilę — powiedział. — Przestańmy owijać naszą rozmowę w bawełnę i zagrajmy w otwarte karty.

Plącze ci się frazeologia! — miał ochotę krzyknąć Harvey. Panika i desperacja krążyły szaleńczo w jego żyłach jak okruchy szkła.

— Pan mnie okłamał, doktorze Riker. Pańskie raporty są nierzetelne.

— Nierzetelne?

— Wie pan, o czym mówię. Leczył pan eksperymentalnie Bradleya Jenkinsa. Ani słowem nie wspomniał pan o tym w swoich raportach.

Harvey odchrząknął.

— Doktorze, przecież pacjent ma prawo do dyskrecji — zaproponował.

— Nie w tym przypadku. Nie załączył pan wyników badań, testów, niczego.

— Ale...

— Jesteś taki sam jak dawniej, Riker! Ciągłe nie rozumiesz, że obowiązują zasady, których musisz przestrzegać.

— Znam te zasady.

— Wydaje mi się, że jednak nie znasz. Cały ty. Zawsze szukasz drogi na skróty.

— To nie jest żadna droga na skróty — odparł Harvey, pohamowując narastający gniew i strach. — Staram się po prostu nie ugrzęznąć w biurokratycznym gównie. Szukam sposobu, dzięki któremu jak najszybciej uratuję jak najwięcej pacjentów. — Urwał na moment, próbując się opanować, ale pasja wzięła nad nim górę. — Zrozumiałbyś to, gdybyś był lekarzem, a nie gryzpiórkiem!

Markey wybałuszył oczy za grubymi szklami. Cała jego twarz przemieniła się w parę wściekłych ślepiów.

— Zdajesz sobie sprawę, do kogo mówisz?!

— Szanowny doktorze Markey, gdyby pan chwilę posłuchał...

— Zdajesz sobie sprawę z powagi sytuacji? Z konsekwencji własnych działań? Możemy cofnąć środki dla kliniki. Klinika może zostać zamknięta, a wszystkie wasze ustalenia będą uznane za nieważne!

Harvey patrzył na Markeya jak zahipnotyzowany, bojąc się odezwać i poruszyć. Wreszcie otworzył usta.

— Senator Jenkins zmusił mnie, żebym zataił tożsamość jego syna — powiedział, szukając rozpaczliwie jakiegokolwiek deski ratunku. — Jeśli spróbujecie nas zamknąć, wybuchnie skandal, jakiego jeszcze nie było.

— Senatora już i tak obrzucono błotem — odrzekł Markey. — Więc nic mu więcej nie zaszkodzi.

— Jak mam to rozumieć?

— Zwyczajnie. Mam propozycję dla ciebie.

Harvey spojrział zaskoczony.

— Propozycję?

— Moja oferta jest jednak nienegocjowalna. Albo się zgodzisz, albo zamykamy klinikę. Wybór należy do ciebie.

— Słucham.

— Skłamałeś w swoich raportach. Obaj mamy świadomość, że to poważne wykroczenie. Wszystkie twoje ustalenia mogą zostać zakwestionowane jako niewiarygodne. Możemy je odrzucić... Albo mogą posłużyć za podstawę dalszej pracy.

— Nie rozumiem.

— Twoim nowym pacjentem jest Michael Silverman, zgadza się?

— Tak, no i co z tego?

— Zaczęliście go leczyć?

— Dopiero co. Od dwudziestu czterech godzin podajemy mu SR–jeden.

— Dobrze, a więc będziemy obserwować tok leczenia. Sprowadzę własnych ludzi, którzy będą nadzorowali przypadek Silvermana. Będą starannie wszystko dokumentować. W najdrobniejszych szczegółach. Jeżeli okaże się, że Silverman zostanie wyleczony, wtedy przeanalizujemy pozostałe przypadki i zaczniemy testować...

— To potrwa długie lata!

— Trzeba było o tym pomyśleć, zanim poświadczyłeś nieprawdę w swoich raportach — warknął Markey.

Noże, Boże, co teraz? Jestem w pułapce! — myślał gorączkowo Riker.

— Ale to nie dotyczyło badań ani ich wyników! — krzyknął Harvey. — Chodziło o nazwisko jednego cholernego pacjenta!

— Wszystko jedno. Skoro skłamałeś w jednej sprawie, mogłeś skłamać w innych.

— Markey, wyleczyliśmy już sześciu pacjentów!

— Z których przy życiu pozostało tylko trzech. Skąd mamy wiedzieć, że twoje ustalenia w tych przypadkach nie są naciągane?

— Sprawdźcie! — krzyknął Harvey. — Nie puszczę wam tego płazem! Zrobię wszystko...

— Ochłoń najpierw.

— Pójdę z tym do prasy.

Harvey był pewien, że w oczach Markeya zamajaczył strach, choć zarazem na jego twarzy ukazał się uśmiech.

— Byłoby to bardzo nierozsądne posunięcie, Riker. Bo po pierwsze, od razu cofnąłbym środki dla twojej kliniki. A potem poinformowałbym opinię publiczną, że w twoich raportach były luki, że nie mieliśmy dostępu do twoich pacjentów, że nikogo nigdy nie wyleczyłeś. Dorzuciłbym jeszcze inne rzeczy, które w tej chwili nie przychodzą mi do głowy. Nasi specje od PR–u tak zachachmęca sprawę, że będziesz wyglądał jak wiejski szarlatan sprzedający maści uzdrawiające. Gdy z tobą skończymy, nie dostaniesz pracy nawet jako salowa opróżniająca kaczki.

Umysł Harveya próbował zatrzymać narastającą panikę.

— Fakty są inne — odparł. — Udowodnię, że kłamiesz.

— Może kiedyś. Ale najpierw oducz się ich naginania. Tak czy owak, zatrzymam twoje badania aż do następnego stulecia.

Przerażony Harvey patrzył na Markeya. Zdawał sobie sprawę, że on blefuje, że wcale nie chce ostrej konfrontacji, ale jego pogrożki brzmiały bardzo prawdopodobnie. Mógł wszystko zniszczyć. Nawet jeśli Harvey oczyściłby się z zarzutów, udowadniając mu kłamstwo, zabrałoby to miesiące, a może lata. A w tym czasie skończyłyby się wszystkie pieniądze. Wynalezienie leku odwlekłoby się w nieskończoność.

Raymond Markey wstał i ruszył do drzwi.

— Moi ludzie zjawiają się tutaj jutro po południu — powiedział. — Poinformuj o tym swoich pracowników.

\* \* \*

Michael powoli odzyskiwał świadomość. Usłyszał dźwięki telewizora. Jakiś mężczyzna coś mówił. Brzmiało to jak serwis informacyjny. Zamrugał oczami.

— Dzień dobry, przystojniaczku.

Był półprzytomny. Świat wydawał się zamazany. Przekreślił się na bok i pocałował leżącą obok Sarę. W rękę trzymała książkę.

— Dzień dobry, siostró. Lepiej niech pani sobie pójdzie, zanim przyłapie nas moja żona.

— Bardzo śmieszne.

— Która godzina?

— Prawie południe. Jak się czujesz?

Spróbował usiąść.

— Jakby w moim brzuchu umarło małe zwierzątko — odpowiedział.

— Ble. Zgadnij, co mam dla ciebie.

— Co?

Podsunęła mu książkę pod nos. Zmrużył oczy i przeczytał tytuł na głos:

— *Tysiąc imion dla Twojego dziecka*. A po co ci to? Ja już wybrałem imię.

— Tak? — spytała zdziwiona Sara. — A jakie?

— Moahmar.

— A jeżeli będzie dziewczynka?

— To jest właśnie imię dla dziewczynki. A w ogóle co słyszeć?

— No właśnie, co słyszeć? Co pamiętasz z wczoraj?

Michael skupił myśli.

— Ten wampir Eric utoczył mi trochę krwi — odparł.

— Właśnie. A potem nic już się nie działo.

Ich rozmowę przerwał serwis informacyjny:

— Wiadomości CNN. Dziś główną informacją jest sprawa tajemniczej kliniki dla pacjentów chorych na AIDS, w której leczy się znany koszykarz Michael Silverman. Tysiące aktywistów ze środowisk gejowskich maszeruje w Waszyngtonie, żądając, aby Agencja do spraw Żywności i Leków zezwoliła na przetestowanie w całym kraju specyfiku o nazwie SR–jeden. Od wczoraj, kiedy wyemitowano program *NewsFlash*, na konto tej kliniki napływają pieniądze z całego kraju. Według doniesień anonimowa klinika dokonała ogromnych postępów w leczeniu AIDS właśnie za pomocą nowego specyfiku o nazwie SR–jeden. Jest z nami doktor Eli Samuels z Ośrodka Badania AIDS w San Francisco.

Na ekranie pojawił się mężczyzna trzymający lewą ręką słuchawkę w uchu. Na dole ukazał się biały napis: „San Francisco, Kalifornia”.

— Panie doktorze, jaka jest reakcja środowiska lekarskiego na to, co usłyszeliśmy wczoraj w programie *NewsFlash*!

— Powiedziałbym, że to ostrożne zainteresowanie.

— Mógłby pan dodać coś więcej?

— Oczywiście. Rozumiem, że środki masowego przekazu najchętniej ogłosiłyby triumfalnie wynalezienie szczepionki przeciw AIDS, ale my, lekarze, musimy zweryfikować prawdziwość tych doniesień. Nieznana z nazwy klinika jak dotąd nie opublikowała żadnych danych. Nie znamy ustaleń. Nie było żadnych artykułów na ten temat w prasie fachowej. To bardzo nietypowy sposób działania.

— Sugeruje pan, że mamy do czynienia z mistyfikacją?

— Niczego nie sugeruję. Uważam jednak, że zarówno mass media, jak i środowisko lekarskie zachowałyby się nieodpowiedzialnie, gdyby przyjęły te twierdzenia na piękne oczy.

— Dziękuję, panie doktorze.

Dziennikarz prowadzący program odwrócił się w fotelu do kamer.

— Ze sprawą kliniki wiąże się również wczorajsze oświadczenie zawodnika New York Knicks, Michaela Silvermana — ciągnął. — Silverman zaszokował świat sportowy,



ujawniając, że zaraził się wirusem HIV i jest chory na AIDS. Według lekarzy zaraził się wirusem wskutek transfuzji krwi na Bahamach, którą miał kilka lat temu po wypadku na łodzi. Są jednak tacy, którzy podają tę wersję w wątpliwość i twierdzą, że lekarze próbują ukryć homoseksualną orientację koszykarza.

Na ekranie ukazała się kolejna twarz. Michael stęzał.

— Kochanie, co się dzieje? — spytała Sara. — O co chodzi?

Patrzył na ekran jak zaczarowany. Ta gęba... Niewiele się zmienił przez ostatnie dwadzieścia lat. Trochę siwych włosów na skroniach. Bardziej obwisły podbródek i fałdy na szyi. Tylko inaczej się prezentował. Sportowa marynarka od krawca. Starannie przystrzyżone włosy. Typowy sympatyczny obywatel.

— Jest z nami pan Martin Johnson z Lincoln w stanie Nebraska — oznajmił dziennikarz.

— Pan Johnson to ojczym Michaela Silvermana. Wychowywał go. Dziękuję, że zechciał pan u nas wystąpić.

— To ja dziękuję za zaproszenie.

— Proszę pana, co pan sądzi o doniesieniach, które mówią, że pański pasierb zaraził się wirusem HIV wskutek transfuzji krwi?

Johnson wzruszył ramionami.

— Może i tak — odparł. — Nie chcę źle mówić o chłopaku, ale...

— Ale?

— Ale bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że to prezent od jednego z kolegów.

Dziennikarz prawie się zaślinił.

— A więc Michael Silverman jest gejem? — spytał.

— Hm, tak bym tego nie określił. Myślę, że raczej to jeden z tych biseksualnych. Dwururka. Uprawiał seks na całego z mężczyznami i kobietami. Zaczął bardzo wcześnie. Ale woli facetów, jestem tego prawie pewien.

Sara chwyciła pilota i wcisnęła guzik. Obraz zmienił się w jasną plamę, a potem zgasł.

— Dobrze się czujesz?

Kiwnął głową.

— Kłamliwy skurwiol — powiedział. — Nie widziałem go, odkąd skończyłem dziesięć lat.

Włączyła magnetofon stojący na stoliku. Pokój wypełniła delikatna muzyka Bacha, ale to niewiele pomogło, bo Michael nie mógł się uspokoić.

— Dziwne — odezwała się po chwili. — Jak myślisz, dlaczego on kłamał?

— Bo jest psychopata.

Pokręciła głową.

— Nie. Musi chodzić o coś więcej.

— Co masz na myśli?

— Sama nie wiem. Ale odnoszę wrażenie, że ktoś go podpuścił.

— Możliwe — przyznał Michael. — Ale co teraz?

— Trzeba to odkręcić. Musimy przejść do kontrofensywy. Udowodnić, że gnój kłamie.

— I tak znajdą się tacy, którzy mu uwierzą.

— Owszem, niektórzy mu uwierzą.

Michael pokręcił głową.

— Po tylu latach, po tak długim czasie znowu ta morda... — wyszeptał.

\* \* \*

Na drugim krańcu Stanów Zjednoczonych Jennifer Riker siedziała rozdygotana przed telewizorem. Nie mogła uwierzyć w to, co widzi na ekranie. Marty Johnson znów się pojawił niczym upiór z taniego horroru. Myślała, że ten łajdak na zawsze przepadnie w mrokach

niepamięci, ale teraz wrócił, przywołując na nowo bolesne obrazy — siniaki na ciele Michaela, podbite oczy, wstrząśnienia mózgu, pobyty w szpitalu, przerażona twarz chłopca.

Ten chory skurwiol wrócił.

Jennifer nie starała się pohamować narastającego gniewu. Mało tego, skupiła się na tym uczuciu, potęgując je jak najbardziej w nadziei, że przesłoni coś innego. Coś o wiele groźniejszego.

Michael miał AIDS.

Pokręciła głową. Biedny chłopak. Ile razy mówiła tak o nim? Tysiące. Choć miał urodę, inteligencję i najprzeróżniejsze talenty, którymi mógłby obdzielić dziesięciu ludzi, pech ciągnął się za nim przez całe życie jak wierny pies.

Jennifer zerknęła na stolik. Tysięczny już raz przeczytała imię Susan widniejące na kopercie. Zastanawiała się, co robić. Poprzedniego wieczoru pomyślała, że powinna skontaktować się z siostrą, ale uznała, że to głupi pomysł. Bruce nie żył. Bez względu na to, co znajduje się w liście, tego nie da się cofnąć. Po co więc ten pośpiech? List zaczeka na powrót Susan.

Teraz jednak Jennifer wcale nie była pewna, czy podjęła właściwą decyzję. Coś niepokojącego pulsowało w tyle jej głowy. Samobójstwo Bruce'a, tajemnicza przesyłka nadana na adres nieużywanej skrytki pocztowej, morderstwa pacjentów kliniki, lek SR-1 i te mrozące krew w żyłach słowa na kopercie: „Otworzyć w razie mojej śmierci”.

A teraz Michael.

Smutek przerodził się w coś głębszego. Jennifer poczuła strach, choć nie potrafiła podać powodu swojego stanu. Więcej niż strach. Przerazenie. Zrugala siebie w myśli, nazywając paranoiczką, bo wszędzie dostrzegała zmwę. Ale nie potrafiła pozbyć się tego uczucia. Działo się coś złego i miało to związek z dokumentami medycznymi Bruce'a i listem adresowanym do Susan.

Odchyliła głowę do tyłu, czując wzbierającą niepewność.

\* \* \*

Harvey odebrał telefon na prywatnej linii.

— Słucham.

— Proszę cię, wybac mi. Chcę być twoją nałożnicą, mój ty adonisie.

Zamknął oczy i potarł powieki.

— Cassandro, to bardzo nieodpowiednia pora — powiedział.

Zapadło niezręczne milczenie.

— Przepraszam w takim razie... Zadzwoń później.

— Proszę cię, nie dzwoń do mnie.

— Strasznie mi przykro. Naprawdę. Nie mogę cofnąć...

— Nie o to chodzi! — przerwał Harvey. — Po prostu nie mam teraz czasu na to, żeby z kimś być.

— Zepsułam wszystko, prawda?

— Nie. To w ogóle nie powinno się wydarzyć.

— Ale przecież było nam dobrze. Sam tak mówiłeś.

— Cassandro...

— Przestraszyłam się, Harv. Kiedy się boję, zachowuję się jak idiotka. Robię głupstwa. Mam... mam taką dziwną skłonność do niszczenia wszystkiego, na czym mi zależy. Bo boję się, że ktoś inny to zniszczy. Rozumiesz?

— Rozumiem — odparł. Wziął głęboki oddech. — Może zwolnijmy tempo, co? Posuwajmy się krok po kroku.

— Mówisz poważnie?

Uśmiechnął się lekko.

— Tak — odrzekł.

— A więc zmieniłeś zdanie? Dlaczego?

— Bo przypomniałem sobie, co Sara powiedziała kiedyś o tobie.

— Moja siostra?

— Tak. Powiedziała, że masz wielkie serce, ale nie dla samej siebie.

Znowu zapadło milczenie.

— Sara tak powiedziała? — spytała z niedowierzaniem Cassandra.

— Tak. Wydaje mi się, że chciałyby się do ciebie zbliżyć.

— Harvey, a mnie się wydaje, że się w tobie zakochałam.

Z jego ust dobył się cichy chichot.

— Tak jak się umówiliśmy, dobrze? Nie śpieszmy się.

— Dobrze.

— Na razie, Cassandro.

— Na razie.

\* \* \*

George podniósł słuchawkę.

— Dzień dobry — powiedział.

— Dzień dobry.

— Czekałem na twój telefon.

— Wiem, przepraszam.

— Oraz na resztę pieniędzy, którą jesteś mi winien.

Cisza.

— Wiem, George. Wkrótce będziesz je miał. Obiecuję.

— Plus dziesięć kawałków.

— Za co?

— Za opóźnienie w wypłacie. To kosztuje dziesięć tysięcy tygodniowo.

Zleceniodawca westchnął przeciągle.

— Dobrze, dostaniesz dodatkowo dziesięć tysięcy dolarów,

— Doskonale. Masz dla mnie nową robotę?

— Tak, ale to zadanie różni się od poprzednich i jest trudniejsze.

— Mów.

— Oglądałeś wczoraj *NewsFlash*?

— Oczywiście.

— W takim razie zrozumiesz, dlaczego to zadanie będzie trudne.

— Trudne czy nie, to mój problem — odparł George. — Ty dopilnuj, żebym dostał honorarium.

— Naturalnie.

— Kiedy robota ma być wykonana?

— Dziś wieczorem.

— Trochę ekspresowo. Mało czasu na przygotowania.

— Sytuacja się zmieniła. To musi się stać dziś wieczorem.

— Dobrze, ale będą dodatkowe koszty.

— Zapłacę, nie martw się. Obiecuję.

George westchnął.

— No dobrze. Który pedzio jest kolejnym szczęśliwym wybrankiem?

Chrząknięcie, a potem: Michael Silverman.

John Lowell spojrział na korpulentnego mężczyznę siedzącego po drugiej stronie biurka. Próbował zapanować nad wzbierającą nienawiścią, ale zdawał sobie sprawę, że ma ją wypisaną na twarzy. Wielebny Sanders najwyraźniej niezbyt się tym przejmował.

— Dziękuję, że raczyłeś się ze mną zobaczyć — powiedział. — Doceniam, że mimo nawału zajęć znalazłeś dla mnie czas.

— Mamy tylko godzinę — odrzekł zniecierpliwiony Lowell. — Czego chcesz?

Sanders wstał i zaczął się przechadzać po przestronnym gabinecie.

— Piękny pokój, John — stwierdził, rozciągając usta w dyżurnym uśmiechu. — Za każdym razem, gdy tu jestem, czuję się tak... tak swojsko. Jak w domu. Cudowne miejsce do pracy.

— To nieistotne. Moja córka niedługo wróci.

— I co z tego?

— Nie chcę, żeby cię tutaj zastała.

Sanders wyciągnął rękę i wziął zdjęcie stojące na biurku.

— Masz takie śliczne córki — powiedział. — Delikatna, piękna Sara i... hm... — urwał i podniósł wzrok — ...ponętna Cassandra. Jesteś szczęśliwcem, John. Widzisz, rodzina jest najważniejsza. Nasz kraj został zbudowany na wartości rodziny. Ale teraz ten fundament chwieje się i kruszy. Naszym zadaniem jest go wzmocnić.

— Czego chcesz?

— Niczego skomplikowanego. Chcę, byś nadal pomagał w naszej krucjacie. Chcę, żebyś śmiało zrobił to, co należy zrobić.

— Możesz darować sobie te pierdoły i przejść do rzeczy?

Niewzruszony Sanders nadal przemawiał łagodnym tonem:

— Powiedz mi, dlaczego odmówiłeś udziału we wczorajszym zebraniu?

— Odbiło ci?

— Nie. Nie wydaje mi się, żeby mi odbiło.

— Nie chcesz, żeby wynaleziono lek na AIDS, prawda?

Sanders miał rozbawioną minę.

— Powiedz mi, John, czy chciałbyś zatrzymać plagi egipskie? Próbowalbyś pomóc Hiobowi, choć Bóg by sobie tego nie życzył? Powiedziałbyś Abrahamowi, że Bóg wcale nie wymaga od niego złożenia ofiary z Izaaka?

— Co ty chrzanisz, do ciężkiej...

— Naprawdę chcesz zastopować dzieło Boże? Chcesz dołączyć do Lucyfera, który zamierza pokrzyżować Boże zamysły?

— Zejdź z ambony i zacznij...

— Wiemy, że HIV przenosi się poprzez wydzieliny ciała. A jednak gdy zażadasz obowiązkowych badań dla swojego lekarza albo dentysty, liberałowie protestują wniebogłosy. Wrzeszczą o prawach konstytucyjnych. A co z naszymi prawami, John? Co z naszym prawem do życia w zdrowiu? Oni się nami nie przejmują. To dlaczego my powinniśmy przejmować się nimi?

Lowell patrzył na kaznodzieję.

— Ty i Markey twierdziliście, że oni nie mają żadnych postępów — powiedział po chwili.

— Tak, wiem. W raportach Rikera nie było niczego, co wskazywałoby, że jest inaczej. Sam byłem zaskoczony, gdy wczoraj wieczorem zobaczyłem program twojej córki. Byliśmy zaszokowani podobnie jak ty.

Lowell potarł czoło. Spokojny głos Sandersa zaczynał mu działać na nerwy.

— Nigdy bym się nie zgodził na to, żeby...

— Na co, John?  
— Wiesz na co. Kaznodzieja znów się uśmiechnął.  
— Faktem jest, że wciąż mamy robotę do wykonania — powiedział. — Teraz będzie nam jeszcze trudniej. Dlatego potrzebujemy twojej pomocy.  
— Jesteś obłąkany. W tej klinice leczy się mój zięć, na miłość boską!  
Sanders pokiwał smutno głową. Miał teraz poważną minę.  
— Współczuję tobie i twojej córce — odparł. — Co za okropna historia. Żeby w taki sposób dowiedzieć się prawdy o Michaelu... — Zawiesił dramatycznie głos. — O jego preferencjach seksualnych.  
Lowell z największym trudem pohamował wściekłość.  
— Oglądałeś program — odrzekł. — Michael zaraził się przez transfuzję krwi.  
Na twarz Sandersa powrócił uśmiech.  
— Być może. Ale mnie wydaje się to okropnie podejrzane. Transfuzja krwi na Bahamach? Trudno w to uwierzyć, zwłaszcza po tym, co powiedział jego własny ojciec.  
— Ojczym — poprawił Lowell. — To skurwiel, którego Michael nie widział od czasów dzieciństwa.  
— Naprawdę? To ciekawe. Dlaczego niby miał kłamać?  
John zmrużył oczy i nagle go olśniło.  
— To ty! — wyszeptał.  
— Słucham?  
— To ty go naraiłeś! Przekupiłeś go, żeby łąał!  
— Ja? Dlaczego miałbym to zrobić?  
— Żeby podsunąć mediom fałszywy trop. Żeby rzucić cień podejrzania na klinikę i stłumić pozytywne reakcje.  
— Przyhamuj, John. Nieładnie rzucać bezpodstawne oskarżenia.  
— Wynosz się z mojego domu.  
— Ejże, musimy omówić mnóstwo spraw.  
— Wynocha!  
— Na przykład sprawę twojego dalszego udziału w naszej wspólnej walce.  
Lowell wstał.  
— Jezu, ty jesteś obłąkany — powiedział. — To już zabrnęło za daleko. Trzeba z tym skończyć raz na zawsze, zanim komuś znowu stanie się krzywda.  
— Niestety, obawiam się, że walka będzie trwała. — Sanders sięgnął do kieszeni i wyjął kasetę magnetofonową. — Być może to nagranie skieruje cię z powrotem na drogę cnoty.  
Krew odpłynęła z twarzy Lowella, a jego zaróżowione dotąd policzki wyglądały, jakby były pokryte białą kredą. Osunął się na fotel.  
— Co to...?  
— Pytasz o taśmę? Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie w gabinecie Raymonda? Wtedy, kiedy powiedziałeś, że nie cofniesz się przed niczym, żeby zniszczyć klinikę Rikera i Greya. Bo chcesz mieć pieniądze na rozbudowę skrzydła w Centrum Nowotworów. Pamiętasz swoje słowa?  
— Ty skurwysynu!  
Zadowolony kaznodzieja uśmiechnął się jeszcze szerzej. Poczucie władzy zawsze wprawiało go w dobry humor.  
— Ciekawe, co pomyślałaby sobie nasza piękna, delikatna Sara, gdyby usłyszała tatusia mówiącego te słowa? Albo co by pomyślała prasa?  
— Pójdę na dno razem z tobą.  
— O nie, John. Widzisz, nagranie jest odpowiednio zmontowane. Słyszać na nim wyłącznie twój głos.  
— Powiem o wszystkim!

— Kłopot w tym, że nie masz żadnych dowodów. Spójrzmy prawdzie w oczy. Twoje oskarżenia tylko wzmocnią moją pozycję na religijnej prawicy. Ludzie dostrzegą we mnie przywódcę, który chce działać, a nie gadać. Ty zaś będziesz skończony. A razem z tobą wspaniałe Centrum Nowotworów.

Lowell otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale milczał.

— Tak, tak, John. Pan Bóg działa sobie tylko znanymi sposobami. Nie przejmuj się. Zrobisz przecież to, co słuszne. Pomożesz nam zniszczyć zło. W zamian za to przyczynisz się do rozwoju badań nad nowotworami. A więc w obu przypadkach będziesz działał dla dobra ludzkości.

— Wynoś się!

— Mam plan, który z całą pewnością ci się spodoba. Opłaci się nam wszystkim, także twojemu zięciowi. Wszystkiego dowiesz się na naszym następnym zebraniu. Raymond zadzwoni do ciebie. I radzę ci stanowczo, byś tymczasem zachował nasze ustalenia w tajemnicy. Wiesz, jak mówią: od niepotrzebnej gadki toną statki.

Sanders mrugnął porozumiewawczo, błysnął uśmiechem na odchodne i ruszył do drzwi.

— Pamiętaj, John, jesteś jednym z nas.

Wyszedł. Lowell siedział nieruchomo przez długą chwilę. Patrzył tępo na półkę z książkami, zastanawiając się nad swoją sytuacją. Po pięciu minutach wstał i wyszedł.

Gdy jedne drzwi się zamknęły, drugie się otworzyły — Cassandra przesunęła na bok ojcowskie palto i wyszła z szafy w gabinecie. Drżała niepohamowanie.

\* \* \*

Max Bernstein ruszył w głąb korytarza na drugim piętrze Sidney Pavilion. Już miał wejść do laboratorium, gdy ze środka dobiegł głos Erica Blake'a:

— Może żądanie Markeya nie jest takie straszne.

Zapadła krótka chwila ciszy.

— Nie rozumiesz, o co mu chodzi? — spytał Harvey.

— Oczywiście, że rozumiem, ale może uda nam się wyciągnąć z tego jakieś korzyści.

— Jakież?

— Jeśli dotrzyma słowa — kontynuował Blake — rząd będzie musiał finansować klinikę przez kolejnych kilka lat. A przynajmniej do momentu, kiedy wyklaruje się stan Michaela. Ponadto mamy nowe środki napływające od społeczeństwa. Dzięki temu zyskalibyśmy czas, by udoskonalić SR—jeden i...

— I opóźnilibyśmy wprowadzenie go do obrotu o dwa, trzy lata — przerwał koledze Harvey. — Markey chce nas zmusić, byśmy zaczęli wszystko od początku.

— Mogło być gorzej. Mógł z miejsca zamknąć klinikę.

Max czekał na odpowiedź Harveya, ale zapadło milczenie, więc nacisnął klamkę, otworzył drzwi i wszedł do środka.

— Dzień dobry, panowie.

Stali przy mikroskopie. Odwrócili głowy w kierunku wejścia.

— Dzień dobry, poruczniku.

Max rozejrzał się dokoła.

— A gdzie się podziewa główny laborant? — spytał.

— Winston O'Connor? Wziął kilka dni wolnego.

Pokiwał gwałtownie głową, obracając ołówek w palcach. Zaczął krążyć po pomieszczeniu, biorąc do ręki różne przedmioty.

— Kiepsko wyglądacie — stwierdził.

— Bo dzień jest kiepski — odparł Harvey.

— Dlaczego?

- Złożył mi wizytę Raymond Markey.
- Ten ważniak z Waszyngtonu?
- Tak.
- I co mówił?

Harvey zaczął relacjonować swoją rozmowę z zastępcą sekretarza Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej. Max wciąż spacerował po laboratorium, kiwając głową i w ogóle nie spoglądając w kierunku Harveya. Ci, którzy go nie znali, pomyśleliby, że nie słucha.

Zatrzymał się nagle przed Erikiem Blakiem i zaczął mu się przyglądać, jakby widział go pierwszy raz w życiu. Eleganckie buty, drogi garnitur, koszula z monogramem, konserwatywny krawat, szelki dobrane pod kolor. Hm, lekki sztywniak, pomyślał. Więcej niż lekki. Doktor Blake, doszedł do wniosku Max, bardziej przypomina bankiera z Wall Street.

Kiedy Harvey skończył opowiadać, Bernstein wziął do ręki probówkę.

— Ciekawe — mruknął.

Eric wyrwał mu ją z ręki.

— Można? — warknął. — Prowadzimy tutaj ważne badania.

— Przepraszam — odparł Max i pomaszerował w przeciwnym kierunku. Z podsłuchanej wcześniej rozmowy wynikało, że Blake nie uważał interwencji Markeya za zagrożenie. Jakby w ogóle się nią nie przejął.

Hm, to też ciekawe. Coś przeoczyłem, pomyślał Max. Coś ważnego. Trzeba myśleć, myśleć! Ale nic się nie pojawiło, pozostała tylko irytująca pustka.

— A więc wyjaśnijmy to sobie — powiedział. — Markey chce, żeby Michael był królikiem doświadczalnym, na którym wypróbowana zostanie skuteczność SR-jeden, czy tak?

— Coś w tym rodzaju.

Ponownie kiwnął głową.

— To oznacza, że nie możemy ukryć Michaela z innymi pacjentami — rzekł. — Ale w zasadzie w ogóle nie ma powodu, żeby go ukrywać, prawda?

— Ukryć?! — spytał Blake, podchodząc. — O czym pan mówi?

— Wszystko w porządku, Ericu — powiedział uspokajająco Harvey. — Porucznik uzgodnił to ze mną. Postanowiliśmy umieścić wyleczonych pacjentów w policyjnej kryjówce, żeby ich ochronić przed Homorozpruwaczem.

— Gdzie?

Max się uśmiechnął.

— To ma być kryjówka, panie doktorze — odrzekł. — A więc nikt nie może wiedzieć gdzie.

— Ale my chyba mamy prawo wiedzieć?

— Nie.

— Nie rozumiem — upierał się przy swoim Blake. — Nie możemy po prostu wzmocnić zabezpieczeń i zostawić ich tutaj?

— Możemy — odparł Harvey — ale obaj uznaliśmy, że takie rozwiązanie będzie lepsze. Gdybyśmy sprowadzili tu setki policjantów, zakłóciłoby to naszą pracę. I jeszcze jedno. Przecież Martina zabito właśnie tutaj. Prawie w mojej obecności. A więc okazuje się, że nie umiemy zapewnić pacjentom bezpieczeństwa.

— A leczenie? — spytał Blake.

— Porucznik zapewnił mnie, że pacjentami zajmie się wykwalifikowany lekarz, który będzie ściśle wypełniał nasze polecenia. Prawda?

— Tak jest — potwierdził Max. — Nikt ich nie tknie bez waszej zgody.

— Na razie pacjenci mają być pozostawieni w spokoju. Nie trzeba przy nich wykonywać żadnych zabiegów.

Blake milczał. Max odchrząknął.

— Skoro już to sobie wyjaśniliśmy — rzekł — to proszę mi powiedzieć, ilu mamy wyleczonych pacjentów.

— Trzech — odparł Harvey. — A odpowiadając na pańskie poprzednie pytanie, to faktycznie nie trzeba ukrywać Michaela przez zabójcą, bo przecież nie jest jeszcze wyleczony. Sugerowałbym jednak, żeby wejścia pilnowało dodatkowo paru funkcjonariuszy.

— Zrobi się. Gdzie są ci trzej pacjenci?

— Tutaj.

— Dobrze. Czy zdążył pan przejrzeć dokumentację doktora Greya?

Harvey skinął powoli głową.

— I ma pan listę zaginionych dokumentów?

— Tak, proszę.

Harvey podał Maxowi kartkę. Ten zerknął na listę nazwisk. Pokręcił głową, wyjął ołówek z ust i przekreślił trzy nazwiska:

Theodore Krutzer

Paul Leander

~~Riccardo Martino~~

Arnold Singer

~~Scott Trian~~

~~William Whitherson~~

— Niech zgadnę — powiedział znużonym głosem. — Trzej pozostali przy życiu to Krutzer, Leander i Singer.

Harvey skinął głową.

Max schował listę do kieszeni i ruszył do drzwi.

— W takim razie przygotujmy ich do przeprowadzki — rzucił.

— Dobrze. Ericu, zobaczmy się później.

— W porządku.

Gdy Harvey i Max wyszli, Eric Blake podszedł do szafki, w której trzymał swoje dokumenty. Nachylił się, otworzył kluczem dolną szufladę i włożył rękę głęboko do środka. Podniósł luźne kartki i sięgnął palcami jeszcze głębiej, dotykając ciepłego szkła.

Spojrzał błyskawicznie na drzwi, żeby się upewnić, że nikt go nie widzi, a potem wyjął próbkę pełną krwi.

\* \* \*

Sierżantowi policji Williemu Monticellemu zostały trzy lata służby do emerytury. Był weteranem z dwudziestosiedmioletnim stażem, a od dziesięciu lat pracował w wydziale zabójstw. Ludzie sądzą, że wydział zabójstw to świetna praca, ale prawda jest taka, że na ogół była ekscytująca jak gapienie się na schnącą farbę. Należało sprawdzać tysiące fałszywych tropów, przesłuchiwać wrogo nastawionych ludzi, którzy nic nie wiedzieli, pisać żmudne raporty, których nikt nie czytał, i — co najgorsze — prowadzić inwigilację.

Od dwóch dni Monticelli prowadził obserwację podejrzanego. Pierwszy dzień potoczył się jak zwykle — czyli nie przyniósł nic. Obiekt X nie zrobił niczego, co można by uznać za choćby odrobinę nietypowe. Ale dzień drugi okazał się inny.

Bo drugiego dnia obiekt poleciał do Waszyngtonu.

Rankiem Willie pojechał za podejrzanym na lotnisko La Guardia. Obiekt kupił bilet na lot American Airlines do stolicy. Sierżant zrobił to samo. Po wylądowaniu na międzynarodowym lotnisku Dulles obiekt wynajął samochód w firmie Hertz. Monticelli zrobił to samo. Teraz obaj jechali Rockville Pike. Cel podróży wciąż był nieznanym. Sierżant był



pewien, że nie zgubi jadącego z przodu szarego chevroleta. Potrafił śledzić podejrzanych jak nikt inny. Przyklejał się do nich niczym spocone uda do skórzanego fotela.

Pokręcił głową. „Tik” Bernstein znowu miał nosa. Ten chłopak jest dziwny jak widok bociana pijącego whisky w barze, to prawda, ale przez prawie trzydzieści lat pracy w policji Monticelli nie znał lepszego detektywa. Był więcej niż sprytny; rany, w policji jest mnóstwo cwaniaków. Nie chodzi o spryt, pomyślał sierżant. To właśnie dzięki tej swojej dziwności przerasta nas wszystkich o głowę. Popaprane sprawy nie stanowiły dla niego problemu. Wiedział, co kombinują najprzeróżniejsi porąbańcy.

Obiekt skręcił w boczną uliczkę, zatrzymał się na moment przed strzeżoną bramką i ruszył dalej. Monticelli przyhamował i spojrzał na szyld.

„Narodowy Instytut Zdrowia”.

\* \* \*

Sara rozebrała się szybko, usiadła na zimnym stole zabiegowym i czekała. Dla zabicia czasu przeczytała wszystkie dyplomy wiszące na ścianie i dwa razy policzyła kafelki na posadzce. Ogółem dziewięćdziesiąt cztery.

Do środka weszła doktor Carol Simpson. Uśmiechnęła się przepraszająco.

— Mam zwariowany tydzień — powiedziała.

— Rozumiem. Juk się czujesz?

— Dobrze.

Simpson wzięła powoli głęboki wdech, a potem wypuściła powietrze z płuc.

— Posłuchaj, Saro, mogę zrobić dwie rzeczy. Mogę udawać, że żyję w próżni i nic nie wiem o stanie Michaela, albo przyznać, że wiem i że strasznie mi przykro z tego powodu. Jeśli mogłabym jakoś pomóc...

— Tak, może pani. Może pani pomóc, by Michael został ojcem zdrowego dziecka.

— Zrobię, co w mojej mocy, ale muszę być z tobą szczerą. To nie będzie łatwa ciąża. W normalnych warunkach kazałabym ci unikać stresu, ale zdaję sobie sprawę, że to będzie niemożliwe. Więc po prostu postaraj się jak najbardziej minimalizować przykre sytuacje. Spróbuj zachować dotychczasowy normalny tryb życia.

— Jutro robię program w telewizji — odparła Sara. — Poza tym leczenie Michaela nabiera tempa, więc nie będę już spała z nim w szpitalu.

— To dobrze.

— Pani doktor?

— Mów mi po imieniu.

— Zgoda. Carol, powiedz mi, jakie są szanse donoszenia ciąży?

Simpson znowu wzięła głęboki wdech i przytrzymała powietrze w płucach, nadymając policzki. Potem odetchnęła powoli.

— Nie wiem — odparła wreszcie. — Kluczowe będą najbliższe dwa miesiące. Jeśli dotrzymy, potem powinno być łatwiej. A teraz połów się i rozluźnij.

\* \* \*

Harvey czuł zmęczenie w każdej części swojego ciała. Pragnął się zrelaksować, zapomnieć na chwilę o tej cholernej klinice, naładować wyczerpane akumulatory. Ale nie było możliwości ucieczki. Dlaczego? Bo żadnej nie akceptował. Klinika jest zbyt ważna, by zajmować się trywialnymi, przyziemnymi sprawami.

Otworzył drzwi do swojego gabinetu. W środku było ciemno. Światła pogaszone, brak okien. Pstryknął włącznik.

— Zamknij drzwi — rozkazał chrapliwy głos.

Z rozdziawionymi ustami patrzył tępo na Cassandrę. Stała przed biurkiem, ubrana w krótki biały szlafroczek, który kontrastował pięknie ze śródziemnomorską sniadością jej ud. Długie czarne włosy miała lekko zmierzwione, a kilka loków zasłaniało jedno oko. Uśmiechnęła się zmysłowo, kusząco, aż poczuł drżenie w łądźwiach.

— Powiedziałam, żebyś zamknął drzwi.

Przełknął ślinę i spełnił polecenie.

Rozwiązała pasek. Poły się rozsunęły, ukazując odrobinę piękna skrywanego pod spodem.

Harvey znów przełknął ślinę.

Szlafroczek zsunął się z ramion na podłogę. Teraz Cassandra miała na sobie tylko czarny pas do pończoch i koronkowy stanik.

— Czekałam na ciebie — szepnęła.

Nie odrywając namiętnego wzroku od Harveya, usiadła na biurku, następnie się położyła, wyginając plecy i unosząc ręce utul głowę. A potem przekreśliła się na bok i podparła ręką policzek.

Na jej twarzy znów rozkwitł uśmiech.

Harvey sunął spojrzeniem po jej kształtnym, ponętym ciele. Była fantastyczna. Długie na kilometr nogi, płaski brzuch, krągłe biodra, wąska talia, bujne jędrne piersi i gładkie miniona. Niewiarygodne. Istna rozkosz.

Poczuł znajome, narastające parcie. Próbował znowu przełknąć ślinę, ale w ustach miał sucho.

— Uzgodniliśmy, że zwolnimy tempo — wydukał.

Roześmiała się, odrzucając głowę do tyłu, po czym przywołała go do siebie władcym spojrzeniem i kiwnięciem palca.

— Im wolniej, tym lepiej — powiedziała.

\* \* \*

Przez most George'a Washingtona Max wjechał wynajętym kombi do New Jersey. Z tyłu siedzieli spokojnie Theodore Krutzer, Paul Leander i Arnold Singer. Wyglądają zaskakująco zdrowo, pomyślał. Kilka lat temu u wszystkich trzech zdiagnozowano AIDS, ale w ogóle nie było tego po nich widać. Wciąż zerkał ukradkiem przez ramię. Przypomniwał sobie swoich przyjaciół wyniszczonych przez tę straszliwą chorobę. Jaka wielka różnica między jednym a drugim. Tym bardziej trzeba rozwikłać tę sprawę, uznał.

Gdy dojeżdżali do celu, zapisał beeper. Max skreślił na stację benzynową i zatrzymał się obok budki telefonicznej.

— Muszę zadzwonić — oznajmił.

Wysiadł, wszedł do budki i wykreślił numer.

— Mówi Max Bernstein.

— Poruczniku, mamy telefon od sierżanta Monticellego. Przełączam.

Na linii rozległy się trzaski.

— Tik?

— Tak, Willie, to ja. Gdzie jesteś?

— W Bethesda w stanie Maryland. Wiesz co? Nasz laborant z Południa złożył wizytę w Narodowym Instytucie Zdrowia.

Max poczuł łaskotanie w brzuchu.

— Winston O'Connor jest w Bethesda?

— Tak. Przejrzałem więc dokładnie jego akta. Dzieciństwo spędzone w Alabamie i inne pierdoły. Całość w najlepszym porządku. Żadnych luk. Nic podejrzanego. Wszystko pasuje idealnie.

— Za idealnie?

— Tak. To musi być legenda.

Max skinął głową, choć wokół nie było nikogo.

— Dzięki, Willie. Wracaj do domu. Nie trzeba śledzić go dłużej.

— Rozkaz, Tik.

Po dotarciu do kryjówki Max wziął na stronę doktora Zry'a, najlepszego (i najdyskretniejszego) lekarza w policji.

— Mam dla ciebie instrukcje — powiedział.

— Jakie?

— Chcę, żebyś pobrał krew tym trzem.

— Podobno tamci faceci z kliniki mówili, żeby w ogóle nie...

— Wiem, co mówili — przerwał Max lekarzowi. — Dlatego pobierzesz im krew i zachowasz to w tajemnicy.

\* \* \*

O piątej po południu George wszedł przez piwnicę do kliniki. Przy oficjalnych wejściach kręciło się mnóstwo policjantów, on jednak bez trudu przemknął do środka podziemnym tunelem. Ucieczka tą samą drogą też nie będzie stanowiła problemu. Przez większość dnia czytał plany budynku. Obmyślił wszystko bardzo dokładnie.

Michael Silverman leżał w izolatce na drugim piętrze, zaledwie dziesięć kroków od klatki schodowej i windy. George nie wiedział jeszcze, czy będzie uciekał windą, czy schodami, ale skłaniał się raczej ku pierwszej ewentualności. Na drugim piętrze nie było innych pacjentów. Po ósmej wieczorem robiło się tam pusto — chyba że ktoś pracował w laboratorium na przeciwległym końcu korytarza.

Czas spojrzeć na plany.

Wyjął szkic z kieszeni i rozłożył go cicho. Przesunął palcem po papierze, aż dotarł na drugie piętro. Zmrużył oczy. Pokój Silvermana jest tutaj, laboratorium tam, po prawej pomieszczenie gospodarcze, po lewej magazynek z zapasami medycznymi. Będzie musiał uważać na pielęgniarkę. Trzeba poczekać, aż kobieta wyjdzie z pokoju Silvermana.

Złożył z powrotem szkic i wcisnął go do kieszeni w spodniach. Zastanawiał się, czy Michael Silverman to jeszcze jedna ciota, czy też naprawdę zaraził się przez transfuzję krwi. E tam, ani chybi to pedał. Ożenił się z Sarą Lowel, żeby zachować pozory.

Oparł się o mur i czekał.

George spojrzął na zegarek.

Za kwadrans ósma.

Znajdował się już na drugim piętrze. Był gotów. Musiał tylko poczekać jeszcze kilka minut.

Ukryty przy drzwiach do laboratorium, widział, jak Sara Lowell i Reece Porter wychodzą z pokoju Silvermana. Dziesięć minut wcześniej wyszedł doktor Riker. Teraz Michael Silverman został sam. Prawdopodobnie zasnął.

George nasłuchiwał, ale panowała idealna cisza. Lowell i Reece w milczeniu czekali na windę. Najwyraźniej nie mieli sobie nic do powiedzenia.

Jutro za to będą mieli o czym gadać, pomyślał.

Poczuł znajome krążenie adrenaliny w organizmie, ale zachowywał spokój. Nie ma się co śpieszyć. Gdy się człowiek śpieszy, to się diabeł cieszy.

Wiedział, że musi poczekać jeszcze kilka minut, aż pielęgniarka zakończy ostatni obchód. Kiedy wyjdzie z pokoju Silvermana, on będzie mógł się zakraść korytarzem i spędzić parę miłych chwil z gwiazdorem koszykówki. A co to? Oho, czekanie zaraz się skończy.

Pielęgniarka podeszła do drzwi, za którymi leżał Michael Silverman.

\* \* \*

Niecałe dwie minuty po wyjściu Sary i Reece'a do pokoju Michaela weszła Janice Matley. Powitała ją łagodna muzyka Mozarta płynąca z magnetofonu i cichy oddech śpiącego pacjenta.

Zgasł jak światełko, pomyślała. Biedak, lula jak małe dziecko. Nie dość, że się zaraził tym ohydny wirusem, to jeszcze musi przez to wszystko przechodzić na oczach całego świata. To woła o pomstę do nieba. Taki młody facet.

O pomstę do nieba.

Sprawdziła kartę zawieszoną na ramie łóżka. Wynikało z niej, że niespełna godzinę wcześniej doktor Riker zaaplikował pacjentowi dawkę SR-1. To znaczy, że nie należało go budzić przez następne cztery, pięć godzin. To dobrze, przyda mu się odpoczynek. Janice zerknęła na zegarek. Za dziesięć ósma. Do pierwszej będzie mogła dyżurować na parterze. Potem wróci, żeby dać mu drugi zastrzyk.

Zaciągnęła zasłonkę na okienko w drzwiach i wyszła. Już miała zejść schodami na parter, gdy nagle zastygła. Właściwie nie wiedziała dlaczego. Nie usłyszała żadnych głosów ani podejrzanych dźwięków w laboratorium. Rozlegał się tylko jednostajny szum jarzeniówek na suficie. Te cholerne lampy są strasznie głośne. Człowiek potrafi polecieć na Księżyc, a nie potrafi wyprodukować jarzeniówki, która nie robiłaby rabanu jak wściekła osa.

Janice rozejrzała się po pustym korytarzu, ale wszystko było w porządku. Potrząsnęła głową, żeby uspokoić myśli. Co się ze mną dzieje? — pomyślała. Nic. Absolutnie nic. Jest cicho i spokojnie. A może właśnie ta idealna cisza tak ją zaniepokoiła? To poczucie pustki? Bo gdy panuje taka cholerna cisza i bezruch, to można odnieść wrażenie, że ktoś celowo się o to postarał. Że ktoś zastygł jak gład, a razem z nim zastygł cały świat dokoła.

Janice postanowiła poczekać. Zamiast zejść schodami na parter, ruszyła w kierunku laboratorium.

\* \* \*

Tego George nie przewidział.

Cholera! Co ta głupia dziwka wyprawia?!

Uspokój się, George. Co ona może ci zrobić? — zgał się w duchu.

Może mnie zobaczyć.

Wtedy będziesz musiał się nią zająć, odparł głos wewnętrzny.

Cholera jasna. Nienawidził odstępstw od obranego planu. A ta gruba pielęgniarka to cholernie duże odstępstwo.

Spokojnie, nie ma powodu do paniki.

Ale ona tu idzie!

Wyraźnie słyszał zbliżające się kroki. Szła pewna siebie. Zastanawiał się, jak zleceniodawca zareaguje na śmierć pielęgniarki. Wyobrażał sobie, że nie będzie zachwycony. Raczej się wkurzy. Ale nie ma się tym co martwić w tej chwili. Jest większe zmartwienie. Duże czarne zmartwienie. A zatem należało dopaść Silvermana przed powrotem lekarza.

Przywarł plecami do ściany przy drzwiach i czekał. Sądząc po odgłosach, pielęgniarka znajdowała się w odległości dziesięciu kroków. Sięgnął do kieszeni i wyjął nóż. Była tuż-tuż.

George napiął mięśnie w oczekiwaniu.

\* \* \*

Dwa piętra niżej Sara kuśtykała obok Portera.

— Reece.

— Co?

— Jak on wygląda twoim zdaniem?

Koszykarz wzruszył ramionami. Gdy tylko usłyszał oświadczenie Michaela w telewizji, natychmiast wyszedł z szatni Knicksów i pojechał taksówką na lotnisko. Przez osiem godzin czekał na samolot do Nowego Jorku. Potem przeleciał przez cały kraj, wylądował, zaczął szukać Michaela, znalazł Sarę w gabinecie doktor Simpson i uzyskał pozwolenie od Rikera na odwiedzinę u przyjaciela.

To były cholernie długie dwadzieścia cztery godziny.

— Raczej w porządku — odparł. — Tylko był wyraźnie zmęczony.

— To pewnie skutki podawania SR-jeden — powiedziała Sara. — Cieszę się, że przyszedłeś. To dla niego wiele znaczy.

Murzyn znowu wzruszył ramionami.

— A jak ty się czujesz? — spytał.

— Dobrze.

— Akurat. Mnie nie oszukasz.

— Nie rozumiem.

— Widzę, jak chodzisz. Jakbyś miała zamrożoną nogę. Rzeczywiście.

Przez cały dzień czuła skurcz w nodze, jakby ostre kły wbijały się w kość. Każdy krok rodził ból.

— Nic mi nie jest. Po prostu mi zeszywniała.

— To zaczekaj tutaj. Podjadę samochodem.

— Dam radę — zapewniła Sara.

Reece pokręcił głową.

— Daję słowo, potrafisz być tak samo upierdliwa jak Mikey. Przestań się upierać i zaczekaj tutaj. Usiądź.

Uśmiechnęła się słabo i spełniła polecenie.

— Zaparkowałem na parkingu przy Sto Sześćdziesiątej Siódmej — powiedział, ruszając do wyjścia. — Będę za dziesięć minut.

— Dobrze, nie śpiesz się.

Rozejrzała się dokoła. Przy wejściu stali dwaj uzbrojeni strażnicy, a w samochodzie na zewnątrz siedziało dwóch policyjnych tajniaków. Czowała pulsowanie w nodze, jakby jej serce zsunęło się aż do łydki. Musi ją pomoczyć po powrocie do domu. Tak, weźmie długą kąpiel. Położy się w świeżej pościeli, na poduszkach, poczyta dobrą książkę i... I co?

Będzie się zamartwiała. Gdy pierwszy raz usłyszała o chorobie Michaela, sens tej informacji w ogóle do niej nie dotarł. Jakby umysł zbudował tamę — albo raczej sito, przez które do świadomości przedostawały się fakty, ale nie emocje. Niestety, otwory w sicie stawały się coraz większe — teraz przepuszczały już wszystko.

Sara zrobiła kilka programów o epidemii AIDS. Widziała, co choroba wyprawia z człowiekiem, jak go pożera żywcem od środka. W jej umyśle zaczęły wirować straszliwe obrazy, które — jak postępy choroby — napierały bez żadnego określonego porządku...

\* \* \*

Wyniszczone ciała jak bezbronne strefy wojny. Szał choroby: mięsak Kaposiego, infekcje płuc i dróg oddechowych, chłoniak limfoblastyczny, dysfunkcje wszystkich układów, zaburzenia umysłowe, delirium przypominające stan ludzi chorych na alzheimera, katusze przy każdym oddechu, płuca wypełnione wydzieliną, którą trzeba co chwilę odprowadzać za pomocą rurki, osłabienie tak wielkie, że jedzenie staje się niemożliwe, napady śpiączki, młoda przystojna twarz przeistoczona z dnia na dzień w trapią maskę, silne ciało przeobrażone w kupę kruchych kości, z których zwisa skóra, wstrętne liszaje, wrzody w ustach tak wielkie, że przełykanie doprowadza do dławienia się, brak kontroli nad zwieraczami, nieuchronna agonia, oczy widzące Śmierć nieopodal, czekającą cierpliwie, by upomnieć się o swoją ofiarę...

\* \* \*

Strach przed chorobą, chaos i dyskryminacja. Nawet teraz jedna czwarta Amerykanów wierzyła, że wirusem HIV można się zarazić, oddając krew.

W AIDS nie było nic ładnego, romantycznego ani widowiskowego. Po prostu ból, groza i śmierć. Ciało i umysł walczyły z serią kolejnych wyniszczających chorób. Następował cios za ciosem i nie było czasu na wytchnienie — chory przypominał wycieńczonego boksera, który musi bić się kolejną rundę z mistrzem. Ale w walce z AIDS człowiek nie miał szans na uderzenie mogące odwrócić sytuację.

Przegrana była nieuchronna.

Sara przypomniła sobie, co mówił Harvey o niezapowiedzianej wizycie Raymonda Markeya. Gdy rozmyślała o tym, jak niebywale okrutną chorobą jest AIDS, nie mogła tego zrozumieć: czy to możliwe, że ktoś naprawdę chce zastopować wynalezienie szczepionki? Czy ktoś naprawdę chce cofnąć czas, opóźnić wyleczenie dziesiątków, a może setek tysięcy ludzi? Taka bezwzględność nie mieściła się jej w głowie.

Czy to możliwe, że ktoś jest tak zdesperowany, by zahamować badania nad AIDS? By zabijać pacjentów? To wyglądało bezsensownie. Nagle, pełna takich myśli, zapragnęła spędzić choćby jedną dodatkową chwilę z Michaeliem. A potem wreszcie pójdzie do domu.

— Cześć, Saro.

Podniosła głowę i zobaczyła, że przed nią stoi Eric Blake. Mimo że z ostatnich sześćdziesięciu godzin pięćdziesiąt spędził w pracy, wyglądał świeżo i schludnie. Uśmiechnął się ciepło.

— Wszystko w porządku?

Skinęła głową.

— Idziesz do domu?

— Tak, ale czekam na Reece'a.  
— Ja też wychodzę. Nie spałem od... już nawet nie pamiętam od kiedy. Muszę tylko skoczyć na moment do laboratorium, wsunąć to pod drzwi.  
— Coś ważnego?  
— Nie bardzo. Po prostu wiadomość dla Winstona O'Connora. Harvey zwołał spotkanie na jutro rano.  
— Mogę ją zanieść.  
Blake spojrział zdziwiony na Sarę.  
— Eee... Ale mówiłaś, że już idziesz do domu.  
— No tak... To znaczy, że zaraz będę szła... — Wsparła się na lasce, żeby wstać. — Tylko...  
— Tylko co?  
Wzruszyła lekko ramionami.  
— Chętnie jeszcze raz zajrzę do Michaela — szepnęła.  
— Ale on pewnie śpi.  
— Nie chcę go budzić. Po prostu... sama nie wiem. Chcę zajrzeć i zobaczyć, czy wszystko z nim w porządku.  
Eric uśmiechnął się niemrawo.  
— Rozumiem — odparł — ale naprawdę uważam...  
— Proszę cię! Chętnie zaniosę tę kartkę. To dla mnie ważne.  
Zawahał się.  
— No dobrze, proszę — odpowiedział po chwili. — Wsuń to pod drzwi. A jeśli Michael jeszcze nie śpi, to pozdrów go ode mnie.  
— Oczywiście. Dziękuję, Ericu.  
Wzięła kartkę, cmoknęła go w policzek i wcisnęła guzik windy. Chwilę później zaczęła wjeżdżać na drugie piętro.

\* \* \*

Janice Matley najpierw zobaczyła stopy.  
Z niszy drzwi wystawały czubki sportowych butów. Buty były czarne, przynajmniej z przodu. Ach, dzisiejsza moda sportowa jest tak zwariowana, że kto może wiedzieć, jak wyglądają z tyłu? Wnuczek Janice miał buty firmy Nike sygnowane przez Michaela Jordana. Były bardziej kolorowe niż tęcza.  
Przełknęła ślinę.  
— Kto tu jest? — zawołała.  
Zdziwiła się, że ma tak spokojny i pewny siebie głos.  
— Pytam, kto tu jest?  
Zobaczyła, że stopa przesuwana się do przodu. Okazało się, że buty są jednak czarne. Reeboka. Chwilę później ukazał się mężczyzna. Wielki. Cały ubrany na czarno. Czarne buty, czarne skarpetki, czarne spodnie i czarny sweter. Podciągnięte rękawy ukazywały przedramiona wielkie jak u Popeye'a. Wyłonił się z niszy drzwi i uśmiechnął. Uśmiech był szeroki, pogodny, ale... sztuczny. Rozciągnęły się usta, ale reszta twarzy pozostała beznamiętna. Gdy Janice spojrzała w zimne czarne oczy, przeszył ją dreszcz.  
Wiedziała. Już po raz drugi.  
— Witam — odezwał się. — Miły wieczór.  
Nie zdążyła zareagować. Jedną ręką chwycił ją za głowę od tyłu i napał, a drugą uwolnił długie ostrze, które sekundę później wbiło się w gardło kobiety, przecinając tchawicę. Strumień ciepłej krwi trysnął George'owi na twarz, a czubek ostrza wyłonił się z karku, odrobinę niżej, niż znajdowała się jego dłoń.

Janice patrzyła na mordercę. W beznamiętnych czarnych źrenicach dostrzegła własną przerażoną twarz. Chwycił ją mocniej za głowę. Zaczęła się krztusić krwią, a potem jej oczy zmatowiały. Ostatnimi odgłosami, które słyszała, było uporczywe syczenie jarzeniówek i nieludzki charkot dobywający się z jej własnych ust.

George patrzył, jak martwa pielęgniarka osuwa się na podłogę, z nożem tkwiącym w szyi. Spokojnie wyjął chusteczkę i otarł krew z twarzy. Za dużo babraniny jak na takiego zawodowca. Wszędzie były czerwone rozbryzgi, ale brakło czasu, żeby to posprzątać. Należało się śpieszyć.

Westchnął znużony i zawlókł zwłoki do magazynku. W środku chwycił mocno za rękojeść, żeby wyciągnąć ostrze z szyi. Trup z oporem oddał broń, a z gardła dobyło się głośnie mlaśnięcie. George złożył ostrze i schował nóż do kieszeni. Sekundę później wyszedł i ruszył do pokoju Michaela Silvermana.

Stanął przed drzwiami i spróbował zajrzeć przez okienko, ale zasłonka była szczelnie zaciągnięta. Nacisnął powoli klamkę i uchylił drzwi. Podobnie jak wcześniej Janice Matley, usłyszał miarowy oddech śpiącego pacjenta i dźwięki skrzypiec dobiegające z magnetofonu kasetowego. Zastanawiał się chwilę nad następnym posunięciem. Wreszcie podjął decyzję: zapali światło. Chce widzieć, co robi. Cholera, stara pielęgniarka nie będzie już miała nic przeciwko temu, poza tym J całe piętro jest puste. Odrobina światła ułatwi robotę. Nie ma żadnego ryzyka. Jeśli nawet Silverman by się obudził, George dopadłby go w mgnieniu oka.

Znalazł palcami włącznik i zapalił światło. Było jasne, rześiste, ale Silverman nawet nie drgnął. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała miarowo. Wszystko w porządku, zgodnie z planem. Ale gdy George zrobił krok w stronę łóżka, stało się coś nieoczekiwanego.

Usłyszał, że otwierają się drzwi windy.

\* \* \*

W windzie Sara zastanawiała się, czy najpierw powinna zostawić notatkę, czy zajrzeć do pokoju Michaela. Gdy rozsunęły się drzwi, postanowiła, że w pierwszej kolejności pójdzie do laboratorium. Zdawała sobie sprawę, że gdyby zrobiła odwrotnie, to po wsunięciu kartki zapragnęłaby drugi raz zerknąć na męża.

Wyszła z windy, czując niemiłosierny ból w nodze. Spojrzała na zegarek. Reece będzie z powrotem za jakieś pięć minut. To dobrze. Bardzo się ucieszyła z jego dzisiejszej wizyty. Widziała wyraźnie, że Michael też był zachwycony. Reece to dla niego bardzo ważna osoba. Łączyła ich bliska więź — jaką tylko koledzy z drużyny...

Stanęła jak wryta i wybałuszyła oczy.

O mój Boże...

Patrzyła w głąb korytarza, w kierunku laboratorium. Ściany wyglądały, jakby łobuz pomazał je czerwoną farbą. Tylko że warstwa czerwieni była zbyt cienka, by mogła to być farba. Kolor za ciemny jak na keczup, za gęsty, by mogło to być cokolwiek innego niż... krew.

Może ktoś upuścił probówkę?

Niemożliwe. Tyle krwi z jednej małej probówki?

Poza tym jeśli nawet ktoś upuścił sto probówek, to potem chyba by to sprzątnął?

Serce biło jej jak oszalałe. Nagle w strwożonym umyśle objawiła się kolejna myśl.

Michael.

Odwróciła się błyskawicznie i zaczęła kuśtykać w stronę jego pokoju. Gdy w okienku w drzwiach zobaczyła poświatę, kolana jej zadrżały.

Dlaczego u Michaela pali się światło?

Na ułamek sekundy w podświetlonym okienku błysnął zarys sylwetki. Trwało to krótko, ale widziała wyraźnie postać jak w teatrze cieni.



Sylwetka mężczyzny.

Chora noga była jak z drewna; Sara uparcie ciągnęła ją za sobą niczym martwy przedmiot. Doszła do drzwi, chwyciła za klamkę, szarpnęła i odważnie weszła do środka, rozglądając się dokoła.

Nikogo.

Rozmyślała gorączkowo. W pokoju jest tylko Michael. Śpi w łóżku. Na pewno śpi? Owszem, oczy ma zamknięte, ale wygląda dziwnie. Poczowała ucisk w gardle, nie mogła oddychać. Jeśli śpi, to jak to możliwe, że ma twarz wciśniętą w poduszkę? Jak to możliwe, że głowę ma skreconą pod dziwnym kątem? I dlaczego połową ciała zsunął się z łóżka?

— Dobranoc, Saro — rozległ się z tyłu głos.

Odwróciła się błyskawicznie, ale nie zdążyła niczego zobaczyć.

Środa, 25 września

— Tato.

John Lowell odwrócił się do starszej córki.

— Tak?

Oblizwała nerwowo usta.

— Dokąd się wybierasz?

— Mam sprawy służbowe do załatwienia. Wrócę wieczorem.

— Gdzie masz te sprawy?

Odstawił neseser.

— A czemu cię to tak nagle interesuje?

— Po prostu powiedz, dokąd jedziesz.

— Do Waszyngtonu.

Cassandra zamknęła oczy.

— Znowu się z nimi spotykasz, prawda?

— Z kim? — spytał, a w jego głosie przebijały rozdrażnienie i strach. — O kogo ci chodzi?

— Na przykład o Sandersa.

Zapadło milczenie.

— Nie wiem, o czym mówisz — odparł po chwili Lowell.

— Doskonale wiesz, o czym mówię. Byłam w domu trzy dni temu, gdy się z nim spotkałeś. Schowałam się w szafie.

Wybałuszył oczy.

— Że co?!

Cassandra podeszła do ojca.

— To musi się skończyć — oznajmiła. — Musisz powiedzieć prawdę, zanim zginą kolejni ludzie.

— Córeczko, nie wiesz, w co się...

Stanęła przed nim.

— Nie pozwól, żeby cię szantażował!

Miał skurczoną twarz.

— Nie mieszaj się do tego! Wiem, co robię.

— Ile jeszcze krwi trzeba przelać, żeby z tym skończyć? Ilu ludzi musi zginąć, żebyś to przerwał?

— Puść mnie. Gadasz bzdury.

— Tato...

— Przesuń się! — Pchnął ją. Znacznie silniej, niż zamierzał. Cassandra upadła na podłogę. Dосkoczył do niej.

— Córeczko! Przepraszam! Nie chciałem...

Usiadła i spozjrzała na niego wściekłym wzrokiem.

— Nie dotykaj mnie! — syknęła.

Cofnął się, a jego twarz wykrzywił grymas żalu i bólu.

— Skarbie, muszę jechać. Proszę, zaufaj mi. Wiem, co robię. Wrócę wieczorem i wtedy porozmawiamy, dobrze? Proszę, zaufaj mi. Kocham cię.

Odwrócił się i wymaszerował z domu. Cassandra wstała. Wciąż nie wiedziała, jak powinna postąpić. W końcu to przecież jej ojciec, a nie jakiś potwór. Może jest jakieś inne, rozsądne wytłumaczenie? Może faktycznie powinna mu zaufać? Zastosować domniemanie niewinności?

Jakiej niewinności? Cassandro, czego tak bardzo się boisz? — wykrzyczała do siebie w myślach.

Niczego. Zaczeka do wieczora. Najpierw wysłucha ojca, a dopiero potem zacznie wyciągać wnioski...

Nie!

Chwyciła torebkę i wyszła. Pora powiedzieć o tym komuś, zanim będzie za późno. Ale nie Harveyowi. On nie umiałby spojrzeć na to obiektywnie.

Czas porozmawiać z Sarą.

\* \* \*

Ale gorąco...

Michael próbował oprzytomnieć, ale okazało się to niełatwe. W jego umyśle wirowały ósemki. Coś zakrywało mu szczelnie usta i trudno mu było oddychać.

Dokoła rozlegały się różne odgłosy. Hałas. Samochody, klaksony. Ludzie krzyczeli jak sprzedawcy hot dogów na meczu. Głośna muzyka rockowa. Śmiechy. Gwar rozmów. Próbował skupić się na dźwiękach, wyłuskać jakiś sens, ale nie potrafił. Niektórzy mówili po angielsku, to nie ulegało wątpliwości, ale dobiegały też głosy w innym języku, którego odurzony umysł Michaela nie potrafił rozpoznać. Brzmiało to jak chiński — tylko bardziej lirycznie, milej dla ucha.

Co się dzieje, do cholery?

Przyszło mu do głowy, że może to sen. Ale jak często śnił o dźwiękach i niczego nie widział? Nie, to jednak jawa. Oczy miał zamknięte i leżał na twardej powierzchni. Ucho mu ścierpło, bo głowę ułożył na boku. Czuł ból w całym ciele, jakby przeleżał tydzień na tej podłodze. Całkiem możliwe.

Próbował wstać, ale upadł bezwładnie. Drugi raz. To samo. Uświadomił sobie, że ręce ma skute kajdankami na plecach, od czego łupało go w łopatkach.

Wreszcie zdołał usiąść. W tle słyszał okrzyki.

— Supergirl! — wołał ktoś po angielsku, ale z obcym akcentem. — Supergirl! Poznajcie Supergirl! To będzie najlepsza chwila waszego życia!

Zdobywając się na największy wysiłek, Michael otworzył oczy. Dopiero po dłuższej chwili skupił wzrok i zaczął dostrzegać otoczenie. Mały pokój. Pusty i brudny. Na ścianach odłaziła farba. U sufitu naga żarówka wisząca na drucie. Oprócz tego składane krzeselko i nędzny materac, z którego dobywała się woń stęchlizny, potu i moczu. Do tego był poplamiony krwią. Michael zorientował się, że przykuto go za prawą nogę łańcuchem do rury ciągnącej się przez całe pomieszczenie. Usta miał zalepione taśmą. Rozglądał się dokoła, aż nagle znieruchomiał.

Ożeż...

Patrzył uważnie. W dziurę przy drzwiach wciśnięte było coś, co wyglądało jak laski dynamitu. Przełknął ślinę.

Kurwa, gdzie ja jestem?

Próbował przypomnieć sobie ostatnie godziny przed utratą przytomności. Leżał w klinice. Harvey zrobił mu zastrzyk. Potem przyszli Reece i Sara. Pamiętał, że zaczął przysypiać w ich towarzystwie. W końcu zasnął. A potem? Nic.

W pokoju panowało gorąco jak w najgorszych tropikach. Powietrze było gęste i nieruchome. Michael czuł, że całe ciało ma zlane potem. Otarł ramieniem zroszoną twarz, ale koszula była przemoczona, więc to nic nie pomogło. Znowu się rozejrzał i tuż obok zobaczył kartkę. Zaczął czytać:

Cześć, Michael.

Witamy na jawie. Mam nadzieję, że spałeś smacznie i miałeś miłą podróż. Rozgość się. Ale nie próbuj uciekać. Jeśli jakimś cudem znikniesz przed moim powrotem, złapię twoją piękną żonkę, zerznę ją, a potem zamorduję.

Pozdrawiam serdecznie,

George

PS Na dole są moi ludzie, więc nie próbuj krzyknąć przez okno.

Zaczął pełzać mozolnie w kierunku okna. Ledwo starczyło łańcucha. Wetknął głowę pod żaluzje i wyjrzał. Jeśli wcześniej był zdezorientowany, to teraz zdumiał zupełnie. Na ulicy zobaczył tysiące ludzi. Na tle nocnego nieba błyskały neony: „Striptiz na żywo!”, „Gole dziewczynki na żywo”, jakby ktoś mógł pomyśleć, że striptiz wykonuj atrapy. Przed barami stali śniadzi Azjaci. Co chwila otwierały się drzwi, a w środku ukazywały się nagie dziewczęta tańczące na stołach w nadziei, że ten widok skusi przechodniów. Na środku ulicy stał mężczyzna z trzema kobietami, każda ubrana w czerwoną pelerynę, niebieskie kozaki i żółte obcisłe kombinezony z literą „S” na piersiach.

— Supergirl! Supergirl! — krzyczał mężczyzna. — Zabierze cię prosto do nieba!

Michael dostrzegł azjatyckiego chłopca, który podszedł do dwóch Amerykanów wyglądających jak farmerzy ze Środkowego Zachodu.

— Chcesz wyobejrzyć seks? — spytał łamaną angielszczyzną, wręczając im wizytówkę. — Patrzeć na wszystkie, pozycje. — Zaczął pokazywać zdjęcia widoczne na wizytówce. — Kobieta na górze. Dwie kobiety, jeden mężczyzna. Od tyłu. Co chcesz. Patrz, wielki cyc. I z banan. Jak lubisz, co chcesz. Chodź, na żywo.

Amerykanie patrzyli na wizytówkę, jakby czytali kontrakt na zakup ziemi. Kiwnęli stanowczo głowami i ruszyli za chłopcem.

Ulica była zatłoczona, a fale ludzi przetaczały się w obu kierunkach. Świeciły się neony. Niektóre angielskie, inne w formie znaków, których Michael nie znał. Wiedział, że nie są japońskie ani chińskie. Hebrajskie i arabskie też nie. Samochodów nie było widać, ale zewsząd dobiegał warkot silników. Po prawej stronie zobaczył stoliki, na których wyłożono zegarki, koszule, spodnie, swetry, kasety magnetofonowe, wszystko.

— Trzy dolary za koszulę LaCoste’a! — krzyczał jeden ze sprzedawców.

— Kasetka z ulubioną muzyką za dolara! — wołał drugi. — Sześć kaset za pięć dolarów! Same przeboje! George Michael! Barbra Streisand! Co chcecie!

Gdzie ja jestem?

Nagle z tyłu otworzyły się drzwi.

— No proszę, już się obudziliśmy!

Michael osunął się z powrotem na podłogę. W drzwiach stał wysoki i barczysty mężczyzna. Wydawał się silnie umięśniony, ale miał znacznie bardziej proporcjonalną sylwetkę niż większość ciężarowców. Włosy zaczesał do tyłu jak Pat Riley, były trener Los Angeles Lakers. Do tego nosił garnitur jak z żurnala.

— Cześć, Silverman. Na imię mam George. Czytałeś moją wiadomość?

Michael skinął głową.

— Napisałem ją dla twojego dobra — ciągnął mężczyzna. — Ucieczka naraziłaby cię na duże niebezpieczeństwo. Widzisz, zabiłem w swoim życiu mnóstwo ludzi. A więc zabicie twojej żony nie zrobiłoby mi większej różnicy.

Michael szarpnął się do przodu, ale łańcuch nie puścił.

— Uspokój się — powiedział George. Znał się na zastraszaniu ludzi. Groźenie zgwałceniem i zabicem żony było jedną z jego ulubionych taktyk. Podejrzał, że jest tak skuteczne, bo dotyczy najświętszej sfery posiadania. Nic tak nie demoralizuje mężczyzny jak myśl o tym, że jego żona baraszkuje z innym facetem, pod przymusem lub z dobrej woli. George chwycił krzesło z kąta, usiadł i nachylił się do jeńca. — Masz zdezorientowaną minę,

więc pozwól, że wyjaśnię ci, co się dzieje — ciągnął łagodnym, swobodnym tonem. Zdawał sobie sprawę, że taki ton wywiera większe wrażenie niż pokrzykiwania. — Jesteśmy w Bangkoku. A tak, tak, zrobiliśmy sobie wycieczkę na Daleki Wschód. Tylko ty i ja, kolego. Ten budynek stoi przy Patpong Street, w dzielnicy czerwonych latarni. W tym pokoju przez cały czas dwunastoletnie kurewki robią facetom loda. Michael, nie uważasz, że to chore? Dwunastolatki kurwiące się w ten sposób? Hańba. — George pokręcił smutno głową. — Mówię ci, chłopie, świat upada na naszych oczach i nikogo to nie obchodzi. Pod tą podłogą jest bar topless. Dziewczyny pokazują gołe cycki. Gołą resztę też ci pokażą, jeśli odpowiednio zapłacisz.

Zaśmiał się upiornie. Michael patrzył na niego przerażony.

— Ale nie przejmuj się, Mike. Mogę tak do ciebie mówić? Świetnie. Może później będziemy mieli czas, żeby trochę pozwiedzać. Moim zdaniem nie wolno przegapić Leżącego Buddy. Tak samo obowiązkowy jest Wielki Pałac. Może nawet popłyniemy sobie łódką na pływający targ? Chciałbyś? Michael tylko patrzył.

— Ale najpierw interesy. Jeśli zrobisz tak, jak ci każe, nikomu nic złego się nie stanie i niedługo odzyskasz wolność. Może nawet się zabawimy. Jeśli jednak odmówisz współpracy, moja reakcja będzie błyskawiczna i sprawi ci ból. — George znów się uśmiechnął. — Dam ci przykład.

Bez najmniejszego uprzedzenia wykonał błyskawiczny ruch ręką. Michael poczuł potężne uderzenie pięści i usłyszał chrzęst. Od razu wiedział, że ma złamany nos. Z nozdrzy popłynęła krew.

— Rozumiesz, co mówię?

Twarz ściał wściekły ból. Wciąż miał zaklejone usta, więc musiał oddychać przez zgruchotany nos.

Czego chcesz?! — próbował krzyknąć, ale taśma tłumiła słowa.

— A teraz powiem ci coś jeszcze — ciągnął George. — Mam sprawę do załatwienia, więc nie mogę tu siedzieć cały dzień, żeby cię pilnować. Poza tym okropnie tutaj gorąco. W Bangkoku zawsze jest parno. Ale po dniu, dwóch człowiek się przyzwyczaja. Mój zleceniodawca polecił mi, bym ci zapewnił wygodę. Chciałbym więc poluznić łańcuch i zdjąć ci ten przyklepic z gęby. Ale musisz obiecać, że będziesz się grzecznie zachowywał. Obiecujesz?

Michael skinął głową.

— To dobrze — skwitował George. — Jeśli wyjdiesz z tego pomieszczenia albo zrobisz jakieś inne głupstwo, moi ludzie to zauważą. Wtedy Sara będzie cierpieć. A ja umiem zadawać cierpienie. Sara to taki delikatny, piękny kwiatusek. Nie chciałbyś chyba, żebym przyczepił jej kable elektryczne do łechtaczki, co? Nie chciałbyś chyba, żebym ją wyobracał, a potem oddał moim ludziom, hę? Michael w milczeniu pokręcił głową.

— Wiedz też, że umiem się obchodzić z materiałami wybuchowymi — ciągnął George. — Zatem gdyby jakimś cudem znalazła cię tutaj policja i próbowała uwolnić... Bum! I po Michaelu. Krew, strzępy ciała, krzyki. Co za bałagan. Nadażasz?

Znowu skinienie głową.

— Teraz zdejmę ci taśmę z ust. Jeśli zaczniesz krzyczeć, złamię ci szczękę. I tak nikt nie zwróci na to uwagi. Tutaj ludzie bez przerwy wrzeszczą.

George wyciągnął rękę i szybkim ruchem oderwał kawałek taśmy.

Michael chwycił łańcuch ustami powietrze. Z trudem wydobył dźwięki ze swoich strun głosowych:

— Czego chcesz?

— Nie twoja sprawa.

— Zapłacę ci, ile chcesz.

— Wybij to sobie z głowy.

Zdołał usiąść na podłodze.

— Możesz mi zdjąć kajdanki? — spytał. — Nie czuję ramion.

— Jasne, ale łańcuch na nodze zostaje. — Małym kluczykiem mężczyzna odpiął kajdanki.  
— Lepiej?

Michael skinął głową. Zaczął rozcierać zdrętwiałe nadgarstki, zerkając ukradkiem na George'a. W głowie mu szumiąco, oczy miał zażawione. Tamten siedział w odległości jednego metra.

Albo teraz, albo nigdy, Mikey, powiedział sobie.

Później stwierdził, że to strach zmałował mu umysł i odebrał zdolność racjonalnego myślenia. Inaczej nie potrafił wyjaśnić tego, co zrobił.

Z przerażeniem uświadomił sobie, że jego dłoń zaciska się w pięść. Patrzył bezradnie, jak ręka sama bierze zamach, żeby zadać cios.

Trwało to żałośnie długo. Wciąż był otepiały od środków odurzających, które mu wstrzyknięto. Bez najmniejszego wysiłku George sparował cios prawą ręką.

— Jesteś bardzo dzielnym człowiekiem, Michaelu Silvermanie — oświadczył. — I bardzo głupim.

Chwycił dwoma palcami Michaela za złamany nos. Rozległ się wrzask.

A potem ścisnął mocno.

Strzaskane kości zaczęły trzeć o siebie. Rozległo się chrupanie, jakby ktoś tańczył na podłodze pokrytej tysiącami chrząszczy. George wzmacnił uścisk. Pękały ścięgna i tkanka, krew trysnęła na różne strony. Michael rozwarł szeroko oczy, a potem je zamknął i zwiotczał.

— Zrób coś takiego jeszcze raz, a Sara zapłaci za twoją głupotę — powiedział George. — Zrozumiano?

Michael skinął głową i w tej samej chwili stracił przytomność.

\* \* \*

Cassandra popatrzyła na siostrę. Zielone oczy Sary zapadły się głębiej w czaszkę. Na promiennej zazwyczaj twarzy odmalowywał się teraz szok i niezrozumienie. Trzy dni minęły, odkąd została ogłuszona w izolatce Michaela — trzy dni depresji, rozpacz, strachu i dezorientowania. Teraz wydawało się, że te wszystkie uczucia przeobraziły się w coś bardziej konkretnego. W coś potężniejszego i... użytecznego. W gniew. Nie, raczej we wściekłość.

— Cześć, siostrzyczko — powiedziała Cassandra. Uśmiechnęła się szeroko. Zbyt szeroko, przez co wypadło to sztucznie.

— Co jest?

— Jak to: co jest?

— Tak to. Po prostu przestań udawać i powiedz.

Uśmiech całkowicie spłynął z twarzy Cassandry, jakby go tam nigdy nie było. Z poważną miną usiadła obok i wzięła siostrę za rękę.

Sara popatrzyła na ich splecione dłonie, a potem spojrzała jej prosto w oczy.

— O co chodzi? — spytała łagodnym tonem.

— Wiem, że byłam dla ciebie niedobra.

— Ja dla ciebie też.

— Ale cię kocham.

Sara uścisnęła mocniej chłodną dłoń.

— Ja ciebie też — odparła.

Po policzkach Cassandry zaczęły spływać łzy.

— Wydaje mi się, że tata jest zamieszany w morderstwa Homorozpruwacza — wyznała.

Sara zeszywniała.

— Że co?  
— Tak. Wydaje mi się, że jest zamieszany w jakąś znowę. Spiskuje z innymi, żeby zniszczyć klinikę Harveya.  
— O czym ty gadasz?  
— Dzień po przyjęciu u nas podsłuchałam, jak kłócił się z Sandersem w swoim gabinecie.  
— Przecież mówił, że w ogóle go nie zna!  
— Wiem. To samo słyszałam od Harveya. Dlatego nabrałam podejrzeń. Jednego razu, gdy wyszedł, zjrzałam do jego biurka. Znalazłam listy, w których było napisane, że fundusze przeznaczone na walkę z AIDS miały iść wcześniej na rozbudowę skrzydła w Centrum Nowotworów. Jeden z tych listów był od niejakiego Markeya...  
— Doktora Raymonda Markeya?  
— Tak. To sekretarz czy ktoś.  
— Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej.  
— No właśnie.  
Sara próbowała przełknąć ślinę, ale miała sucho w ustach.  
— Cassandro, ale przecież to jeszcze nie znaczy, że ojciec spiskuje z Sandersem.  
— Też tak myślałam. Ale w dniu, kiedy porwano Michaela, zmieniłam zdanie. Tego ranka tacie bardzo zależało, żebym wyszła z domu. Znowu nabrałam podejrzeń i schowałam się w szafie w jego gabinecie. Zaraz potem zjawił się Sanders.  
Sara wyprostowała się gwałtownie i wbiła wzrok w siostrę.  
— Opowiedz mi dokładnie o wszystkim. Dokładnie.

\* \* \*

Bangkok nocą.

Tajowie podchodzili do każdego białego człowieka idącego Patpong Street i szeptali obietnice tak wyrafinowanego seksualnego spełnienia, że niejedna gwiazda porno zaczerwieniłaby się ze wstydu. Ale do George'a nikt nie podchodził. Ze dwóch znało go osobiście, kilku spotkało go parokrotnie, wielu o nim słyszało, ale wszyscy bez wyjątku bali się do niego zbliżyć.

Gdy pojawiał się George, gęsty tłum na ulicy się rozstępował. Tajowie robili mu miejsce, uciekając na boki. Minęła północ, lecz Patpong Street dopiero przygotowywała się do zabawy. George wyminął grupkę japońskich biznesmenów, którzy negocjowali z miejscowym alfonsem ceny i warunki, jakby prowadzili interesy w Tokio.

Dotarł do ulicy Ramy IV i zatrzymał tuk-tuk, czyli tajlandzką taksówkę, połączenie auta i skutera. Tuk-tuk miał swoje zalety — był mały, szybki i przewiewny, w dodatku zużywał bardzo niewiele paliwa. Brakowało jednak miejsca na głowę i w razie wypadku zmieniał się w zgniecioną puszkę.

Kierowca przywitał George'a po tajsku — złożył ręce jak do modlitwy, pochylił głowę i dotknął ustami opuszek palców.

— *Sawasdee, kap* — powiedział.

George zrewanżował się tym samym, choć nie ukłonił się aż tak nisko.

— *Sawasdee* — odparł.

— Dokąd?

— *Wats* — warknął George.

Kierowca skinął głową z uśmiechem, a George wcisnął się w jasnoniebieski tuk-tuk. Mężczyzna wciąż się uśmiechał. Typowy Taj. Tajlandia, Kraina Uśmiechu. Wszyscy się szczerzą. Mogą marudzić, kurwić się, kraść, mordować, ale robią to z uśmiechem. George'owi się to podobało.

Zatrzymali się pod światłami na Silom Road.

— Ej, kolego! — krzyknął ktoś.

George zerknął w prawą stronę.

— Tak, tak, kolego — zawołał podпиты rumiany Australijczyk, wskazując go palcem. — Do ciebie mówię! — Wyglądał na około pięćdziesięciolatka. Obok niego w taksówce siedziało ściśniętych sześć prostytutek: trzynasto-, najwyżej czternastoletnie dziewczynki. Rozchichotane, głaszały mężczyznę po całym ciele.

Na twarzy George'a odmalował się wstęś.

— Czego chcesz? — spytał.

— Sytuacja jest taka, kolego, że mam tu więcej towaru, niż jestem w stanie skonsumować. Chcesz spółę?

— Spółę?

— Ty weźmiesz trzy i ja wezmę trzy. Chyba że zabawimy się razem w ósemkę. Wiesz, lizanko i orgietka. Dla mnie bomba.

— Zboczeniec — prychnął George.

— Ej, nieładnie tak mówić! — wybełkotał Australijczyk. — Zwłaszcza że nie wiem, co to znaczy.

Roześmiał się histerycznie z własnych słów. Dziewczęta (raczej dzieci) poszły za jego przykładem. On rechotał coraz głośniej, zachęcony tym, że towarzyszki są ubawione. George wiedział, że młode Tajki nie rozumieją słowa po angielsku — oprócz określeń dotyczących seksu.

— Idź do diabła! — rzucił.

Zapaliło się zielone światło i tuk-tuk ruszył w Charoen Road. Po chwili toczył się z warkotem wzdłuż rzeki Menam. *Wat* znaczy po tajsku „świątynia” albo „klasztor”, w Bangkoku zaś znajdowało się ponad czterysta takich miejsc, zapierających dech w piersiach. Ważnym elementem w tutejszej architekturze był kolor. Czerwony, żółty, zielony, niebieski, a zwłaszcza złoty. We wszystkich barwach odbijało się jasne słońce: zachwycająca mozaika natury i dzieła ludzkich rąk.

W świątyni *Wat Po* znajdował się posąg Leżącego Buddy — tak ogromny, że zająłby ponad połowę piłkarskiego boiska. Inny wizerunek Buddy, odlany z ponad pięciu ton szczerzego złota, siedział na ołtarzu w *Wat Traimit*. Była jeszcze *Wat Arum*, Świątynia Świtu, zawieszona nad rzeką, jakby trzymali ją w powietrzu bogowie. Jej strzeliste iglice sięgały hen wysoko, drapiąc niebo.

Najbardziej imponującą świątynię w Bangkoku zwano *Wats*, choć była czymś więcej niż świątynią. Turyści nazywali to miejsce Wielkim Pałacem, choć było to coś więcej niż pałac. Właściwszą nazwą wydawało się Królewskie Miasto. W tych murach umieszczono wszystko, czego zapragnął król Rama I, władca z dynastii Czakri. Tam też znajdował się pałac i jeden z najświętszych wizerunków buddyzmu — Szmaragdowy Budda. W porównaniu ze swym zachwycającym barwnym otoczeniem Szmaragdowy Budda wyróżniał się na niekorzyść, bo wydawał się stosunkowo nijaki. Posąg miał niecałe pół metra i został wykonany z jadeitu. Nie wyglądał na szczególnie wybitne dzieło. Za kilka bahtów można było kupić kopię tej figury na prawie każdym tajskim straganie.

— Jesteśmy, szefie.

— Podjedź z drugiej strony.

— Robi się.

Nocą światła reflektorów oblewały iglice i pagody Wielkiego Pałacu, upodabniając go do zamku nawiedzanego przez duchy. Niczym ponętna kobieta, Bangkok odślaniał rąbka swojej tajemnicy, resztę zachowując w ukryciu, w sekrecie.

— Zatrzymaj się tutaj.

— Tak jest, szefie.



Tuk–tuk stanął z warkotem. George zapłacił kierowcy i ruszył w kierunku rzeki. Szedł wzdłuż brzegu, patrząc na drewniane barki z ryżem, płynące leniwie, jakby bez celu, kierowane przez sterników, którzy wciąż mieli na głowach ogromne słomiane kapelusze, chociaż gorące słońce zaszło kilka godzin temu. Dla Bangkoku Menam był czymś więcej niż rzeką. Był krwiobiegiem tego miasta. Rzekę wykorzystywano do transportu, handlu, kąpeli. Niektóre rodziny od pokoleń mieszkały w chatach bardziej związanych z wodą niż z lądem.

Z mroku wyłonił się długi wąski sampan. Przybił cicho do brzegu. Łodzią — bardziej przypominającą kanoe — kierował chudy chłopak, z przodu zaś siedział starszy jednoręki mężczyzna z wąsikami.

— George? — szepnął.

O czasie jak zwykle. George wskoczył na łódź, usiadł i złożył dłonie. Ukłonił się z szacunkiem.

— *Sawasdee, kap.*

— *Sawasdee, kap.*

— Jak idą interesy, Surakarn?

— Nieźle — odparł starszy mężczyzna. — Ale niestety musieliśmy zakończyć naszą dochodową operację w Malezji. Za duże zainteresowanie ze strony policji. Z żalem stwierdzam, że nie lubią podarków tak bardzo jak kiedyś.

— Słyszałem — mruknął George.

Spojrzał na ogorzałą twarz Taja, pokrytą skórą suchą jak jesienne liście. Ten dawny mistrz bokserski Tajlandii ma już chyba prawie siedemdziesiąt lat, pomyślał. I nieprzeliczone miliony dolarów na koncie. A jednak Surakarn nie zwalniał tempa życia — i najwyraźniej nie zamierzał nic zrobić ze zgromadzonym bogactwem. Nadal mieszkał w skromnej nadbrzeżnej chacie, choć zainstalował tam różne luksusy. Z zewnątrz wyglądała tak, jakby pochodziła z wojny w Wietnamie, ale w środku były dwa ogromne telewizory, magnetowidy, lodówka marki General Electric, zmywarka do naczyń, pralka i suszarka, mikrofalówka, klimatyzacja i inne udogodnienia. Surakarn się uśmiechnął.

— Długo cię nie było, przyjacielu — powiedział.

— Za długo — odparł George.

Taj kiwnął jedyną ręką na chłopca i sampan ruszył powoli rzeką. Drugą rękę odciął mu w Chaing Rai prawie dwadzieścia pięć lat wcześniej konkurent z branży przemysłowej o nazwisku Rangood. Jednak popełnił błąd, bo darował Surakarnowi życie. Surakarn pojmał sprawcę swojego kalectwa i w sposób niewyobrażalny zamęczył go na śmierć. Rangood błagał Surakarna, by go zabił, ale ten słuchał tylko jego rżenia, nie słów. Kilka tygodni później serce Rangooda wreszcie przestało bić, jego umysł zaś znacznie wcześniej pogrzyżył się w szaleństwie.

Surakarn był człowiekiem godnym całkowitego zaufania, ale George nawet jemu nie powiedział o porwaniu Silvermana. Sprawa była ryzykowna, więc należało zachować dyskrecję. Dlatego właśnie — wbrew temu, co napisał w liście do Michaela — postanowił nie skorzystać tym razem z pomocy miejscowych zbirów, z którymi zazwyczaj współpracował. Założył nawet Silvermanowi kaptur, gdy chyłkiem przywiózł go do baru Chętna Kotka.

Tego wieczoru nad rzeką panował spokój. Ledwo słyszalne pluski wydobywające się spod kadłubów nielicznych łodzi jedynie potęgowały ciszę i poczucie samotności. Nie było mgły, tylko parne powietrze, a jednak mimo to wydawało się, że miasto spowiła mgła — jakby oprócz powonienia i wzroku można jej było doświadczyć jeszcze innymi zmysłami.

— Nic się tu nie zmienia — powiedział George.

Surakarn skinął głową.

— Bangkok to stałość — przyznał.

— Muszę skorzystać z bezpiecznego telefonu.

— Oczywiście. — Taj wskazał radiostację z mikrofonem. — To jest połączone z telefonem komórkowym na pokładzie jednego z moich statków w pobliżu Hongkongu.

— Rozumiem.

— Prosiłeś o możliwość zatelefonowania z aparatu, którego nie można namierzyć. No to masz. — Surakam przesunął się na koniec łodzi. — Nie bój się, nie będę słuchał.

George spojrział na zegarek. Połączył się z kapitanem łodzi przemycającej narkotyki u wybrzeży Hongkongu. Ten z kolei połączył go ze Stanami Zjednoczonymi. Wbrew zapewnieniom Surakarna telefon taki można było namierzyć. Przynajmniej w teorii policja mogła się zorientować, że połączenie nastąpiło za pośrednictwem telefonu komórkowego (niewątpliwie skradzionego) w Hongkongu. Ale ustalenie, kto dzwonił, ustalenie, że stało się to za pomocą radiostacji w Bangkoku — to już zakrawało na niepodobieństwo. W najgorszym razie trwałoby tygodniami.

Chwilę później George usłyszał głos:

— Halo.

— Doskonale. Jesteś punktualny.

— Słabo cię słyszę.

— Nie martw się tym. Nie będziemy długo rozmawiać.

— Nic mu nie jest?

— Nie. Obaj mamy dobrą zabawę. Przelałeś pieniądze?

— Tak.

— Wszystkie?

— Co do grosza.

— Skąd je wzięłeś?

— To już nie twoja sprawa.

— Jutro rano sprawdzę stan swojego konta. Jeśli brakuje choćby dolara, mój gość straci kilka palców.

— Wszystko przelałem — zapewnił głos. — Musiałeś zabić pielęgniarkę? — spytał z wahaniem.

— Słucham?

— Chodzi o pielęgniarkę. Musiałeś ją zabić?

— Tak, bo mnie widziała.

— Podobno jesteś zawodowcem. Jak mogłeś do tego dopuścić? To nieprofesjonalne.

Te słowa zabolaty George'a, bo — z czego zdawał sobie sprawę — były prawdą. Przeliczył się. Rzadki przypadek. I kłopotliwy.

— Zaszły nieprzewidziane okoliczności — odparł.

— Posłuchaj mnie uważnie. Nie życzę sobie, żeby w sprawie Michaela Silvermana też zaszły jakieś nieprze...

— Nie używaj nazwisk, kretynie! Ktoś może podsłuchiwać.

— O... przepraszam.

Facet jest dzisiaj strasznie zdenerwowany, pomyślał George, napięty tak bardzo, że chyba zaraz pęknie jak guma. Nagle stał się podejrzliwy. Czy zleceniodawca stracił kontrolę nad biegiem wydarzeń?

Niedobrze. Mało tego, bardzo źle.

— Ale chyba powinienem ci podziękować — powiedział głos. — Przynajmniej nie zabiłeś Sar... eee... jego żony.

— Podszedłem ją od tyłu. W ogóle mnie nie widziała.

— A gdyby cię zobaczyła?

— Gdyby mnie zobaczyła, to teraz też wachałaby kwiatki.

— Posłuchaj, nikomu więcej nie może spaść włos z głowy. Chyba że otrzymasz ode mnie wyraźne polecenie. Nikomu, rozumiesz? Po prostu pilnuj wiesz kogo. I traktuj go dobrze.

— Zrobię, co będzie trzeba.  
— Nie. Masz...  
— Do usłyszenia — uciął George.  
— Czeka! Jak mogę cię złapać?  
— Nie możesz. — Uznał, że dotąd zbyt ufał swojemu zleceniodawcy. Ale teraz z tym koniec. Nadeszła pora, by przejąć inicjatywę. — Po prostu trzymaj się planu. — Wyszarpnął wtyczkę z radiostacji. — Surakarn.  
— Tak?  
Próbował się uśmiechnąć, ale nadal był rozkojarzony.  
— Czuję się świetnie. Wybierzmy się na przejażdżkę.  
— Dokąd?  
— Nie wiem, zaproponuj coś. Właśnie zarobiłem mnóstwo pieniędzy.  
— Gratuluję.  
— Powiedz mi, przyjacielu, czy w Bangkoku nadal można kupić wszystko, na co ma się ochotę?  
Stary Taj rozciągnął bezzębne usta w uśmiechu.  
— Ciągle wolisz starsze? — spytał.  
George skinął głową.  
— Tak — odrzekł. — Musi mieć co najmniej dwadzieścia lat.

\* \* \*

Jennifer Riker trzęsa się jak osika. W ostatnich trzech dniach czytała doniesienia prasowe i dowiedziała się z telewizji o porwaniu Michaela. W dodatku oburzona opinia publiczna domagała się wyjaśnień w sprawie kliniki leczącej pacjentów chorych na AIDS.

Jennifer czuła jednak coś więcej niż oburzenie.

Czuła strach.

Susan miała wrócić za dwa dni, ale Jennifer uświadomiła sobie, że nie może dłużej czekać na siostrę. Od trzech dni próbowała podjąć decyzję i wreszcie uznała, że stawka jest zbyt wysoka, żeby mogła dalej zachowywać bierność. Być może od jej postępowania zależy teraz życie Michaela.

Lecz kiedy wzięła do ręki dużą szarą kopertę, znów ogarnęły ją wątpliwości. Nie ma przecież żadnego dowodu, że przesyłka Bruce'a łączy się w jakikolwiek sposób z Homorozpruwaczem albo porwaniem. Żadnego. Przecież to po prostu dokumentacja medyczna i próbki krwi, nic więcej.

W takim razie dlaczego nadał tę przesyłkę w dniu, w którym popełnił samobójstwo? I dlaczego trzech pacjenci wymienieni w dokumentacji — Trian, Whitherson i Martino — nie żyją? Zbieg okoliczności?

Chyba nie.

Zbyt długo się wahałam, uznała. Nie zamierzała otworzyć listu zaadresowanego do Susan, bo złamałaby tajemnicę korespondencji. Lecz pozostała zawartość przesyłki to co innego. Owszem, dokumentacja była poufna, ale Jennifer doszła do wniosku, że jest co najmniej jedna osoba, która wie o tych sprawach i być może dostrzeże w tym jakiś sens. Być może znajdzie odpowiedź na pytanie, dlaczego w dniu swojej samobójczej śmierci Bruce wysłał tę tajemniczą przesyłkę na adres nieużywanej skrytki pocztowej.

Jennifer sięgnęła po telefon i wykręciła prywatny numer Harveya.

\* \* \*

Dość wylegiwania się.

Sara odgarnęła koc, wstała i chwyciła laskę. Koniec z biernością, koniec z uzalaniem się nad sobą! Trzeba przestać płakać. Trzeba zacząć działać. Musi się dowiedzieć, co naprawdę się dzieje i kto za tym stoi.

Musi ratować męża!

— Dokąd się wybierasz? — spytała Cassandra.

— Chcę porozmawiać z Maxem i Harveyem. Są w klinice.

— Chwileczkę! Nie możesz na razie nikomu o tym mówić. Nawet im. Chodzi przecież o naszego ojca.

Sara skinęła głową.

— Wiem — odparła. — Nie będę nic mówić. Najpierw chcę, żebyśmy porozmawiały z nim osobiście. Dziś wieczorem. Będę w domu o ósmej.

Uściskały się. Sara wyszła.

Pół godziny później wjechała windą na drugie piętro kliniki.

— Chcę wiedzieć wszystko — powiedziała, stając w progu laboratorium.

Harvey i Max odwrócili się w kierunku drzwi.

— Co ty tu robisz? — odezwał się pierwszy. — Powinnaś być...

— Powinam być właśnie tutaj! — przerwała mu.

— Max i ja robimy co w naszej mocy — ciągnął spokojnym tonem. — Wracaj do domu i odpocznij. Damy ci znać; gdy coś się wydarzy.

— Nie traktuj mnie jak małą dziewczynkę, Harvey.

— Wcale cię tak nie traktuję. Po prostu radzę ci jako lekarz.

Patrzyła na nich wyzywająco.

— Nic mi nie jest — zapewniła. — Chcę się dowiedzieć, co ustaliliście.

Harvey znów próbował oponować, ale przerwał mu Max:

— No to chodź i usiądź. Nie mamy czasu na czcze spory.

Sara przykuśtykała do stołu i wzięła krzesło.

— Słucham — powiedziała.

— Po pierwsze, przeglądaliśmy karty zamordowanych pacjentów — oznajmił Bernstein, poruszając nogą.

— I znaleźliście coś?

— Być może tak, być może nie. Okazuje się, że zostali zabici prawie w tej samej kolejności, w której zostali przyjęci na leczenie. Trian i Whitherson byli tu od samego początku, a Martino zjawił się parę miesięcy później. Pozostałych trzech pacjentów, Krutzera, Leandera i Singera, przyjęto mniej więcej rok później.

— Co to znaczy?

Max się zawahał, kręcąc palcami loki.

— Nie wiem — odrzekł. — Może nic, ale nie daje mi to spokoju.

— A Bradley? — spytała Sara. — Jak on się ma do tej prawidłowości? Albo Michael?

— Nijak. Nic ich nie łączy z trzema zabitymi ani z tymi trzema, którzy żyją. Jedyne podobieństwo między Bradleyem i Michaelem polega na tym, że byli pacjentami, których tożsamość zatajono.

Harvey pstryknął palcami.

— Ale może o to właśnie chodzi — powiedział. — Może zabójca poluje na takie osoby, a niekoniecznie na wyleczonych pacjentów.

— Może — odparł Max, wzruszając ramionami. — Ale wtedy rodzi się kolejne, ważniejsze pytanie: po co zabijać czterech pacjentów, pielęgniarkę i najprawdopodobniej lekarza? Dlaczego morderca nie zabił Michaela?

Harvey spojrzał niepewnie na Sarę.

— Przepraszam, że to mówię — powiedział — ale przecież nie mamy pewności, że Michael żyje, prawda? Może zabójca zabrał zwłoki?

— To nie miałyby sensu — odparł Max. — Zabijać go w klinice, a potem wynosić ciało. Bardzo ryzykowne.

Harvey chciał przypomnieć, że podobnie się stało w przypadku Bradleya, ale uznał, że lepiej nie drażnić tego tematu w obecności Sary.

— No dobrze, to idźmy dalej — zasugerował.

Zaterkotał interkom na stole.

— Doktorze — odezwał się kobiecy głos.

Harvey podniósł słuchawkę.

— Tak?

— Dzwoni pani Riker. Linia szósta.

— Niech zostawi wiadomość.

— Ale ona mówi, że to pilne.

— No jasne. Pewnie spóźniam się tydzień z pieniędzmi. Proszę jej powiedzieć, że oddzwonię. — Położył słuchawkę na widełki. — Nieważne, jedźmy dalej.

Sara skinęła głową, próbując zapanować nad nagłym przypływem rozpaczy.

— Jak waszym zdaniem porywacz tu wszedł i stąd wyszedł? — spytała.

— Podejrzewamy, że znał tajne przejście — odparł Max. — W piwnicy jest tunel, który ciągnie się od sąsiedniej kamienicy. Jakoś się o tym dowiedział.

— Jak?

— Nie wiemy.

— W takim razie ktoś dostarcza mu informacje na temat kliniki — stwierdziła Sara. — A nie dziwi cię sekwencja zdarzeń, Max? Markey postanawia wykorzystać Michaela jako królika doświadczalnego, a zaraz potem dochodzi do porwania. To na pewno ma związek.

Bernstein przyspieszył kroku, zawzięcie gryząc zębami oporny paznokiec.

— Zgadzam się — odrzekł.

— Zaraz, to bez sensu! — zaproponował Harvey. — Nikt nie ma dostępu do tych informacji z wyjątkiem... — Urwał.

Max przystanął.

— Z wyjątkiem kogo? — spytał.

Harvey pokręcił głową.

— Nikogo — odburknął.

Nagle, jakby na umówiony znak, w drzwiach stanął Winston O'Connor.

— Witam państwa — zajazgotał południowym akcentem. — Co się dzieje?

— Gdzieś się podziewał, do cholery?! — krzyknął Harvey.

Laborant spojrział na niego niepewnie.

— Nie ma powodu, żebyś mi od razu skakał do gardła — odrzekł. — Byłem na rybach. Posiedziałem nad jeziorem, w domku letniskowym. Złapałem największe rybsko...

— Nie czytałeś gazet?

— No nie, cholera. Tam nawet telefonu nie ma. — O'Connor urwał i popatrzył po twarzach. — Co się stało?!

Max podszedł do niego.

— Przepraszam was na moment — zwrócił się do Sary i Harveya. — Mam z panem O'Connorem do pogadania na osobności.

Czterech wpływowych mężczyzn zasiadło w eleganckim gabinecie na piętrze malowniczej siedziby Narodowego Instytutu Zdrowia w Bethesda. Jeden był rządcą dusz, drugi miał wpływ w świecie polityki, pozostali dwaj w świecie medycyny.

Nastał piękny dzień, a bezchmurne niebo miało kolor ciemnego błękitu. Za oknem zieleniły się wypielegnowane trawniki. Cała posiadłość przypominała ekskluzywny klub golfowy za miastem.

Ale czterej mężczyźni nie zwracali uwagi na piękne otoczenie.

Sprzeczali się zaciekle. Rzucali oskarżenia. Wytykali sobie palcami. I nie mogli niczego ustalić. Jeden z nich ani razu nie podniósł głosu. Nie angażował się w zacięte spory. Mało tego, mężczyzna ten — na ogół bardzo wygadany — przez cały czas nie odezwał się ani słowem.

Tylko słuchał. I wreszcie podjął decyzję.

Kiedy spotkanie dobiegło końca, odciągnął na bok doktora Johna Lowella i wypowiedział cztery słowa:

— Musimy porozmawiać na osobności.

Ten skinął głową.

— Ale dopiero po powrocie do Nowego Jorku — odparł.

\* \* \*

Max zamknął drzwi.

— A więc ryby brały? — spytał.

— Tak, i to nieźle — odrzekł O'Connor, przeciągając zgłoski. — Złapałem rekordowego okonia. Ważył chyba...

— Wspaniale. Winszuję. A teraz przestań się zgrywać.

— Słucham? Nie rozumiem, poruczniku.

Max zaczął spacerować ze zdwojoną energią.

— Może mi powiesz, co robiłeś w Waszyngtonie trzy dni temu?

— Skąd pan wie...

— Nie interesuj się tym. Powiedz, co tam robiłeś.

O'Connor zachowywał kamienną twarz, ale w jego głosie przebijało zniecierpliwienie:

— Chociaż uważam, że to nie pańska sprawa, to jednak odpowiem. Wpadłem tam po drodze, żeby odwiedzić przyjaciół. Zadowolony?

— Na stałe mieszkasz w Alabamie?

— Tak.

— A domek nad jeziorem też jest w Alabamie?

— Owszem.

— Powiedz mi, Winston, gdzie konkretnie byłeś w Waszyngtonie.

— To nie ma znaczenia.

— Owszem, ma. Zechcesz mi powiedzieć, po co pojechałeś do Narodowego Instytutu Zdrowia?

O'Connor chciał zgromić Maxa wzrokiem, ale ten stał odwrócony do niego plecami.

— Kazał mnie pan śledzić?!

— Tak.

— Przykro mi, że pana rozczaruję, ale w tym nie ma nic sensacyjnego. Odwiedziłem paru dawnych kolegów, z którymi kiedyś tam pracowałem.

— Ciekawe — mruknął Max. — W takim razie dlaczego w twoim życiorysie nie ma wzmianki, że tam pracowałeś? — Włożył rękę do kieszeni marynarki. Wyciągnął ją i włożył do kieszeni spodni. Znowu wyciągnął. — Cholera, gdzieś to tu miałem...

— Poruczniku...

— O, jest! — Wyjął pomietaną kartkę i wygładził ją szybko palcami. — W życiorysie zamieszczono wszystkie twoje miejsca pracy od skończenia studiów do dziś. Kiedy dokładnie pracowałeś w Instytucie?

Znowu zapadła cisza.

— Mam kumpla, który tam pracuje — powiedział po chwili laborant. — W porządku? Czy to zbrodnia? Nie chciałem nic mówić, bo wiedziałem, że Harvey by...

— Możemy to rozegrać na dwa sposoby, Winston — przerwał Max, nie zwracając uwagi na gorączkowe tłumaczenia. — Albo mi powiesz to, co chcę wiedzieć, albo będziesz dalej bawił się ze mną w kotka i myszkę, a wtedy każę cię aresztować.

— Za co?

— Za morderstwo. Włamanie. Napaść.

— Kompletnie panu odbiło! Niby kogo zamordowałem?

— Riccarda Martina.

— Kogo?

Max się uśmiechnął.

— Pacjenta, który wyzionął ducha w tej klinice — odpowiedział.

— Nie znam nazwisk pacjentów. Harvey na pewno panu o tym mówił.

— Ale nazwisko tego pacjenta zostało wymienione przed kilkoma dniami w programie *NewsFlash*.

— Nie przypominam sobie — odparł laborant, machając lekceważąco ręką. — Poza tym nie ma pan żadnych dowodów.

Max się nachylił. O'Connor zachowywał spokój, ale po jego twarzy przemknął cień strachu.

— Jesteś tego pewien, Winston?

— Jak to?

— Mamy świadka, który zezna pod przysięgą, że byłeś w klinice w czasie, kiedy zamordowano Martina. Choć twierdziłeś, że byłeś wtedy w domu.

— Spadaj pan.

— Ten sam świadek widział, że uderzyłeś doktora Rikera w głowę. Wiemy też, że wszedłeś do laboratorium i szperałeś w dokumentacji doktora Rikera.

— Brednie!

Masz rację, brednie, pomyślał Max, zauważył jednak, że O'Connor stracił pewność siebie. Należało więc kuć żelazo, póki gorące.

— Jest jeszcze jedno — ciągnął, odwracając się znowu plecami. — Daj sobie spokój z tym południowym akcentem. To mnie obraża.

— O czym pan mówi, do cholery?!

Max odwrócił się z powrotem, patrząc w podłogę, a na jego ustach błąkał się uśmiech.

— Nikt, kto przez ostatnie dwadzieścia lat mieszkał w Nowym Jorku, nie ma tak wyraźnego południowego akcentu — powiedział. — A ty mówisz, jakbyś hodował buraki w Alabamie.

Znowu milczenie.

— Wiemy, że pracujesz dla Narodowego Instytutu Zdrowia — kontynuował Max. — Podejrzewamy, że zostałeś wyszkolony przez CIA. I wiemy, co kombinujesz.

— Gównu wiecie! — syknął O'Connor, przełykając gwałtownie ślinę, aż zaczęło mu latać jabłko Adama. Południowy akcent prawie się ulotnił.

Max wyjął z ust ołówek i zaczął mu się przyglądać.

— Mogę cię zaarrestować, zawieźć na komendę, oskarżyć o morderstwo i zapuszkować — powiedział. — Jeśli myślisz, że twoi kumple z CIA albo Instytutu cię uratują, to grubo się mylisz. To zbyt poważna sprawa. Prędzej zgnijesz w pierdłu, niż się przyznają, że jesteś jednym z nich.

— Nie wiem, o czym pan mówi — odparł laborant drżącym głosem.

— W takim razie pozwól łaskawie, że przedstawię pozostałe ewentualności. Może cię zaciekawia.

— Mówię przecież, że...

— Możliwość numer dwa: powiesz mi wszystko — ciągnął niezrażony Max. — W zamian za to obiecuję, że nasza rozmowa będzie poufna. Pozostanie między nami. To znaczy, że Waszyngton o niczym się nie dowie. Zastanów się. Wybór należy do ciebie.

Zapadła grobowa cisza, którą po chwili przerwał Bernstein, wyjmując kajdanki i kartkę.

— Ma pan prawo zachować milczenie...

— Zaraz, chwileczkę!

Podniósł wzrok znad kartki.

— Chcesz mi coś powiedzieć? — spytał.

Winston O'Connor potarł dłonią twarz.

— Skąd mam wiedzieć, że dotrzyma pan słowa?

— Musisz zaryzykować. Ale jeśli nie będziesz ze mną współpracował, wrobię cię w zabójstwo Martina. Przysięgam.

Przez chwilę patrzyli na siebie. W końcu O'Connor odwrócił wzrok.

— Co chce pan wiedzieć? — spytał.

— Dla kogo pracujesz?

— Ale wszystko zostanie między nami, tak?

— Tak. No, gadaj.

Laborant wziął głęboki wdech, po czym wypuścił powietrze z płuc.

— Nie wiem — odparł. — Jestem agentem CIA, ale raporty wysyłam do Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej.

— Do kogo konkretnie?

Pokręcił głową.

— Nie podam żadnych nazwisk.

— Do Raymonda Markeya?

— Powiedziałem: żadnych nazwisk.

— Jakie masz zadanie?

— Zbieram informacje na temat kliniki.

— Jakie informacje?

— Wszelkie.

— I jak to robisz?

— Nie rozumiem.

— Pytam, jak zbierasz te informacje.

O'Connor wzruszył ramionami.

— Normalnie — odrzekł. — Węszę, rozglądam się. Zaglądam do poufnej dokumentacji. Wykorzystuję to, co się da.

— I tym właśnie się zajmowałeś, gdy tamtej nocy Harvey o mało cię nie przyłapał?

Laborant milczał. Wyjął papierosa z paczki i włożył go sobie do ust.

— Ma pan ogień? — spytał.

Max pokręcił głową.

— Nie palę. To szkodzi.

— Taa, jasne, za to żucie ołówków jest bardzo zdrowe.

— Byłeś w klinice, kiedy zamordowano Martina?



— Wolałbym nie odpowiadać na to pytanie.

— A więc uznam to za odpowiedź twierdzącą.

Obok palnika Bunsena O'Connor znalazł pudełko zapalek. Skrzesił jedną, przypalił sobie papierosa i zaciągnął się głęboko — jak pływak łapiący ustami powietrze po wynurzeniu się z wody.

— Niech pan myśli, co pan chce, poruczniku. Ja nikogo nie zabiłem.

— Dlaczego ci z Instytutu chcieli, żebyś zbierał informacje?

— Nie wiem. Nie lubię teoretyzować.

— Tym razem zrób wyjątek.

Laborant znów się zaciągnął.

— Wyobrażam sobie, że chcieli niezależnie ocenić, co się dzieje w klinice — odparł. — Włożyli w to mnóstwo pieniędzy, a Harvey i Bruce byli strasznie skryci.

Max zamyślił się na moment.

— Dobra, powiedz mi jedno, Winston. Dlaczego pojechałeś trzy dni temu do Waszyngtonu?

— Mój kontakt zaczął się martwić.

— Czym?

— Nie spodobały mu się pozytywne reakcje mediów w sprawie kliniki.

— Dlaczego mu się nie spodobały?

O'Connor znowu wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Ten ktoś chciał się dowiedzieć, co Harvey naprawdę kombinuje — odrzekł.

— Co zamierza.

— I co mu powiedziałaś?

— Prawdę. Mogę zaglądać do dokumentacji i węszyć, ale nie potrafię czytać w cudzych myślach. Więc powiedziałem, że nie wiem, co zamierza Harvey.

— A co ci z Instytutu powiedzieli na temat porwania Michaela Silvermana?

— Nic. Nie rozmawiałem z nimi od czasu mojej wizyty w Waszyngtonie.

— Czy twój kontakt kiedykolwiek wspomniał o Homorozpruwaczu?

— Nie, nigdy.

— Myślisz, że za tymi zabójstwami stoją twoi pracodawcy?

Laborant uśmiechnął się szeroko, z papierosem przyklejonym do ust.

— Poruczniku, czy panu się wydaje, że mi totalnie odpieprzyło? — spytał.

Max wzruszył ramionami.

— Jak często włamywałaś się do poufnej dokumentacji?

— Mniej więcej raz na tydzień.

— W dzień czy w nocy?

— Najczęściej w nocy. Kiedy nikogo nie było w pobliżu.

Max skinął głową, przechadzając się dokoła.

— Sęk w tym, iż nie miałeś pojęcia, że Michael leży na drugim piętrze, co?

— Że jak?

Podszedł nagle do O'Connora.

— Kilka godzin przed tym, gdy zamordowano Martina, do kliniki przyjęto w tajemnicy nowego pacjenta — powiedział. — Umieszczono go na drugim piętrze. To był Michael Silverman. Oczywiście chciałeś się dowiedzieć, kim jest ten człowiek. I dlatego tamtej nocy wszedłeś do laboratorium, żeby zajrzeć do prywatnej dokumentacji doktora Rikera.

— Nie, nie, zaraz...

— Tyle że spieprzyłeś sprawę! Bo Riker był wtedy na piętrze. Usłyszał cię w laboratorium. Więc dałeś mu w łeb.

— Wolnego...!

— Potem zszedłeś niżej, zabiłeś Martina...

— Nikogo nie zabiłem! — krzyknął O'Connor. — Dobra, przyznaję, byłem w laboratorium tamtego wieczoru. Włamałem się do szafki i zobaczyłem nazwisko Silvermana. Wiedziałem, że ci z Instytutu będą tym zainteresowani. Próbowałem się dowiedzieć czegoś więcej. Wtedy Harvey prawie mnie nakrył. Trochę spanikowałem. Miałem instrukcje, żeby pod żadnym pozorem nie dać się złapać. Harv wszedł do laboratorium. Przyłożyłem mu w kark. Ale nie zabiłem Martina, przysięgam.

— Znasz sztuki walki — powiedział Max. Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

— Tak, no i co?

— To, że Sarę Lowell też ogłuszył ktoś, kto zna sztuki walki.

— Ej, poruczniku, niech pan przyhamuje. Palcem nie tknąłem Sary Lowell. Tak samo nie tknąłem jej męża ani Janice Matley. Ani tego Martina. Chryste, kiedy usłyszałem o Janice, to się załamałem! Była taką dobrą kobietą! — O'Connor spuścił głowę i zakrył twarz rękoma. — Nikomu nie zrobiłem nic złego, przysięgam. Próbowałem tylko zbierać informacje dla agendy rządowej, która ma prawo wiedzieć, co się dzieje w podległej jej placówce. Czy to jest nielegalne?

— Co jeszcze wiesz?

— Nic, słowo honoru.

Max przestał spacerować i zaczął kiwać głową.

— Lepiej byłoby, żebyś nic nie ukrywał — powiedział. — Bo inaczej...

Miało to zabrzmieć groźnie, ale wypadło nieprzekonująco. Jasna cholera.

\* \* \*

— Ruchaj mnie, ruchaj, ogierze! O tak, tak! Oooch! Oooch! Dochodzę!

Michael starał się nie słyszeć ciągłych krzyków dobiegających z sąsiedniego pomieszczenia. Próbował zastanowić się spokojnie nad zaistniałą sytuacją.

Po pierwsze, mógłby zerwać łańcuch. Niestety, łańcuch wykonany był z solidnej stali.

Po drugie, mógłby zawołać przez okno o pomoc. Ale jeżeli George naprawdę ma swoich ludzi na dole? Jeśli usłyszą?

Po trzecie...

Nie było żadnego „po trzecie”. Wstał, żeby się przekonać, jak długi jest łańcuch. Mógł się zbliżyć do okna, ale nie do drzwi. George wiedział, co robi. Drzwi, zamknięte na kiepski zamek, składały się z przegniłych desek, które zdmuchnąłby z zawiasów silniejszy powiew wiatru.

Usiadł, czując rwący ból w nosie. W barze na parterze zabawa trwała na całego. Muzyka brzmiała głośniejsz niż przedtem, a bas dudnił tak mocno, że Michael czuł wibracje w klatce piersiowej. Po korytarzu wałęsały się prostytutki z klientami. Z obu stron dochodziło trzaskanie drzwiami. A potem znowu krzyki:

— Wyruchaj mnie, ogierze! O tak, o tak, właśnie tak! Ooooch! Oooch! Dochodzę!

Kobieta zawodziła z udawanej rozkoszy. Mężczyzna stęknął z prawdziwej.

Żadne spotkanie nie trwało dłużej niż kilka minut. A potem zaczynało się następne. prostytutka wracała z nowym klientem. Rozlegały się te same chichoty. I takie same odgłosy udawanych orgazmów. Te same standardowe nawoływania wyćwiczone jak rola w teatrze. Raz za razem. Okrzyki były piskliwe, niezmordowane i beznamiętne, jakby Michael słuchał robota albo kiepskiej aktorki.

Dobra, zastanówmy się spokojnie. Harvey powiedział, że Raymond Markey chce mnie wykorzystać jako królika doświadczalnego. Zaraz potem ląduję na Dalekim Wschodzie, w łapach psychopaty. Co z tego wynika?

Tylko jedno.

Że muszę stąd spieprzać jak najszybciej.

Czuł skurcze w brzuchu. Wiedział, że to objawy zapalenia wątroby albo odstawienia SR–jeden. Albo czegoś nowego...

Związanego z AIDS...

— Wyruchaj mnie, wyruchaj, wielki ogierze! O tak...

Powietrze było gęste od tej obskurnej atmosfery. Samo oddychanie przyprawiało Michaela o mdłości, a powtarzane wołania doprowadzały go do obłędu. Zakrył uszy dłońmi, próbując się odciąć, ale bezskutecznie, bo tuż za drzwiami toczyła się głośna rozmowa.

— No, chodź, Frankie — zachęcała prostytutka.

— Jestem tuż za tobą, złociutka. Jasny gwint, rozlałem drinka.

— Tędy, skarbie. Tawnee zaraz da ci rozkosz.

— I odwrotnie — wybełkotał pijany mężczyzna. Miał amerykański akcent.

— Zajmę się twoim wielkim kutasem.

— Nie wątpię, dupeczko.

Obijał się o ściany jak piłka w elektrycznym bilardzie.

— Lubisz tak?

— Och, jest cudownie.

— Chcesz wejść do pokoju?

— No jasne.

— Dobra, ale najpierw pieniądze dla szefa. I dasz Tawnee ładny napiwek, zgoda?

— Okay, ale porozmawiajmy o tym w środku.

Michael zmartwił. Zobaczył, że klamka się porusza.

— Nie tędy, Frankie!

Drzwi zatrzęsły się na zawiasach.

— Cholera, zamknięte! — wrzasnął Amerykanin.

— Zostaw, Frankie. Przecież jest napisane, że wstęp wzbroniony.

— Pieprzyć to, złotko. Wejdziemy. Tylko dalej głaszcz mnie po jajach.

— Ale nie tutaj! — powiedziała dziewczyna, coraz bardziej zaniepokojona. Jej klient nie zwracał na to uwagi. — To pokój szefa. Zły będzie. Chodź!

Frankie napał ramieniem na drzwi i skobel puścił. Michael patrzył wybałuszonymi oczami. Drzwi się uchyliły.

— Nie wchodź tam, Frankie!

Prostytutka szybko zastąpiła Amerykaninowi drogę. Odwróciła go, założyła z powrotem skobel i chwyciła za klamkę. Przez ułamek sekundy spojrzała na Michaela oczami pełnymi strachu i współczucia. Potem zamknęła drzwi.

Michael bezradnie opuścił głowę.

— No, chodź, Frankie! — zachęcała dziewczyna. — Czeka nas zabawa!

— Mam nadzieję, złotko! Zabawmy się porządnie!

Chwilę później zatrzęsły się sąsiednie drzwi.

\* \* \*

Członek Frankiego pozostawał nieczuły na pieszczoty.

— Co jest? — spytała Tawnee. — Nie podobam ci się?

Spojrzał w dół. Prostytutka lizała go po jądrach, przykładając się sumiennie do pracy. Mimo to ani śladu wzrodu. Megadziwne, kurczę pieczone. Jeśli zawodził w tych sprawach, to całkiem z innego powodu — Wulkan wybuchał za szybko. Pierwszy raz się zdarzyło, że nie mógł osiągnąć monstrualnej erekcji.

Megadziwne, kurczę.

Nie chodziło o alkohol, choć wypił taką ilość, że urznąłby się batalion wojska. Jasna cholera, Frankie nieraz w życiu się schlał, ale jego Głowica Jądrowa zawsze była gotowa do

odpalenia. Mały robił się wielki jak maczuga, stawał na baczność, gotów przetrząść każdą babeczkę na pół. To nie jest wina dziewczyny, bo robi to bardzo profesjonalnie, wywija języczkiem jak kot pijący mleko ze spodeczka. Ślicznotka.

Chrzanić szybkie samochody i dwunastoletnią whisky. Nie ma jak obciążanie druta w wykonaniu prawdziwej profesjonalistki.

Kłopot w tym, że Frankiego nagle ogarnął smutek. Jakby ugryził go pies albo ukąsiła osa. Jasna cholera. W ogóle nie czuł podniecenia. Ale dlaczego?

Bo był zapalonym kibicem koszykówki.

— Połóż się, kotku. Rozluźnij się.

Usłuchał, ale myślami był daleko. Kilka dni wcześniej przeczytał w „International Herald Tribune” o porwaniu Michaela Silvermana. Megadziwne. Stało się to w klinice leczącej AIDS gdzieś na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych.

Jeśli tak, to jakim cudem Silverman leży w sąsiednim pokoju, w tym tajskim burdelu, przykuty łańcuchem do rury?

To proste, Frankie. Spiłeś się jak świnia. Może masz wielkiego fiuta, ogierze, ale zarazem masz pusto we łbie. Przywidziało ci się. Drzwi otworzyły się na dwie sekundy. Ledwo coś zobaczyłeś, tłumaczył sobie w duchu.

Racja, tyle że był jeden szkopał. Frankie nigdy nie miał zwidów. Picie go rozluźniało. Picie poprawiało mu samopoczucie. Owszem, potrafił się zalać tak, że tracił przytomność i szczał w spodnie. Ale nigdy nie widział ludzi przykutych łańcuchem. Musi donieść o tym na policję, i to jak najszybciej. Może jest jakaś nagroda za informację?

— Ej, złotko, przyhamuj trochę.

Prostytutka podniosła głowę.

— Chcesz inaczej? — spytała.

Wstał i podciągnął spodnie. Uważnie zapiął rozporek, żeby Dzikie Wąz nie poszedł samopas i nie dostał się między ząbki zamka błyskawicznego.

— Nie bierz tego do siebie, mała, ale muszę spadać. Może następnym razem.

— Frankie...

— Masz tu pięć dych. Powiem twojemu szefowi, że byłaś świetna. Nie martw się.

Mrugnął do dziewczyny i wyszedł.

Tawnee wzruszyła ramionami. Wzięła banknot z podłogi. Biedak, pomyślała. To takie smutne. Naoglądała się w życiu męskich członków, ale dzyndzelek Frankiego wyglądał jak siusiak niemowlaka.

Smutne.

\* \* \*

— Cześć.

Na tym skończyła się ich rozmowa.

Siedziały w milczeniu po przeciwnych stronach pokoju. Unikały swojego wzroku jak para nastolatków na pierwszej randce. Obie wyglądały na bardzo zmęczone. Ciszę mąciło jedynie tykanie zegara na gzymsie kominka. Po chwili Sara zaczęła stukać nogą i nucić starą piosenkę Thin Lizzy, ale słowa szybko ucichły.

— Wiesz co? — odezwała się Cassandra.

— Co?

— Mam nadzieję, że Michaelowi nic nie grozi.

Sara zdobyła się na blady uśmiech.

— Na pewno nie — odpowiedziała.

Nagle usłyszały znajomy warkot mercedesa. Ojciec wracał do domu. Sara wstała z widocznym wysiłkiem. Cassandra zrobiła to samo. Kiedy ruszyły korytarzem, mijając

portrety przodków zawieszono na ciemnej dębowej boazerii, w drzwiach wejściowych pojawił się John Lowell.

Na widok córek stanął jak wryty. Nie odezwał się ani nie cofnął. Stał tylko nieruchomo i patrzył z nieszczęśliwą miną.

Cassandra zrobiła krok do przodu.

— Powiedziałam wszystko Sarze. Przepraszam...

— Dobrze zrobiłaś — przerwał jej, podnosząc rękę.

— Tato, co się dzieje? — spytała Sara.

— Może uda nam się to wyjaśnić...

— Nam? — spytała Cassandra. — To znaczy komu?

Wszedł ze spuszczoną głową do środka. Za nim ukazał się senator Stephen Jenkins. Wyglądał zupełnie inaczej niż przed dwoma tygodniami na przyjęciu charytatywnym. Miał wychudłą twarz i półprzymknięte, zdezorientowane spojrzenie.

— Witam panie — powiedział, próbując się uśmiechnąć.

Zaskoczone siostry spojrzały na siebie.

— Tato, nie rozumiem — odezwała się Sara. — Co się dzieje?

— Wiem, że nie rozumiesz, skarbie — odparł Lowell. — Spróbujemy wszystko wyjaśnić. Chodźmy do gabinetu.

\* \* \*

Harvey miał zaczerwienione oczy. Od pięciu dni nie był w domu, a Cassandrę widział po raz ostatni podczas krótkiej schadzki w swoim gabinecie tego dnia, kiedy porwano Michaela. Jego odpoczynek ograniczał się do nieczęstych drzemek przy biurku, które bardziej przypominały półsen w samolocie niż porządne spanie. Przeganiał myśli o Michaelu i próbował skupić się na pracy, ale po paru minutach wracały uparcie. Mimo to rozwój wypadków działał na niego mobilizująco: zmiany w składzie SR-1 — tak naprawdę rozszerzenie składu — doprowadzą do ostatecznego sukcesu, był tego pewien. Musiał tylko dać z siebie jeszcze trochę więcej, wykrzesać dodatkowe siły.

Każdy, kto kiedykolwiek pracował z Harveyem, zdawał sobie sprawę, że motywacja nigdy nie stanowiła dla niego problemu. Wyraźniej niż inni dostrzegał sens i konsekwencje swojej pracy. Świadomość ta dodawała mu energii w chwilach, gdy pozostali najchętniej daliby za wygraną.

Zaterkotał interkom.

— Doktorze.

— Słucham?

— Znowu telefonuje pani Riker. Prosi, bym panu przypomniawszy, że miał pan oddzwonić do niej jak najszybciej. Mówi, że to pilne.

Westchnął. Pilne? No dobrze. Nie ma się co złościć. Jennifer prawdopodobnie chce wiedzieć, jak Sara sobie radzi i czy wiadomo cokolwiek o losie Michaela. Ale on naprawdę nie ma czasu na takie rozmowy. Poza tym myśl o byłej żonie wciąż go rozstrajała, a teraz nie mógł sobie pozwolić na rozkojarzenie.

— Dobrze, oddzwonię — odparł.

— Może mam pana przełączyć?

Harvey zastanawiał się przez chwilę. W końcu uznał, że lepiej to mieć z głowy, zanim Jennifer się obrazi, bo wtedy rozmowa z nią będzie jeszcze trudniejsza.

— Tak, poproszę.

— Już przełączam.

Chwilę później zadzwonił telefon.

Max Bernstein siedział za biurkiem, rozmyślając nad ostatnimi wydarzeniami w sprawie Homorozpruwacza. Oczywiście tak naprawdę wcale nie siedział. Wstawał, przechadzał się, przysiadawał i żonglował czerstwymi pączkami (czterema naraz), doprowadzając do obłędu tych, którzy znajdowali się w pobliżu.

Wciąż analizował rozmowę z Winstonem O’Connorem, która była pierwszym przełomem od kilku dni. Wynikało z niej, że Narodowy Instytut Zdrowia bardzo się interesuje kliniką. Ale dlaczego? Wyjaśnienie laboranta — że chodziło po prostu o kontrolowanie podległej placówki — brzmiało nieprzekonująco. Dlaczego akurat tej placówki? Musiał być jakiś powód.

Ale jaki?

Dobra, zapomnijmy o tym na moment. Skupmy się na zabójstwie Riccarda Martina. O’Connor stwierdził, że nie ma z tym nic wspólnego, a Max mu uwierzył. Bo w ten sposób wyjaśniła się zagadka, która nie dawała mu spokoju od chwili, gdy znaleziono zwłoki Martina.

Sekwencja zdarzeń.

Zrekonstruujmy przebieg wypadków. Harvey Riker widział Riccarda Martina kilka minut przed tym, gdy został ogłuszony przez O’Connora. Zatem Martina zabito po napadzie na Rikera. Skoro tak, sprawca najpierw musiał zaskoczyć Harveya, potem zejść piętro niżej, zamordować Martino i uciec — to wszystko zaś wyglądało mało prawdopodobnie. Jeśli nawet Homorozpruwacz miał nerwy ze stali, to przypuszczalnie uciekłby, gdy tylko napatoczył się na Harveya Rikera. Zabójstwo Martina odłożyłby na inny dzień.

A więc jakie jest wytłumaczenie?

To proste. Osoba, która zabiła Martina, nie jest osobą, która ogłuszyła Harveya Rikera.

Skoro więc Winston O’Connor nie zamordował Martina, kto to zrobił?

Homorozpruwacz.

Dlaczego nie zarznął ich nożem jak pozostałych?

Hm, dobre pytanie.

Podoba ci się, Max? Mam takich całe tysiące. Czy osoba, która wynajęła Homorozpruwacza, chce zlikwidować wyleczonych pacjentów — takich jak Trian, Whitherson i Martino? A może ten facet (albo kobieta, nie bądźmy seksistami) zainteresowany jest przede wszystkim VIP-ami, takimi jak Jenkins i Michael Silverman? A może jedno i drugie? A kolejność zabójstw? I wybór pacjentów? Zamordowano tych, którzy leczeni byli najdłużej. Pozostali trzej, którzy są zdrowi — zostali przyjęci do kliniki później niż tamci — wciąż żyją. Czy to ma znaczenie, czy szwankują styki w twoim mózgu i niepotrzebnie wracasz do tej kwestii?

I najważniejsze pytanie, które nabazgrał na kartce leżącej na biurku.

Kto odnosi korzyści z tych morderstw?

Świetne pytanie. Kluczowe.

Zadzwonił telefon. Max upuścił z wrażenia pączki na podłogę. Nie podniósł ich, tylko chwycił słuchawkę.

— Mówi Bernstein.

— Dobrze, że cię złapałem — powiedział sierżant Monticelli podekscytowanym głosem.

— Nie uwierzysz.

— Gdzie jesteś?

— Na dole. Słuchaj, dzwonią z komisariatu policji w Bangkoku! Jakiś pułkownik. Nie umiem wymówić jego nazwiska.

Z Bangkoku?

Max usiadł.

— Czego chce?

— Mam go na linii, więc sam się dowiedz, Tik.

— Dobra, ale czego chce?

— Lepiej, żeby sam ci powiedział.

— No to łącz.

— Się robi. Cholera, który to guzik?

— Żółty.

— A, no tak. Już.

Rozległy się trzaski i szum. A potem:

— Halo?

— Witam pana — powiedział Max, przeciągając słowa.— Mówi porucznik Bernstein z nowojorskiej policji.

— Pułkownik Thaakavechikan ze służb specjalnych.

— Dzień dobry. Pułkowniku Thaa...

— Wystarczy sam stopień. Chodziłem do szkoły w Kalifornii, więc wiem, że Amerykanie łamią sobie języki na tajskich nazwiskach.

— Dobrze. Podobno ma pan dla nas jakieś informacje?

— Na to wygląda. O ile wiem, prowadzi pan śledztwo w sprawie tak zwanego Homorozpruwacza i zniknięcia koszykarza Michaela Silvermana.

— Zgadza się.

— No więc pojawiło się coś, co może pana zainteresować. Słyszał pan o niejakim George'u Camronie?

— Nie.

— To zawodowy zabójca, który mieszka w Bangkoku, chociaż dużo podróżuje. Jest dobry w swoim fachu. Śmiertelnie skuteczny. Szacujemy, że w ostatnich dziesięciu latach zabił ponad dwieście osób.

— Jezu.

— Siedzibą Camrona w Bangkoku jest bar o nazwie Chętna Kotka przy Patpong Street. W ostatnich dniach często go tam widywano.

— W ostatnich dniach?

— Tak. Nasze źródła twierdzą, że wrócił do Bangkoku mniej więcej tydzień temu.

— Ciekawe — mruknął Max.

— Zaraz zrobi się jeszcze ciekawiej, poruczniku.

— Bo?

— Bo mam tutaj Amerykanina, niejakiego Franka Reeda. Siedzi naprzeciw mnie. Pan Reed był klientem tego baru.

— O!

— Muszę poczynić pewne zastrzeżenie. Pan Reed przyznał, że był pijany, kiedy zjawił się w tym barze.

— Rozumiem. Proszę dalej.

— Wygląda na to, że pan Reed korzystał z usług prostytutki na piętrze wspomnianego baru. Właśnie wtedy otworzył niewłaściwe drzwi i zobaczył mężczyznę przykutego łańcuchem do rury.

— Aha — mruknął Max, ciągnąc się mocno palcami za wąsy i włosy. — Ale czy to takie dziwne? Zdaje się, że w takich przybytkach często używa się biczów i łańcuchów.

— Owszem, to dość normalne — przyznał pułkownik. — Ale pan Reed przysięga, że widziany przez niego mężczyzna to Michael Silverman.

Słowa te były jak cios w splot słoneczny.

— Co?!

- Pan Reed twierdzi, że w tym barze przetrzymywany jest Michael Silverman.
- Czy pan sprawdził jego twierdzenie?
- To nie takie łatwe, jak się panu wydaje — odparł pułkownik. — George Camron to nie tylko bardzo niebezpieczny zabójca, ale też bardzo przezorny i zapobiegliwy człowiek. Jeśli pan Silverman jest przetrzymywany w tym miejscu, a nie byłby to pierwszy przypadek, kiedy przetrzymywana jest tam porwana osoba, uwolnienie go nie będzie proste. Camron najprawdopodobniej pozakładał ładunki wybuchowe. Jeśli nabierze najmniejszych podejrzeń, wysadzi wszystko w powietrze.
- Nie możecie go wziąć z zaskoczenia?
- To zbyt ryzykowne, poruczniku. Jeśli nie udałoby się go zabić na miejscu albo jeśli ma współnika, życie pana Silvermana znalazłoby się w jeszcze większym niebezpieczeństwie. Pan Silverman jest międzynarodową sławą, więc nasze władze bardzo się boją konsekwencji ewentualnej nieudanej akcji. Dlatego dzwonię do pana. Nie twierdzą, że w barze na pewno są pozakładane ładunki. Ale w przeszłości tak było.
- Bardzo jestem panu wdzięczny. Willie, słuchasz naszej rozmowy?
- Tak, jestem tu — odparł Monticelli.
- Zarezerwuj mi bilet na najbliższy lot do Bangkoku.
- Już to zrobiłem. Japan Airlines, lot zero zero sześć za dwie godziny. W Tokio masz przesiadkę na JAL, lot cztery dziewięć jeden. Wieczorem będziesz na miejscu. Sęk w tym, że wątpię, by nasz wydział za to zapłacił.
- Będę się tym martwił po powrocie. Pułkowniku, nie ma pan nic przeciwko mojej wizycie?
- Ależ skąd. Pod warunkiem że rozumie pan, iż do nas należy podejmowanie decyzji.
- Oczywiście.
- W takim razie nie ma problemu. Tymczasem postaramy się bardzo dyskretnie obserwować lokal.
- Max poszperał w szufladzie i pod słókiem z majonezem znalazł swój paszport. Wytarł go starą ścierką.
- W takim razie lecę — powiedział do słuchawki.

\* \* \*

Weszli we czworo do gabinetu.

John Lowell zajął miejsce za swoim wielkim biurkiem. Senator Jenkins usiadł tuż za nim po prawej stronie, a Sara i Cassandra naprzeciwko. Przez chwilę wszyscy patrzyli na siebie w milczeniu.

- Czy Michael żyje? — spytała nagle Sara.
- Lowell spojrzął na senatora, a potem na córkę.
- Nie wiemy, skarbie.
- Ale wiecie coś o jego porwaniu, prawda?
- Być może — odezwał się Jenkins. — Ale pewności nie mamy.
- Pokręciła głową.
- Tato, co się dzieje?
- Nie bardzo wiem, od czego zacząć — odrzekł Lowell. Wstał i podszedł do półki z książkami medycznymi. Przebiegł niewidzącym wzrokiem po grzbietach. — Wiesz, jak ważne jest dla mnie Centrum Nowotworów, prawda?
- Oczywiście. Ale co to ma wspólnego z...
- Wszystko! — powiedział Lowell. Zdjął książkę, zerknął na tytuł i odstawił ją z powrotem. — Widzisz, koncentracja to niebezpieczna rzecz. Zawęża punkt widzenia. Człowiek staje się ślepy. Zaczyna mieć obsesję. Nie widzi niczego innego. I nie przyjmuje



porażki do wiadomości. Nie rozumie, dlaczego inni nie podzielają jego pasji. Żeby była jasność: koncentracja bywa dobra, niezbędna. Ale gdy nie ma żadnej przeciwwagi, zniekształca perspektywę, z której patrzymy na świat. Goniąc za wiedzą, możemy się w ten sposób stać ignorantami.

Zdezorientowane siostry popatrzyły na siebie.

— Nic nie rozumiem — westchnęła Sara.

Lowell uśmiechnął się smutno.

— Zaraz zrozumiesz — odparł. — To dla mnie niełatwe, więc proszę cię o cierpliwość. Wkrótce przejdę do sedna.

Obie kobiety skinęły głowami.

— Tak bardzo chciałem mieć nowe skrzydło w Centrum Nowotworów, że aż czułem fizyczny ból — ciągnął Lowell. — Moglibyśmy w ten sposób pomóc wielu ludziom, którzy cierpieli w wyniku najstraszniejszej choroby znanej ludzkości. Różne choroby i plagi przychodzą i odchodzą, ale rak trwa. Uważałem, że wybudowanie skrzydła i dodatkowe fundusze będą gigantycznym krokiem na drodze do walki z nim. Zrobiłbym wszystko, by mieć to skrzydło. Wszystko. — Urwał, żeby jego słowa zapadły w świadomość słuchaczy. — Kiedy odmówiono mi funduszy, poczułem, jakby wbito mi nóż w serce. Byłem wściekły na tych cholernych idiotów. Jak można być tak głupim? Próbowałem ratować moją ideę. Zainwestowałem wszystkie pieniądze, jakie mogłem, resztę usiłowałem zebrać prywatnie. Ale było za mało. Potrzebowaliśmy dofinansowania, lecz nam go odmówiono. Nowe skrzydło pozostało mrzonką. A dlaczego? Dokąd trafiły środki? Na leczenie AIDS. Na klinikę Bruce'a Greya i Harveya Rikera. Na chorobę gejów. Chorobę narkomanów. Na chorobę, która moim zdaniem nigdy nie rozpowszechniłaby się w normalnym, heteroseksualnym społeczeństwie.

Sara otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale on powstrzymał ją uniesioną ręką.

— Córeczko, nie chcę się teraz z tobą sprzeczać — rzekł. — Wiem, że masz inną opinię w tej sprawie. Niech wystarczy, że ja myślę tak, jak myślę. Owszem, niektórzy heteroseksualiści nie będący narkomanami też mają AIDS. Ale ich liczba jest mała w porównaniu z osobami chorymi na raka. W tej chwili nieważne, czy mam rację, czy nie. Tak uważam. — Zobaczył spojrzenie Sary. Uśmiechnął się lekko. — Pamiętasz, jak oglądaliśmy *Przeklętych Jankesów* na wideo? Pamiętasz, jak on sprzedaje duszę diabłu, żeby spełnić swoje marzenia? Ja zrobiłem to samo. W tamtym momencie sobie tego nie uświadamiałem. A może i uświadamiałem, ale miałem to gdzieś. Kto wie? Po prostu podpisałem pakt z diabłem i nie było odwrotu.

— Co konkretnie zrobiłeś? — spytała Sara lodowatym tonem.

— Trawił mnie gniew. Zacząłem szukać sposobu, choćby nielegalnego, żeby odebrać środki klinice i przeznaczyć je na Centrum Nowotworów. Raymond Markey, zastępca...

— Wiem, kim jest Markey — przerwała brutalnie Sara. — Powiedz, co zrobiłeś.

Lowell odchrząknął.

— Markey sam się ze mną skontaktował — ciągnął. — Poinformował mnie, że są inni ludzie, którzy myślą podobnie jak ja. Ludzie, którzy uważają, że walka z AIDS jest przereklamowana, i chcą doprowadzić do zamknięcia Sidney Pavilion.

— Jacy ludzie? Wziął głęboki oddech.

— Choćby wielebny Sanders — odparł.

Sara patrzyła na ojca.

— Zwąchałeś się z tym oszustem?

— Posłuchaj, córeczko. Obaj zdawaliśmy sobie sprawę, że mamy wspólnego wroga, ale inną motywację. Sanders miał własne powody, żeby chcieć zamknięcia kliniki. Ja miałem swoje. Jego motywacja mnie nie interesowała. Dla mnie liczyło się tylko zdobycie pieniędzy

na rozbudowę nowego skrzydła w Centrum Nowotworów. Nawet jeśli to oznaczało współpracę z Sandersem.

— Kto jeszcze brał w tym udział?

— Ja — wtrącił się senator Jenkins. — Byłem czwartym członkiem tego spisku.

Sara wbiła w niego spojrzenie.

— A jakie miałeś powody, senatorze? — spytała.

— Dość dziwne — odrzekł zadziwiająco spokojnie. — Miłość.

— Co?

— Spróbuję to wyjaśnić — powiedział głosem tak pustym, jakby mówił przez rurę. — Sanders przyjął mnie ze względu na moje prawicowe przekonania, ale nie kierowałem się względami politycznymi.

— A czym?

— Zajmowałaś się wcześniej relacjonowaniem kampanii politycznych, prawda?

— Tak.

— No więc nie muszę ci mówić, że polityka to bardzo dziwna gra. Najdziwniejsza. Czy nam się to podoba, czy nie, polityk startujący w wyborach musi iść na kompromis. Jestem czołowym senatorem Partii Republikańskiej. Na ogół zgadzam się ze stanowiskiem mojej partii, ale czasem bywa inaczej. Powiedzmy, na przykład, że opowiedziałbym się przeciw karze śmierci. Wiesz, co by się stało?

Sara założyła ręce na piersi.

— Chętnie usłyszę — odparła.

— Byłbym skończony. Skreślony. Wszystkie lata mojej działalności publicznej poszłyby na marne. Nie wybraliby mnie nawet na hycla. Dam ci lepszy przykład: stanowisko obecnego prezydenta w sprawie aborcji. Wcześniej opowiadał się za wolnym wyborem. Teraz, w magiczny sposób, stał się obrońcą życia nienarodzonych. Naprawdę wierzysz, że zmienił poglądy? Oczywiście, że nie. On tylko zaakceptował realia. Uświadomił sobie, że gdyby nadal opowiadał się za aborcją, nie dostałby partyjnej nominacji. I nie chodzi wyłącznie o republikanów. Demokraci postępują tak samo. Naprawdę wierzysz, że wszyscy liberalni senatorowie opowiadają się za aborcją i przeciwko cięciom podatków? Oczywiście, że nie. Ale chcą być wybierani. Trzeba iść na kompromisy. Trzeba czasem zapomnieć o wyznawanych wartościach i zasadach. I to wcale nie jest wina polityków. Taki mamy system. Albo akceptujesz te reguły, albo przegrywasz wybory.

— Nie widzę w tym żadnego sensu — odparła Sara.

— Mówię po prostu, że nie da się przyczepić wszystkim jednoznacznym etykiet lewicowca lub prawicowca. Czasem wszyscy jesteśmy hipokrytami. Czasem wszyscy robimy rzeczy, które inni uważają za grzeszne. — Zerknął szybko na Cassandrę. — Zmierzam do tego — ciągnął — że wbrew powszechnemu przekonaniu nie zgadzam się z wieloma poglądami Sandersa.

— Więc dlaczego się do niego przyłączyłeś?

— Ze względu na mojego syna.

— Mam rozumieć, że zrobiłeś to dla Bradleya?!

Jenkins skinął głową.

— Próbowałem po prostu ratować mojego chłopca — oznajmił mocnym głosem, choć miał wilgotne oczy. — Kiedy usłyszałem, że Sanders chce zniszczyć klinikę, zrozumiałem, że tamtejsi lekarze dokonali jakiegoś przełomu. Skontaktowałem się więc z Sandersem i powiedziałem, że chciałbym przystąpić do jego świętej krucjaty. Przyjął mnie z otwartymi ramionami. A tak naprawdę chciałem się dowiedzieć jak najwięcej, żeby Bradley mógł zostać przyjęty do Sidney Pavilion.

— I został.

— Tak. Doktor Riker i doktor Grey obiecali, że zachowają to w tajemnicy.

— A więc przystąpiłeś do tej zwariowanej zмовy, żeby pomóc Bradleyowi. Ty, tato, zrobiłeś to, bo chciałeś mieć pieniądze na leczenie raka. Sanders zaś postanowił zapobiec wynalezieniu leku przeciw pladze zesłanej przez Boga, bo jak by to wytłumaczył swoim zwolennikom. Zgadza się?

Obaj mężczyźni skinęli głowami.

— A co kierowało Raymondem Markeyem?

— Nie wiem — odparł Lowell. — Markey od dawna zna Harveya Rikera. Mówi, że mu nie ufa. Mówi, że Harvey chodzi na skróty, ale wydaje mi się, że jest w tym coś więcej. Podejrzewam, że Sanders ma na niego haka i go szantażuje.

— Oprócz tego to dzięki jego wpływowi Markey dostał stanowisko — dodał Jenkins. — Ma świetne biuro w ładnym i cichym miejscu. Lubi to.

— Czyli teraz spłaca dług wobec Sandersa?

Lowell odchrząknął.

— Można tak powiedzieć — przyznał.

Sara miała natłok myśli. Wpatrywała się w obu mężczyzn. Ojciec i senator Jenkins. Ich twarze wyrażały strach, wstyd i niepokój, jak buzie krnąbrnych uczniów wezwanych do gabinetu dyrektora szkoły.

Cassandra milczała. Patrzyła na siostrę z wyrazem głębokiej troski w oczach.

— Wiecie, co jest dziwnego w tym wszystkim? — spytał Lowell. — Wydaje mi się, że Harvey Riker i Bruce Grey zrozumieliby moją motywację.

— Wątpię — warknęła Sara.

— Mylisz się, córeczko. Nie dostrzegasz pewnej rzeczy. Harvey czuje do swojej kliniki dokładnie to samo, co ja czuję do Centrum Nowotworów. Ale straciłem kontrolę nad swoimi uczuciami. Pozwoliłem, by mną zawładnęły. Poza tym zostałem okłamany. Sanders i Markey mnie oszukali. Wmówili mi, że Riker i Bruce są bardzo daleko od wynalezienia leku czy szczepionki.

— Chyba już dość tych samousprawiedliwień, ojczy — powiedziała nieprzejednana Sara. — Mów, co konkretnie zrobiłeś.

Lowell spojrzał na senatora.

— Niewiele — mruknął.

— Niewiele?! — krzyknęła Sara. — Morderstwo nazywasz...

— Nikogo nie zabiliśmy! Nie daliśmy zgody na nic takiego.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Czy ja dobrze słyszę? Nie dałeś zgody? Co ty pieprzysz? Zamordowano ludzi! Pacjentów. Zamordowano syna senatora. Chcesz mi powiedzieć, że ta wasza zмова nie ma z tym nic wspólnego?

— Chcę ci wytłumaczyć, że nic o tym nie wiedzieliśmy. O morderstwach usłyszeliśmy w twoim programie telewizyjnym.

— Wcześniej nie mieliście o tym pojęcia?

— Nie.

Sara pokręciła głową.

— Powiedz mi, senatorze, co pomyślałeś, gdy zginął Bradley?

— To samo co inni — odrzekł Jenkins. — Że był ofiarą jakiegoś psychopaty, który nienawidzi homoseksualistów. Nie miałem pojęcia, że to się wiąże z kliniką. Dowiedziałem się tego z telewizji.

Lowell pokiwał głową.

— Córeczko, my tylko próbowaliśmy nakłonić decydentów w Waszyngtonie, żeby cofnęli środki dla kliniki. Sfałszowaliśmy raporty, żeby wynikało z nich, że Riker nielegalnie przywłaszczył sobie fundusze.

Sara o mało się nie uśmiechnęła.

— A więc Markey oskarżył Harveya o naginanie faktów, gdy tymczasem to wy czterej szukaliście, tak?

— Tak — przyznał Lowell. — Program *NewsFlash* prawie pogrzebał klinikę. Ponieważ ujawniliście, że Bradley był jej pacjentem, naraziliście Harveya na zarzut fałszowania danych. Formalnie rzecz biorąc, Markey mógł natychmiast cofnąć dofinansowanie.

— Dlaczego tego nie zrobił?

— Bo żyjemy w realnym świecie. Wyobrażasz sobie, jaki zrobiłby się szum, gdyby zamknął klinikę? Przecież ludzie widzieli program. Media by go pożarły. Byłyby dochodzenia, a tego nie chcieliśmy.

— A więc postanowiliście zastopować opracowywanie leku, robiąc z Michaela królika doświadczalnego?

— To był pomysł Sandersa. Szczerze mówiąc, bardzo dobry. Z jednej strony Michael otrzymałby leczenie, z drugiej opóźnilibyśmy wprowadzenie leku do obrotu aż do momentu, kiedy Sanders wymyśliłby inny sposób na zniszczenie kliniki.

— To co się stało? — spytała Sara. — Skoro wszystko potoczyło się po myśli Sandersa, to dlaczego kazał porwać Michaela?

— Tego właśnie nie rozumiem. Sanders i Markey przysięgają, że nie mają nic wspólnego z tym porwaniem. Ani z zabójstwami Homorozpruwacza. To porwanie pokrzyżowało im plany.

— Wierzysz mi?

— Nie wiem już, w co mam wierzyć. Poleciałem do Waszyngtonu, żeby się z nim rozmówić. Nawrzeszczałem na niego. Przysięga, że nie miał z tym nic wspólnego. Mówi nawet, że sprawa Homorozpruwacza i szum, który się wokół tego zrobił, wzmacniają pozycję kliniki.

Sara pokręciła głową.

— Tato, czy ty nie rozumiesz? Zginęli wyleczeni pacjenci. Bez nich nie ma żadnego dowodu, że SR—jeden to skuteczny lek. Zabijając, Homorozpruwacz działa na waszą korzyść.

Obaj mężczyźni milczeli.

— Wydacie Sandersa? — spytała.

— Gdyby to było takie proste... — mruknął Lowell.

— To jest proste — odparła lodowatym tonem. — Musicie tylko przestać myśleć o sobie.

— Wiem, że jesteś na mnie zła. Wiem, że może nawet w tej chwili mnie nienawidzisz. Na twoim miejscu czułbym to samo. Wierz mi. Dostałem nauczkę. Nie zależy mi już na mojej reputacji. Musisz mi wierzyć. Ale jeśli teraz powiem, co zrobiłem, to może oznaczać upadek Centrum Nowotworów. Wiesz przecież, że w dzisiejszych czasach taki skandal wykończy każdą fundację charytatywną. Pamiętasz, robiłaś program o tym schronisku dla nastolatków, którzy uciekli z domu. I co? Niedyskrecja jednego człowieka pogrzebała tę piękną instytucję. Przykro mi, Saro, ale nie mogę ryzykować. To Centrum jest dla mnie zbyt ważne.

Patrzyła na niego wściekłym wzrokiem

— A więc nic nie zamierzasz zrobić?

— Tego nie powiedziałem.

— Bo nie musiałeś, i tak wszystko jest jasne! — Wstała i chwyciła laskę. Cassandra też się podniosła z krzesła. — Zrobię wszystko, by dowiedzieć się całej prawdy o tej sprawie. I mam w dupie, jeśli przez to pójdzie na dno mój ojciec, pół Waszyngtonu i to cholerne Centrum Nowotworów!

Wymaszerowała z gabinetu.

\* \* \*

Jennifer odebrała telefon po trzecim sygnale.

— Słucham.

— Cześć.  
Natychmiast rozpoznała głos Harveya.  
— Cześć. Jak się masz?  
— Bywało lepiej — odparł.  
— Wyobrażam sobie. Sara jakoś się trzyma?  
— Tak. Jest dzielna.  
— Uściskaj ją ode mnie, dobrze?  
— Jasne. Jak życie w Los Angeles?  
— Dobrze.  
— Radzisz sobie?  
— Tak.  
Zapadło milczenie.  
Harvey odchrząknął.  
— Posłuchaj, Jen, nie chcę, żebyś pomyślała, że cię spławiam, ale...  
— Mam przesyłkę od Bruce'a — wypaliła.  
— Co?  
— Wysłał ją w tym dniu, kiedy umarł — dodała powoli. — Na adres skrytki, którą trzymał na poczcie w Los Angeles.  
— Otworzyłaś ją?  
— Tak. Jest w niej dokumentacja medyczna.  
— Jaka?  
— Dokumentacja na temat sześciu pacjentów.  
— Masz ją przed sobą?  
— Tak.  
— Możesz mi przeczytać nazwiska tych osób?  
Jennifer wzięła kopertę.  
— Krutzer, Leander, Martino, Singer, Trian i Whitherson — wyrecytowała.  
Znowu zapadło milczenie.  
— Jezu — szepnął po chwili Harvey.  
— Co jest?  
— Nic, nic — odparł pośpiesznie, ale miał rozemocjonowany głos. — Czy w tej przesyłce jest coś jeszcze?  
— Tak. Próbkę krwi. Po dwie fiołki dla każdego pacjenta. Oznaczone A i B.  
Harvey rozmyślał gorączkowo.  
— Posłuchaj mnie bardzo uważnie — powiedział. — Chcę, żebyś mi jak najszybciej przysłała wszystko ekspresem.  
— Czy to ma coś wspólnego z porwaniem Michaela?  
— Nie wiem. Najpierw muszę zobaczyć zawartość tej przesyłki. Jen, musisz mi to jak najszybciej przysłać.  
— Już po szóstej. Poczta jest zamknięta.  
Harvey spojrzął na zegar ścienny i zaklął głośno.  
— Próbowałam złapać cię wcześniej — przypomniała Jennifer.  
— Wiem, to moja wina.  
— Wyślę ci to z samego rana.  
— Dziękuję.  
— Dasz mi znać, co się dzieje?  
— Jasne — zapewnił. Urwał na moment. — Mam nadzieję, że dobrze ci się wiedzie — dodał. — Nadal jesteś dla mnie ważną osobą.

— Ty dla mnie też — odparła i odłożyła słuchawkę z obawy przed tym, co mogłoby jeszcze zostać powiedziane. A potem wzięła do ręki białą kopertę oznaczoną imieniem Susan i patrzyła na nią przez długą chwilę.

Sara miała mętlik w głowie. Skołowana i wściekła, wykręciła szybko numer telefonu komendy przy Osiemdziesiątej Trzeciej Ulicy.

- Słucham, policja.
- Poproszę z porucznikiem Maxem Bernsteinem.
- Chwileczkę.

Ojciec. Senator Stephen Jenkins. Raymond Markey. I Ernest Sanders. „Święta” krucjata, która...

...która co dokładnie?

Właśnie, co? Nie wiadomo. Co teraz? Czują niezdecydowanie. Zdawała sobie sprawę, że musi coś zrobić, w przeciwnym razie zwariuje. Max będzie wiedział. Będzie wiedział, jak należy postąpić w tej sytuacji.

Przyszło jej do głowy, by doprowadzić do konfrontacji z Markeyem i Sandersem, ale się rozmyśliła. Jeśli te dwa skurwysyny wyparły się wszystkiego nawet wobec współtowarzyszy spisku, jej tym bardziej nic nie powiedzą. Niepotrzebnie uprzedziłaby ich tylko o nadchodzącym niebezpieczeństwie albo — co gorsza — wystraszyła na tyle, że popełniliby jakieś katastrofalne głupstwo.

Znowu rozległ się głos oficera dyżurnego:

- Przykro mi, proszę pani. Porucznika nie ma.
- Może mu pan przesłać na pager wiadomość ode mnie?
- Nie. Pełni służbę i jest w tej chwili nieosiągalny. Nieosiągalny?
- Wie pan, gdzie jest?
- Nie mogę tego ujawnić. Nie wolno mi rozmawiać na temat miejsca jego pobytu.
- Ale naprawdę muszę się z nim skontaktować.
- W tej chwili to niemożliwe. Proszę zostawić wiadomość, a porucznik na pewno oddzwoni.

Sara podrapała się w głowę.

Gdzie on się podziewa, skoro nie można go złapać na pagerze?

— Dobrze, więc proszę mu przekazać, żeby się jak najszybciej skontaktował z Sarą Lowell. To bardzo ważne. Jeśli nie ma mnie w domu, to znaczy, że jestem w klinice.

- W klinice, dobrze. Zanotowałem.
  - Dziękuję — powiedziała Sara i się rozłączyła.
- I co teraz?

\* \* \*

Lotnisko Narita.

Max z ulgą wysiadł z samolotu japońskich linii lotniczych, którym przez czternaście godzin leciał z Nowego Jorku do Tokio. Zerknął na tablicę świetlną, upewnił się, że drugi samolot odprawiany jest z pobliskiego stanowiska, i ruszył w tamtą stronę. Szczerze mówiąc, podróż była przyjemna, a obsługa spisała się bez zarzutu. Sęk w tym, że przebywanie przez czternaście godzin w ciasnym metalowym pudełku dziewięć tysięcy metrów nad ziemią dawało człowiekowi w kość — nawet jeśli pokazywano dwa filmy i serwowano trzy posiłki.

Idąc przez terminal, spojrzął przez ogromne okna i zobaczył kilka boeingów 747 linii JAL z rękawami ciągnącymi się jak wielkie pępowiny, które należało przeciąć, żeby maszyny mogły swobodnie wzbić się w powietrze.

Lot zniósł lepiej niż większość współpasażerów. Chociaż rozmyślał gorączkowo nad sposobami uwolnienia Michaela, udało mu się przespać sześć godzin. Zerknął teraz na

zegarek i uświadomił sobie, że została cała godzina do odlotu. Bangkok, egzotyczna stolica Tajlandii. Dobrze, że miał wolną chwilę, bo musiał załatwić coś ważnego.

Ruszył w kierunku tablicy z napisem „Rozmowy międzynarodowe”. Zamienił kilka słów z telefonistką, po czym wszedł do ciasnej kabiny i podniósł słuchawkę. W ciągu kilku sekund nastąpiło połączenie. Odebrano po pierwszym sygnale.

— Słucham! — krzyknęła zdenerwowana Sara.

Miała przytomny głos, choć w Nowym Jorku była druga w nocy. Nie zdziwiło go to. Zastanawiał się, co powiedzieć. Postanowił być jak najbardziej oględny.

— Cześć.

— Max? Gdzie jesteś, do cholery? Szukałam cię przez cały dzień.

— Przepraszam, byłem niedostępny.

— Gdzie jesteś?

— W Tokio.

— Gdzie?!

— Precyzyjnie rzecz ujmując, nie w Tokio, tylko na lotnisku Narita. A więc z półtorej godziny jazdy od miasta.

— Oszczędź mi lekcji o współczesnej Japonii. Co tam robisz?

Zaczął owijać przewód od słuchawki wokół ramienia.

— Jestem w drodze do Bangkoku.

Zapadła chwila milczenia.

— A po co lecisz do Bangkoku? — spytała Sara.

— Bo pojawił się pewien trop.

— W sprawie Michaela?

Oględnie, Max. Nie rób jej złudnej nadziei, napomniął się w myślach.

— Może. Słuchaj, nie wiem, co to znaczy. Po prostu musiałem podążyć tym śladem.

— Jakim śladem?

— Przestań się bawić w dziennikarkę. Nie mam na to czasu.

— Jak długo cię nie będzie?

Dobre pytanie.

— Mam nadzieję, że wrócę bardzo szybko. Jest coś nowego?

— Całe mnóstwo:

— Dawaj.

Sara zrelacjonowała rozmowę z ojcem i senatorem Jenkinsem. Max słuchał w milczeniu, żując sznur, który smakował jak guma. Japonka stojąca w sąsiedniej kabinie patrzyła na niego karcącym wzrokiem. Uśmiechnął się przepraszająco i wypuścił przewód z ust.

Gdy Sara skończyła swoją relację, opowiedział jej o rozmowie z Winstonem O’Connorem.

— No to już wiemy, kto był wtyczką i przekazywał informacje — stwierdziła.

— Niby tak. Ale nadal wiele rzeczy wymaga wyjaśnienia.

— Jakich?

— Na przykład: dlaczego Sanders miałyby to robić? Co zyskuje na tych morderstwach?

— Niszczy dowody. Nie ma wyleczonych pacjentów, więc nie ma leku.

Pokręcił głową.

— To samo osiągnąłby innym sposobem. Nie musiał wynajmować Homorozpruwacza. Twój ojciec ma rację, mówiąc, że szum wokół kliniki tylko ją wzmacnia. Napływają pieniądze, jest wsparcie mediów. Zobacz, przecież Markey nie miał odwagi zamknąć Sidney Pavilion.

— No więc co zamierzasz? — spytała Sara.

No właśnie, myślał. Myślał o zamordowanych pacjentach. Myślał o klinice. Myślał o znowie w Waszyngtonie i związku Winstona O’Connora z Markeyem. Myślał o



Homorozpruwaczu. Myślał o George'u Camronie przetrzymującym Michaela Silvermana w jakimś burdelu.

— Nie wiem — odparł. — Muszę już iść. Zadzwoń, jeśli coś się pojawi.

Odłożył słuchawkę, zanim Sara zdążyła go powstrzymać. W drogerii kupił krem do golenia i jednorazową golarkę. Następnie wszedł do łazienki i zmoczył twarz. Dziesięć minut później nie miał wąsów.

\* \* \*

Lotnisko Don Muang w Bangkoku.

Gdy schodził po stopniach, uderzyło go w twarz parne powietrze tajskiej nocy — kleiste jak kropelki syropu. Było późno, po jedenastej. Czuł podekscytowanie i chciał działać. Bez zwłoki.

Samolot, którym podróżował z Tokio do Bangkoku, był idealną kopią poprzedniego. Ta sama wielkość, ten sam rozkład foteli, takie same wnętrza i chrypiące głośniki, w efekcie czego Max nie mógł się zorientować, czy kapitan mówi po japońsku, czy po angielsku. Był zaskoczony, jak niewielu pasażerów siedzi w przedziale klasy ekonomicznej. Na tyle zaskoczony, że ich policzył: stu w klasie ekonomicznej, stu dwudziestu ośmiu w klasie biznes i trzydziestu dwóch w pierwszej. Przedział klasy pierwszej wyglądał niewiarygodnie. Opasłe fotele przypominały Maxowi kanapę, na której jego ojciec wylegiwał się z lubością przed telewizorem. Oprócz tego były podpórki pod nogi. Serwowano szampana i kawior z białym. Każdy pasażer miał kimono. Pięknie. Gdy buli się pięć tysięcy dolarów za podróż z Nowego Jorku do Bangkoku i z powrotem, musi być pięknie.

Max leciał klasą ekonomiczną, co kosztowało go tysiąc pięćset dolarów. Suma ta przekraczała jego oszczędności, a ponieważ nie miał czasu, żeby użerać się z policyjną księgowością o pokrycie kosztów podróży, poprosił o pomoc Lenny'ego. Lenny zarabiał sporo — a nawet dużo. W końcu był jednym z czołowych karnistów Nowego Jorku. Jak na ironię matka Maxa zawsze marzyła, by syn został eleganckim adwokatem. Zamiast tego z jednym takim się związał.

Mama nie to miała na myśli.

Dostał miejsce na końcu samolotu. Często wstawał i przechadzał się w trakcie tych niezliczonych godzin spędzonych w powietrzu. Zachwyciły go zasłonki oddzielające przedziały, przemieniające samolot w małą wersję współczesnego rozwarstwowanego społeczeństwa. Zapłaciłem mniej od was, więc jestem szmaciarzem i nie wolno mi oddychać tym samym powietrzem co wy. Spróbuj, choćby dla zgrywy, skorzystać z toalety w pierwszej klasie, gdy masz miejsce w ekonomicznej. Stewardesy opadną cię jak mużułmańscy ekstremiści. Kolejny problem to lampki do czytania. Jak to jest, że zawsze świecą pod niewłaściwym kątem? Smuga pada albo na boki, albo za daleko do przodu, albo za daleko do tyłu i wtedy oświetla czerep pasażera. Aha, a kto wymyślił to średniowieczne narzędzie tortur zwane słuchawkami? Po ich założeniu człowiek ma wrażenie, że wbito mu soople lodu w bębenki uszne.

W hali przylotów Max zobaczył mężczyznę trzymającego kartkę z jego nazwiskiem. Jak na Azjatę był wysoki i bardzo szczupły. Stał w całkowitym bezruchu i poruszał wyłącznie oczami, jakby oszczędzał siły.

— Pan pułkownik?

— Tak.

— Witam. Porucznik Bernstein.

Taj spojrział na niego zdziwiony.

— Porucznik z Nowego Jorku?

Max skinął głową.

— Przepraszam, ale spodziewałem się kogoś starszego — mruknął pułkownik. Max chciał się pociągnąć za wąsy, ale uświadomił sobie, że je zgolił.

— Dlatego na ogół noszę wąsy — wyjaśnił. — Wtedy wyglądam starzej.

— Słucham?!

— Nieważne. Gdzie moglibyśmy porozmawiać?

— Chodźmy, na dworze czeka samochód.

— Gdzie jest Frank Reed?

— W samochodzie. Porozmawiamy po drodze.

Pułkownik wyprowadził Maxa z terminalu, maszerując bez wysiłku, wykonując bardzo oszczędne ruchy. Podeszli do auta. Otworzył drzwi i obaj wsiedli do tyłu. Klimatyzacja nie działała, podobnie jak w nowojorskich radiowozach policyjnych. Max od razu przeszedł do sedna.

— Pan Frank Reed? — spytał.

— Tak — odparł mężczyzna, wyciągając rękę na powitanie. — Proszę mi mówić Frankie. Bardzo szybki uścisk dłoni.

— Chciałbym, żeby pan dokładnie opisał miejsce, w którym przetrzymywany jest Michael Silverman.

— Jasne, nie ma problemu. Pan naprawdę jesteście policjant z Nowego Jorku?

— Tak.

— Hm, bo wyglądasz pan jak dzieciak.

— Wstąpiłem do służby jeszcze jako przedszkolak. Proszę opowiedzieć o tym barze.

— No dobra. Silverman siedzi na piętrze. Jest tam kilkanaście pokoi. Wygląda to jak obskurny motel albo coś. Trzymają go w ostatnim pokoju po lewej stronie. Na samym końcu korytarza. Wisi tam wywieszka, żeby nie wchodzić. Kurwa, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Otworzyłem te drzwi i patrzę, a to on we własnej osobie! Megadziwne, co? Widziałem go w zeszłym roku w meczu przeciw Chicago...

— Może pan to narysować?

— Co, ten znak na drzwiach? Nie ma problemu.

— Nie, rozkład pomieszczeń.

— Dobra, jasne.

— Podobno Silverman jest przykuty łańcuchem?

— Tak wyglądało, ale widziałem go przez ułamek sekundy.

— Czy pan coś planuje, poruczniku? — spytał pułkownik Thaakavechikan.

Max skinął głową, kręcąc palcami łokci.

— George Camron pewnie potrafi rozpoznać pańskich ludzi, co?

— Niektórych owszem.

— Ale mnie chyba nie zna. Na wszelki wypadek zgoliłem wąsy.

— Rozumiem.

— Chcę tam wejść.

— Kiedy?

— Jak najprędzej. Gdy tylko Camron wyjdzie. Silverman jest bardzo chory. Trzeba go szybko wydostać.

Pułkownik skinął głową.

— Proszę mi powiedzieć, jak pan chce to zrobić — rzekł.

\* \* \*

Eric Blake przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze. Jak zwykle wyglądał nienagannie. Kiedy ludzie go opisywali, rzadko używali określeń w rodzaju „przystojny”, „brzydki” albo „przeciętny”. Najczęściej mówili, że jest „schludny”, „elegancki”, „wymuskany”. Każdy włos

na swoim miejscu, sznurówki zawiązane, wszystkie guziki starannie zapięte. Koszulę zawsze nosił wsuniętą w spodnie, skarpetki miał do pary, a twarz gładko ogoloną. Nawet w tej chwili sprawiał wrażenie spokojnego i zdystansowanego człowieka. Ale w środku, pod nieskazitelną powłoką — hm, to już inna sprawa.

Ból głowy był nie do wytrzymania. Eric miał wrażenie, że narastające ciśnienie rozsadzi mu czaszkę. Nagle wszystko zaczęło się sypać i nie wiedział, co robić.

Zrób to, co trzeba, nakazał sobie w myślach.

Ruszył różnym krokiem do laboratorium. Harvey znajdował się piętro niżej, podawał leki Kielowi Davisowi. A potem miał obchód. Przez dłuższą chwilę nie wróci.

Było bezpiecznie.

Eric podszedł do swojej szafki z dokumentami. Otworzył ją i znów wysunął dolną szufladę. Wyjął trzy próbówki z krwią i położył je ostrożnie na stole. A potem zbadał.

Na razie nic.

Westchnął. Tego należało się spodziewać. Trzeba jeszcze trochę poczekać. Sądził, że już teraz coś zobaczy, ale to marzenie ściętej głowy. Należało uzbroić się w cierpliwość.

Lekko drżącymi dłońmi włożył z powrotem próbówki do szuflady, zamknął szafkę i wrócił do pracy.

\* \* \*

Max i pułkownik T — bo Thaakavechikan tak właśnie lubił być nazywany — siedzieli w taksówce na ulicy Ramy IV, niedaleko Patpong Street. Przez szum w radiu przedarł się głos, który powiedział coś, czego Max nie zrozumiał. Pułkownik wziął mikrofon i warknął coś równie niezrozumiałego.

— Camron wyszedł z baru — wyjaśnił. — Wsiadł do tuk-tuka.

— Do czego?

— To coś w rodzaju taksówki.

— Aha — mruknął Max, kiwając głową. — No to chyba czas zacząć.

— Śledzimy Camrona. Wszędzie mam tuk-tuki. Będziemy wiedzieć, gdzie wysiadzie. Spróbujemy go zatrzymać, gdyby chciał wrócić, zanim pan zdąży uwolnić Silvermana. Ale nie ma gwarancji, że nam się uda.

— Rozumiem.

— Da pan znać, jeżeli w pokoju będą ładunki wybuchowe?

— Oczywiście. Podniosę i opuszczę żaluzje. Jeśli zobaczycie ten sygnał, nie próbujcie zatrzymywać Camrona, bo wtedy mógłby wszystko wysadzić w powietrze.

Pułkownik skinął głową.

— Pamięta pan rozkład pomieszczeń? — spytał.

— Tak.

— No to życzę powodzenia.

— Dziękuję — odparł Max. Miał ściśnięty żołądek. — Ostatnie pytanie.

— Tak?

— Jak się wynajmuje prostytutkę?

Taj się uśmiechnął.

— Proszę usiąść w barze i trzymać w dłoni dziesięciodolarowy banknot, poruczniku — odpowiedział. — Dalej wszystko potoczy się samo.

\* \* \*

Sara się obudziła. Wyciągnęła po omacku rękę do Michaela i dotknęła poduszki. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że został porwany. Cofnęła rękę, wstała i zaczęła się przygotowywać do wizyty u Harveya.

Godzinę później zapukała lekko w drzwi do jego gabinetu, uchyliła je i wsunęła głowę do środka.

— Można? — spytała.

Podniósł zmęczoną twarz znad biurka. Uśmiechnął się na jej widok i zdjął okulary.

— Oczywiście.

— Bo jakby co, to nie chcę przeszkadzać.

— Wejdz, wejdz! I tak muszę sobie zrobić przerwę.

— Kiedy spałeś ostatnio?

— Zaraz, zaraz... A który mamy rok?

— Harvey, wyglądasz jak z krzyża zdjęty.

Skinął głową z uśmiechem.

— Bywało, że ty też prezentowałaś się lepiej — odparł. Podeszła do drewnianego krzesła stojącego przed biurkiem i usiadła. Jej spojrzenie od razu przyciągnął plakat przedstawiający Michaela, zawieszony przez Harveya na ścianie. Widok męża frunącego z piłką w powietrzu w kierunku kosza dodał jej otuchy. Poprawiła okulary na nosie i patrzyła przez dłuższą chwilę na plakat, na wyprężone ciało i skupioną twarz. Potem zerknęła na Harveya.

— Mam ci coś do powiedzenia. To dotyczy mojego ojca i Sandersa.

— O! — mruknął i się wyprostował.

— Nie spodoba ci się to — przestrzegła.

— Gdy twój ojciec i Sanders coś robią, rzadko mi się to podoba. Mów.

Opowiedziała mu o wszystkim. Słuchał w milczeniu, ale coraz mocniej zaciskał pięści, aż knykcie stały się białe. Poczzerwieniał na twarzy, a oczy błyszczały gniewem.

— Skurwysyny! — krzyknął w pewnym momencie. — Tępe, świętoszkowate skurwysyny!

Sara nic nie odrzekła.

Wstał, czując narastającą wściekłość.

— Jak mogłem być taki głupi? — syknął. — Wiedziałem, że coś knują, ale nic nie zrobiłem. No jasne, że Markey jest po ich stronie, ten bezduszny skurwieli! — Pokręcił głową. — Po Sandersie i Jenkiesie mogłem się tego spodziewać. Ale twój ojciec... Przecież jest lekarzem! Ratuje ludzi. A jednak związał się z nimi. Co z niego za człowiek?

— Nie wiem — szepnęła.

— Zapłacą za to. Świat dowie się o wszystkim, co zrobili. — Nagle Harvey zgarbił ramiona, jakby przygniótł go wielki ciężar. — To nieustająca walka. Nigdy się nie kończy. Świętoszki, homofoby, naiwniacy. Tylu ludzi cieszy się z epidemii AIDS, że czasem zadają sobie pytanie, czy kiedykolwiek uda nam się ją pokonać.

Kłapnął ciężko na krzesło. Obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i wbił spojrzenie w zdjęcie swojego brata.

— Pamiętasz, Saro, jak to się zaczęło?

— Tak.

— Niektórzy nawoływali, żeby nosiciele zamknąć w obozach koncentracyjnych. Żeby wszystkich znanych homoseksualistów poddać kwarantannie. Nazistowskie metody. Tak wtedy było. Dziś rzadko słyhać takie pomysły, ale w pewnym sensie zagrożenie wobec homoseksualistów jest większe niż kiedykolwiek.

— Dlaczego tak mówisz?

— Kaznodzieje pokroju Jerry'ego Falwella czy Sandersa działają teraz subtelniej. Mają te same wredne cele, ale stosują inną strategię. Która przynosi skutek. Ludzie się na to nabierają. Zalewają nas argumenty, że AIDS nigdy nie będzie epidemią w społeczeństwie

heteroseksualnym. Szacowni lekarze, tacy jak twój ojciec, powtarzają codziennie takie tezy. Ale ważniejsze pytanie dotyczy nie tego, jak bardzo choroba jest groźna dla homoseksualistów, lecz czy sprzecznianie się o to ma sens.

— Nie rozumiem — powiedziała Sara.

— Załóżmy na chwilę, że to prawda — ciągnął Harvey głosem pełnym napiętości i bólu. — Chociaż tak nie jest, to zgódźmy się na chwilę, że twój ojciec ma rację. Że AIDS rozwinie się jako epidemia tylko wśród homoseksualistów i narkomanów. I co z tego? Jeśli twój ojciec i jemu podobni nie dyskryminują ludzi, jak twierdzą, to dlaczego ma dla nich znaczenie, której części społeczeństwa dotknie ten wirus? Gdyby się okazało, że AIDS zabija wyłącznie dziewczynki w przedziale wiekowym od lat pięciu do dwunastu, to czy ktoś miałby chęć mówić, że nie powinniśmy się tym przejmować, bo przecież nam nic nie grozi? Absurd. Ci ludzie kierują się homofobią. Saro, musimy bez końca toczyć tę walkę. Śpiewają na inną nutę, ale piosenka jest taka sama.

— Co więc należy robić?

— Walczyć pazurami. Oddawać cios za cios. Musimy dołożyć wszelkich starań, żeby ich pokonać. Musimy ich zniszczyć w środkach masowego przekazu.

— Ale tamci mogą spanikować. Jeśli przetrzymują Michaela...

Skinął głową.

— Wiem, co masz na myśli — powiedział. — Rozmawiałas z Bernsteinem?

— Tak.

— I co powiedział?

— Kazał mi poczekać do swojego powrotu.

— Wyjechał? Dokąd?

— Do Bangkoku.

— Do Bangkoku? A co on tam robi?

— Powiedział, że pojawił się jakiś ślad.

— Chryste, oby to była prawda. Przydałby się nam jakiś sukces. — Harvey nachylił się nad biurkiem. — To co tymczasem mamy robić? Siedzieć bezczynnie? Mordercy chodzą sobie na wolności.

— Max wcale nie jest pewny, że to Sanders stoi za tymi morderstwami i porwaniem.

— Nie? A kto?

— Nie wie. Powiedział tylko, że ma wątpliwości.

— A ty? Też myślisz, że to nie Sanders?

— Pewności nie mam.

— A dla mnie to wygląda logicznie. Sanders porwał Michaela, żeby rzucić nam kłodę pod nogi. Proste jak drut. Markey wiedział, że jestem jedynym człowiekiem, który leczy Michaela...

— Jest jeszcze Eric.

Harvey miał zaskoczoną minę.

— Nie, nie, chodzi mi o to, że jako jedyny miałem kontakt z Michaelem. To ja podawałem mu SR—jeden, to ja zawsze pobierałem mu krew. W dodatku...

— Przecież Eric też pobierał mu krew.

Harvey zastygł.

— Eric? Kiedy?

— Nie pamiętam. Dzień lub dwa przed porwaniem.

— Jesteś pewna?

— Oczywiście, przecież byłam przy tym. O co chodzi? To jakiś problem?

Pokręcił stanowczo głową.

— Nie — odparł. — Po prostu to dziwne, bo wydałem polecenie, żeby nikt się nie zbliżał do Michaela. Wszystkie zabiegi i badania laboratoryjne miałem wykonywać osobiście.

— Może zapomniał.  
— Może — mruknął Harvey, ale nic wydawał się przekonany.  
— Spytaj go.  
— Zrobię to, gdy tylko wróci. — Spojrzał na Sarę i próbował się rażno uśmiechnąć, ale mu się nie udało. — Nie patrz tak na mnie. To głupstwo.

\* \* \*

— Hej, chcesz obejrzyć seks na żywo? Konkurs strzelania grochem! Świetna zabawa! Strzelanie grochem!

— Strzelanie grochem? — spytał zdziwiony Max.

— Tak, tak! Dziewczyna ładuje groch, celuje i strzela. Zgadnij czym!

Chociaż nieobce mu były różne seksualne zabawy, nie wiedział, o czym mówi tajski nastolatek. I chyba nie chciał się dowiedzieć. Wiele lat temu, jeszcze przed poznaniem Lenny'ego, spędził z kilkoma przyjaciółmi tydzień w dzielnicy czerwonych latarni w Amsterdamie. Obejrzelik pokaz, podczas którego kobiety wystrzeliwały różne przedmioty z pewnej części swojego ciała. Większość ludzi uważała jego orientację seksualną za dziwactwo, on jednak nie widział nic erotycznego w tych wyczynach niezależnie od swoich preferencji.

— No to co, pan? Chcesz ładna dziewczyna? W głowie ci się zakręci.

Przecisnął się przez gromadę handlarzy seksem, zerkając na różowy neon nieopodal: Chętna Kotka. W drzwiach stało dwóch mężczyzn. Niższy powitał Maxa uśmiechem i mocnym uściskiem dłoni. Wyższy posłał mu groźne spojrzenie. Dobry i zły glina.

— Witamy! — wrzasnął pierwszy, przekrzykując głośne disco. — Proszę do środka! Wszystko, co pan chce! Wstęp darmo!

— Dzięki.

Max wyminął drugiego wykidajkę — który miał posturę sumity — i wszedł do Chętniej Kotki. Wnętrze wyglądało jak w latach sześćdziesiątych. Bar go-go. Świeciły się psychodeliczne, kolorowe światła.

Płynęła muzyka z *Gorączki sobotniej nocy*. Piosenkarz wrzeszczał o dyskotekowym piekle pełnym ognia. Mimo szybkiego rytmu tancerki topless (właściwie nagie, bo miały tylko bardzo skąpe bikini na biodrach) tańczyły leniwie na barze, wykonując raz po raz te same ruchy. Max patrzył na ich twarze. Miały znudzone miny — martwe, niewidzące oczy, które ożywiały się tylko wtedy, gdy ktoś wcisnął im banknot w krocze.

Gdzieś tutaj jest Michael...

— Kręć tyłkiem, lala! — krzyknął jakiś mężczyzna. Dziewczyna uśmiechnęła się i spełniła żądanie. Za swój trud dostała sto bahtów, czyli cztery dolary. Pochyliła się nad klientem, żeby zachęcić go do większej hojności, ale odepchnął ją ręką.

Klientela była różnorodna. Stali bywalcy. Zaciekawieni turyści. Pary małżeńskie. Tajowie, Japończycy, Amerykanie, Włosi, Niemcy, Australijczycy — słowem, podjarane Narody Zjednoczone. W kącie ludzie wiwatowali na widok wyczynów, które przekraczały ludzkie pojmowanie i zadawały kłam prawom biologii. Godne Księgi rekordów Guinnessa. Dwie kobiety na czworaka, Azjatka i Murzynka — Jezu, nie mógł w to uwierzyć! — strzelały bananami z pochw. Bananami, na miłość boską. Jeden z mężczyzn zaznaczał miejsce lądowania i mierzył odległość jak sędzia zawodów w rzucie dyskiem na olimpiadzie. Inny ładował banany do pochw, jakby kobiety były granatnikami. Przez cały bar frunął banan za bananem, wywołując wiwaty pośród widzów.

Max się odwrócił.

Michael jest piętro wyżej...

Usiadł na stołku obrotowym przy barze. Spodobało mu się, więc zaczął się kręcić dokoła jak małe dziecko. Nie minęły dwie sekundy, gdy podeszła do niego młoda Tajka w stroju Klasycznej Amerykańskiej Dziwki: obcisły top plus atlasowe szorty, które wżynały się boleśnie w krocze. prostytutki były w różnym wieku, ale ta, która się zbliżyła, wyglądała, jakby po powrocie ze szkoły do domu dorwała się do kosmetyków mamusi.

— Cześć — odezwała się.

Najwyżej piętnastolatka, o pięknej gładkiej skórze. Była ładna i świeża, miała urodę lalki, co tak podnieca wielu mężczyzn.

— Cześć.

Rozciągnęła usta w szerokim, pogodnym i nieco chytrym uśmiechu.

— Postawisz drinka?

— Czemu nie? Co byś chciała?

— Wódkę z lodem.

— Ja to samo.

Przywołał barmana i zamówił. Rachunek wyniósł dwanaście dolarów — pięć za jego wódkę, siedem za wódkę dziewczyny. Zanim Max zdążył zaprotestować, barman wskazał palcem wywieszkę: „Piwo — 3 dolary, wódka — 5 dolarów, drinki dla hostess — 7 dolarów”. Hostess?

— Jak masz na imię? — spytała.

— Max.

— Ładnie. Mieszkasz w Ameryce?

Zaczął kręcić loki palcami.

— Tak — odpowiedział.

— Miły kraj, nie?

— Owszem, podoba mi się.

— Co tak się ciągle ruszasz?

— My mówimy „wiercisz”.

— Co tak się ciągle wiercisz?

— Tak jakoś mam.

— Jesteś tu w interesach czy dla przyjemności, Max?

Próbował się uśmiechnąć, wejść w rolę kobieciarza szukającego przygód. Nadawał się do tego jak biały do roli Otella.

— Trochę jedno, trochę drugie — odrzekł. Mrugnął żałośnie.

Jezu.

Położyła drobną dłoń na jego udzie.

— Podobam ci się, Max?

Nachyliła się i wystawiła ruchliwy język, jakby powietrze było gałką lodów. Wpatrywała się w niego lubieżnie, aż wreszcie odwrócił wzrok.

— Bardzo.

— Za ile chcesz rozkosz?

— Na początek za sto dolarów.

Kiwnęła głową.

— Co lubisz? Co byś chciał?

Odchrząknął.

— Chciałbym w Pokoju dla Zboczków.

Znieruchomiła.

— Byłeś tu już kiedyś? — spytała.

— Nie. Kolega wspominał.

Znowu kiwnęła głową.

— Pokój dla Zboczków drogi — powiedziała jak profesjonalistka.

— Zapłacę.

Kolejne skinienie. Jej dłoń znajdowała się teraz zaledwie parę milimetrów od jego pachwiny. Palce z pomalowanymi na czerwono paznokciami głąskały go delikatnie po spodniach. Zdziwiony Max poczuł pierwsze sygnały podniecenia, bo dotyk dziewczyny był kojący, przyjemny. Ale miło... zastraszająco miło... Dziwne w przypadku mężczyzny, którego podniecały ciała kulturystów. Nie znaczy to, że nigdy nie był z kobietą. Był, ale wołał facetów, to wszystko.

Cofnęła rękę.

— Zapłać tamtemu i możemy iść na górę — powiedziała. — Będziemy się bawić. Pokażę ci nowy świat.

Skinął głowę.

Odgryzł kawałek skórki przy paznokciu i podszedł do młodego alfonsa, który wyglądał jak bokser wagi piórkowej — same mięśnie, ani grama tłuszczu.

— Jak dziwnie chcesz?

— Bardzo.

— Pokój dla Zboczków? — spytał alfons. — Na pewno? Bardzo drogo. I niebezpiecznie.

— Na pewno. Ile?

— Dwieście dolarów za wejście. Ale jeśli chcesz używać czerwonej ściany, musisz płacić dodatkowo. Dasz znać, tak?

Czerwonej ściany?

Po krótkotrwałych negocjacjach uzgodnili cenę w wysokości stu siedemdziesięciu pięciu dolarów.

Max zapłacił. W tej samej chwili u jego boku pojawiła się piętnastoletnia Tajka. Poprowadziła go na górę, szepcząc do ucha komplementy i obietnice fantastycznej zabawy.

— Jak masz na imię? — spytał, przerywając jej.

— Bambi.

Hm, tradycyjne tajskie imię.

— Ile masz lat?

— Wystarczająco dużo.

— Wystarczająco dużo na co?

Znów pojawił się zwinny język.

— Na to, żebyś był zadowolony.

— Dlaczego to robisz?

— Co?

Na piętrze skwar był jeszcze bardziej nieznośny niż na parterze. Szli teraz ciemnym korytarzem — odłóżąca farba, przepalone żarówki. W chwili gdy mijali drzwi z napisem „Wejście wzbronione”, Max zadrżał. Opanował się jednak.

— Dlaczego się prostytutujesz?

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Bo co?

— Tak pytam. Wydajesz się inteligentną...

Uśmiech zniknął na moment i na twarzy dziewczyny ukazała się czysta nienawiść.

— Zabierzesz mnie stąd? — spytała. W jej głosie zabrzmiała drwiąca nuta. Chwilę później powróciła maska i znów rozbrzmiał uśmiech, jak płomień świecy, który przygasa, a zaraz potem ponownie świeci pełnym blaskiem. — Chodź, spełnię twoje fantazje. Pojedziesz do domu szczęśliwy.

Otworzyła drzwi. Najpierw uderzył go smród. Ktoś rozpylił ogromne ilości odświeżacza powietrza o zapachu wiśni, żeby zamaskować wszechobecny odór. Odór brudu, jakby wszystko, co robiono w tym pomieszczeniu, wniknęło w ściany niczym robactwo. Max zadygotał.



Czemu jestem taki spięty? — zastanawiał się. Bywał przecież w łaźniach, a nawet brał udział w wielkich rozbuchanych orgiach, a jednak ten pokój go przerażał. Było w nim coś... coś skrajnie odczłowieczonego.

Nazwa okazała się trafna. Na jednej ścianie wisiały setki sztucznych penisów o tak różnych kształtach i wielkościach, że przekraczało to ludzką wyobraźnię. Niektóre w ogóle nie przypominały męskiego członka. Po lewej stronie, na półkach, leżały bicze, łańcuchy, kajdanki, sznury, kaftany bezpieczeństwa, skórzane maski i najrozmaitsze przedmioty służące do krępowania i zadawania bólu. A naprzeciwko, na czerwonej ścianie... Podszedł bliżej, żeby się przyjrzeć.

— Jezusie! Czerwona ściana.

Odwrócił się do Bambi. Stała zgarbiona w kącie pokoju. Niby wciąż się uśmiechała, ale w oczach miała strach.

— Czerwona ściana to ekstra — szepnęła. — Chcesz, Max?

Spojrzał ponownie, nie wierząc własnym oczom. Paralizator. Prawdziwy cholerny paralizator policyjny. O dostatecznie dużej mocy, by człowiek poczuł się jak w trakcie napadu epilepsji.

— Ludzie używają tego z tobą? — spytał.

Przez chwilę uśmiechała się w milczeniu.

— Ze mną nie — odparła. — Z innymi dziewczynami.

Odłożył paralizator na miejsce i wziął... Jezusie. Elektryczny pastuch! To już naprawdę zakrawało na zboczenie i ostry sadyzm. Słyszał o mężczyznach, których podnieca przypalanie dziewczynie sutków albo łechtaczki, ale uważał takie pogłoski za czcze wymysły.

— Czasami chcę, żebym ja używała — powiedziała Bambi.

— Że co?

— Z nimi.

Max spojrzał na elektrycznego pastucha i wyobraził sobie, że ktoś przykłada mu go do krocza. Napiął mięśnie i poczuł ucisk w żołądku. Z niedowierzaniem patrzył na półki. Szczypce do ściskania sutków. Ostre, szpiczaste ćwieki. Przedmioty wyglądające jak średniowieczne narzędzia tortur. Poczul napływające mdłości.

Pokój dla Zboczków? Bardziej Gabinet Grozy.

— Czego byś chciał, Max?

— Chcę cię związać.

— Będziesz używał... czerwonej ściany?

— Nie.

Wyraźnie jej ulżyło. Zaczęła się rozbierać, ale ją powstrzymał.

— Nie trzeba — powiedział.

— Nie chcesz nago?

Pokręcił głową.

— Połóż się na łóżku — polecił, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej lubieżnie.

Zerknęła na niego podejrzliwie, ale usłuchała. Max znał się na węzłach i krępowaniu ludzi. Skrępował jej ręce i nogi trzykrotnie, upewniając się, że węzły są mocne, ale nie wżynają się jej w skórę. Nie chciał skrzywdzić dziewczyny.

— Otwórz usta.

Młoda prostytutka rozchyliła wargi. Zdziwiła się, gdy wepchnął jej tylko kawałek szmaty. Owinął sznurek dokoła jej głowy, skutecznie ją kneblując.

— Możesz oddychać? — spytał.

Mrugnęła potakująco oczami.

Chciał na odchodnym powiedzieć kilka życzliwych słów wyrażających nieprzemijającą mądrość, ale zdawał sobie sprawę, że wszystko zabrzmiałoby płytko. Więc tylko się nachylił i delikatnie pocałował ją w czoło.

— Żegnaj.

Ruszył do wyjścia. Bambi śledziła go spojrzeniem. Uchylił odrobinę drzwi i wyjrzał ostrożnie na korytarz. Pusto. Wymknął się i podszedł do drugich drzwi, za którymi według Franka Reeda przetrzymywany był Michael Silverman. Chwycił za klamkę i nacisnął.

Drzwi się otworzyły i wszedł do środka.

\* \* \*

— W takim razie zaraz zabiję Silvermana — powiedział George.

— Czeka! — krzyknął głos. — Płacę ci, żebyś zniszczył magazyn w Bangkoku i...

— Zrobię to, ale najpierw Silverman musi umrzeć. Byłby świadkiem, nie mogę go puścić. Za dużo wie.

— Sekundę. Chyba wyraźnie powiedziałem...

Przerwał połączenie. Sampan płynął łagodnie po nieruchomej rzece, ale George nie czuł uspokajającego efektu żeglugi. Po raz pierwszy był poważnie zaniepokojony, odkąd zaczął zabijać jako Homorozpruwacz. Zleceniodawca panikował, a co gorsza, zatajał różne fakty. Żądanie, by George zniszczył natychmiast magazyn kliniki i wypuścił Silvermana, nie miało sensu, chyba że...

...chyba że coś poszło na opak. I to mocno na opak.

Czy on, George Camron, popełnił błąd?

Niemożliwe.

— Dziękuję ci, Surakarn. Doceniam twoją pomoc.

— Nie ma za co, przyjacielu.

Zszedł z łodzi na suchy ląd. Z przodu rysowała się monumentalna sylwetka Wielkiego Pałacu. Ruszył w kierunku tuk-tuków.

— Kurs dla pana? — spytał łysy kierowca.

George już chciał podejść, ale nagle skręcił w bok.

Lepiej dmuchać na zimne.

Przemaszerował kilka ulic i zatrzymał taksówkę na Lak Muang Street. Wsiadł na tył.

— Na Patpong.

Taksówkarz skinął głową i ruszył.

\* \* \*

Łysy kierowca podszedł do swojego tuk-tuka i wyjął małą radiostację.

— Pułkowniku.

— Mów.

— Camron ominął nas i wziął taksówkę. Może wrócić za kilka minut.

Thaakavechikan odłożył mikrofon. Wciąż czekał na sygnał od Maxa.

\* \* \*

Michael spojrzął kaprawymi oczami.

— Max?

Bernstein dał mu znak, by zachował ciszę. Rozejrzał się uważnie dokoła, metodycznie omiatając spojrzeniem cały pokój.

— Czy Camron mówił coś o materiałach wybuchowych? — spytał.

— Za tobą — odparł Michael słabym, ledwo słyszalnym głosem. — Pod sufitem, obok drzwi.

Max się obejrzał i zobaczył związane razem laski dynamitu.

— Cholera — powiedział głośno.

Podszedł do okna. Podniósł i opuścił żaluzję, dając znak pułkownikowi i jego ludziom, by nie wchodzili do budynku.

— Musimy stąd spadać.

Michael próbował skupić wzrok na twarzy Bernsteina, ale oczy nie chciały go słuchać. Włosy miał przylepione do spoconego czoła. Dolna warga mu drżała, jakby trawiła go gorączka.

— Wszystko w porządku — powiedział uspokajająco Max. — Niedługo będziesz w domu.

— W domu...

Stanął na krześle i przyjrzał się laskom dynamitu. Potem zeskoczył i ukląkł obok Michaela. Z cholewy buta wyciągnął piłkę o długich ząbkach i zaczął piłować łańcuch przy jego nodze. Stał okazała się gruba i mocna, więc szło mu zastraszająco powoli. Było upiornie duszno, jak w saunie. Max oddychał z coraz większym trudem.

— Byłeś tutaj przez cały czas?

Michael skinął głową.

Max piłował zawzięcie. W tej samej chwili piętro niżej George Camron wszedł do Chętnej Kotki.

\* \* \*

Pułkownik T zobaczył dwa zdarzenia niemal jednocześnie. Po pierwsze, w oknie podniosły się i opadły żaluzje, co oznaczało, że w pokoju Michaela Silvermana założone są ładunki wybuchowe. W tej samej chwili z taksówki wysiadł George Camron.

— Mamy go zatrzymać, pułkowniku?

— Widziałeś sygnał od porucznika Bernsteina. Za duże ryzyko.

— To co robimy?

— Robimy?

— Bo czekamy na pańskie rozkazy.

Pułkownik zdawał sobie sprawę, że nic nie może zrobić. Gdyby spróbowali zatrzymać Camrona, ten wysadziłby budynek w powietrze. Porucznik Bernstein musiał sobie radzić sam. Pułkownik i jego ludzie patrzyli bezradnie, jak George Camron wchodzi do Chętnej Kotki.

\* \* \*

Michael nigdy wcześniej nie czuł tak skrajnego fizycznego wyczerpania. Jakby jakaś pozaziemska istota wyssała z niego całą energię życiową, pozostawiając pustą cielesną powłokę. Kończyny przypominały nieruchome bloki ołowiu. Złamany nos już nie bolał, za to pojawiło się pulsujące odrętwienie, które było tak samo przykre. Spuchnięta tkanka i zakrzepła krew blokowały przegrodę nosową, wskutek czego każdy wdech przypominał połykanie płomieni.

George dawał Michaelowi do jedzenia zaledwie jeden kawałek chleba dziennie. I trochę wody — dość, by zapobiec całkowitemu odwodnieniu. Wydawało się, że sufit się osunął, a ściany napierają ze wszystkich stron. Michael majaczył. Chciał krzyknąć, krzyknąć tak głośno, że dłużej by nie mógł i zapadłaby cisza.

Wtedy w drzwiach stanął Max.

W pierwszej chwili Michael sądził, że ma przywidzenie. Nawet teraz pokój wydawał się tworem ze snu. W głowie rozbrzmiewały dziwne dźwięki — jazgot piły rżnącej łańcuch, tykanie bomby zegarowej, tik-tak, tik-tak, tik-tak... Ale wiedział, że to tyka tylko w jego własnym umyśle. A jednak... Tik-tak, tik-tak...

Bum!

- Max.
- Prawie przepiłowałem. Trzymaj się.
- Sara...
- Wszystko z nią w porządku.
- Dziecko...
- Bezpieczne w jej łonie. Niedługo będziecie wszyscy razem.

Michael znów spróbował skupić wzrok na twarzy Maxa. Szczupła. Gładko ogolona. Długi nos.

- Nie masz wąsów...
- Bernstein uśmiechnął się krzywo.
- Zgoliłem. Już kończę, prawie, prawie.
- Prawie...
- Jest! — Łańcuch pękł na dwoje. — Możesz wstać?
- No pewnie.

Dźwignął się na kolana, ale w tej samej chwili poczuł gwałtowny zawrót głowy, jakby latał na karuzeli.

- Oprzyj się o mnie — powiedział Max. — Musimy się śpieszyć.

Michael uczeplił się ramienia Bernsteina i wstał. Nogi miał jak z waty, ale zdołał zrobić krok do przodu.

- Świetnie — pochwalił Max. — Niedługo będziemy w domu.

Michael skinął głową.

Ruszyli, ale Bernstein nagle zastygł, bo poczuł, że coś zimnego dotknęło jego szyi. Spojrzał.

Przy gardle miał długie ostrze noża.

Zanim zdążył zareagować, silne ramię objęło go za czoło i szarpnęło do tyłu, przygważdzając mu głowę do klatki piersiowej twardej jak gład. Nie mógł się poruszyć. Ostrze się przesunęło, dotykając krtani i o mało nie przebijało skóry.

- Witam, chłopcy! Jak leci?

Eric Blake podniósł głowę i spojrzął na zegar.

Już czas.

Coś zagnieździło mu się w gardle, ale zdołał przełknąć ślinę. Wygładził kartki leżące na biurku, poukładał równo ołówki i wstał. Zerknął w lustro, poprawił węzeł krawata i lekko przygładził dłońmi włosy. A potem przez długą chwilę wpatrywał się w swoją twarz. Tego dnia wyglądała trochę inaczej. Jakby myśli się uzewnętrzniły, zmieniając odrobinę powłokę.

Wszystko, na co pracowałem, wszystko, co chciałem osiągnąć...

Czy możliwe, że to przepadło?

Wyjął z kieszeni starannie złożoną chusteczkę, otarł czoło i wreszcie ruszył do laboratorium.

— Dzień dobry, doktorze.

— Dzień dobry, siostrze.

Próbował przypomnieć sobie nazwisko pielęgniarki, ale bezskutecznie. Wiedział, że jest najmłodszą i najmniej doświadczoną członkinią zespołu. Zajmowała się wyłącznie nowymi pacjentami i wykonywała najbardziej podstawowe czynności. Tylko jedna pielęgniarka miała dostęp do wszystkich pacjentów i wszystkich pomieszczeń kliniki.

Janice Matley.

Gdy tylko ta myśl pojawiła się w głowie, Blake natychmiast ją odpędził. Nie ma sensu teraz o niej myśleć. Trup to trup. Nic nie przywróci jej do życia. Co się stało, to się nie odstanie.

Eric wszedł do windy i nacisnął guzik. Zaczął się rozglądać, próbując znaleźć coś, co pochłonęłoby jego uwagę. Skupił spojrzenie na tabliczce, na której widniał podpis konserwatora windy. Próbował odczytać nazwisko, ale charakter pisma był trudny do rozszyfrowania — przypominał bardziej wykres EKG. Ten konserwator powinien być lekarzem, pomyślał Eric.

Minutę później stanął przed drzwiami laboratorium. Odezwiał się w nim głos, który chciał uciec przed tą chwilą, gdy już nadeszła, ale ciało samo wmaszerowało do pomieszczenia i podeszło do szarki z dokumentami. Otworzył ją kluczem, wysunął szufladę i wsunął rękę do środka. Wymacał przedmiot. Wziął głęboki oddech, wyciągnął go i spojrzął.

Cisza.

Jego twarz była pozbawiona emocji. Włożył z powrotem szklany przedmiot do szuflady, zasunął ją i zamknął szafkę. Podeszedł do telefonu i wykręcił numer. Odebrano po trzech sygnałach.

Eric odchrząknął.

— Z doktorem Raymondem Markeyem poproszę.

\* \* \*

Spierdoliłem sprawę. Ja, George Camron, spierdoliłem, pomyślał zdumiony.

Nie mógł w to uwierzyć, a jednak dowód trzymał w żelaznym uścisku. Znaleźli Silvermana. Cholera, znaleźli go. A przecież nawet zleceniodawca nie wiedział, gdzie jest przetrzymywany.

Przez cały czas trzymał nóż przy szyi mężczyzny. Gdy ten przełknął ślinę, George poczuł wibracje w ostrzu. Jego umysł miotał się, szukając odpowiedzi, ale bezskutecznie. Spierdolił sprawę. I to bardzo. Ale jak? Kiedy?

Weź się w garść, George. Pokaż, że nadal kontrolujesz sytuację, powtarzał sobie.

Słuchając głosu w swojej głowie, zmusił się do uśmiechu. Był pewien, że uśmiech wyraża pewność siebie.

— Jak się mamy, panowie? — powiedział, utrzymując uścisk i uśmiech na twarzy. — Ładna pogoda, prawda?

Max wzruszył ramionami.

— Dla mnie deczko za ciepło, George — odparł. Ten facet zna moje imię!

— Bardzo mi przykro z tego powodu — skwitował Camron. Próbował zapanować nad głosem, aby nie pojawił się w nim najłżejszy ton paniki. Kropla potu spłynęła mu po szyi pod kołnierzyk koszuli. — Raczysz się przedstawić, zanim urznię ci łeb?

— Porucznik Max Bernstein z nowojorskiej policji. Jesteś aresztowany za...

— Daruj sobie.

Gliniarz! A wygląda jak szczył z uniwersytetu. George nie mógł w to uwierzyć. Wysłali jakiegoś zasmarkanca, żeby złapał George'a Camrona. Niepojęte.

— Muszę cię poinformować o twoich prawach — wyjaśnił Max.

— Rusz się, a zginiesz. — Wciąż trzymając nóż przy szyi Bernsteina, George poluźnił uchwyt i włożył drugą rękę do kieszeni. Wyjął przedmiot, który przypominał mały pilot do telewizora. — Wiesz, co to jest? — spytał, podsuwając przedmiot Maxowi pod nos.

Ten spojrział.

— Będziemy oglądać telewizję? — spytał.

— Bardzo śmieszne, poruczniku — odparł George, ale wcale mu się nie podobała postawa tego gliniarza. Grozi mu nożem, a temu się zebrało na żarty.

On coś wie. Zdaje się, George, że coś przegapiłeś, usłyszał swój wewnętrzny głos.

— Ten guzik — położył palec na przycisku dla wywarcia wrażenia — spowoduje eksplozję ślicznych ładunków wybuchowych. Będzie mnóstwo hałasu. Bum–bum!

Gliniarz wyraźnie się przejął. Zbladł.

— Ładunków?

George machnął ręką z pilotem.

— O tam.

Max pobiegł spojrzeniem we wskazaną stronę.

— O Jezu...

Camron poczuł się zdecydowanie lepiej. I co, mina od razu ci zrzędła, szczyłu.

— No właśnie — potwierdził. — Duża siła rażenia. Pofruniemy wszyscy w strzępach do Singapuru. Jeśli tylko zobaczę, że coś kombinujesz, będzie ładne bum–bum.

Max poruszał gwałtownie oczami, jakby szukał drogi ucieczki.

— Daj spokój, Camron — powiedział, ale z jego głosu zniknęła pewność siebie. — Burdel jest otoczony.

— W takim razie chyba nie mam wyboru — odrzekł George z udawanym żalem. — Muszę odpalić ładunki.

— Zginiesz razem z nami.

— Trudno, nie będę płakał.

— Czeka! — krzyknął Max. W tej samej chwili ostrze zagłębiło się w skórę na jego szyi. Z nacięcia popłynęła krew.

Max zamknął oczy. Nie lubił rozlewu krwi. Zwłaszcza własnej.

— Mam pomysł — powiedział.

— O, a jaki?

— Zróbmy wymianę.

— Jaką wymianę?

— Informacja za wolność. Załatwię wycofanie oskarżeń przeciw tobie, ty za to sypniesz tego, kto cię wynajął.

George znów poczuł przypływ paniki. O swoim pracodawcy wiedział bardzo niewiele. Nie znał nazwiska, adresu, niczego. Jasna cholera! Zdawał sobie sprawę, że powinien wcześniej prześwietlić tego człowieka. Dlaczego odszedł od swoich żelaznych zasad? Idiota. Kolejny głupi błąd.

Co się ze mną dzieje?

Mógł oczywiście blefować. Grać na zwłokę. Wymyślić nazwisko. Kłamać. Ale był realistą. Nie ma szans, żeby Tajowie pozwolili mu się wykręcić sianem — nie po takiej historii. Tajowie to nie Amerykanie. Działają inaczej.

— Żadnych targów — odparł. Niczym wykwalifikowany chirurg podrapał ostrzem nacięcie na szyi. Popłynęło więcej krwi. W jego głowie zaczął się kształtować plan, wspaniały, niezawodny plan. Na twarz powrócił promienny uśmiech. — Ale mam inny pomysł.

— Słucham.

— Pozwolicie mi stąd wyjść. W zamian za to gwarantuję, że nikomu nie stanie się nic złego.

Max pokręcił głową.

— Budynek jest otoczony — odparł.

— O to się nie martw! Poradzę sobie. Zaczekasz pięć minut. Jeżeli ruszysz się przed upływem tego czasu, uruchomię ładunki. Po pięciu minutach jesteś wolny.

— Nie słuchaj go, Max! — odezwał się Michael. Dotąd przez cały czas milczał. — On kłamie.

Bernstein skinął głową, ale wyraźnie się zastanawiał.

— Jaką mam gwarancję? — spytał.

— Daję ci moje słowo honoru — odparł George.

— Max...

— Zgoda, ale pod jednym warunkiem.

— Max, posłuchaj mnie! — krzyknął Michael. — Nie możesz...

— Masz lepszy pomysł? Facet przystawił mi nóż do szyi.

Michael patrzył na Bernsteina.

— Nie wierz mu!

— A jaki mam wybór?

George z przyjemnością słuchał tej wymiany zdań.

— Dobra, nie traćmy czasu — odezwał się wreszcie. — Pod jakim warunkiem?

— Że podasz mi pewne informacje, zanim stąd wyjdiesz.

— Nie ma mowy.

— W takim razie nic z tego.

— Moment, to ja mam nóż i detonator...

— Muszę mieć te informacje. To mój warunek. Muszę. Zależy mi na nich o wiele bardziej niż na schwytaniu ciebie.

George się zastanawiał. W końcu przyznał w duchu, że zleceniodawca spieprzył wszystko popisowo. George nie był mu więc nic winien. Czemu nie sypnąć? Ten gliniarz będzie mniej skłonny do wybryków, jeśli uzna, że dostał użyteczne informacje.

Poza tym porucznik Max Bernstein nie pożyje długo. Tak samo jak Michael Silverman.

— Dobra, pytaj.

— Kto cię wynajął?

— Nie wiem. Dostaję anonimowe telefony.

— Jaki był cel tych zabójstw?

— Cel?

— Dlaczego zabijałeś ludzi z kliniki leczącej AIDS?

— Nie wiem.

— Daj spokój, George. Musisz się bardziej wysilić.

— Zabijam za pieniądze. Im mniej wiem, tym lepiej.

— Jednak na pewno coś wiesz.

— Nic.

— Dlaczego upozorowałeś to na robotę seryjnego zabójcy?

— Bo takie miałem instrukcje. Kazano mi porzucić ich w ten sam sposób. Załatwić tak, żeby było jak najwięcej krwi.

— Dlaczego podrzuciłeś zwłoki Bradleya Jenkinsa pod gejowski bar?

George wzruszył ramionami.

— Zrobiłem, co mi kazano — odparł. W tym samym momencie jego plan ostatecznie się skryształizował. Gdy tylko wyjdzie na ulicę, zdetonuje ładunki. Tym samym zabije Bernsteina i Silvermana i zarazem odwróci uwagę tajskiej policji. — Za to dostaję pieniądze. Choć czasem honoraria spływały z lekkim opóźnieniem. Do wczoraj myślałem, że robi mnie w konia, bo...

— Zabiłeś Bruce'a Greya, pozorując samobójstwo?

— Tak.

— Dlaczego?

— Takie miałem polecenie.

— Czy wszystkie ofiary były okaleczane? — wypytywał Max.

— Tak.

— Zadawałeś wielokrotne ciosy nożem?

— Tak.

— Nikogo nie zabiłeś w inny sposób?

Zniecierpliwiony George westchnął głośno.

— Wszystkich załatwiłem nożem oprócz Greya — odpowiedział.

— A Riccarda Martina?

— Nigdy o kimś takim nie słyszałem.

Max zastygł.

— Dlaczego porwałś Michaela? — spytał po chwili.

George wywrócił wymownie oczami.

— A skąd mam wiedzieć, do cholery? Dostałem rano telefon z poleceniem, żeby jeszcze tego samego dnia zwinąć Silvermana. No to go zwinąłem. Przekupiłem kumpla na cle, załadowałem koszykarza do samolotu transportowego i przylecieliśmy. Poruczniku, nie lubię się powtarzać, więc powiem ostatni raz: nie wiem i nie obchodzi mnie, dlaczego zleceniodawca kazał mi to robić.

— Jakie były ostatnie polecenia?

— Miałem wysadzić budynek i wypuścić Silvermana na wolność.

— Jaki budynek?

— Magazyn.

— Magazyn kliniki — odezwał się znowu Michael. — Przepadłaby cała praca laboratoryjna Harveya.

— Dosyć tego, wychodzę — powiedział George. — Ale zanim to zrobię, pozwolę sobie przypomnieć, że kciuk cały czas trzymam na przycisku detonatora. Jeśli zaczniecie strugać bohaterów, nacisnę. Jeśli gdzieś tam czeka snajper, żeby mnie zdjąć, to niech lepiej strzela celnie, żeby umarł od razu. Bo inaczej mój kciuk będzie w robocie. Rozumiemy się?

Max skinął głową.

— Świetnie — skwitował George. — A teraz cię puszczę. Nie ruszaj się stąd przez pięć minut.

Pchnął Bernsteina pod ścianę. Ten potknął się i upadł. Dźwignął się na kolana i odwrócił.

— Ostatnie pytanie! — krzyknął.



— Koniec pytań, poruczniku. Żegnam. I pamiętaj! — George pomachał detonatorem. — Bum–bum.

— Ostatnie!

— Żegnam — powtórzył George i ruszył do drzwi.

Max sięgnął do buta i wyszarpnął pistolet. Nigdy wcześniej nie robił tego na służbie, więc był zdziwiony płynnością swoich ruchów.

— Czy mógłbyś podnieść ręce.

George miał ubawioną minę.

— Kpisz sobie?

— Ręce nad głowę, no już!

Parsknął śmiechem.

— Dalej, strzelaj! Wysadzę cały ten kurewski burdel pod samo niebo.

— Nie wysadzisz.

— A niby dlaczego?

Max się uśmiechnął.

— Bo znowu schrzaniłeś robotę, panie Camron.

Uśmiech spłynął z twarzy George'a.

— O czym ty gadasz? — spytał.

— Rozłączyłem ładunki przed twoim przyjściem.

Rozdziawił usta.

— To była bardzo prymitywna robota — ciągnął Max. — Żadnej podpuchy, niczego. Każdy półgłówek rozbroiłby to w dwie sekundy. Fuszerka.

George pokręcił głową.

— Tajowie dawno by tu wpadli, gdyby to była prawda — powiedział.

— Myślą, że ładunki są wciąż uzbrojone. Umyślnie ich nie zawiadomiłem.

— Dlaczego?

— Bo gdyby tu wbiegli, ktoś mógłby zginąć — odparł Max. — Najprawdopodobniej ty. A ja musiałem najpierw wyciągnąć od ciebie informacje.

— Kłamiesz.

— No to wysadzaj, skoro kłamię. Naciśnij ten guzik. Ale gdy tylko to zrobisz, będę miał powód, żeby cię załatwić. Tak czy owak, zginiesz. — Max wycelował. — No, dawaj. Powiedziałeś mi wszystko, co wiesz. Jesteś już dla mnie bezużyteczny. Naciskaj!

To koniec. Spieprzyłem wszystko. Naprawdę spieprzyłem, pomyślał George.

Jego umysł miotał się dziko, szukając jakiegokolwiek deski ratunku.

— Jeśli się poddam, to czy zostanę ekstradowany do Stanów? — spytał niepewnie.

— Tak.

Może uda mi się jeszcze wytargować jakiś układ. Amerykanie będą chcieli mieć kogoś, kto będzie zeznawał przeciw zleceniodawcy. Wciąż mam pewne cenne informacje. Nie pierwszy raz puściliby zabójcę, bo chcą dorwać grubszą rybę, rozmyślał gorączkowo.

— Dobra — rzekł. — Proszę. — Wyciągnął rękę, żeby oddać detonator.

— Nie chcę tego — odparł Max. — To teraz kawał szmelcu. Wyjmij nóż i połóż go na podłodze. A potem ręce do góry.

Max podniósł żaluzje w oknie.

W ciągu kilku sekund do pokoju wpadli policjanci. Skuli George'a kajdankami i zabrali go na parter. Max doskoczył do detonatora. Wziął go ostrożnie, jakby był wykonany z drogiego kryształu.

— Max — odezwał się Michael.

— Tak?

— Ty się w ogóle nie znasz na materiałach wybuchowych, prawda?

— Ani trochę — odparł Max, nie podnosząc wzroku.

Z okna kliniki Harvey oglądał kolejny wschód słońca. W nocy zdołał przespać kilka godzin na kanapie, ale obudził się z silnym bólem głowy. Dlaczego, tego nie wiedział. Może to niepokój? Cierpliwość, cecha niezbędna w profesji lekarza, nigdy nie była jego silną stroną. A teraz stawka gry astronomicznie wzrosła. Tego dnia coś się wydarzy, był pewien. Coś bardzo ważnego.

Przesyłka od Bruce'a...

Niedługo powinna nadejść, to tylko kwestia czasu. Starał się opanować ekscytację i podenerwowanie. Ciągłe próbował sobie wmówić, że przesyłka nie zawiera nic ważnego. Bruce przecież mógł ją nadać z kilku powodów. Na przykład: chciał...

Czego chciał?

Harvey wyteżał umysł, ale nic rozsądnego nie przyszło mu do głowy.

Pomasował skronie, próbując się rozluźnić, ale coś jeszcze nie dawało mu spokoju, coś, co mogło się okazać ważniejsze od przesyłki. Nie chciał o tym myśleć, w ogóle nie brał takiej ewentualności pod rozwagę. A jednak trudno było zaprzeczyć faktom. Eric Blake pobrał Michaelowi krew, mimo że miał wyraźny zakaz zbliżania się do niego. Dlaczego to zrobił? Zawsze był formalistą i starannie przestrzegał zasad. Dlaczego tym razem postąpił inaczej?

Pytania budzące strach. Odpowiedzi mogą być jeszcze gorsze.

Spojrzał na zegarek. Niedługo miał zjawić się Eric. Wtedy się z nim rozmówię, pomyślał Harvey.

Zaterkotał interkom.

— Poczta dla pana, doktorze.

— Proszę.

Do gabinetu wszedł pracownik firmy kurierskiej UPS. Drżącą ręką Harvey poświadczył podpisem odbiór przesyłki. Zamknął drzwi na klucz po wyjściu mężczyzny i położył przesyłkę na biurku. Czuł drżenie serca i oddychał niespokojnie. Otworzył przesyłkę i zaczął czytać.

\* \* \*

— Zmęczony? — spytał Max.

Michael podniósł wzrok z polowego łóżka. Jeszcze kilka godzin wcześniej był więźniem George'a Camrona. Teraz z Maxem i tajskim lekarzem znajdował się w odgradzonej części samolotu lecącego gdzieś nad Pacyfikiem.

— Raczej przejęty — odparł.

— Nie dziwię ci się. — Max włożył ołówek do ust i zaczął go gryźć. — Właściwie to lepiej, że Sary nie było w domu. Takie rzeczy powinno się mówić w oczy, a nie przez telefon.

Michael usiadł z wyraźnym trudem.

— Ryzykownie zagrałeś — powiedział. — Ostry blef.

— A miałem inny wybór? Gdybym pozwolił Camronowi odejść, wysadziłby nas w powietrze.

— Wiem, ale mimo to...

— Poza tym wcale tak dużo nie zrobiłem. Pozwoliłem tylko, by sam podjął decyzję, czy będzie żył, czy zginie.

— Jak to?

— Nie przyszło mu do głowy, że zaryzykuję i wyjmę broń — wyjaśnił Max. — Był pewien, że tego nie zrobię. Ale gdy to zrobiłem, nie miał już wyboru. Gdyby nacisnął guzik,

zginąłby. Albo w wyniku wybuchu, albo od mojego strzału. A George Camron nie chciał umierać. Proste jak drut.

Michael pokiwał głową.

— A jak twoja szyja?

Max dotknął opatrunku.

— Lekka rana — odparł. — Ale było ostro.

— Możesz mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

— Spróbuję.

— Dlaczego mnie porwano?

Max zaczął się przechadzać po wąskim przejściu. Zrelacjonował szczegółowo wszystkie ustalenia w sprawie Homorozpruwacza. Michael wpatrywał się w niego przez cały czas. Nie okazał emocji nawet wtedy, gdy usłyszał o udziale swego teścia w waszyngtońskiej zмовie.

— No więc jak myślisz, kto za tym stoi? — spytał w końcu.

— Nie wiem.

— Sanders i pozostali? Wydaje się, że są najlepszymi kandydatami.

Max poruszał głową w tył i w przód jak wahadło.

— I tak, i nie — odpowiedział. — Moim zdaniem to jednak nie Sanders ani jego konspiracja *per se*. Gdyby chciał mordować, żeby zniszczyć klinikę, nie musiałby tak komplikować sprawy. Wystarczyłoby zabić dwóch lekarzy albo wysadzić Sidney Pavilion w powietrze.

— Co znaczy „konspiracja *per se*”?

— Że być może za tym wszystkich stoi jeden z nich, a nie cała grupa. Markey, Jenkins albo twój teść.

— Ale jaki mieliby motyw?

— Nie wiem.

— Wcześniej wspominałeś, że kolejność zabójstw nie była przypadkowa.

Max skinął głową.

— Może to nic nie znaczy, ale ta sprawa nie daje mi spokoju. Było sześciu wyleczonych pacjentów. — Wyjął kartkę i zaczął pisać:

S. Trian

W. Whitherson

R. Martino

T. Krutzer

P. Leander

A. Singer

— A Bradley Jenkins? — spytał Michael.

— Nie był wyleczony, więc na razie go wyłączmy. — Max puknął palcem w kartkę. — W tym porządku przyjęto ich do kliniki. Trian, Whitherson i Martino, a więc ofiary Homorozpruwacza, trafili do kliniki rok, półtora roku przed Krutzerem, Leanderem i Singerem. Whitherson był pierwszym przyjętym pacjentem.

— Kolejność zabójstw była inna — wskazał Michael. — Najpierw zginął Trian.

— To prawda, ale podstawowe pytanie brzmi: dlaczego zabito pierwszych trzech wyleczonych pacjentów, a nie ostatnich?

Michael zamyślił się na moment.

— Może morderca nie zdążył zabić wszystkich, bo ukrył pozostałych — zasugerował.

— Może, ale szef George'a musiał chyba przewidzieć taką ewentualność. Kazał mu zaaranżować morderstwa w taki sposób, by wyglądało to na robotę seryjnego zabójcy. Wszystko było tak oczywiste, że byle kretyn zorientowałby się, iż chodzi o wyleczonych

pacjentów kliniki. Musiał wiedzieć, że się pokapujemy i że nie zdąży zabić wszystkich sześciu, chyba że...

— Chyba że wcale nie chciał zlikwidować całej szóstki — dopowiedział Michael.

— No właśnie.

— Co więc odróżnia pierwszych trzech od trzech ostatnich?

— Bardzo ciekawe pytanie. Przyjrzyjmy się im dokładnie.

Przez następną godzinę Max przeglądał dokumentację medyczną, a Michael obserwował go z łóżka.

— Ciekawe — mruknął wreszcie.

— Co?

— To Bruce Grey przyjął Triana, Whithersona i Martina do kliniki.

— Myślisz, że to ma znaczenie?

Wzruszył ramionami i przekreślił kartkę.

— Jest coś jeszcze.

— Co?

— Twój kumpel Eric Blake zaczął pracować w klinice już po przyjęciu Whithersona, Triana i Martina, ale przed przyjęciem Krutzerera, Leandera i Singera.

— No i co z tego?

— Nie wiem. Jeszcze nie wiem.

— To kto przyjął ostatnich trzech?

Max zerknął do dokumentów.

— Harvey — odparł.

— Wszystkich trzech?

— Tak.

— Eric nikogo nie przyjął?

— Nie, nigdy. Występował w roli asystenta.

— Znalazłeś coś jeszcze?

Max wciąż wertował kartki.

— Zobaczmy, jak wyglądały badania krwi — powiedział.

— Dobrze.

— No więc... Na początku Trian, Whitherson i Martino zostali zbadani przez Greya. Oznaczałoby to, że potem przejął ich Harvey. Że to on badał, czy przestali być nosicielami wirusa.

— I co?

Przez kilka minut rozlegał się szelest kartek.

— No tak, zgadza się — rzekł Max. — To Harvey robił późniejsze badania. A teraz sprawdźmy, czy Grey badał w drugiej kolejności pacjentów przyjętych przez Harveya. — Znow zaczął wertować dokumenty. Wreszcie skończył i odłożył całość na bok.

— No i? — spytał Michael. Max spojrzał na niego.

— Bruce Grey zrobił badania — powiedział. — Zezwolił nawet, by Blake pobrał krew Krutzerowi i Leanderowi, żeby wszystko było bez zarzutu.

— A więc zgodnie z zasadami.

Max kiwnął głową.

— Najwyraźniej.

Chwytał ołówek i pośpiesznie narysował tabelkę:

<u>Pacjent</u>	<u>Pierwsze badanie krwi</u>	<u>Drugie badanie</u>
S. Trian	Grey	Riker
W. Whitherson	Grey	Riker

R. Martino	Grey	Riker
*T. Krutzer	Riker	Grey
*P. Leander	Riker	Grey
*A. Singer	Riker	Grey

\* pacjenci przyjęci do kliniki po dokooptowaniu Erica Blake'a

— I co? — spytał znowu Michael.

— Nic, wszystko w porządku. Idźmy dalej.

Michael usiadł. Tajski lekarz, doktor Sombat, przyglądał mu się uważnie.

Wciąż rozmyślając o rotacjach przy pobieraniu krwi, Michael napisał kolejne nazwiska na drugiej kartce:

Raymond Markey, zastępca sekretarza DZiOS  
senator Stephen Jenkins  
dr John Lowell

Sombat wstał i podszedł do nich.

— Przepraszam, ale pan Silverman musi wypoczywać — powiedział. — Ostatnie wydarzenia bardzo go osłabiły.

— Nic mi nie jest — zaproponował Michael.

— Nie, nie, doktor ma rację — rzekł Max. — Odpocznij. Okropnie wyglądasz.

— Za bardzo się denerwuję.

Taj wyjął strzykawkę.

— Dam panu zastrzyk, to pomoże. Proszę się położyć i nie ruszać.

Po chwili Michael zasnął. Max wciąż wpatrywał się w nazwiska widniejące na kartce. Markey, Jenkins i Lowell. Brzmiało to jak nazwa nowojorskiej kancelarii prawniczej.

\* \* \*

Sara pokuśtykała przez drzwi, podpierając się mocno laską. Wcisnęła odtwarzanie automatycznej sekretarki. Rozległ się szum. Pierwsi dwaj dzwoniący nie zostawili żadnej wiadomości. Potem nagrał się Harvey:

— Cześć, Saro. Zadzwoń do mnie do kliniki w wolnej chwili. To dość ważne. Na razie.

Wyciągnęła rękę, żeby podnieść słuchawkę, ale w tej samej chwili zaterkotał telefon. Odebrała.

— Halo.

— Sara? Mówi Jennifer Riker.

— Witaj! Jak się masz?

— Dobrze, dziękuję. — Zapadło krótkie milczenie. — Słuchaj, czy wiesz coś...

— Nie — ucięła szybko Sara.

— Czy mogę jakoś pomóc?

— Chyba nie. Wszystko będzie dobrze.

— Mam nadzieję, że ta przesyłka, którą wysłałam Harveyowi, na coś się przyda.

— Jaka przesyłka?

— Nic ci nie mówił?

— Telefonował do mnie i zostawił wiadomość, żebym się z nim skontaktowała, ale nie zdążyłam.

— Bruce wysłał przesyłkę na adres skrytki pocztowej w Kalifornii tego samego dnia, kiedy popełnił samobójstwo. To pewnie bez znaczenia...

— Jaką przesyłkę?

— Z dokumentacją medyczną i próbkami krwi. Harvey powinien to dzisiaj dostać.

— Dziękuję, że do mnie zadzwoniłaś, Jennifer. Przepraszam, że nie mogę gadać dłużej, ale...

— Rozumiem, nie przejmuj się. Na razie. Życzę powodzenia.

Sara rozłączyła się i natychmiast zadzwoniła do kliniki.

— Poproszę z doktorem Rikerem — powiedziała. — Mówi Sara Lowell.

— Akurat ma obchód, proszę pani. Wysłać wiadomość na pager?

— Nie, proszę mu tylko przekazać, że jestem w drodze do kliniki.

— Oczywiście, przekażę. Do widzenia.

Sara chwyciła laskę i ruszyła do drzwi.

\* \* \*

Lotnisko Kennedy'ego. Nowy Jork. Sierżant Willie Monticelli pokazał odznakę, wszedł do samolotu i ruszył do odgradzonej części kadłuba.

— Cześć, Tik.

— Cześć, Willie.

— Ambulans gotowy.

— Media coś zwąchały?

— Na razie nie. Możemy go po cichu przenieść do ambulansu. Na dworze jest ciemno jak cholera. Nikt nas nie zauważy.

— Udało ci się namierzyć Sarę? — spytał Max.

— Jest w klinice.

— Rozmawiałeś z nią?

Monticelli pokręcił głową.

— Przecież zakazałeś — odparł.

Max zaczął się przechadzać.

— W porządku — rzekł. — Pojadę z Michaelem i doktorem.

— Lepiej zmień plany.

— Dlaczego?

— Był telefon z biura koronera. Podobno Ralph Edmund ma dla ciebie istotne informacje w sprawie Riccarda Martina. Powiedział, że z pewnością chciałbyś je usłyszeć. Czeka na ciebie w kostnicy.

Max poczuł znajomy dreszcz podekscytowania. Jeśli jego podejrzenia są słuszne...

— Dobra, doktor Sombat zaopiekuje się Michaelem w drodze do szpitala — powiedział pośpiesznie. — A ty, Willie, wieź mnie migiem do kostnicy.

Monticelli się uśmiechnął.

— Do usług, panie poruczniku — odrzekł.

\* \* \*

— Jesteśmy na miejscu.

— Dziękuję.

Susan Grey zapłaciła taksówkarzowi. Po (zbyt) długiej nieobecności wróciła wreszcie z synem do domu. Do miasta. Do ludzi. Tu jest prawdziwe życie. Stęskniła się za tym wszystkim, dlatego skrócili wakacje o dwa dni. Na początku spacerów po lesie sprawiały im przyjemność, a nawet ulgę. Ale szybko im się znudziły. Oboje byli tak wielkimi

mieszczuchami, że po chwili zaczęło im brakować starej dobrej cywilizacji. Tak, amerykańskiej cywilizacji. Elektryczności. Ciepłej wody. Mężczyzn bez bród. Kobiet, które golą nogi. Telewizora. Kolejnych edycji *Koła fortuny*. Reklam. Kolorowych czasopism. Pogawędek, w których nie pojawiałyby się wyrażenie „panie dzieju”.

Ale chwile spędzone w zaciszu poskutkowały. Nie mając nic innego do roboty, Susan i Tommy musieli stawić czoło swoim problemom. Rozmawiali. O samobójstwie Bruce’a. O życiu. Wciąż daleko było do ideału, ale przynajmniej wrócili na drogę prowadzącą do normalności. Chłopak przestał obwiniać matkę za śmierć ojca.

Gdybym jeszcze sama przestała siebie obwiniać, pomyślała.

Tommy chwycił walizkę.

— Ja poniosę, mamó — powiedział z uśmiechem. Uśmiech ten, tak bardzo podobny do uśmiechu jego ojca, wzruszył ją do żywego.

— Dziękuję, skarbie.

Tommy podszedł z walizką do drzwi.

Dlaczego akurat Bruce? Nie miał skłonności samobójczych. Dlaczego się zabił? Dlaczego zostawił syna?

Susan zadawała sobie te pytania setki razy, ale nie potrafiła wymyślić żadnej odpowiedzi. Sądziła, że nigdy nie zrozumie, że pewnego dnia przestanie pytać i zacznie żyć dalej.

Dlaczego...?

Weszli do mieszkania.

— Jennifer! — krzyknęła Susan.

— To wy?! Już wróciliście?!

— Tak, lasy zaczęły się nam dawać we znaki! Jakies nowiny w cywilizowanym świecie?!

Jennifer nie odpowiedziała. Wyłoniła się z kuchni i spojrzała na nich oboje. Susan była wstrząśnięta wyglądem siostry: ziemista twarz i głębokie cienie pod oczami, które patrzyły, jakby od tygodnia nie zaznały snu. Do tego przygarbiona sylwetka.

W lewej dłoni trzymała białą kopertę.

— Jen, co się stało?

Jennifer wyciągnęła rękę.

— To do ciebie — powiedziała.

Susan wzięła kopertę i spojrzała na nią. O mało nie krzyknęła z rozpacz, gdy zobaczyła znajomy charakter pisma.

Zabiję ich oboje w laboratorium.

Żałuję, że nie ma innego sposobu. Nie jestem mordercą. Nie sprawia mi to przyjemności. Brzydzę się tym. Boję się. Ale czy mam wybór?

Nie.

Ręce mi drżą niepohamowanie. Wszystko poszło źle. Mój plan powinien być prosty i precyzyjny. Ale przekombinowałem. Przeszarżowałem. Wciągnięcie Michaela było nieuchronne, ale należało przewidzieć konsekwencje. Teraz jestem przyparty do muru i mogę zrobić tylko jedno.

Znowu zabić.

Czuję mdłości, ale wiem, co mam zrobić. Nie ma odwrotu. Za późno, trzeba brnąć dalej. Trzeba poświęcić życie kolejnych dwóch osób — lekarza i pięknej kobiety. Wtedy wszystko się uspokoi. Wszystko się ułoży.

Muszę zachować koncentrację. Muszę pamiętać, po co to wszystko robię. Muszę się wyzybyć sentymentalizmu. To trudne, ale będę musiał zrobić wszystko sam. Tym razem żaden George Camron mnie nie wyręczy. Krew niewinnych splami moje ręce. Krew kobiety i dziecka w jej łonie.

Dość!

Muszę myśleć o pozytywnych stronach, o celu, który mi przyświeca. O moich marzeniach. Poza tym to się obróci na korzyść Sary Lowell. Bo gdy już umrze, przestanie cierpieć. W tym znajduję pociechę. Sara Lowell jest silna i w przeszłości pokonywała najtrudniejsze przeszkody. Ale nigdy dotąd nie przeżyła takiego koszmaru, jaki ją czeka.

Naprawdę nigdy nie chciałem zabijać niewinnych ludzi. Ale spójrzmy na listę nazwisk:

Bruce Grey  
Janice Matley  
Michael Silverman

A do tego teraz dołączą dwa kolejne nazwiska.  
Czekam w laboratorium.

\* \* \*

Zapukała do drzwi.

— Proszę! — krzyknął Harvey.

Nacisnęła klamkę i weszła do gabinetu. Znów powitał ją zmęczony uśmiech.

— Cześć, Saro. Jakież wieści od porucznika Bernsteina?

— Na razie żadnych. Odsłuchałam twoją wiadomość na automatycznej sekretarce.

— To dobrze.

— Domyślam się, że dzwoniłeś w sprawie przesyłki od Bruce'a?

Kiwnął głową.

— A co, Jennifer ci mówiła? — spytał.

— Tak, rozmawialiśmy z godzinę temu. Masz ją?

— Owszem, nadeszła z samego rana.

— I?

Westchnął przeciągle.

— Nie wiem — odpowiedział. — Na razie nic nie wiem. Przeglądałem te papiery przez kilka godzin i nie wiem, co o tym sądzić.



— Mogę to zobaczyć?

— Oczywiście, proszę bardzo. — Przesunął plik dokumentów po biurku w stronę Sary. — To cała zawartość przesyłki. Sześć kompletów.

— Na temat sześciu wyleczonych pacjentów?

Znów pokiwał głową.

— W przesyłce były też próbki z krwią w styropianowych pojemniczkach. Po dwie próbki od każdego pacjenta. Jedna oznaczona A, druga B.

Sara przebiegła wzrokiem po dokumentach na temat Triana i Whithersona.

— Co znaczy ostatni zapisek? — spytała.

— Chodzi ci o „DNA. A kontra B”? Nie wiem, dla mnie to też zagadka.

Przewertowała pozostałe dokumenty.

— Wszędzie jest ten zapisek — stwierdziła.

— Wiem, ale nie mam pojęcia, co to znaczy. Bardzo dziwne. Domyślam się, że A i B dotyczą par próbek. Ale nie wiem, co DNA ma z tym wspólnego.

Sara oparła się ciężko na krześle i zamknęła oczy. DNA. Nagle objawiło się wspomnienie z siłą bokserkiego ciosu. Zerwała się z krzesła.

— Harv, pamiętasz morderstwo Betsy Jackson sprzed paru lat?! — krzyknęła.

— Chodzi o sprawę męża, który zamordował żonę rzeźnickim nożem?

— Tak. W całym kraju się o tym mówiło, bo zrobiono badania DNA. Na miejscu zbrodni znaleziono ślady krwi grupy B minus. Taką krew miał właśnie mąż Betsy Jackson, Kevin. Ale jego adwokaci stwierdzili, że tę grupę ma wielu ludzi, więc to żaden dowód.

— Tak, pamiętam. Zdaje się, że testy DNA wykazały, iż to jednak mąż był sprawcą.

— No właśnie. Kiedy adwokat Jacksona próbował obalić wiarygodność badań, prokuratura udowodniła, że ich niezawodność wynosi dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek siedem dziesiątych procent.

— No dobrze, ale co to ma wspólnego z dokumentami Greya?

— Może Bruce chciał porównać dwie próbki krwi tego samego pacjenta, żeby się przekonać, czy są identyczne.

— Ale po co?

— Nie wiem — odparła Sara. — Może miał powody sądzić, że krew w próbkach A jest inna od tej w próbkach B. Może podejrzewał, że ktoś gmerał...

— Rany, przyhamuj, Saro. Przecież tłumaczyłem tobie i Bernsteinowi, że badania krwi zawsze wykonywało dwóch lekarzy. Zatem podmiany byłyby niemożliwe.

— No niby tak, ale różnie chyba bywało, prawda? Eric na przykład pobrał Michaelowi krew bez twojej wiedzy.

— I co z tego?

— To, że mógł tak robić częściej. Tak samo Bruce.

— W jakim celu?

— Nie wiem, ale to musi się jakoś łączyć. Po pierwsze, Bruce wysłał do siebie próbki krwi z instrukcjami na temat badań DNA. A potem Eric pobiera krew Michaelowi, wyraźnie łamiąc twoje polecenie.

— No dobrze, ale co z tego? Nie sugerujesz chyba, że Eric jest zamieszany w to wszystko?

— Niczego nie sugeruję — odrzekła Sara. — Jedyнным sposobem jest zbadanie kodu DNA w tych próbkach krwi. Gdzie one są?

— Próbki? W laboratorium.

— Czy Eric ma klucz do laboratorium?

— Oczywiście.

Sara poczuła ciarki na plecach.

— Jest w tej chwili w klinice? — spytała bezbarwnym głosem.

— Tak.

— Widziałeś go?  
— Owszem, jakiś czas temu. Bo co?  
Przełknęła ślinę.  
— Spytałeś, dlaczego pobrał Michaelowi krew bez twojego pozwolenia?  
— Tak. Powiedział, że musiał w ten sposób zweryfikować przebieg leczenia.  
— I co, uwierzyłeś mu?  
Spojrzał na nią zdziwiony.  
— A dlaczego miałem nie uwierzyć?  
— Czy wcześniej też robił takie rzeczy?  
Zapadło milczenie.  
— Nie — odparł Harvey po chwili. — Nigdy.  
Sara wstała.  
— Chodźmy do laboratorium.  
— Po co?  
— Bo być może Eric niszczy w tej chwili dowody!  
— Dowody? O czym ty mówisz?  
— O próbkach krwi! Dlaczego Bruce wysłał je pocztą na kilka godzin przed śmiercią? Bo są ważne! Harvey, posłuchaj. Ktoś zamordował Bruce'a, żeby dostać tę przesyłkę.  
Rozdziawił usta.  
— Cholera! — krzyknął nagle i skoczył do drzwi.  
— Co się stało?  
Odwrócił się od drzwi.  
— To straszne — rzekł. — Eric jest w tej chwili w laboratorium.

\* \* \*

Gdy Max wszedł do kostnicy, Ralph Edmund stał nad jakimiś zwłokami, zajadając *souvlaki*.

— Willie mówił, że chcesz pogadać — powiedział.  
Edmund podniósł głowę. Sos wylał się z pity i spłynął po dłoni w rękawiczce.  
— Podaj serwetkę, Tik.  
— Gdzie są?  
Wskazał łokciem, ratując rozpadającą się potrawę.  
— Tam, w dolnej szufladzie. Szybko, bo to gówno pospada na tego faceta.  
Max wyjął serwetki i podał je Ralphowi, odwracając wzrok od postaci leżącej nieruchomo na stole. Nie lubił trupów, a w tym miejscu nawet pobieżny widok denata przyprawiał o mdłości. Ofiara wypadku bez twarzy. Bezdomny objedzony przez szczury. Dziecko, które wypadło z czwartego piętra.  
— Masz — mruknął Edmund. Podał Maxowi *souvlaki* i wziął serwetkę.  
— Ralph...  
— Dobra, dobra, już się uwijam. — Wytarł ręce i odebrał z powrotem jedzenie. — Dzięki.  
— Willie mówił, że wiesz coś ciekawego na temat zabójstwa Riccarda Martino — powiedział Max, wciąż powstrzymując się przed zerknięciem na zwłoki.  
Ralph wziął kolejny kęs i skinął głową.  
— Kiedy najpierw poprosiłeś, żebym zrobił badania, nie widziałem w tym sensu. No bo było jasne, że Martino zmarł z przyczyn niezwiązanych z AIDS.  
— Wiem.  
— Choroba nie miała nic wspólnego z jego śmiercią. Ale potem zobaczyłem program w telewizji. No wiesz, mówiono, że Martino i pozostali mieli wyniki ujemne. I wtedy sobie pomyślałem, że możesz mieć rację.

— Ralph, nie mam czasu. Mów, czy Martino miał HIV, czy nie?  
 Edmund się uśmiechnął.  
 — Miał — odpowiedział.  
 — Jesteś pewny?  
 — Tak, jestem pewny, bo wyniki są pewne. Zrobiłem dwa razy *western blot* i ELISA. Sprawdziłem też liczbę limfocytów T. Niebezpiecznie niska.  
 — A więc...  
 — Riccardo Martino miał AIDS.  
 Max poczuł, że nogi się pod nim uginają.  
 — Gdzie jest telefon? — spytał.  
 — Tam.  
 Podbiegł, chwycił słuchawkę i zadzwonił do policyjnej kryjówki.  
 — Słucham.  
 — Zry?  
 — Tak, to ja.  
 — Zrobiłeś Krutzerowi, Leanderowi i Singerowi badanie krwi?  
 — Tak, wszystko się zgadza — odparł lekarz.  
 — Czyli są wyleczeni?  
 — Tak. Wynik ujemny w każdym przypadku.  
 — Jesteś pewny?  
 — Oczywiście. Krutzer, Leander i Singer zostali wyleczeni z AIDS. To cud, Tik.  
 — Jak oni wyglądają według ciebie?  
 — Całkiem zdrowo. Oprócz tego że jest kilka skutków ubocznych zażywania SR—jeden.  
 Max się rozłączył. W głowie miał natłok myśli. Wszystkie informacje wirowały w jego umyśle jak konfetti, ale po raz pierwszy potrafił je uporządkować, ułożyć w spójną całość. Pierwsi trzej wyleczeni pacjenci. Badania krwi. Pacjenci Greya. Pacjenci Rikera. Eric Blake. Sanders. Ojciec Sary. Senator. Markey. Badania krwi, te cholerne badania krwi. Wynik dodatni u Martina. Krutzer, Leander, Singer z wynikiem ujemnym.

Badania krwi.

Max kolejny raz prześledził w myśli historię pacjentów. A potem wyjął z kieszeni tabelkę, którą sporządził w samolocie.

<u>Pacjent</u>	<u>Pierwsze badanie krwi</u>	<u>Drugie badanie</u>
S. Trian	Grey	Riker
W. Whitherson	Grey	Riker
R. Martino	Grey	Riker
*T. Rrutzer	Riker	Grey
*P. Leander	Riker	Grey
*A. Singer	Riker	Grey

\* pacjenci przyjęci do kliniki po dokooptowaniu Erica Blake'a

Odłożył kartkę. Czuł się tak, jakby próbował przeczytać napis na obracającej się płycie gramofonowej. Michael jako królik doświadczalny Markeya. Ten wieczór, kiedy dokonano porwania. Eric Blake pobierający krew w czasie wizyty Sary i Reece'a Portera. Sara jadąca windą na drugie piętro. Wioząca wiadomość od Blake'a. O mało nie pokrzyżowała planów George'owi i jego pracodawcy. A Camron mówił, że honoraria napływały z opóźnieniem, że wszystkie pieniądze dostał dopiero w ostatnich dniach...

— O nie.

Ogarnął go lodowaty strach. Ralph wziął następny kęs.

— Sprawa Homorozpruwacza robi się coraz bardziej niesamowita, co nie, Tik?

Max powoli pokręcił głową.

— Nie — odparł. — Wręcz przeciwnie. Po raz pierwszy zaczyna wyglądać sensownie.

Edmund wcisnął resztkę jedzenia do ust i oblizał palce.

— Wiesz, kto zabił tych facetów? — spytał.

Max kiwnął głową i pobiegł do drzwi.

— Teraz już tak! — krzyknął.

\* \* \*

Sara kuśtykała, próbując dotrzymać Harveyowi kroku. Czuła bolesne rwanie w nodze, a serce tłukło się jej w piersi jak ptak w klatce. Powodem był strach, nie zmęczenie. Zerknęła na Harveya. Miał napiętą twarz, zaciśniętą szczękę i patrzył uporczywie przed siebie.

— Mówiłeś mu o przesyłce? — spytała.

Kiwnął niepewnie głową.

— Tak, miał przygotować badania.

Na te słowa oboje przyspieszyli kroku. Sara z największym trudem utrzymywała tempo. Właściwie już nie kuśtykała, tylko wykonywała dziwne skoki na zdrowej nodze.

Harvey przystanął przed drzwiami do laboratorium.

— W porządku? — spytał.

— Tak — odparła.

Skinął głową i nacisnął klamkę. Drzwi ani drgnęły.

— Zamknięte — stwierdził.

— To normalne?

— Nie, jeśli Eric jest w środku.

Sięgnął do kieszeni, wyjął klucz i wsunął go do zamka. Sekundę później drzwi otworzyły się z żalostnym skrzypnięciem.

— Eric! — krzyknął Harvey.

Cisza. Żaluzje były zaciągnięte, a światła pogaszone. Całe laboratorium spowijał mrok.

Harvey zapalił światło. Pomieszczenie natychmiast oblał blask jarzeniówek.

— Jasna cholera! — prychnął Harvey, podchodząc do stołu.

— Co się stało?

— Próbkki zniknęły! Zostawiłem je tutaj.

Zajrzał pod blat i popatrzył dokoła. Nic.

— Saro, zajrzyj do chłodni. Ja sprawdzę szafkę Erica.

— Myślałam, że szafki z dokumentami są zamykane na klucz.

— Owszem, zamierzam wyłamać ten cholerny zamek.

Sara pokuśtykała obok stołów laboratoryjnych, mijając palniki Bunsena, probówki, dużą tablicę przedstawiającą układ okresowy pierwiastków, stołki, niezliczone wykresy i świstki papieru. Laboratorium bardziej przypominało szkolną klasę do nauki przedmiotów ścisłych niż supernowoczesny ośrodek badawczy. Mimo to panowała w nim profesjonalna atmosfera. Wszystko było nieskazitelnie czyste. Mikroskopy i inne urządzenia sprawiały wrażenie zaawansowanego technicznie, kosztownego sprzętu.

Stała przed chłodnią i zerknęła przez ramię. Harvey znalazł metalową linijkę i przy jej użyciu próbował wyważyć zamek. Słyszała jego postękiwania, gdy się natężał. Spojrzała na chłodnię. Miała nadzieję, że probówki są w środku. Miała nadzieję, że podejrzenia względem Erica Blake'a są niesłuszne. Że on nie zrobił nic złego. Że nadal jest ich przyjacielem...

Klamka była zimna. Chwyliła ją i nacisnęła. Zasyczała izolacja i ze środka buchnęło lodowate powietrze. Sara znowu poczuła ciarki na plecach. Otworzyła drzwi na oścież, zrobiła krok do przodu i zajrzała w głąb.

Wciągnęła gwałtownie powietrze w płuca. Stała jak sparaliżowana.

W jej gardle zrodził się krzyk, ale z ust wydobyło się jedynie dziwne nieludzkie charczenie. Patrzyła przed siebie szeroko otwartymi oczami.

Na podłodze leżały w niedbałej pozie zwłoki Erica Blake'a.

Upłynęła prawie cała minuta. Wreszcie oderwała wzrok i spojrzała do tyłu na Harveya. Patrzył na nią, celując z pistoletu. Na jego twarzy nie malowała się panika ani zaskoczenie, tylko wyczerpanie, udreka i poczucie klęski — jakby był człowiekiem, który złapał gumę w drodze do pracy. Westchnął ciężko, zamknął drzwi wejściowe i spróbował się uśmiechnąć.

— Nie zdążyłem go przenieść — wyjaśnił.

Kolana jej drżały. Wciąż patrzyła na białą kopertę, na której widniało jej własne imię napisane ręką Bruce'a.

— Zobacz z drugiej strony — powiedziała Jennifer.

Susan odwróciła kopertę.

### OTWORZYĆ W RAZIE MOJEJ ŚMIERCI

Osunęła się ciężko na kanapę, wpatrując się w słowa.

— Drugi list pożegnalny?

— Nie wiem.

— Mamo...

— Chodź ze mną, Tommy — powiedziała Jennifer i pchnęła lekko chłopca w kierunku drzwi. — Idziemy do kuchni.

Została sama. Znowu spojrzała na przód koperty.

### SUSAN

Zmarły mąż napisał jej imię dużymi literami. Widok znajomego charakteru pisma rozdarł jej serce. Owszem, miała zdjęcia Bruce'a, miała nagrania z jego głosem, a nawet taśmy wideo, na których został uwieczniony. Ale w charakterze pisma było coś tak osobistego, tak intymnego, tak niesamowitego, że na moment odwróciła wzrok.

Odgarnęła długie brązowe włosy i rozdarła niezdarnie kopertę. Ze środka wysunęło się kilka białych kartek, które sfrunęły na podłogę. Susan podniosła wszystkie i rozłożyła. Zaczęła czytać, z każdą chwilą otwierając coraz szerzej oczy:

Droga Susan,

skoro czytasz ten list, to znaczy, że moje podejrzania się potwierdziły. Przez ostatnie dwa tygodnie miałem nadzieję, że po prostu zachowuję się jak paranoik albo zwyczajnie zwariowałem. Modliłem się, by się okazało, że nie mam racji. Z wahaniem wysłałem do Ciebie ten list, bo tym samym narażam Cię na niebezpieczeństwo. Pewni ludzie nie zawahają się zabić, żeby przejąć tę przesyłkę. Zabili już dwie osoby (trzy, bo ja też już nie żyję). A wszystko z powodu tego, co dzieje się w klinice.

Chciałbym Ci poradzić, co zrobić z tą przesyłką, ale nie wiem. Prawdopodobnie powinienem być pójść do Narodowego Instytutu Zdrowia albo do mediów, pokazać to, co mam, ale bałem się następstw. Sądziłem, że poradzę sobie sam. Teraz widać wyraźnie, że się myliłem. Ale gdybym poszedł do mediów i ujawnił prawdę, byłaby to woda na młyn naszych wrogów, zacofańców, którzy chcą nam odebrać fundusze na walkę z AIDS. Teraz to Ty musisz podjąć decyzję.

Kiedy wszystko zaczęło iść źle? Nie wiem. Kiedy powziąłem podejrzania? To też trudne pytanie. Chyba po pierwszym morderstwie, kiedy zabito Scotta Triana. Ale bardziej prawdopodobne, że jednak później, gdy w podobny sposób zginął William Whitherson. Kolejność tych morderstw wydała mi się bardzo dziwnym zbiegiem okoliczności. Harvey i Eric postrzegali to inaczej. Obawiali się, że ktoś atakuje naszych wyleczonych pacjentów. Ja zauważyłem coś jeszcze, coś bardzo nietypowego — pogorszenie zdrowia u Triana i Whithersona. Wszyscy zakładaliśmy, że cierpią z powodu skutków ubocznych SR-1, ale jeśli było inaczej? Jeśli ich dolegliwości miały związek z AIDS?

Zginęli i zostali pochowani, nie było więc już sposobu, żeby to sprawdzić. Spytałem Harveya, co o tym sądzi, ale mnie zbyt. To było do niego niepodobne. Uparłem się, ale im bardziej nalegałem, tym bardziej nieprzyjemny stawał się Harvey. Pytał, po czyjej stronie. I dodawał, że jeśli uważam, iż lek nie skutkuje, to powinniśmy ponownie przebadać Krutzera, Leandera i Singera.

Zrobiłem to. Z ulgą przekonałem się, że wynik badania na nosicielstwo HIV jest ujemny. A więc byli wyleczeni! Sęk w tym, że nie leczylimy ich tak długo jak Triana i Whithersona. To nie dawało mi spokoju. Chciałem znowu porozmawiać o tym z Harveyem, ale się rozmyśliłem. Był nakręcony, bo zasugerowano cięcia w naszym budżecie. Członkowie rady nadzorczej chcieli nas dopaść jak stado sępów padlinę. Rywalizacja o fundusze jest niewiarygodna. Więcej czasu spędzamy na wrywaniu środków finansowych niż na leczeniu pacjentów — hańba, ale tak właśnie wygląda rzeczywistość.

Postanowiłem więc działać za plecami Harveya. Pobrałem krew pacjentowi, który nazywał się Riccardo Martino (jego dokumenty znajdziesz w przesyłce). Potem zrobiłem badanie. Kiedy dostałem wyniki *western blot* i ELISA, chciało mi się krzyczeć. Wynik na nosicielstwo HIV był dodatni. Martino miał AIDS. Spanikowałem i pobiegłem do Harveya, żeby przekazać mu złą nowinę. Ale coś mnie powstrzymało. Jego bezgraniczne oddanie dla sprawy zawsze mnie onieśmiało. Teraz po raz pierwszy zacząłem się go bać. Planowano obcięcie naszych funduszy, a zdawałem sobie sprawę, że Harvey gotów jest zrobić wszystko, by klinika działała nadal. Do czego był zdolny się posunąć?

Wszedłem spokojnie do jego gabinetu i spytałem, kiedy zamierza znowu przebadać Martina. Powiedział, że już to zrobił i że wyniki powinny być następnego dnia. Oczywiście tej nocy nie zmrużyłem oka. Rano pobiegłem do laboratorium, sprawdziłem kod Martina i próbkę krwi. Wyobraź sobie moje zdumienie, gdy zobaczyłem, że zarówno *western blot*, jak i ELISA dały wynik ujemny, nie dodatni.

Jak to możliwe? Czy w którymś badaniu popełniono błąd? Czy SR-1 działa, czy nie? Czy to skuteczny lek prowadzący do wyzdrowienia, czy tylko usypia wirusa na pewien czas? I dlaczego zamordowano Scotta Triana i Williama Whithersona? Czy chodzi o zniszczenie kliniki? Czy to po prostu straszliwy zbieg okoliczności? Co się dzieje?

Zbadałem Krutzera, Leandera i Singera i okazało się, że są wyleczeni. To nie ulegało wątpliwości. Więc czego się bałem? O co podejrzewałem Harveya? Że fałszował wyniki badań niektórych pacjentów? To bez sensu. Poza tym większość badań przeprowadzał Winston O'Connor. Czasem Eric. Harvey rzadko kiedy zajmował się pracą w laboratorium.

Trochę to trwało, droga Susan, ale w końcu rozszyfrowałem, co się dzieje. Dowód zbrodni popełnionych przez Harveya znajduje się w tej przesyłce.

Samolot podchodzi do lądowania, więc muszę kończyć. Może to zabrzmieć melodramatycznie, ale nie wiem, co się wydarzy, gdy stanę na ziemi. Z tego powodu pominę długie wyjaśnienia i dam Ci kilka konkretnych wskazówek. W kopercie są moje prywatne zapiski na temat pacjentów. Oraz próbki krwi z naszego magazynu w Bangkoku. Zasady wymagały, by wszystkie materiały były pakowane po każdym badaniu przez Erica Blake'a albo Winstona O'Connora. Zauważ, że są po dwie próbki od każdego pacjenta, oznaczone A i B. Próbką A pochodzi z okresu, kiedy pacjenta przyjęto do kliniki (stąd wynik badania na nosicielstwo jest dodatni). Próbką B pochodzi z okresu, kiedy nastąpiło wyleczenie (dlatego wynik badania jest ujemny). Poproś kogoś, komu ufasz, by zrobił badania DNA tych próbek. Jeśli wyniki nie będą się zgadzać, wszystko stanie się jasne.

Samolot wylądował. Nie wiem, czy Harvey działa w pojedynkę, czy ktoś mu pomaga. W głowie mi się nie mieści, by własnoręcznie zadźgał Triana i Whithersona, zakładam więc, że ma współnika. Jestem pewien, że wziął mnie na cel. Dlatego dziś wieczorem się ukryję. Jutro rano stawię mu czoło w klinice, przy świadkach, więc będę bezpieczny. Ponieważ czytasz ten list, znaczy to, że gdzieś jednak się przeliczyłem. Wiedz, że Cię kocham, Susan. I bardzo żałuję, że tak cierpiałas przeze mnie. Powiedz Tommy'emu, że zawsze będę go kochał i mimo wszystko zawsze z nim będę.

Żegnaj,  
Bruce

Siedziała nieruchomo przez bardzo długą chwilę. Nie było potrzeby ponownego czytania listu.

— Susan.

Odwróciła się do siostry.

— Bruce napisał tu o jakiejś przesyłce — powiedziała.

— Tak, wysłałam ją wczoraj do Harveya. Uważał, że może być ważna.

Susan usiadła prosto.

— Czy ktoś jeszcze o tym wie? — spytała.

— Tylko Sara. Jest teraz u Harveya.

\* \* \*

— Bardzo mi przykro, Saro — powiedział, przekładając broń z lewej do prawej ręki. — Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem przemieszonym ze zgrozą.

— Ty?!

— Tak.

— Mordowałeś własnych pacjentów?

— Nie mordowałem — zaprzeczył. — Zmuszony byłem ich poświęcić. Nie jestem potworem.

Zerknęła przez ramię na nieruchomą postać.

— Powiedz to Ericowi.

Na zmęczonej twarzy Harveya znów pojawił się uśmiech.

— Nie rozumiesz, Saro.

Milczała.

— Od początku to była mozolna walka. Wpływowi ludzie chcieli nas wdeptać w ziemię. Nie wyobrażasz sobie, przez co musieliśmy przejść, żeby znaleźć środki na otwarcie tej kliniki.

— Zabiłeś własnych pacjentów — powtórzyła nieobecny głosem.

— I tak umierali.

— Umierali?

— Owszem. Na AIDS.

Chwila ciszy.

— Przecież byli wyleczeni.

— Nie — odparł Harvey, uśmiechając się smutno. — Proszę cię. Znasz mnie od dawna. Nie jestem złym człowiekiem. Chcę, byś to zrozumiała, zanim...

— Zanim co?



— Tak mi przykro. Żałuję, że nie ma innego sposobu. Gdy tylko Jennifer powiedziała ci o przesyłce, decyzja została podjęta. Ją bez trudu przekonam, że zawartość przesyłki nie ma nic wspólnego z Homorozpruwaczem. Ale ty uparłaś się na badanie DNA.

— Chcesz mnie zabić.

Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

— Będziesz musiała się poświęcić, owszem.

— I moje dziecko też zabijesz?

Skrzywił się.

— Żałuję, że muszę to zrobić, naprawdę — przekonywał. — Widzisz, AIDS to choroba niepodobna do innych.

W jednej chwili cały świat się tym interesuje, ale już w następnej wszyscy mają to gdzieś. Musiałem znaleźć sposób, by narobić dużego szumu.

— SR—jeden nie skutkuje, prawda? Nigdy nie skutkowało. To wszystko było jednym wielkim kłamstwem.

— W trakcie eksperymentów na zwierzętach skutkowało w stu procentach. Nawet Agencja do spraw Żywności i Leków to przyznała. Kłopot w tym, że nie potrafiliśmy sprawić, by lek tak samo działał w przypadku ludzi. Ale to wyłącznie kwestia czasu, gdy...

— A więc los Michaela jest przesądzony.

Harvey pokręcił głową.

— Jestem już tak blisko, Saro, tak cholernie blisko. Potrzebowałem tylko odrobinę więcej czasu, żeby dopracować skład. Ale tamci nie zamierzali przedłużyć dofinansowania. Sanders i jego banda już by się o to postarali. Planowano zablokowanie naszych środków. Więc potrzebowałem przełomu. Sposobu, by dostać pieniądze.

— Sfałszowałeś lek?

— To było łatwe. To ja pobierałem krew Trianowi, Whithersonowi i Martinowi. Trzeba było tylko podmienić próbówki. Podstawić krew kogoś, kto nie miał HIV. Wszystko potoczyło się idealnie.

— W takim razie dlaczego ich zamordowałeś?

— Bo umierali — odpowiedział Harvey. — W wyniku podawania SR—jeden wirus popadał w swoistą remisję, ale w dalszej perspektywie okazywało się, że leczenie nawet przyspiesza postęp choroby. Przez chwilę mogłem udawać, że są to skutki uboczne, ale co potem? Musiałem się pozbyć dowodów. I tak zmarli na AIDS za miesiąc lub dwa.

— A więc kazałeś ich zamordować.

Pokręcił głową.

— Nie kazałem George'owi nikogo mordować. Po prostu kazałem mu przyspieszyć nieuchronny koniec.

— Nie mieści mi się to w głowie.

— Zrobiłem to dla ich dobra, Saro. Nie dla siebie.

— Dla ich dobra?! — spytała z niedowierzaniem. — Zabrałeś im ostatnie, najcenniejsze chwile życia!

— Nie chciałem, żeby umarli na próżno. Chciałem, żeby ich śmierć miała sens. Żeby przysłużyła się walce z AIDS.

— Co ty pieprzysz?!

Oczy mu płonęły.

— Chodzi o rozgłos, Saro. Media nie skupiają się długo na wynalazkach medycznych. Ale gdy się dorzuci Homorozpruwacza, to szast—prast, cały kraj się tym interesuje. Spójrz na *NewsFlash*. Pamiętasz? Parker dłużej gadał o Homorozpruwaczu niż o AIDS. Morderstwa poruszyły obywateli tak bardzo, że nawet Sanders mi zazdrościł. Od czasu emisji w telewizji napływa do nas rekordowe wsparcie finansowe. Nie tylko dlatego, że jesteśmy o krok od wynalezienia leku, ale także dlatego, że ludzie byli oburzeni tymi morderstwami.

Sara ścisnęła mocno łaskę w dłoni.

— Ty obłąkany skurwysynu — syknęła.

— Wcale nie jestem obłąkany. Myślę bardzo racjonalnie. Patrzę na to wszystko jako na bilans strat i zysków. Trian, Whitherson i Martino mieli umrzeć straszną śmiercią. W bólach. Zamiast tego zginęli bezboleśnie, jednocześnie przyczyniając się do wynalezienia leku na AIDS.

— Okaleczanie i tortury nazywasz bezbolesną śmiercią?

Uśmiech spłynął z twarzy.

— To miało być inaczej — odparł szybko Harvey. — Samowola George'a. Gdy tylko się o tym dowiedziałem, kazałem mu przestać. To był błąd.

— A Bruce i Janice Matley? Kolejne błędy?

— Nigdy nie chciałem zrobić im krzywdy. Bruce odkrył prawdę. Musiałem go uciszyć. George zabił Janice, kiedy się na niego natknęła, gdy szedł do Michaela. To były wypadki. Opłakuję ich bardziej niż ktokolwiek inny. Nie mogę spać z powodu tego, co się z nimi stało. Ale muszę być nieczuły na własny ból. Kiedy myślę o celu, do którego dążę, kiedy myślę o wynalezieniu leku na AIDS, wtedy uświadamiam sobie, jak niewiele znaczy życie paru osób. Nie chodzi przecież o to, że uratujemy od śmierci kilkuset zarażonych. Chodzi o ocalenie setek tysięcy, a może milionów!

Patrzyła na niego przerażona.

— Dlatego można się było ich pozbyć, tak?

— Wiem, że to brzmi okrutnie, ale taka jest prawda.

— Cel uświęca środki?

— Jeśli cel jest tak doniosły jak lek albo szczepionka przeciw AIDS, to oczywiście uświęca środki. Nie poświęciłabyś jednej osoby, żeby uratować tysiąc? Gdybyś mogła się cofnąć w czasie, to czy nie zamordowałabyś Hitlera, żeby uratować sześć milionów Żydów?

— Nie przyrównuj niewinnych ofiar do Hitlera!

— Nie o to chodzi, dobrze o tym wiesz. Mówię o realiach życia i śmierci. Czasem niewinni muszą cierpieć, taka jest rzeczywistość. Ale jeśli będziemy mogli wykorzystać AIDS, to przecież śmierć garstki ludzi stanowi bardzo niską cenę. Przecież każdy szlachetny człowiek powinien być gotów do poświęcenia swojego życia dla uratowania tysięcy.

— Dlaczego kazałeś zabić Bradleya Jenkinsa? Nie był jednym z rzekomo wyleczonych pacjentów.

— Bo umierał i bałem się, jak zareaguje jego ojciec. Zmarłby w trakcie leczenia. To mogło się okazać katastrofalne dla kliniki.

— Dlatego go poświęciłeś?

— Nie tylko dlatego — odrzekł Harvey. Zamilkł i westchnął przeciągle. Próbował znowu się uśmiechnąć, ale jego oczy pozostały smutne. — Bradley był trzecim gejem zabitym przez Homorozpruwacza, pamiętasz? Na śmierć pierwszych dwóch, Triana i Whithersona, media prawie w ogóle nie zwróciły uwagi. Dlaczego? Bo nikogo to nie obchodziło. Trian i Whitherson byli po prostu parą nieznanymi pedziów. Nawet gdyby zabito dziesięciu Trianów i Whithersonów, i tak nikt by się tym nie zainteresował. Ale kiedy Homorozpruwacz zabił syna senatora Stanów Zjednoczonych, kiedy zwłoki Bradleya znaleziono na tyłach gejowskiego baru, wtedy media podchwyciły temat. Jesteś dziennikarką, Saro. Zastanów się nad tym. Kiedy media zainteresowały się tą sprawą? Dopiero gdy został zabity Bradley Jenkins! Wtedy zaczęło rosnać społeczne współczucie. Musiałem tylko pokazać światu związek tych morderstw z kliniką.

— Wtedy ja byłem ci potrzebna.

— Tak.

— Dałam się nabrać na twoje brednie. Połknęłam haczyk.

— Pomogłaś mi sfinansować klinikę.

— To dlaczego zabiłeś Erica?

— Bo on też zrobił się podejrzliwy. Gorzej, zdobył dowody, bo pobrał Michaelowi krew. Próbowałem mu przemówić do rozsądku. Próbowałem wyjaśnić, dlaczego to wszystko było konieczne. Ale nie słuchał. Telefonował wcześniej do Markeya i zamierzał mu donieść o wszystkim. Musiałem to przerwać, zanim Markey by oddzwonił.

Skołowana Sara pokręciła głową.

— Co ma z tym wspólnego próbka krwi Michaela? — spytała.

Harvey zbliżył się do niej o kilka kroków. Chwycił stołek, usiadł na nim i nachylił się do przodu.

— To proste — odrzekł. — Michael nie ma AIDS.

Poczuła bolesny ucisk w sercu. Przez chwilę nie mogła oddychać.

— Co?! — wykrztusiła.

— Znowu podmianka, tylko odwrotnie. Zastanów się. Żeby wykazać, że Trian, Whitherson i Martino są wyleczeni, zamieniłem ich zawirusowaną krew na zdrową. W przypadku Michaela zrobiłem odwrotnie. Zamieniłem jego zdrową krew na krew zawirusowaną HIV. W efekcie tego zdiagnozowano u niego AIDS, którego nie miał.

— A symptomy? Bóle brzucha i żółtaczka?

— Faktycznie ma zapalenie wątroby. Wiesz, jak łatwo zarazić kogoś tą chorobą? Wystarczy ukłuć zakażoną igłą. Pamiętasz, kiedy przed paroma miesiącami przyszedł do ranie, bo miał grypę? Dałem mu wtedy zastrzyk. A igła była brudna.

— Ty chory skurwysynu...

— Potem czekałem na pojawienie się symptomów. Gdyby się nie pojawiły, co czasem się zdarza, znalazłbym inny sposób, żeby odkrył swoją chorobę. Która okazałaby się oznaką nosicielstwa wirusa HIV. Michael nie jest ani gejem, ani narkomanem, ale transfuzja krwi na Bahamach posłużyła za odpowiedni pretekst, by go przebadać. Nie wzbudziło to większych wątpliwości.

Słowa Harveya były jak grad ciosów padających ze wszystkich stron.

— Jak mogłeś?! — wrzasnęła. — Po co?! Dlaczego?!

— Dlaczego ukartowałem chorobę Michaela? Przecież to oczywiste.

Miała sparaliżowane struny głosowe, więc pokręciła tylko bezradnie głową.

— Pamiętasz, gdy zdiagnozowaliśmy, że Michael jest chory na AIDS? — spytał. — Powiedziałem mu wtedy, że spoczywa na nim wielka odpowiedzialność. Że powinien się z tym ujawnić. Że może otworzyć oczy wielu ludzi, którzy ignorują zagrożenie, bo uważają AIDS za chorobę gejów. Zdrowy, przystojny, sławny koszykarz pokroju Michaela mógł nadać rozgłos tej sprawie, skupić na niej uwagę milionów ludzi. Dla świata jest księciem z bajki. Dla mnie był połączeniem Rocka Hudsona i Ryana White'a. Mógł edukować ludzi. Wystarczyło jego nazwisko, by znalazły się środki finansowe na wiele lat moich badań.

Trawiona gniewem Sara jeszcze mocniej ścisnęła laskę.

— Był twoim przyjacielem.

— Czy ty nie rozumiesz? Przecież okazało się, że mam rację. Michael osiągnął to wszystko, a nawet więcej. Dodatkową zaletą okazało się to, że jest heteroseksualistą oraz mężem pięknej Sary Lowell. Wszystko poszło wyśmienicie, mimo że Sanders usiłował obrzucić go błotem, przekupując jego ojczyma.

— Ty bezduszny skurwielu! — krzyknęła. — A potem co? Chciałeś go wyleczyć i zostać cholernym bohaterem?!

— Nie chodzi o mnie. Nigdy nie chodziło o mnie. Zawsze chodziło o klinikę, o wynalezienie leku na AIDS.

— Jak mogłeś? — syknęła. — Michael cię kocha!

Spojrzał na nią osobliwie.

— A ja kocham jego — odpowiedział. — Wolałbym uciąć sobie obie ręce, niż go skrzywdzić, wiesz o tym. Ale co by to dało? Potrzebowałem kogoś takiego jak on. Poza tym zastanów się. Czy to była taka wielka ofiara? Nie miał AIDS. Wcześniej wykryte zapalenie wątroby nie jest niebezpieczne. Jego życiu nic nie zagrażało. Owszem, na chwilę musiał się rozstać z koszykówką, ale co z tego? I tak już kończył karierę. A nawet jeśli nie, to zapłacił niewysoką cenę, a zrobił mnóstwo dobrego.

— Jesteś obłąkany.

— Saro, nie słuchasz mnie.

— Nie chcę cię słuchać. Chcę ci wydrapać oczy. Chcę ci przetrząść kark moją laską.

Podniósł rękę z pistoletem.

— Ostrzegam...

— Mój ojciec miał rację co do ciebie.

— Że?

— Jesteś taki jak on, tylko jeszcze gorszy. Zaślepiiony. Nie chcę więcej słuchać, jak mordowałeś jednych ludzi, a drugim wywracałeś życie do góry nogami. Chcę wiedzieć, gdzie jest mój mąż.

Spochmurniał.

— Nie planowałem, żeby George porwał Michaela. Zamierzałem potrzymać go w klinice jako pacjenta przez miesiąc albo dwa, a potem leczyć go ambulatoryjnie, żeby mógł żyć w miarę normalnie. Za mniej więcej rok, kiedy lek na AIDS stałby się faktem, zrobiłbym mu badanie na nosicielstwo i ogłosił, że jest wyleczony. Ale ktoś wlaź mi w paradę.

— Kto?

— Sanders ze swoimi spiskowcami.

— Co oni mają wspólnego z Michaeliem?

— Po programie w telewizji Markey przyjechał do kliniki, pamiętasz? Władze chciały mieć dowód, że SR—jeden to skuteczny lek. Przyszło im do głowy, że potraktują Michaela jako modelowego pacjenta i od samego początku będą monitorować postępy w jego leczeniu. Pamiętasz, jaki byłem wnerwiony? Wrzeszczałem, że biurokraci chcą zastopować moje badania. Ale tak naprawdę...

— Bałeś się, że się zorientują w twojej mistyfikacji.

Kiwnął głową.

— Wystarczyło, żeby raz przebadali Michaela na nosicielstwo, a wszystko runęłoby jak domek z kart. Co gorsza, nazajutrz Markey chciał przysłać do kliniki swoich ludzi. Jaki miałem wybór? Musiałem się pozbyć Michaela. Kazałem George'owi go porwać.

— Gdzie on teraz jest?

Harvey nie odpowiedział. Wpatrywał się w pistolet.

— Muszę cię zabić, Saro. Przykro mi.

— Jaki masz plan tym razem? Jak wytłumaczysz moją śmierć? I Erica?

— Och, to nie będzie trudne. Eric zabił cię, bo odkryłaś prawdę o nim. A potem uciekł. Zniknął.

— Jaką prawdę?

— Że to on stał za Homorozpruwaczem. Po pierwsze, zdemaskuję zмовę Sandersa. Cassandra będzie tak zrozpaczona z powodu twojej śmierci, że na pewno zgodzi się pójść mi na rękę. Przekonanie mediów, że Eric działał na rzecz Sandersa, nie będzie nastroczało większych problemów. Media to podchwycą, przedstawią Sandersa i jego ludzi jako wpływowych ultrakonserwatywnych świętoszków, którzy chcieli zniszczyć małą niewinną klinikę. Pieniądze od społeczeństwa popłyną szeroką strugą. — Odbezpieczył pistolet. — Policja będzie szukała Erica. Być może nawet znajdą jego zwłoki. Nie wiem. Jeśli tak, wszyscy pomyślą, że współspiskowcy się go pozbyli, by ich nie wyspał. Media uwielbiają takie historie.

Sara patrzyła na Harveya z nienawiścią.

— Nigdy nie uda ci się powiązać morderstw z grupą Sandersa — powiedziała.

— Nie będę musiał. Wystarczą spekulacje.

— Max dowie się prawdy.

— Przeceniasz go. Wszystkie dowody zostały zniszczone. Zabiłem Martina za pomocą cyjanku. Zniszczyłem próbki krwi z przesyłki Bruce'a. Nikt i nic nie powiąże mnie z tymi zabójstwami. Nikt oprócz ciebie.

W jej umyśle kłębiło się tysiąc pytań, ale jedno przesłaniało wszystkie inne:

— Gdzie jest Michael?

Harvey wstał i zrobił krok do przodu.

— Kiedy zorientowałem się, że Bernstein wie o George'u, zrozumiałem, że złapanie go to tylko kwestia czasu. Musiałem pozacierać ślady. Dlatego kazałem George'owi zniszczyć nasz magazyn w Bangkoku. Czyli zrobić to, o co też mogłem obwinie pravicowych spiskowców.

Znowu się uśmiechał, a jego oczy płonęły obsesyjnie.

— Nie dostrzegasz ironii tej sytuacji? — spytał. — Wszyscy myślą, że pacjentów mordowali faszyci, którzy chcą zastopować wynalezienie leku na AIDS. A przecież jest odwrotnie. Dzięki morderstwom nie można udowodnić, że nie ma leku na AIDS.

Wbiła w niego zabójcze spojrzenie.

— Co się stało z Michaeliem?

Uśmiech znowu zniknął. Harvey opuścił wzrok.

— Nie żyje — odparł. — George go zabił. Błagałem, żeby tego nie robił, ale się rozłączył i...

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Doktorze Riker!

Pielęgniarka.

Harvey popatrzył na Sarę. Jego twarz wyrażała nagłą panikę.

— Jeśli zawołasz, ją też zabiję — szepnął.

Znowu pukanie.

— Doktorze!

— Jestem w trakcie badania! — odrzyknął łamiącym się głosem. — Coś ważnego?

— Tak!

— Chwileczkę!

Odwrócił się do Sary. Do jej dużych zielonych oczu napłynęły łzy. Nie było już w nich dezorientacji ani przerażenia, tylko rozpacz i nienawiść.

— Włącz do chłodni — rozkazał.

— Zabiłeś Michaela.

Spojrzał na broń, a potem na Sarę.

— Nie zmuszaj mnie, żebym zabił też pielęgniarkę.

Zdawała sobie sprawę, że nie jest to pusta pogróżka.

— Rzuć laskę na podłogę i cofnij się!

Nie odrywając od niego wzroku, upuściła laskę i powoli ruszyła tyłem w kierunku chłodni. Po chwili trąciła coś stopą i z uczuciem odrazy uświadomiła sobie, że potknęła się o zwłoki Erica Blake'a.

— Pomieszczenie jest dźwiękoszczelne, więc krzyki nic nie pomogą — powiedział Harvey. — Lepiej nie wciągaj w to kolejnych ludzi. Zginęło już dość niewinnych osób.

Gdy zatrzasnął drzwi i zamknął je na kłódkę, natychmiast owionęło ją przenikliwe zimno. Potem Harvey przeszedł przez laboratorium i otworzył drzwi wejściowe. Wyszedł na korytarz i zamknął je za sobą.

— O co chodzi? — spytał.

— Michael Silverman wrócił — powiedziała podekscytowana pielęgniarka. — Jest tutaj!

- Słucham?
- Właśnie przywieźli go z Bangkoku.

\* \* \*

Syreny wyły.

- Szybciej, Willie.
- Jezu, Tik, przecież nie mogę taranować samochodów!
- To jedź chodnikiem.
- Masz! — krzyknął Monticelli, podając mu ołówek.
- Co?
- Possij sobie tego smoczka i opowiedz spokojnie, co się stało.
- Jestem idiotą, oto, co się stało — odparł Max, rzucając ołówek na podłogę. — Ciągłe zastanawiałem się nad tym, kto chce zniszczyć klinikę. To przesłoniło mi wszystko inne. Nie dostrzegałem oczywistości.

- Czyli?
- Morderstwa działały na korzyść kliniki, a nie na jej niekorzyść.
- Co ty wygadujesz, do cholery?
- Właśnie dostałem wyniki badań. Riccardo Martino był dodatni. Krutzer, Leander i Singer są ujemni.

- Mówże po ludzku.
- Martino miał AIDS. Pozostali trzej nie mają.
- Myślałem, że Martino został wyleczony tym cudownym lekiem.
- SR—jeden to nie żaden cudowny lek. Nie działa. Harvey Riker wszystko ukartował.
- Szef kliniki?!
- Max pokiwał głową.
- Najpierw myślałem, że to jego asystent Eric Blake.
- A dlaczego zmieniłeś zdanie?
- Z powodu wydarzeń tego wieczoru, kiedy porwano Michaela. Sara wychodziła z kliniki do domu, gdy nagle wpadła na Blake'a. Szedł właśnie na górę, żeby zostawić wiadomość. Sara zaproponowała, że zrobi to za niego. On się zgodził.

- I co z tego?
- Gdyby to on stał za porwaniem, nie pozwoliliby Sarze pojechać na górę. Sam by to zrobił.

- Wy tłumacz mi to do końca, Tik. Ten Riker udawał, że wynalazł lek?
- Tak.
- Ale przecież tam pracował nie tylko on. Mówiłeś, zdaje się, że inni lekarze też robili badania.

— Owszem, ale spójrz, jak się zmieniali. Ofiarami zabójstw byli Trian, Whitherson i Martino. Wszystkich trzech do kliniki przyjął Bruce Grey. To znaczy, że to on pobierał im krew. To on zdiagnozował u nich AIDS i przyjął ich na leczenie. Potem pałeczkę przejął Riker. Pobrał krew i na tej podstawie ustalono, że są wyleczeni. Z pewnością przyniósł do laboratorium krew kogoś innego. Kogoś, kto nigdy nie miał AIDS. Dlatego w badaniach wyszedł wynik ujemny. A więc ci ludzie rzekomo pozbyli się choroby. Cud.

— Ciągłe nie rozumiem. Przecież Bruce Grey też chyba badał później niektórych pacjentów, co? Poza tym sam powiedziałeś, że ci trzej, których pilnuje teraz Zry, są wyleczeni.

Michael się uśmiechnął.

- Krutzer, Leander i Singer nie są wyleczeni — odparł. — Są zdrowi. Bo nigdy nie mieli AIDS.

— Że jak?

— Wszystkich trzech do kliniki przyjął Harvey Riker. Co zrobił? Podmienił próbki krwi na samym początku. Tyle że tym razem odwrotnie. Zdrową krew zamienił na krew ludzi chorych na AIDS.

— A to pierdolony skurwysyn! — krzyknął Willie. — A więc wyglądało, że mają AIDS, chociaż nie mieli?

— Zgadza się. Potem Riker zapewne wstrzyknął im jakieś drobne wirusy, żeby wyglądało, że naprawdę są chorzy. Kiedy nadeszła pora, Bruce Grey wykonał badania krwi. Ponieważ nigdy nie mieli AIDS, okazało się, że wirus zniknął. Zostali wyleczeni. Na niby.

— Kurewsko niewiarygodne. Kiedy zacząłeś to składać w całość?

— Gdy George Camron poskarżył się, że dostawał pieniądze z opóźnieniem. W tamtej chwili nie zwróciłem na to większej uwagi, ale potem mnie to zastanowiło. Dlaczego tak nagle mu zapłacono? Skąd jego pracodawca tak szybko wykombinował gotówkę? Wtedy przypomniałem sobie moje podstawowe pytanie: kto odnosi z tego korzyści. Kto ma dobrą prasę? Kto wywierał presję na przeciwników, żeby przyznawali kolejne środki finansowe?

— Klinika.

Max skinął głową.

— Był wielki społeczny odzew na program *NewsFlash*. Forsa poszła na konto kliniki.

— Riker wykorzystał te pieniądze, żeby płacić Camronowi?

— Część. Camron powiedział poza tym, że nie zabił Martina. Znowu mnie to zastanowiło. Kto miał najlepszą okazję, by go zabić? Riker stwierdził, że widział go żywego jako ostatni. Prawdopodobnie wstrzyknął mu cyjanek kilka minut przed tym, gdy O'Connor dał mu w łeb.

— A motyw? — spytał Monticelli. — Po co robił to wszystko?

Max zamyślił się na moment.

— Altruizm, choć bardzo zwyrodniały — odparł. — Riker uznał, że znajdzie lek na AIDS. Rozpaczliwie usiłował walczyć o fundusze dla kliniki, ale po pierwszym roku działalności z pewnością uświadomił sobie, że potrzebuje jakiegoś dużego sukcesu, bo w przeciwnym razie dofinansowanie się skończy. Wtedy wymyślił fałszywy lek. Zdawał sobie zarazem sprawę, że byle badanie ujawni prawdę o stanie Triana, Whithersona i Martina. I że ci trzej prędzej czy później umrą. Zatem musiał znaleźć innych pacjentów, którzy potwierdziliby skuteczność leku. Pacjentów, których badania dadzą wynik ujemny, gdy władze się nimi zainteresują. Dlatego przyjął Krutzerę, Leandera i Singera.

Willie wyprzedził gwałtownie ciężarówkę.

— Ładna historia, Tik — stwierdził. — A masz dowody?

— Będę miał. Problemem dla Rikera okazał się magazyn w Bangkoku. Wszystkie materiały laboratoryjne były natychmiast pakowane przez Erica Blake'a albo O'Connora i wysyłane do Tajlandii. Gdyby Riker próbował przechwytywać te przesyłki, wzbudziłby podejrzenia. Ale nie przejmował się tym zbytnio. Uznał, że w razie czego zawsze może zniszczyć magazyn z całą zawartością, zanim ktokolwiek pozna prawdę.

— I to właśnie chciał zrobić, tyle że zapuszkowałeś Camrona.

Max znowu skinął głową.

— Ludzie pułkownika T pilnują tego budynku przez cały czas. Kiedy zbadamy przechowywane próbki krwi, okaże się, że krew pobierana po przyjęciu do kliniki należy do innej osoby niż krew po tak zwanym wyleczeniu. Dlatego właśnie Riker wolał mieć ten magazyn daleko stąd. Konkretnie w Bangkoku. Daleko od domu, a jednocześnie w mieście George'a Camrona. Markey i inni przedstawiciele władz nie mogliby łatwo znaleźć tego magazynu. A gdyby bardzo im na tym zależało, wystarczyło kazać George'owi, żeby go zniszczył.

— A więc sprawa jest rozwiązana.

— Mam nadzieję.

- Czy Riker wie, że depczesz mu po piętach?
- Wątpię.
- No to się uspokój. Zaraz będziemy na miejscu.
- Nie rozumiesz, Willie.
- Czego?
- Max się nachylił i podniósł ołówek z podłogi.
- Sara jest z nim teraz.

\* \* \*

Zimno.

Obejmowała się ramionami, ale to niewiele pomogło. Lodowate powietrze przenikało przez skórę do szpiku kości. Zakaszła. Spojrzała na Erica. Leżał zwinięty, w pozycji płodu. Miał zamknięte oczy, a w szyi ranę postrzałową. Zastanawiała się, jak umarł Michael. Czy go torturowano, czy śmierć nadeszła szybko i bezboleśnie? Powstrzymując łzy, starała się skupić myśli. Musi się stąd wydostać. Musi to zrobić dla swojego dziecka!

Spróbowała otworzyć drzwi, ale ani drgnęły. Napady kaszlu stały się tak uporczywe, że wstrząsały jej całym ciałem. Czuła, jak chłód osiada na dnie płuc. Zastanawiała się, czy to infekcja. Drżały jej wargi. Była osłabiona, pozbawiona energii. Skuliła się mocno, rozglądając rozpaczliwie po pomieszczeniu. Półki oznaczone były różnymi kodami. Na jednej probówce widniał napis „87m332”. Na innej: „98k003”. Na zlewkach były etykiety: „NaOH”, „SO<sub>2</sub>”, „H<sub>2</sub>SO<sub>4</sub>”, „H<sub>3</sub>PO<sub>4</sub>”, „HCl”, „CHCl<sub>3</sub>”.

Michael. Jej biedny piękny Michael nie żyje. Jak? Dlaczego?

Pomieszczenie było niewielkie. Wydawało się, że sufit i ściany napierają ze wszystkich stron. Sara skuliła się jeszcze mocniej, opuściła głowę i załkała cicho. Nigdy dotąd nie czuła tak wielkiej samotności i rozpacz. Chłód stawał się nie do zniesienia. Palce miała zdrętwiałe i czuła, że traci siły. Próbowwała skupić się na słowach piosenki Blue Oyster Cult, desperacko starając się zachować przytomność.

Czuła, że gaśnie.

Trzymaj się, Saro, trzymaj się, powtarzała sobie w myślach.

Nic z tego. Zaraz wróci Harvey i wszystko się skończy. Michael nie żyje. Kostucha go zabrała. Za chwilę zabierze i ją.

Powieki opadły jej na oczy.



Michael wciąż spał, gdy wwieziono go do pokoju na drugim piętrze. Doktor Sombat szczegółowo opowiedział Harveyowi o wszystkim, co się stało.

— Porucznik Bernstein to bardzo dzielny człowiek — stwierdził na końcu. — Uratował panu Silvermanowi życie.

— Złapali tego bandytę, który porwał pana Silvermana? — spytał Harvey.

— Tak. Został aresztowany.

— Czy... czy już coś zeznał? Co pozwoliłoby wyjaśnić tę sprawę?

— Przykro mi, panie doktorze, ale nic mi o tym nie wiadomo.

Harvey kiwnął głową.

— A gdzie jest porucznik Bernstein?

— Wypadło mu coś pilnego — odparł tajski lekarz. — Pojechał z sierżantem Monticellim. Jeśli to wszystko, chciałbym się pożegnać. Muszę wracać.

— Tak, to wszystko. Bardzo panu dziękuję za pomoc.

— Bardzo proszę. Jak dostanę się z powrotem na lotnisko?

— Niech pan poprosi recepcjonistkę na parterze, żeby zadzwoniła po taksówkę dla pana. Jeszcze raz dziękuję.

Uścisnęli sobie dłonie i doktor Sombat wyszedł. Harvey został sam z Michaeliem w cichym, zaciemnionym pokoju.

— Michael. Żadnej reakcji.

Zobaczył, że ma złamany nos. I wyraźnie schudł. Leżał bezbronny w łóżku.

— Bardzo mi przykro.

Harvey patrzył na swojego młodego przyjaciela. Po jego policzku spłynęła łza. Nachylił się i delikatnie pocałował Michaela w czoło. A potem się odwrócił i ruszył do wyjścia.

— Harv...

Spojrzał przez ramię. Michael wsparł się na łokciach i patrzył półprzytomnymi oczami.

— Jestem. Wróciłeś.

— Sara... — wyszeptał ledwo słyszalnym głosem.

— Wyszła parę minut temu. Zostawiłem jej wiadomość na sekretarce, żeby oddzwoniła.

— Czuję... czuję się taki słaby...

— Wiem. Spróbuj odpocząć. Obudzę cię, gdy Sara przyjedzie.

Michael kiwnął głową.

— Max dopadł Homorozpruwacza, wiesz? — powiedział.

— Wiem — odrzekł Harvey. Podszedł do łóżka i objął przyjaciela. — Prześpij się jeszcze. Wszystko będzie dobrze. Chcesz, żebym ci zrobił zastrzyk?

Michael pokręcił głową i zamknął oczy. Harvey wyszedł po cichu z pokoju. Ruszył korytarzem, otworzył drzwi do laboratorium i wszedł do środka.

— Przykro mi, Michael — powiedział głośno, choć nikogo nie było w pobliżu.

Wyjął pistolet z kieszeni i owinał lufę ręcznikiem, używając go jako tłumika. Właściwie to i tak nie ma znaczenia. Po zamknięciu drzwi chłodnia stawała się dźwiękoszczelna. Zastrzelił Erica i nikt tego nie usłyszał.

Podszedł do drzwi. Jak pozbędzie się ciała? Z doświadczenia wiedział, że zwłoki są bardzo ciężkie. Będzie musiał włożyć trupy do foliowych worków. Potem powie pielęgniarce, że sam zaopiekuje się dziś Michaeliem i że nikomu nie wolno wchodzić na drugie piętro. Wówczas będzie mógł zaciągnąć zwłoki do windy, zjechać do piwnicy i wynieść je tunelem, którym wszedł George. Dalej wywiezie je w bagażniku.

A co potem?

Nie wiedział. Przywiąże im ciężarki do nóg i wrzuci do rzeki? Tak zawsze mafia robi w filmach. Musi zachować ostrożność. Włożyć rękawiczki. Trzeba wyczyścić dokładnie całe laboratorium. Niedobrze byłoby, gdyby policja znalazła w chłodni kilka długich jasnych włosów, co?

Przysunął się do drzwi i przystawił ucho. Zimna stal. A czego się spodziewałeś? Poza tym co chcesz usłyszeć? Przecież drzwi są grube, a pomieszczenie dźwiękoszczelne.

Debil.

Przestań to odkładać w nieskończoność. Przestań grać na zwłokę. Sara musi umrzeć. Inaczej wszystko wyśpiewa. Pomyśl o tych wszystkich młodych mężczyznach, którzy codziennie będą umierać. Pomyśl o tych tysiącach, może milionach, których możesz uratować od straszliwej śmierci. Pamiętaj, jaki przyświeca ci cel.

Świat bez AIDS.

Skinął głową do własnych myśli. Sięgnął ręką i odpiął kłódkę. Potem otworzył drzwi i wycelował pistolet w Sarę.

\* \* \*

Dwa piętra niżej Cassandra uśmiechnęła się do ochroniarza, wchodząc do kliniki. Próbowwała maszerować rażno, próbowała uśmiechać się szerzej, ale bez skutku. W prawej ręce niosła chińszczyznę na wynos. Żeberka, wieprzowina, kurczak generała Tsao (to chińscy generałowie gotują potrawy?) i wołowina z brokułami, wszystko zapakowane w białe styropianowe pudełka, których używa się w chińskich barach i restauracjach. Na samym dole było pewnie z tysiąc saszetek sosu z kaczki i sosu sojowego, a także musztarda tak ostra, że mogłaby posłużyć za rozpuszczalnik. Do tego jak zwykle ciasteczka z wróżbą i — z niewiadomego powodu — pomarańcza na deser.

Ruszyła korytarzem w kierunku gabinetu Harveya. W ostatnich dniach rzadko się widywali, więc bardzo się za nim stęskniła. Na pewno nie spał ani nie jadł jak normalny człowiek. Porwanie Michaela, morderstwa Homorozpruwacza i waszyngtońska zмова, do której należał jej ojciec, mogłyby rozstroić nawet najsilniejszego człowieka.

Dlatego uznała, że najwyższa pora złożyć Harveyowi kolejną niezapowiedzianą wizytę w pracy. Doszła na koniec korytarza i zapukała do drzwi.

— Cześć!

Cisza.

— Harv!

Znów brak reakcji. Zajrzała do środka i zobaczyła, że w gabinecie jest pusto. Może recepcjonistka wie, gdzie się podział. Wróciła korytarzem. Uśmiechnęła się. Rozmawiająca przez telefon recepcjonistka zrewanżowała się tym samym, podnosząc wymownie dłoń.

— Przykro mi — powiedziała do słuchawki — ale nie wiem, gdzie jest Sara Lowell. Być może już wyszła. Tak, proszę pani, rozumiem, że to pilne... Tak, rozumiem, że to sprawa życia i śmierci. Czy mam wysłać doktorowi Rikerowi wiadomość na pager? Nie? Aha, dobrze, dobrze. Nie wyślę, obiecuję. Proszę się uspokoić.

Cassandra się nachyliła.

— Telefon do Sary? — spytała. — Do mojej siostry?

Recepcjonistka zakryła dłonią słuchawkę.

— Dzwoni Jennifer Riker — wyjaśniła. — Była żona doktora. Gada, że to jakaś strasznie ważna sprawa.

— Porozmawiam z nią.

Cassandra wzięła słuchawkę.

— Halo.

— Kto mówi? — spytała zaniepokojona Jennifer.

- Cassandra Lowell. Siostra Sary. Poznałyśmy się kilka lat temu na przyjęciu...
  - Pamiętam! Gdzie jest Sara?
  - Nie wiem, sama dopiero przyszłam.
  - Znajdź ją jak najszybciej! Grozi jej wielkie niebezpieczeństwo!
- Cassandra przycisnęła słuchawkę do policzka.
- O czym ty mówisz?
  - O liście!
  - Jakim liście?
  - Liście, który napisał Bruce.

\* \* \*

Monticelli skręcił ostro w prawo, wyjeżdżając z Henry Hudson Parkway przy Sto Siedemdziesiątej Ósmej Ulicy. Pomknął aleją Fort Washington, minął Hood Park i odbił w lewo, w Sto Siedemdziesiątą Szóstą. Potem znowu gwałtowny skręt w prawo przy Broadway i gazu! Minął główny budynek szpitala i klinikę dziecięcą i skręcił w lewo.

Dziesięć sekund później radiowóz z przeraźliwym piskiem opon zatrzymał się przed Sidney Pavilion, zaledwie centymetry od betonowych schodów prowadzących do wejścia. Max wyskoczył z auta, jeszcze zanim stanęło, a kilka sekund później to samo zrobił Monticelli. Wbiegli po stopniach, migając odznakami. Ochroniarze, widząc policyjne legitymacje, odskoczyli na boki, żeby nie zostać stratowani przez rozpędzone dwuosobowe stado.

- Czy przyjechali już inni policjanci? — spytał Max w biegu.
- Nie! — odkrzyknął ochroniarz.

Biegli dalej, otwierając w pędzie drzwi jak rewolwerowcy wkraczający do saloonu. Max dopadł stanowiska recepcjonistki.

- Gdzie jest Sara Lowell? — spytał. Kobieta podniosła wzrok.
- A z kim mam przyjemność? — spytała zdziwiona.

Rzucił odznakę na biurko.

- Porucznik Bernstein z policji. Gdzie jest Sara Lowell?
- Ta pani jest dziś bardzo popularna — stwierdziła z przekąsem.
- Jak mam to rozumieć?
- Że nie pan pierwszy o nią pyta.
- A kto jeszcze?

— Przed chwilą telefonowała Jennifer Riker. Chciała koniecznie z nią rozmawiać. Mówiła, że to bardzo ważne.

- Żona doktora Rikera?

— Była żona — poprawiła Maxa recepcjonistka. — Nie mogłam nigdzie znaleźć pani Lowell, więc pani Riker rozmawiała w zastępstwie z jej siostrą.

- Z Cassandrą? Gdzie ona jest?

Kobieta wzruszyła ramionami.

— Nie wiem — odparła. — Po rozmowie z panią Riker zbladła jak ściana i dziwnie się zachowała. Popędziła jak zwariowana bez słowa. Nie raczyła nawet odłożyć słuchawki na widełki.

- Dokąd pobiegła?
  - Do windy. Widziałam, że zatrzymała się na drugim piętrze.
- Max się odwrócił.
- Willie!

Monticelli stał już przy windzie, przytrzymując otwarte drzwi.

- Wyprzedziłem cię, Tik! — krzyknął.

— Szybko!

\* \* \*

Harvey powoli uchylił drzwi, trzymając broń blisko ciała.

Przyszło mu do głowy, że Sara może się zdobyć na jakiś rozpaczliwy atak po otwarciu drzwi. Ale gdy zajrzał w głąb mroźnego pomieszczenia, zdał sobie sprawę, że niepotrzebnie się niepokoił.

Siedziała zgarbiona w kącie. Oczy miała zamknięte, a głowę odchyłoną pod dziwnym kątem. Jej i tak jasna cera nabrała przeraźliwie białej, upiornej barwy. Drżące usta były zsiniałe. Wyglądała żałośnie, bezbrinnie i niepozornie, wciśnięta w kąt jak zaszczute ranne zwierzę.

— Saro.

Żadnej reakcji. Oddychała ciężko i nierówno. Ramiona miała zgarbione, ręce wisały bezwładnie po bokach.

— Saro — powtórzył.

Nadal nic. Oczy wciąż zamknięte. Z gardła dobywało się ciche charczenie, jakby coś utkwiło jej w drogach oddechowych. Częstką siebie pragnął, by pozostała nieprzytomna, ale z drugiej strony bardzo chciał, by się ocknęła. Chciał, żeby była przytomna, gdy będzie ją zabijał, chciał jej dać prawo do nienawistnego, oskarżającego spojrzenia, kiedy pociągnie za spust. Ten widok pozostanie z nim na zawsze, będzie go nawiedzał. To będzie jego pokuta.

Stał w odległości kilku kroków, na wypadek gdyby odzyskała przytomność i próbowała go zaskoczyć. W tym miejscu, przy drzwiach, miałby dość czasu, by podnieść pistolet i strzelić, gdyby usiłowała go dopaść. Nawet ktoś tak wysportowany jak Michael nie zdążyłby tego zrobić.

Przez chwilę pomyślał, że może powinien użyć noża, który miał w kieszeni. Tak byłoby ciszej. Ale nie, pozostanie przy broni palnej. Pistolet jest mniej osobisty. Można nim zabić z większej odległości. Dźgnąć kogoś, poderżnąć gardło od ucha do ucha albo wbić nóż w serce — nie każdego na to stać.

Widok nieszczęsnej postaci w kącie sprawiał Harveyowi ból. Dlatego spojrzał w bok, na próbówki na najwyższej półce. Przeczytał etykiety. Był tak oddany swojej misji, że nauczył się na pamięć wszystkich kodów pacjentów i nazw chemikaliów.

„87m332” to Ezra Platt, „98k003” to Kiel Davis. Następny powinien być... owszem, Kevin Fraine, czyli „39k10”.

— Saro.

Wciąż brak reakcji. Rwany oddech przemienił się w mozolne sapanie. Harvey poczuł łzy napływające do oczu. Tak samo było, gdy kazał zabić Bruce'a. Musiał powstrzymać się od płaczu. Przesunął wzrok po rzędzie zlewek.

NaOH, SO<sub>2</sub>, H<sub>2</sub>SO<sub>4</sub>, obok powinien być H<sub>3</sub>PO<sub>4</sub>, a potem...

...gdzie jest HCl?

Bezwładna dotąd ręka Sary wystrzeliła jak pocisk. Harvey podniósł dłoń z pistoletem, wybałuszając oczy. Mignął napis na zlewce. „HCl”.

HCl. Kwas chlorowodorowy.

Nie zdążył zareagować. Zlewka pofrunęła w jego kierunku i ciecz obryzgała mu oczy.

Wrzask.

Kwas palił skórę. Wniknął głęboko, żrąc tkankę, niszcząc rogówkę i źrenice, ścinając galaretowatą twardówkę. Rozrywał go piekielny ból, ale uczucie pieczenia skóry było niczym w porównaniu z agonią oczu. Jakby tysiące płonących drzazg wbiło się w miękkie gałki.

Chwycił się rękami za twarz i drapał wściekle palcami, próbując bezskutecznie zmniejszyć nieznosny ból. Usłyszał skwierczenie własnej skóry i oczu, poczuł swąd własnego spalonego ciała.

Dźwigając się na nogi, półprzytomna Sara zobaczyła, że upuszczony przez Harveya pistolet pokoziołkował pod półkę. Pomyślała, by go chwycić, ale zrezygnowała. Trwałoby to za długo, a Harvey zyskałby czas, żeby się pozbierać.

Zanim zdążyła zrobić krok, usłyszała jego głos. Najpierw słowa były ciche, niewyraźne, ale z każdą kolejną zgłoską nabierały mocy. Powtarzał w kółko to samo zdanie, jakby odprawiał rytualne modły:

— Musisz umrzeć, Saro. Musisz umrzeć.

\* \* \*

Winda poruszała się nieznosnie powoli. Po trzydziestu sekundach rozpaczliwego wciskania guzika przez Monticellego drzwi wreszcie się zamknęły. Szarpnęło i zaczęli wjeżdżać.

— Ty sprawdzisz pierwsze piętro — powiedział Max. — Ja jadę na drugie. Krzycz, gdyby coś się działo.

— Dobra.

Winda przystanąła na pierwszym piętrze. Drzwi nie zdążyły się jeszcze otworzyć, gdy obaj usłyszeli przeraźliwy wrzask.

— To na górze! — krzyknął Max.

Monticelli opętańczo wcisnął guzik zamykający drzwi, ale winda miała własny tryb pracy i pozostawała niewzruszona na ludzkie wołania. Drzwi powoli się rozsunęły i znieruchomiały.

Max miał wrażenie, że za chwilę zwariuje z desperacji. Wyskoczył na korytarz.

— Biegnę schodami! — krzyknął. — Spotkamy się na górze!

— Jasne — odparł Willie Monticelli, wyjmując rewolwer z kabury.

\* \* \*

— Musisz umrzeć, Saro...

Nie zamierzała czekać. Zdobywając się na ostatni wysiłek, wyminęła zwłoki Erica, odepchnęła Harveya i pokuśtykała do drzwi. Poruszała się bardzo powoli, choć czuła burzę adrenaliny. Kończyny miała sztywne z zimna, płuca ściśnięte. Tak wiele siły kosztował ją rzut zlewką i odepchnięcie Harveya, że bała się, iż nie dojdzie do wyjścia. Muszę. Dziecko... — powtarzała w myślach.

\* \* \*

Kilka minut wcześniej była gotowa się poddać. Uwięziona w chłodni, bez możliwości ucieczki, bez nadziei na ratunek w ostatniej chwili, bez Michaela — w tej sytuacji witała klęskę niemal z otwartymi ramionami. Straciła wszystko. Złamano jej ducha. Michael zabity, więc po co żyć, skoro go nie ma?

Powoli traciła przytomność. Pojawiły się zwidy, które też powitała z ulgą. Wszystko lepsze od rzeczywistości. Po prostu zapadnie w sen, coraz głębszy i głębszy. Nie będzie myśleć o Michaelu, a w głowie niech rozbrzmiewają słowa piosenki Blue Oyster Cult. *Nie bój się kostuchy*. Prawie słyszała Bucka Dharmę śpiewającego o wizycie posępnej pani...

*Drzwi się otworzyły i powiał wiatr,  
Świece zabłyśły i zaraz zgasły...*

Rozglądała się dokoła, patrzyła na probówki i skomplikowane sprzęty na półkach, aż wreszcie poczuła tak wielkie zmęczenie, że oczy same zaczęły się zamykać...

*Kurtyna się rozsunęła i Ona się ukazała...*

...tak, probówki, szklane naczynia, zlewki...

*Mówiąc: nie bój się, chodź, Mary...*

...mnóstwo zlewek, przeróżnej wielkości, oznaczonych skomplikowanymi wzorami...

*Nie czuła więc strachu...*

Sara nie miała probówki ani zlewki w ręku, odkąd skończyła szkołę. Boże, ależ nienawidziła lekcji chemii. Zajmowali się tylko tablicą okresową pierwiastków. Niewiele z tego zapamiętała, podobnie jak z hiszpańskiego, którego uczyła się cztery lata i którego nigdy nie używała. W głowie zostało tylko kilka słów. *Hola* to „cześć”...

*...i podbiegła do niej...*

*Adiós* to „do widzenia”. *Buenos dias* znaczy „dzień dobry”. Tak samo z chemią.  $H_2O$  to woda.  $CO_2$  to dwutlenek węgla. A  $HCl$  to...

*...I zaczęły obie frunąć...*

... $HCl$  to kwas chlorowodorowy.  
Kwas.

\* \* \*

Ścigał ją cierpiący głos Harveya.

— Musisz umrzeć, Saro. Musisz...

Spojrzała za siebie. Dźwignął się na nogi. Opuścił ręce i wyjął nóż z kieszeni. Twarz miał czerwoną i pokrytą plamami.

Pokuśtykała do przodu. Słyszała, jak z tyłu Harvey gramoli się w stronę drzwi laboratorium. Poruszał się jak maniak — bez opamiętania, nie zwracając uwagi na nic, co stoi mu na drodze. I bardzo szybko.

— Musisz umrzeć, Saro. Musisz...

Próbowała przyśpieszyć kroku. Wpatrywała się w klamkę. Jeszcze kilka metrów, krok, dwa i będzie bezpieczna...

Wyciągnęła rękę i chwyciła za klamkę. Harvey był tuż-tuż. Potknął się i zatoczył do przodu. Upadł zaledwie kilka centymetrów od Sary. Szarpnęła za klamkę. Nic. Drzwi były zamknięte.

Serce jej zamarło. Zasułka!

— Musisz umrzeć, Saro...

Przekręciła gałkę zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Usłyszała szcęk cofającej się sztabki. W tej samej chwili zimne palce złapały ją za kostkę.

Z podłogi dobiegł głos:

— Musisz umrzeć, musisz...

Wrzasnęła, próbując wyrwać chorą nogę z uścisku, ale Harvey nie puszczał. Nagle pociągnął mocno i runęła bezwładnie na podłogę tuż obok niego. Nogę ściał ból. Kopnęła Harveya, ale niewiele sobie robił z jej uderzeń. Przekroczył już próg bólu, przekroczył wszelkie granice racjonalności. Przypominał robota zaprogramowanego, by niszczyć i zabijać bez względu na wszystko. Musiał ratować swoją klinikę. Nic innego się nie liczyło.

Znowu szarpnął, przysuwając Sarę do siebie. Wyciągnęła rozczapierzoną rękę, próbując uchwycić się czegokolwiek, by stawić opór. Ale dokoła były tylko śliskie kafelki.

— Musisz umrzeć...

Złapał ją za włosy i pociągnął brutalnie. Obezwładnił Sarę i dźwignął się na kolana. Podniósł wysoko rękę z nożem, chcąc zadać cios. Machnęła zaciśniętą pięścią, trafiając go w krocze. Stęknął i upadł na bok.

Zerwała się na nogi i znowu chwyciła za klamkę. Nacisnęła. Drzwi się otworzyły. Z tyłu usłyszała krzyk Harveya:

— Nie!!!

Wypadła na korytarz, a sekundę później on wytoczył się za nią.

I wtedy usłyszała czyjś głos:

— To koniec, Harv. Rzuć ten nóż.

Oboje zastygli.

Ten głos, pomyślała. Ale przecież to niemożliwe... Pobiegnęła spojrzeniem w głąb korytarza, aż do miejsca, gdzie stał mężczyzna, który się odezwał.

— Michael!

\* \* \*

Z nożem w ręku Harvey odwrócił się w stronę mężczyzny. Prawe oko, wypalone kwasem, było bezużyteczne, ale lewym wciąż dostrzegał kształty. W odległości dziesięciu kroków ktoś stał. Michael. A postać za nim... Zmrużył oczy, próbując rozpoznać twarz...

— Cassandra — wyszeptał udreńczonym głosem.

Odwróciła się plecami, ze łzami spływającymi po policzkach.

— Rzuć nóż — powtórzył Michael. — To koniec.

Zza rogu wypadł zdyszany Max Bernstein. Zaraz za nim nadbiegł Willie Monticelli z dobytą bronią. Wycelował w głowę Harveya.

Ale Riker już rzucił nóż. Dalsza walka nie miała sensu. Zabicie Sary nie przyniosłoby klinice żadnych korzyści, bo Michael znał prawdę. Podobnie Cassandra i porucznik Bernstein. I ten drugi policjant też. Przecież nie pozabija ich wszystkich. Ukrywanie prawdy stało się niemożliwe.

Co teraz?

Zwiotczał nagle. Policjant z rewolwerem obezwładnił go i rzucił na podłogę. Niepotrzebnie, bo Harvey nie stawiał oporu. Ocalałym okiem zobaczył, jak Michael podchodzi do Sary. Padli sobie w ramiona.

Został skuty kajdankami i postawiony z powrotem na nogi. Cassandra wciąż stała odwrócona plecami, nie chcąc spojrzeć mu w twarz. Szkoda. Naprawdę zależało mu na niej. Być może nawet ją pokochał. Ale jak jej wytłumaczyć, że jego własne szczęście nie ma znaczenia? Jak jej wyjaśnić, że stał się tylko skorupą, narzędziem, cenną bronią w walce przeciw AIDS? Jego osobiste życie się nie liczyło. Liczył się tylko doktor Harvey. Lekarz i badacz. Harvey człowiek był nieważny.

Oczy wciąż go paliły, ale już się tym nie przejmował. Rozmyślał nad tym, co mu pozostało. Znajdzie sobie adwokata, który będzie przeciągał proces w nieskończoność. Wystarczy kilka miesięcy na wolności, żeby udoskonalić skład SR-1...

— Ma pan prawo zachować milczenie — policjant zaczął recytować formułkę. — Cokolwiek pan powie...

...a nawet jeśli dostanie odsiadkę, to co z tego? Nad składem leku można pracować także w więzieniu. Można korespondować z badaczami na wolności. Czytał przecież o lekarzu, który robi gdzieś coś takiego. Nadal może wnieść swój wkład, dać światu swoją wiedzę i doświadczenie.

Ale najpierw trzeba znaleźć adwokata. Dobrego, cwane adwokata.  
Tak właśnie należy zrobić.



## EPILOG

Czwartek, 9 kwietnia

Lenny wszedł do komendy przy Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy. Z uśmiechem przemaszerował przez pokój, ignorując sprośne spojrzenia i gwizdy.

Stanął przed biurkiem.

— Wyjmij ołówek z ust — powiedział.

Max Bernstein podniósł wzrok.

— Cześć.

— Gotowy? Idziemy odwiedzić Sarę i Sama.

— Moment, tylko skończę.

— A co to?

— Robota papierkowa. Niczym innym się teraz nie zajmuję.

— Odwagi — odrzekł Lenny. — Ktoś musi przecierać szlak.

Max zaczął się bawić odrośniętym wąsem.

— Nigdy nie uważałem siebie za pioniera — powiedział.

— Czasem nasza wielkość objawia się bez naszego udziału.

— Nikt ze mną już nie rozmawia. Dają mi tylko gówniane zadania.

— Bycie pionierem to samotna wędrówka.

— Mało śmieszne, Lenny.

— Żałujesz, że im powiedziałaś?

Max przypomniał sobie konferencję prasową sprzed siedmiu miesięcy. Z całego świata zjechali dziennikarze prasowi i telewizyjni, żeby zrelacjonować sprawę Homorozpruwacza i kliniki, która wynalazła fałszywy lek przeciw AIDS. Tego dnia Max nie zamierzał powiedzieć niczego więcej jak tylko dyżurne: „To była praca zespołowa”. Ale jego usta zachowały się inaczej.

Jeden z dziennikarzy spytał:

— Jak to jest być bohaterem, poruczniku?

— Po prostu cieszę się, że śledztwo zakończyło się sukcesem.

— Zdaje pan sobie sprawę, że stał się pan idolem wielu ludzi? Rodzice uważają, że jest pan wzorem dla ich dzieci.

— Hm, wątpię.

— Niech pan nie będzie taki skromny. Czy pańskim zdaniem ta sprawa nie dowodzi, że społeczność gejowska może się posunąć bardzo daleko, by zwieść opinię publiczną?

— Nie rozumiem pytania.

— Czy nie uważa pan, że to była zmowa wywrotowych grup gejowskich, które chciały wyłudzić z budżetu więcej pieniędzy na leczenie AIDS?

— Nie. Nie ulega wątpliwości, że doktor Riker działał sam. To była jego własna inicjatywa. — Po chwili Max dodał: — Ponadto, skoro zostałem bohaterem na pięć minut, to powiem państwu, że sam też jestem...

Wtedy właśnie się ujawnił.

— No i? — dopytywał się Lenny. — Żałujesz, że zdjąłeś maskę?

Max wzruszył ramionami.

— Nie wiem — mruknął.

— Zrobiłeś dużo dobrego.

— Ale moja kariera w policji jest teraz gównie warta.

Lenny zareagował uśmiechem.

— Musisz to przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza — odpowiedział. — Daj sobie trochę czasu.

— Masz więcej takich oryginalnych powiedzonek?

— Nie. I pamiętaj, że formalnie rzecz biorąc, nie możesz być z tego powodu dyskryminowany.

— Poza tym, że przydzielają mi gównianą robotę. Powinienem dostać śledztwo w sprawie Zamaskowanego Zabójcy, ale dali to komuś innemu. Dostaję jakieś drobne pedalskie sprawy, bo, jak to ujął kapitan, mam w tym doświadczenie.

— A więc twój kapitan to homofobiczny neandertalczyk — stwierdził Lenny. — Chcesz, żebyśmy poszli do jego gabinetu i zabawili się na jego oczach?

Max zachichotał.

— Raczej nie.

— Nie martw się, w końcu cię zaakceptują. I to niedługo. Zaufaj mi. Postęp czasem wymaga mozołu.

Wyjął ołówek z ust.

— Wątpię — mruknął.

— Cześć, Tik.

Obrócił się na krześle. Przed nim stał Willie Monticelli. Nie widzieli się od dnia, kiedy Max stał się najsławniejszym gejem w kraju.

— Cześć, Willie. Szmata czasu.

— Kto to? — spytał niepewnie sierżant. — Twój chłopak czy coś?

— Lenny, to sierżant Monticelli. A to Lenny Werner.

— Dużo o panu słyszałem, sierżancie.

Dokoła rozległy się chichoty policjantów.

— A co pan słyszał? — spytał podejrzliwie Monticelli.

— Że jest pan świetnym gliniarzem.

Sierżant wzruszył ramionami.

— Po prostu wykonuję swoją robotę — odparł.

— Chciałeś czegoś ode mnie, Willie? — spytał Max.

— Uważaj, co odpowiesz! — krzyknął ktoś z sali. — Bo możesz dostać więcej, niż chcesz!

— Zamknij się, Owens! — odkrzyknął Monticelli.

Max nerwowo ciągnął się za poję koszuli.

— Co jest? — spytał ponownie.

— Mam ci pomagać w sprawie Zamaskowanego Zabójcy. Wygląda na to, że burmistrz nie jest zadowolony z wyników Owensa i jego kumpli. Chce dać nam szansę.

— Bujasz?!

— Posłuchaj, Tik, będę z tobą szczerzy. — Monticelli podciągnął spodnie za pasek. — Nie jestem wielbicielem pedziów. Ale znam wielu gliniarzy. Niektórzy są homo, inni lubią bzykać kurwy po piwnicach, a jeszcze inni to panny. Skoro wolisz miętosić męskie jaja zamiast cyków, trudno, twoja sprawa, pod warunkiem że trzymasz się z dala od moich. Reszta mnie nie obchodzi. Chcę łapać bandytów.

Lenny uśmiechnął się do Maxa.

— A nie mówiłem? — spytał. — Postęp.

\* \* \*

— Poczta!

Strażnik wrzucił kopertę przez kraty.

— List do pana, doktorze Szajba.

Harvey zerwał się i chwycił kopertę. Serce zabiło mu mocniej, kiedy zobaczył adres nadawcy: Waszyngton. Szybko rozerwał kopertę.

Szanowny doktorze Riker,

nasz personel w Narodowym Instytucie Zdrowia sprawdził przysłaną przez Pana dokumentację. Chociaż cieszymy się z każdego kontaktu z osobami, które mogą przyspieszyć wynalezienie szczepionki przeciw AIDS, jednak muszę przyznać, że nie możemy Pana dłużej traktować jako wiarygodnego badacza.

Ponadto zmuszony jestem odrzucić bezpodstawne, absurdalne oskarżenia, które stawia Pan w swoim poufnym liście adresowanym do mnie. Kategorycznie zaprzeczam, że brałem udział w jakiegokolwiek zмовie. Odnoszę wrażenie, że najlepiej przysłuży się Pan władzom i ruchowi na rzecz walki z AIDS, gdy przestanie Pan wytaczać fałszywe zarzuty. W tym celu, jak sądzę, możemy osiągnąć porozumienie, które zadowoli nas obu.

Ze swojej strony z chęcią będę Pana informował o postępach Instytutu w walce z AIDS i przekazywał Pańskie sugestie Radzie Nadzorczej. Dołożę wszelkich starań, żeby podczas odbywania kary otrzymywał Pan informacje na temat rozwoju badań.

Pan z kolei nigdy więcej nie będzie stawiał bezpodstawnych i absurdalnych oskarżeń. Nie stykam się już w ogóle z osobami, które wymienił Pan w swoim liście. Nie współpracujemy dla osiągnięcia celu, który określił Pan słowem „nikczemny”. Nie interesuje mnie, czym się dziś zajmują. Spłaciłem swój dług wobec człowieka, którego nazywa Pan świętoszkowatym łajdakiem, dlatego nie utrzymuję z nim żadnych kontaktów.

Dziękuję Panu za zaangażowanie. To budujące, że niektórzy więźniowie chcą pożytecznie wykorzystać swój czas, spłacając dług wobec społeczeństwa.

Życzę wszystkiego dobrego i załączam wyrazy szacunku.

dr Raymond Markey,

zastępca sekretarza Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej

Harvey odłożył list. Schował go starannie i usiadł prosto.

Nagle zobaczył „New York Herald” z poprzedniego dnia. Gazeta leżała na podłodze.

Wczoraj był tak zajęty obliczaniem wartości w składzie leku, że nawet nie spojrzął na gazetę. Teraz zobaczył duży nagłówek:

Podwójny triumf Silvermana

Powrót do koszykówki i narodziny dziecka w jednym dniu!

Harvey wziął gazetę i zaczął czytać:

W szatni nowojorskich Knicksów po raz pierwszy słychać było muzykę klasyczną. Nastąpiła wspaniała chwila dla całego zespołu.

— Widzieliście, co zrobił? — spytał Reece Porter, przyjaciel Michaela Silvermana z drużyny. — Mike wrócił!

Po długiej chorobie Michael Silverman, weteran koszykówki, zaliczył wczoraj triumfalny powrót na parkiet. W wypełnionej po brzegi Madison Square Garden poprowadził swój zespół do zwycięstwa 123–107 nad Chicago Bulls.

— Teraz czekają nas play-offy, więc Michael bardzo nam się przyda — powiedział trener Richie Crenshaw. — Dodaje wartości naszej drużynie.

— Nikt nie wierzył, że wróci — dodał Jerome Holloway, faworyt do tytułu Rekruta Roku. — Ale dzisiaj pokazał, że się myliliśmy.

Wczorajszy dzień był ważny dla Silvermana nie tylko z powodu powrotu do koszykówki. Zaraz po meczu dowiedział się, że jego żona, znana dziennikarka Sara

Lowell, została zabrana na porodówkę. Cała drużyna pojechała z Silvermanem do szpitala.

— Łaziliśmy wszyscy po poczekalni jak grupa zdenerwowanych ojców — zażartował potem Porter.

Osiem po jedenastej oczekiwanie dobiegło końca. Wzruszony do łez Michael Silverman wyszedł z pokoju, żeby oznajmić, że Sara urodziła ich pierwsze dziecko, zdrowego chłopczyka o imieniu Sam. Noworodek ważył 4,2 kilograma.

Harvey odłożył gazetę i się uśmiechnął. Wspaniała wiadomość.

Po chwili wrócił do rozmyślań nad tym, dlaczego receptor komórek T nie reaguje zgodnie z oczekiwaniami. Może gdyby zmienił skład chemiczny...